

BILL BROWDER



MAFIA PUTINA

PRAWDZIWA HISTORIA O PRANIU BRUDNYCH PIENIĘDZY,
MORDERSTWIE I UCIECZCE PRZED ZEMSTĄ

post
FACTUM

BILL BROWDER
**MAFIA
PUTINA**

Z języka angielskiego przełożył
Paweł Cichawa



post
FACTUM

Freezing Order: A True Story of Money Laundering, Murder,
and Surviving Vladimir Putin's Wrath

Copyright © Hermitage Media Limited 2022

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2022 for the Polish translation by Paweł Cichawa

(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Krystyna Podhajska

Korekta: Joanna Rodkiewicz, Iwona Wyrwisz, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-8230-392-6

Mojej żonie i dzieciom. Dziękuję, że staliście przy mnie, dając mi wsparcie i miłość, gdy rozgrywały się opisywane tutaj wydarzenia. Wiem, że to nie było łatwe, dlatego jestem do zgonnie wdzięczny każdemu z Was.

To prawdziwa historia, która z pewnością urazi wielu wpływowych i groźnych ludzi. Żeby chronić niewinnych, zmieniłem niektóre nazwiska, nazwy miejsc i szczegóły.

ROZDZIAŁ 1

Madryckie aresztowanie

Wiosna 2018

Madryt okazał się nadzwyczaj chłodny jak na koniec wiosny. Przyleciałem na rozmowę z Jose Grindą, hiszpańskim prokuratorem odpowiedzialnym za zwalczanie korupcji i przestępczości zorganizowanej. Miałem mu przekazać dowody wykorzystania brudnych pieniędzy powiązanych ze śmiercią Siergieja Magnitskiego, mojego rosyjskiego prawnika, na zakup luksusowych nieruchomości na Costa del Sol. Byliśmy umówieni o jedenastej następnego dnia, co w Hiszpanii oznacza wcześnie.

Gdy dotarłem do hotelu, przy kontuarze natychmiast stanął kierownik recepcji i odesłał recepcjonistę na bok.

– Pan Browder? – zapytał.

Skinąłem potakująco głową.

– Miło mi powitać pana w Gran Hotel Ingles. Przygotowaliśmy dla pana specjalną niespodziankę.

Często zatrzymuję się w hotelach. Kierownicy recepcji zazwyczaj nie mają dla mnie niespodzianek.

– Co takiego?

– Zaraz pan zobaczy. Zaprowadzę pana do apartamentu. – Mówił staranną angielszczyzną. – Czy mogę prosić o pański paszport i kartę kredytową?

Wręczyłem mu dokumenty. Zeskanował paszport, po czym wsunął do czytnika moją czarną kartę American Express, którą dopiero niedawno mi zaproponowano. Klucz do pokoju podał mi w złączonych dłoniach, co mogło się odlegle kojarzyć z Japonią, i wyszedł zza kontuaru.

– Pan przodem.

Ruszyłem do windy, kierownika recepcji mając tuż za sobą. Pojechaliśmy na ostatnie piętro.

Kabina stanęła, a on usunął się na bok, żebym wysiadł pierwszy, potem jednak mnie wyprzedził i zatrzymał się przed białymi drzwiami. Przez chwilę majdrował w zamku swoim kluczem uniwersalnym i pokój stanął otworem. Zerknąłem do środka. Podwyższono mi klasę rezerwacji. Nie miałem wątpliwości, że apartament prezydencki dostaję nie dlatego, kim jestem, lecz z powodu nowej American Express. Zawsze mnie ciekawiło, co ludzie widzą w tych kartach. Teraz wiedziałem.

– No, no! – rzuciłem.

Przez hol przeszedłem do białego salonu umeblowanego gustownie i nowocześnie. Na niskim stoliku zobaczyłem półmiski z serami, szynką iberyjską i owocami. Kierownik zapewniał, że goszczenie mnie jest dla hotelu zaszczytem, choć nie wydawało mi się, żeby wiedział o mnie cokolwiek ponad to, jaką kartą kredytową się posługuję.

Oprowadzał mnie po apartamencie, licząc na pochwały. Na stole w jadalni czekały ciasta, czekoladki i szampan w kubeczku z lodem. Stamtąd przeszliśmy do małej biblioteki z podręcznym księgozbiorem, dalej do niewielkiego gabinetu z przytłumionym oświetleniem i wreszcie do sypialni, w której pod wysokim oknem umieszczono wolno stojącą wannę.

Musiałem powstrzymywać śmiech. Oczywiście, byłem zadowolony z apartamentu – kto by nie był? – ale przyjechałem do Madrytu służbowo i tylko na jeden dzień. Trzeba by pół tuzina ludzi, żeby zjeść wszystko, co tu przygotowano. Mało tego, gdyby kierownik znał powód mojego przyjazdu – a była nim rozmowa z przedstawicielami prawa o rosyjskich gangsterach, którzy często rezerwowali takie właśnie apartamenty – prawdopodobnie nie okazywałyby aż takiego entuzjazmu. Nie zamierzałem jednak zachować się niegrzecznie. Z uznaniem pokiwałem głową.

– To miła niespodzianka. Dziękuję.

Pożegnał się zadowolony i poszedł. Od razu zadzwoniłem do Eleny, mojej żony, która została w Londynie z czwórką naszych dzieci. Opisałem jej apartament, podkreślając, jak bardzo jest wystawny i absurdalny w mojej sytuacji oraz jak bardzo żałuję, że nie mogę dzielić go z nią.

Po rozmowie z żoną przebrałem się w dzinsy i cienki sweter, żeby pospacerować po Madrycie. Chciałem się przygotować psychicznie do jutrzejszego spotkania z Jose Grindą. Dość szybko straciłem orientację

w labiryncie uliczek i placów, więc musiałem złapać taksówkę, żeby wrócić do hotelu.

Następny ranek okazał się pogodny i słoneczny. W odróżnieniu od poprzedniego dnia zanosilo się na upał.

Mniej więcej kwadrans po ósmej sprawdziłem, czy mam wizytówki i wszystkie potrzebne papiery, po czym otworzyłem drzwi, żeby zejść na śniadanie.

Stałem jak wryty.

Na progu zobaczyłem kierownika recepcji z ręką podniesioną tak, jakby właśnie zamierzał zapukać. Towarzyszyło mu dwóch umundurowanych funkcjonariuszy o kamiennych twarzach. Naszywki na ich świeżo wyprasowanych granatowych koszulach nosiły napis: POLICIA NACIONAL.

– Przepraszam, panie Browder, ci panowie muszą zobaczyć pański dowód tożsamości – wyjaśnił kierownik ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Wręczyłem swój brytyjski paszport wyższemu z policjantów. Ten obejrzał go uważnie, a następnie porównał z kartką trzymaną w drugiej ręce i po hiszpańsku powiedział coś, czego nie zrozumiałem.

Kierownik przetłumaczył

– Przepraszam, panie Browder, ale musi pan iść z tymi policjantami.

– Po co? – zapytałem go.

Odwrócił się do policjanta, któremu podałem paszport, i zaterkotał coś po hiszpańsku. Funkcjonariusz, patrząc mi w oczy, oznajmił:

– Interpol, Rosja.

Kurwa mać!

Rosjanie od lat próbowali mnie aresztować. Teraz w końcu im się udało.

Uderzenie adrenaliny sprawia, że dostrzegamy dziwne szczegóły. Zauważyłem, że w przeciwległym końcu korytarza nie pali się jedna lampa, a na klapie marynarki kierownika recepcji jest mały zaciek. Sam kierownik wyglądał raczej na przejętego niż skruszonego. Mógłbym się założyć, że nie chodziło o mnie. Przejął się, że apartament prezydencki będzie niedostępny, dopóki pozostaną w nim moje rzeczy. Chciał opróżnić pomieszczenia jak najszybciej.

Szybko powiedział coś policjantom, po czym zwrócił się do mnie:

– Panowie dadzą panu chwilę na spakowanie się.

Szybko przeszedłem do sypialni, zostawiwszy nieproszonego gości w drzwiach. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że jestem sam i mogę

to wykorzystać. Wcześniej liczne pokoje wydawały mi się absurdalne, teraz uznałem je za wybawienie.

Zadzwoiłem do Eleny, ale nie odebrała.

Następnie wybrałem numer Ruperto, mojego hiszpańskiego prawnika, który zaaranżował spotkanie z prokuratorem Grindą. On też nie odebrał.

Zacząłem się pakować i wtedy przypomniałem sobie, co powiedziała mi Elena po tym, jak w lutym tego roku zostałem zatrzymany na lotnisku w Genewie: „Jeśli coś takiego się powtórzy, a nie uda ci się do nikogo dodzwonić, opisz wszystko na Twitterze”. Z Twittera zacząłem korzystać kilka lat wcześniej i miałem już około stu trzydziestu pięciu tysięcy obserwujących, w tym wielu dziennikarzy, urzędników państwowych i polityków z całego świata.

Zastosowałem się do tej rady i wysłałem tweet: „Pilne! Zostałem aresztowany w Madrycie przez hiszpańską policję na podstawie nakazu rosyjskiego Interpolu. Wiozą mnie na komisariat”.

Wziąłem torbę podróżną i wróciłem do czekających funkcjonariuszy. Spodziewałem się, że dokonają formalnego aresztowania, ale nie zachowali się jak policjanci na filmach. Nie skuli mnie, nie obszukali ani nie zabrali moich rzeczy. Powiedzieli tylko, żebym poszedł z nimi.

W milczeniu zjechaliśmy na parter. Obydwaj stali za mną, gdy płaciłem rachunek. Inni goście otwarcie gapili się na nas.

Kierownik recepcji, tym razem zza swojego biurka, przerwał ciszę.

– Panie Browder, czy życzy pan sobie, żebyśmy przechowali pańskie rzeczy? Jestem pewien, że sprawa szybko się wyjaśni.

O Putinie i Rosji wiedziałem dostatecznie dużo, żeby nie mieć pewności, czy faktycznie tak będzie.

– Dziękuję, ale zabiorę je ze sobą.

Odwróciłem się do funkcjonariuszy, a ci wzięli mnie między siebie. Gęsiego poszliśmy do małego policyjnego peugeota. Jeden z nich wsadził moją torbę do bagażnika, drugi posadził mnie na tylnym siedzeniu.

Drzwi się zatrzasnęły.

Od policjantów oddzielała mnie przegroda z pleksiglasu. Tylnie siedzenie zrobiono z plastiku, jak stadionowe. Od wewnątrz na drzwiach nie zamontowano klamek, okna się nie otwierały. Śmierdziało potem i uryną. Kierowca uruchomił silnik, jego towarzysz włączył koguta i sygnał dźwiękowy. Ruszyliśmy.

Wycie syreny sprawiło, że przyszła mi do głowy przerażająca myśl. A jeśli ci ludzie nie są policjantami? Jeśli jakoś zdobyli policyjne mundury oraz radiowóz i tylko udają policjantów?

Może zamiast na komisariat zawiozą mnie na pas startowy, zapakują do prywatnego odrzutowca i polecimy do Moskwy?

To nie była tylko paranoiczna podejrzliwość. Odebrałem dziesiątki gróźb śmierci i nawet kilka razy przedstawiciele administracji Stanów Zjednoczonych przesyłali mi ostrzeżenia, że planowane są wobec mnie działania pozaprawne.

Serce waliło mi jak młotem. Co mam zrobić, żeby się z tego wyplątać? Przyszło mi do głowy, że przecież ci, którzy przeczytają mój tweet, mogą w niego nie uwierzyć. Bo na przykład dojdą do wniosku, że moje konto zostało zhakowane albo że to jakiś żart.

Na szczęście policjanci – czy kimkolwiek byli – nie odebrali mi smartfonów.

Wyjąłem jeden z kieszeni i przez pleksiglasową przegrodę ukradkiem zrobiłem zdjęcie, kadrując głowy funkcjonariuszy i policyjne radio zamontowane na desce rozdzielczej. W treści tweeta wpisałem: „Siedzę na tyle hiszpańskiego radiowozu w drodze na komisariat z powodu rosyjskiego nakazu. Nie chcą powiedzieć, na który komisariat”.

Jeżeli dotychczas ktoś wątpił, że zostałem zatrzymany, to teraz już nie powinien.

Smartfon miał wyciszony dźwięk, ale w ciągu kilku sekund się rozświecił. Dzwonili dziennikarze z całego świata. Nie mogłem z nimi rozmawiać. Natomiast gdy zobaczyłem połączenie od swojego hiszpańskiego prawnika, musiałem dać mu znać, co się dzieje. Pochyliłem się za przegrodą i przysłoniłem usta dłonią.

– Zostałem aresztowany – wyszeptałem. – Jestem w radiowozie.

Policjanci mnie usłyszeli. Zjechaliśmy na pobocze. Obydwaj wyskoczyli z radiowozu. Ten wyższy otworzył drzwi i wyciągnął mnie na zewnątrz, obszukał i skonfiskował mi oba smartfony. Był agresywny.

– Żadnych telefonów! – krzyknął niższy. – Areszt!

– Prawnik – odparłem.

– Nie ma prawnika!

Kazali mi wsiąść i zatrzasnęli drzwi. Znów jechaliśmy ulicami madryckiej starówki.

Nie ma prawnika? Co ty wygadujesz, do cholery?! Przecież to kraj Unii Europejskiej. Byłem pewien, że przysługuje mi prawo do obrony.

Obserwowałem mijane budynki, by dostrzec jakiegokolwiek oznakowanie policyjnego komisariatu. I nic. Powtarzałem sobie w duchu: „Nie zostałem porwany. Nie zostałem porwany. Nie zostałem porwany”. Niestety, równie dobrze mogło to być tylko pobożne życzenie.

Weszliśmy w ostry zakręt i niespodziewanie utknęliśmy za ciężarówką stojącą na jezdni. Policjanci czekali, a ja wpadłem w panikę i zacząłem desperacko szukać drogi ucieczki. Nie znalazłem żadnej.

W końcu z pobliskiego budynku wyszedł mężczyzna, zauważył migającego koguta, wsiadł do ciężarówki i usunął ją z drogi. Przeciskaliśmy się przez wąskie uliczki jeszcze ponad kwadrans, zanim dojechaliśmy do pustego placu i radiowóz zwolnił.

Zatrzymaliśmy się przed nijakim biurowcem. Wokół nie widziałem nikogo, a na fasadzie nie było oznaczenia, że to komisariat. Funkcjonariusze wysiedli i – stojąc obok siebie – kazali mi opuścić auto.

– Co tu robimy? – zapytałem, gdy wykonałem polecenie.

– Badanie lekarskie – krzyknął niższy policjant.

Badanie lekarskie? Nigdy nie słyszałem, żeby kogoś badano podczas aresztowania.

Poczułem pot zbierający się na dłoniach i mrowienie karku.

Nie było mowy, żebym dobrowolnie wszedł do nieoznakowanego budynku na jakiegokolwiek badanie. Jeśli faktycznie mnie porwano, a wydawało mi się to coraz bardziej prawdopodobne, mogłem sobie wyobrazić, co czeka na mnie w środku: pokój ze stalowym łóżkiem oświetlony jaskrawobiałym światłem, stolik z zestawem strzykawek i kilku Rosjan w tanich garniturach. Kiedy dam się tam zaprowadzić, oni coś mi wstrzykną i zanim się obejrzę, wyląduję w moskiewskim więzieniu. Moje życie będzie skończone.

– Żadnych badań lekarskich! – powiedziałem z mocą, instynktownie zaciskając dłonie w reakcji na silny stres. Ostatni raz biłem się na pięści w dziewiątej klasie jako najdrobniejszy mieszkaniec internatu przy szkole w Steamboat Springs w stanie Kolorado, teraz jednak byłem gotów stanąć do walki z tymi facetami, gdybym mógł dzięki temu uniknąć porwania.

Nagle w ich zachowaniu coś się zmieniło. Jeden stanął bliżej mnie, drugi zaś sięgnął po telefon i nerwowo wystukał jakiś numer. Przez kilka minut rozmawiał z kimś, po czym zakończył połączenie i coś napisał. Pokazał mi

swój smartfon. Tłumacz Google. Tekst brzmiał: „Badanie lekarskie to standardowa procedura”.

– Gówno prawda! Chcę się skontaktować z prawnikiem. Natychmiast!

Drugi funkcjonariusz powtórzył kategorycznym tonem:

– Nie ma prawnika.

Przywarłem do samochodu i zaparłem się nogami o ziemię. Ten ze smartfonem znów wybrał jakiś numer i rzucił coś po hiszpańsku. Zanim zdążyłem cokolwiek zauważyć, drzwi samochodu się otworzyły i siedziałem w środku.

Włączyli koguta i syrenę. Odjechaliśmy z placu w kierunku przeciwnym do tego, z którego przyjechaliśmy. Niebawem znów utknęliśmy w korku, tym razem przed pałacem królewskim wśród autokarów turystycznych i tłumu młodzieży szkolnej. Zostałem albo porwany, albo aresztowany, lecz ludzie dokoła mnie nie mieli o tym pojęcia i kontynuowali zwiedzanie miasta.

Dziesięć minut później wjechaliśmy w wąską uliczkę pełną radiowozów zaparkowanych po obu stronach jezdni. Ciemnoniebieski napis POLICIA odstawał od fasady zniszczonego budynku z kamienia i czerwonej cegły.

Więc jednak to byli prawdziwi policjanci. Znalazłem się w rękach europejskiego wymiaru sprawiedliwości, nie rosyjskich porywaczy. Mogłem zatem liczyć przynajmniej na rzetelną procedurę, zanim zapadnie jakakolwiek decyzja o wydaniu mnie Moskwie.

Funkcjonariusze wypuścili mnie z samochodu i poprowadzili do budynku. Atmosfera wewnątrz była aż gęsta od emocji. Z ich perspektywy sprawa wyglądała na skuteczne namierzenie i ujęcie zbiega poszukiwanego przez Interpol międzynarodowym listem gończym, co na tym małym komisariacie w centrum Madrytu zapewne nie zdarzało się każdego dnia.

Wprowadzili mnie do dyżurki. Mój bagaż zostawili w rogu, smartfony położyli na biurku ekranem do dołu. Jeden z funkcjonariuszy, którzy dokonali zatrzymania, powiedział przed wyjściem, że nie wolno mi niczego dotykać. Było to trudne, bo smartfony wibrowały i rozświetlały się od nadchodzących wiadomości, tweetów i nieodebranych połączeń. Z ulgą odnotowałem, że moja sytuacja zyskuje tak wiele uwagi.

Siedząc samotnie, powoli zdawałem sobie sprawę z powagi sytuacji. Co prawda nie zostałem porwany, wpadłem jednak w tryby hiszpańskiego wymiaru sprawiedliwości, który zrealizował rosyjski nakaz aresztowania. Do takiej sytuacji przygotowywałem się przez lata. Włoczono mi kiedyś do

głowy, jak przebiegnie ten proces. Państwo, które dokonało aresztowania, dzwoni do Moskwy i mówi: „Pojmaliśmy waszego zbiega. Co mamy z nim teraz zrobić?”. Rosjanie odpowiadają: „Przeprowadźcie ekstradycję”. Rosja będzie miała czterdzieści pięć dni na wystąpienie z formalnym wnioskiem, następnie ja dostanę trzydzieści dni na odpowiedź, a Rosjanie następną trzydzieści, żeby się do niej odnieść.

Przy nieuniknionych opóźnieniach czekało mnie co najmniej sześć miesięcy spędzonych w zaduchu hiszpańskiego więzienia, zanim zostanę albo uwolniony, albo wysłany do Rosji.

Pomyślałem o Jessice, swojej dwunastoletniej córce. Ledwie tydzień wcześniej zabrałem ją do Cotswolds na długo odkładaną wycieczkę po górach tylko we dwoje. Pomyślałem o Weronice, swojej dziesięcioletniej córce, której obiecałem podobną wyprawę i która chyba musi poczekać na nią jeszcze dłużej. Pomyślałem o Davidzie, który zaczął studia pierwszego stopnia na Stanfordzie i zarabiał na swoje utrzymanie. Dotychczas dobrze sobie radził z moimi rosyjskimi problemami, ale byłem pewien, że widział mój wpis na Twitterze i teraz się martwi.

Pomyślałem o swojej żonie. Co ona teraz czuje?

Dwadzieścia długich minut później do dyżurki weszła młoda kobieta i usiadła obok mnie.

– Jestem tłumaczką – oznajmiła angielszczyzną bez hiszpańskiego akcentu.

– Kiedy będę mógł porozmawiać ze swoim adwokatem?

– Przykro mi, jestem tłumaczką. Chciałam tylko się przedstawić. – Wstała i wyszła. Nie powiedziała nawet, jak ma na imię.

Musiałoby upłynąć dziesięć kolejnych minut, zanim wróciła z policjantem wyglądającym na starszego rangą. Położył przede mną napisaną po angielsku listę zarzutów, które mi stawiano. Prawo unijne wymaga, żeby każda aresztowana osoba mogła się zapoznać z zarzutami w swoim ojczystym języku.

Pochyliłem się nad kartką. Był to standardowy formularz zawierający puste miejsce na wyliczenie przestępstw, których rzekomo się dopuściłem. Rubrykę wypełniono tylko jednym słowem: oszustwo. Nic więcej.

Odchyliłem się na oparcie. Drewniane krzesło zaskrzypiało. Popatrzyłem na policjanta i tłumaczkę. Najwyraźniej oczekiwali jakiejś reakcji. Cóż, przez wszystkie te lata Rosjanie oskarżali mnie o znacznie poważniejsze

przestępstwa, więc zwyczajne oszustwo prawie mnie nie obeszło. Byłem wręcz zaskoczony, że licytują tak nisko.

Raz jeszcze zapytałem, czy mogę porozmawiać z adwokatem.

– Wszystko w swoim czasie – odpowiedziała tłumaczka.

Po jej słowach w korytarzu zapanowało jakieś zamieszanie. Chwilę później do sąsiedniego pomieszczenia pełnego umundurowanych policjantów wpadł jak burza funkcjonariusz, którego wcześniej nie widziałem. Zatrzasnął za sobą drzwi. Tłumaczka i policjant popatrzyli na siebie, po czym zniknęli. Znowu zostałem sam.

Pięć minut później drzwi prowadzące do pokoju z policjantami się otworzyły. Funkcjonariusze wyszli. Zawołałem tłumaczkę.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Zignorowała moją ciekawość i odeszła.

Niedługo potem wrócił policjant wyższy rangą, który przedstawił mi zarzuty, a wraz z nim wróciła tłumaczka. Obydwoje mieli spuszczone głowy. Powiedział do niej coś po hiszpańsku, ona zaś odwróciła się do mnie i oznajmiła:

– Panie Browder, Sekretariat Generalny Interpolu w Lyonie właśnie przesłał nam polecenie, żeby pana zwolnić. Nakaz aresztowania jest nieważny.

Mój nastrój natychmiast się zmienił. Po raz kolejny zawibrował smartfon. Wstałem z krzesła.

– Czy mogę zadzwonić?

– Sí.

Nie potrzebowałem tłumaczenia.

Wziąłem kartkę z zarzutami i sięgnąłem po smartfon. Miałem sto siedemdziesiąt osiem nieodebranych połączeń. Wśród SMS-ów była wiadomość od Borisa Johnsona, ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, który napisał, żebym się z nim skontaktował, jak tylko będę mógł. Wszystkie najważniejsze media – w tym ABC, Sky News, BBC, CNN, „Time” i „Washington Post” – prosiły o informację, co się stało. Odezwali się też Elena, David i przyjaciele z całego świata, między innymi z Rosji. Wysłałem wiadomość do Eleny, że nic mi nie jest i niedługo do niej zadzwonię. Później napisałem podobne SMS-y do Davida oraz współpracowników z biura w Londynie.

Przeszedłem do ogólnodostępnej części komisariatu. Nastrój funkcjonariuszy wyraźnie się pogorszył. Byli pewni, że schwytali

współczesnego Carlosa znanego jako Szakał, tymczasem się okazało, że odejdę wolny.

W końcu mogłem się skontaktować ze swoim hiszpańskim prawnikiem. Podczas gdy ja siedziałem na komisariacie, on obdzwaniał wszystkich znajomych w hiszpańskim wymiarze sprawiedliwości. Bezskutecznie.

Ocalił mnie Twitter. Moje tweety spowodowały setki telefonów do Interpolu oraz do władz Hiszpanii, które szybko zdały sobie sprawę, do czego przyłożyły rękę.

Opuściłem komisariat. Podeszli do mnie ci sami policjanci, którzy mnie zabrali z hotelu, oraz tłumaczka.

– Chcieliby, żeby pan usunął tweet z ich zdjęciem. Czy pan się zgodzi? – zapytała.

– Czy złamię prawo, jeśli odmówię?

Przetłumaczyła moje pytanie. Policjanci tylko wzruszyli ramionami.

– W takim razie niczego nie będę usuwał. (Tweet wisi na moim profilu do dzisiaj).

Później zaproponowali, że odwiozą mnie do hotelu.

Roześmiałem się.

– Nie, dziękuję. Przez całe to nieporozumienie jestem czterdzieści pięć minut spóźniony na spotkanie. Czeka na mnie Jose Grinda.

Na dźwięk tego nazwiska pobledli. Jeden przez drugiego oferowali mi transport do biura prokuratora.

Przyjąłem ofertę, a samochód tym razem okazał się przyjemniejszy.

Niespełna pół godziny później radiowóz zaparkował przed biurem prokuratora. W holu czekał na mnie sam Jose Grinda. Z całego serca przeproszał, zawstydzony, że jego koledzy aresztowali mnie na zlecenie tych samych rosyjskich przestępców, przeciwko którym miałem zeznawać na jego prośbę.

Zaprowadził mnie do swojego gabinetu. Opowiedziałem mu historię Siergieja Magnitskiego, mojego rosyjskiego prawnika, którą opowiadałem już tylu ludziom przed nim. Wyjaśniłem, jak w 2008 roku Siergiej stał się zakładnikiem skorumpowanych rosyjskich oficjeli, a później został zabity w więzieniu za to, że był moim pełnomocnikiem. Mówiłem o ludziach, którzy zamordowali Siergieja i zarobili dwieście trzydzieści milionów dolarów na ujawnionym przez niego oszustwie podatkowym. Wyjaśniłem też, w jaki sposób część tych pieniędzy wykorzystano do zakupu wartej trzydzieści trzy miliony dolarów nieruchomości na hiszpańskiej riwierze.

Błysk w oku pozwolił mi sądzić, że prokurator Grinda zamierzał poważnie potraktować moje słowa. Gdy spotkanie się skończyło, byłem pewien, że zyskaliśmy kolejnego sojusznika na Zachodzie – wątpliwa wiarygodność putinowskiej Rosji została zaś nadszarpnięta jeszcze trochę bardziej.

ROZDZIAŁ 2

Flet poprzeczny

1975

Co wpędziło mnie w takie tarapaty?

Wszystko zaczęło się od fletu. Dokładnie rzecz ujmując, od fletu poprzecznego z czystego srebra. Dostałem go na jedenaste urodziny w prezencie od swojego ulubionego wujka, także o imieniu Bill, flecisty amatora i profesora matematyki w Princeton.

Uwielbiałem swój flet. Podobał mi się jego wygląd, lubiłem czuć go w dłoniach. Kochałem dźwięki, które wydawał. Ale wirtuozem nie byłem. Ćwiczyłem, ile mogłem, i udało mi się nawet usiąść na piątym, ostatnim, krześle dla flecistów w szkolnej orkiestrze, odbywającej próby trzy razy w tygodniu.

Prowadzona pod patronatem Uniwersytetu Chicagowskiego szkoła mieściła się w dzielnicy Hyde Park, leżącej w części Chicago zwanej South Side. Moja rodzina mieszkała w domu z czerwonej cegły cztery przecznice od uniwersytetu, na którym mój ojciec był profesorem matematyki – jak jego brat, wujek Bill. Tamte okolice nie należały wówczas do bezpiecznych. W dzieciństwie ciągle słyszałem, że nie wolno przekraczać 63. ulicy na południu, Cottage Grove na zachodzie ani 47. ulicy na północy. Od wschodu było jezioro Michigan. W trosce o bezpieczeństwo swoich profesorów i ich rodzin uniwersytet utrzymywał imponujących rozmiarów policję uczelnianą i zainstalował telefony alarmowe niemal na każdym rogu. Łącznie z funkcjonariuszami Chicago Police Department (CPD) na głowę mieszkańca dzielnicy Hyde Park przypadało więcej stróżów prawa niż gdziekolwiek indziej w całych Stanach Zjednoczonych.

Ze względu na te środki bezpieczeństwa rodzice pozwalali mi chodzić do szkoły bez opieki.

Któregoś ranka wiosną 1975 roku w drodze do szkoły natknąłem się na trzech nastolatków, każdy był znacznie większy ode mnie. Jeden z nich wskazał na futerał z fletem w mojej lewej ręce i zapytał:

– Ej, dzieciaku, co masz w tej walizce?

Chwyciłem futerał obiema rękami.

– Nic.

– Jestem pewien, że nie nic – odparł, śmiejąc się. – Pokaż mi, co tam trzymasz.

Zanim zdążyłem zareagować, drugi chłopak przytrzymał mnie za ramiona, a trzeci sięgnął po futerał. Próbowałem się wyrwać – bez skutku. Ich było trzech, a ja miałem zaledwie jedenaście lat. W końcu najwyższy z nich chwycił futerał, szarpnął mocno i wyrwał mi go z ręki. Zaraz potem wszyscy się odwrócili i uciekli.

Biegłem za nimi przez kilka przecznic, ale przekroczyli linię 63. ulicy, więc się zatrzymałem. Popędziłem do najbliższego telefonu i zgłosiłem, co się stało. W ciągu kilku minut nadjechały dwa patrole policji uniwersyteckiej i zaraz po nich radiowóz CPD.

Dwaj funkcjonariusze CPD odwieźli mnie do domu, doprowadzili do drzwi wejściowych i zadzwonili. Otworzyła moja matka.

– Co się stało? – zapytała z progu, nerwowo lustrując wzrokiem twarze nas trzech.

Zacząłem łkać.

– Jacyś chłopcy ukradli pani synowi instrument muzyczny – odpowiedział jeden z policjantów.

Matka podziękowała za odwiezienie mnie do domu, po czym wciągnęła mnie do środka. Gdy zamykała drzwi, policjant zapytał, czy zgodzę się złożyć zeznania i opisać napastników. Nie odpowiedziała od razu. Wiedziałem, że wolałaby, żebym tego nie robił. Otarłszy łzy, oznajmiłem:

– Chcę złożyć zeznania, Ewo. (Mój brat i ja mieliśmy nietypowy zwyczaj zwracania się do naszych rodziców po imieniu).

Wymieniliśmy kilka zdań, zanim matka ustąpiła i niechętnie zaprowadziła policjantów do stołu w kuchni.

Odpowiedziałem na wszystkie pytania, a jeden z nich notował wszystko, co mówiłem. Po ich wyjściu matka stwierdziła, że zapewne ostatni raz rozmawialiśmy z chicagowską policją na temat mojego fletu.

Ku jej zaskoczeniu miesiąc później policja się odezwała. Aresztowali trzech chłopców próbujących sprzedać w lombardzie skradzione instrumenty muzyczne. Pasowali do opisu, który podałem. Mojego fletu dawno się pozbyli, ale policjanci zapytali, czy zgodzę się przyjechać na komisariat, jeśli zorganizują okazanie.

Chociaż matka nie chciała żadnych kłopotów, nie ustępowałem. Niedługo potem siedzieliśmy w naszym starym buicku century w drodze na policję.

Młody funkcjonariusz przeprowadził nas przez kilka brudnych korytarzy do małego, zaciemnionego pokoju ze szklanym oknem wychodzącym na sąsiednie pomieszczenie. Wyjaśnił też, że chociaż my widzimy młodych mężczyzn stojących po drugiej stronie szyby, oni nas nie widzą.

– Czy wśród nich są ci, którzy ukradli twój flet? – zapytał.

Obok kilku innych stali wszyscy trzej. Jeden miał nawet tę samą czerwoną bluzę z krótkim rękawem co wtedy.

– To oni. – Wskazałem ich po kolei.

– Jesteś pewien?

– Tak, jestem całkiem pewien. – Nigdy nie zapomnę ich twarzy.

– Dobrze – odparł policjant, po czym zwrócił się do mojej matki: – Chcielibyśmy, żeby pani syn złożył zeznania w sądzie.

– Wykluczone!

Pociągnąłem ją za rękaw.

– Ja chcę zeznawać. – Ci chłopcy zrobili coś złego i uważałem, że powinni za to zapłacić.

Dwa miesiące później pojechaliśmy do Sądu dla Nieletnich Hrabstwa Cook, nowiutkiego budynku niedaleko Roosevelt Road, naprzeciwko chicagowskiej filii FBI. Rozprawa odbyła się w dużej, nowoczesnej sali w obecności ledwie garstki osób: trzech chłopców, ich matek, sędziego, obrońcy z urzędu, zastępcy prokuratora okręgowego oraz mnie i mojej matki.

Wszyscy trzej chłopcy zachowywali się tak, jakby nie mieli najmniejszych powodów do zmartwienia. Wygłupiali się nawet po tym, jak sędzia zaczął rozprawę. Ciągle chichotali do chwili, kiedy prokurator poprosił, żebym ich zidentyfikował. Uciszyli się i wpatrywali we mnie gniewnym wzrokiem.

Nie mieli niczego na swoją obronę. Gdy opisałem, co się stało, sędzia uznał ich za winnych rabunku. Zamiast jednak posłać wszystkich trzech do

domu poprawczego, zawiesił wykonanie kary, czyli za kratki nie powędrowali.

Nigdy nie odzyskałem srebrnego fletu, a cały ten incydent zniechęcił mnie do muzyki.

Zachęcił mnie za to do czegoś zupełnie innego: zainteresowałem się egzekwowaniem prawa.

Obsesyjnie wręcz śledziłem wszystko, co w jakikolwiek sposób wiązało się z policją.

Co dzień w drodze do szkoły na 57. ulicy mijałem tanią grecką restaurację o nazwie Agora. Zauważyłem, że zawsze parkują przed nią radiowozy. Często się zastanawiałem, co policjanci tam robią.

Pewnego dnia zebrałem się na odwagę, żeby wejść do środka i zobaczyć to na własne oczy. Zapytałem kasjerkę, czy mogę skorzystać z łazienki. Zgodziła się. Idąc tam, zauważyłem dwie grupki policjantów pijących kawę i przeglądających kartki ze zdjęciami przerażających twarzy kobiet i mężczyzn.

Wracałem z toalety, wycierając ręce o nogawki spodni, i zerknąłem ukradkiem na papiery policjantów. Kim byli ludzie na tych zdjęciach?

Dotarłem do domu, przeczesałem swój pokój w poszukiwaniu drobniaków i następnego dnia po szkole znów zaszedłem do Agory. Tym razem usiadłem przy stoliku obok policjantów, zamówiłem piwo korzenne i ukradkiem zerkałem na tajemnicze kartki.

Nie byłem chyba zbyt dyskretny. Krępy funkcjonariusz w średnim wieku zauważył, co robię, i powiedział poważnym głosem:

– Hej, nie możesz na to patrzeć. To tajne dokumenty.

Wpatrywałem się w swoje piwo korzenne i wypilem długi łyk.

Policjanci wybuchnęli śmiechem, po czym odezwał się jeden z nich:

– Podejdź tu, chłopaku.

Byłem pewien, że narobiłem sobie kłopotów, ale tamten zaraz dodał:

– Nie słuchaj mojego kolegi. On żartuje. Chcesz popatrzeć?

Nieśmiało skinąłem głową. Pokazał mi coś, co nazwał „kartoteką dzienną”. Na jednej stronie znajdowały się numery rejestracyjne niedawno ukradzionych samochodów, na drugiej zdjęcia policyjne i opisy zbiegów poszukiwanych przez chicagowską policję wraz z listą przestępstw, których mieli się dopuścić. Tamtego dnia kartoteka dzienna obejmowała dwóch mężczyzn poszukiwanych za morderstwo, jednego poszukiwanego za gwałt i jednego – za rozbój kwalifikowany.

Nie wiedziałem, co to dokładnie znaczy, ale brzmiało niebezpiecznie. I ekscytująco. Każde zdjęcie było oknem na straszną historię, o której chciałem się dowiedzieć czegoś więcej.

Przyjaźnie nastawiony policjant zauważył moje zainteresowanie.

– Chcesz jedną? – zapytał.

Odpowiedziałem skinieniem głowy.

– Jest twoja. Przyjdź jutro, jeśli chcesz dostać kolejną.

Tak zrobiłem. Do swojej kolekcji dodałem drugą kartkę, potem jeszcze jedną i kolejne. W czerwcu tamtego roku miałem już ponad sto kartotek dziennych. Okazywałem tyle entuzjazmu, że jeden z policjantów zaproponował, żebym dołączył do Młodzieżowego Patrołu Policji Chicago.

Nie zapytałem nawet, co to za organizacja, i wykrzyknąłem:

– Tak!

Przez następny rok szkolny razem z dziećmi z całego Chicago w każdy czwartek po południu uczestniczyłem w zajęciach o przestępczości, porządku publicznym i pracy w policji.

Jednak moje zainteresowanie policją – jak wiele innych dziecięcych pasji – się wypaliło i ostatecznie z niego wyrosłem.

Nie miałem wtedy pojęcia, że wiele lat później egzekwowanie prawa stanie się jednym z najważniejszych aspektów mojego życia.

ROZDZIAŁ 3

John Moscow

1989–2008

Minęło czternaście lat. Ukończyłem Stanford Business School. Był rok 1989, w którym runął mur berliński. Trzy lata po studiach pojechałem do Londynu, gdzie podjąłem pracę w wydziale wschodnioeuropejskim amerykańskiego banku inwestycyjnego Solomon Brothers. Możliwości w tej części świata były tak wielkie, że w 1996 roku przenieśliśmy się do Moskwy i tam założyłem fundusz hedgingowy Hermitage Fund. Nazwa nawiązywała do petersburskiego muzeum Ermitaż, gdzie Rosja przechowuje najcenniejsze skarby sztuki.

Prowadzenie funduszu to nie była bułka z masłem. Firmy, w które inwestowaliśmy, bezczelnie okradali rosyjscy oligarchowie i skorumpowani przedstawiciele państwa.

Moi rodacy na rynkach finansowych przyjmowali to bez emocji jako koszt prowadzenia interesów w Rosji – nikt nie protestował. Natomiast ja nie potrafiłem się pogodzić z faktem, że mała grupa ludzi może ukraść dosłownie wszystko i dosłownie każdemu, w dodatku całkowicie bezkarnie. Podobnie czułem się wtedy, gdy zabrano mi flet, tylko teraz kradzież była na znacznie większą skalę.

Postanowiłem walczyć. Zamiast się skupić na analizie dochodów oraz zestawieniach aktywów i pasywów poszczególnych firm, co normalnie robi szef funduszu, razem ze swoim zespołem sprawdzałem, ile pieniędzy ukradziono, jak złodzieje dokonywali kradzieży i kto zagarniał przejęte pieniądze. Później wykorzystywaliśmy te informacje w procesach sądowych, podczas zabiegów o pozyskanie pełnomocnictwa akcjonariuszy

oraz do uświadamiania przedstawicielom rządu ogromnej skali szkód wyrządzanych państwu.

Dzięki tym działaniom odnosiliśmy pewne sukcesy, ale najskuteczniejszą bronią w nagłaśnianiu sprawy prania brudnych pieniędzy okazały się międzynarodowe media.

Nie musiałem powstrzymywać złodziejskiego procederu całkowicie, chciałem tylko wywrzeć nacisk, który spowoduje drobne, stopniowe zmiany. Ceny akcji spółek, w które inwestowaliśmy, były określone tak nisko, że każda poprawa znacząco zwiększała ich wartość.

Taktyka publicznego zawstydzania okazała się naprawdę zyskowna i Hermitage Fund stał się jednym z najlepiej działających funduszy na świecie. U szczytu kariery odpowiadałem za 4,5 miliarda dolarów zainwestowanych w rosyjskie spółki.

Oczywiście demaskowanie skorumpowanych oligarchów nie przysporzyło mi popularności w Rosji. Z czasem moje działania przyniosły serię fatalnych konsekwencji.

W listopadzie 2005 roku Putin uznał mnie za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i zostałem wydalony z Rosji. Żeby chronić aktywa klientów, nakazałem swoim ludziom upłynnić rosyjskie akcje w portfelu Hermitage Fund. Przeprowadziłem też ewakuację do Londynu swoich pracowników wraz z rodzinami, w tym Iwana Czerkasowa, dyrektora operacyjnego funduszu, i Wadima Kleinera, szefa działu badania rynku. Decyzja o ich wyjeździe z Rosji okazała się prorocza.

Osiemnaście miesięcy później nasza moskiewska siedziba została przeszukana przez dziesiątki funkcjonariuszy kierowanych przez podpułkownika Artema Kuzniecowa. Równocześnie funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zrobili nalot na moskiewską kancelarię moich prawników. Wśród zatrzymanych wtedy przedmiotów znalazły się stemple i pieczęcie firmowe oraz certyfikaty potwierdzające nasze prawo własności do spółek, w które zainwestowaliśmy. (Pieczęcie odbijane na dokumentach były niezbędne, ponieważ bez nich nie dało się przeprowadzić żadnej czynności urzędowej). I dokumenty, i pieczęcie trafiły następnie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w ręce majora Pawła Karpowa. Tam wykorzystano je do dokonania oszustwa, które polegało na przepisaniu własności naszych inwestycyjnych spółek holdingowych na grupę agresywnych, wcześniej karanych sędownie przestępców.

Ponieważ zdążyliśmy upłynnić aktywa tych spółek, kradzież nie była poważnym ciosem finansowym. Niewykluczone, że zostawiłbym tę sprawę, ale rosyjskie władze wszczęły dochodzenie prokuratorskie przeciwko mojemu koledze Iwanowi Czerkasowowi, żeby zyskać pretekst do tych nalotów. Gdyby Iwan nadal przebywał w Rosji, miałyby to dla niego katastrofalne skutki. Z całą pewnością zostałby zatrzymany i uwięziony. W Londynie był bezpieczny, mimo to musieliśmy go bronić, żeby ta sprawa nie zemściła się na nim w przyszłości.

Wynajęliśmy więc zespół rosyjskich prawników. Dzielać się obowiązkami, szybko znaleźli dowody, że oskarżenie przeciwko Iwanowi sfabrykowano.

Poszukiwania doprowadziły ich do szokującego odkrycia: ludzie, którzy ukradli nasze inwestycyjne spółki holdingowe, sfabrykowali dokumenty dowodzące, że spółki były winne miliard dolarów trzem firmom wydmuszkom. Niedługo potem rzekomi wierzyciele pozwali nasze spółki w trzech różnych rosyjskich sądach o ten fikcyjny miliard dolarów. Prawnicy z tej samej kancelarii reprezentowali zarówno powodów, jak i pozwanych, a ci przyznali się do winy. Na koniec skorumpowani sędziowie bez zadawania zbędnych pytań po zaledwie pięciominutowych przesłuchaniach zatwierdzili oszukańcze roszczenia.

Nie potrafiliśmy przewidzieć rozwoju sytuacji, ale mieliśmy nadzieję, że skoro sprawą zajmowali się skorumpowani policjanci, wystarczy powiadomić rosyjski wymiar sprawiedliwości, a funkcjonariusze oraz ich przestępczy partnerzy zostaną aresztowani i skazani, co zakończy sprawę Iwana.

Na początku grudnia 2007 roku złożyliśmy trzy osobne zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa i wskazaliśmy rosyjskiemu wymiarowi sprawiedliwości nazwiska funkcjonariuszy zamieszanych w oszustwo, wśród nich Kuzniecowa i Karpowa. Ministerstwo, zamiast wsząć prawdziwe dochodzenie, powierzyło prowadzenie sprawy Karpowowi, czyli zdecydowano, że będzie on sprawdzał siebie samego. Pierwszym posunięciem Karpowa w ramach tego niby-śledztwa było wszczęcie postępowania przeciwko mnie. Później wpisał mnie na listę poszukiwanych przez rosyjską policję.

Im głębiej nasi prawnicy kopali, tym gorsze rzeczy wychodziły na jaw. W styczniu 2008 roku jeden z nich, Siergiej Magnitski, odkrył, że przestępcy wykorzystali ukradzione nam spółki do wyłudzenia prawie

dwustu trzydziestu milionów dolarów ze zwrotów podatkowych. Dokładnie tyle nasze spółki zapłaciły w 2006 roku jako podatek po upłynięciu akcji w Rosji. Wniosek o wypłatę zatwierdzono w jeden dzień, Wigilię w 2007 roku, i zrealizowano dwa dni później. Duża część tej kwoty została przelana do mało znanego rosyjskiego banku o nazwie Uniwersalny Bank Sbierieżenij (UBS).

UBS należał do podejrzanego osobnika o nazwisku Dmitrij Klujew. Plasował się na dziewięćset dwudziestej pozycji listy największych banków w Rosji, miał tylko jeden oddział i kapitał założycielski o wartości półtora miliona dolarów. Bardziej przypominał specjalizującą się w praniu pieniędzy firmę wydmuszkę niż legalną instytucję finansową.

Nasi prawnicy złożyli nowe zawiadomienia. Mieli nadzieję, że tym razem reakcja będzie inna. Nawet jeśli rząd rosyjski nie przejmie się okradaniem obcokrajowca, to powinien zareagować na kradzież pieniędzy skarbu państwa. Zamiast tego znów nastąpiły działania odwetowe.

Przestępcy wysłali do Londynu dwóch swoich współpracowników, którzy z punktu nadawczego DHL w Lambeth, dzielnicy położonej naprzeciwko Westminsteru po drugiej stronie Tamizy, wysłali na adres jednego z naszych rosyjskich prawników w Moskwie dokumenty wykorzystane do popełnienia oszustwa. Jako adres zwrotny podali „Hermitage Capital Management, 2 Golden Square, London, England”. Chodziło o stworzenie wrażenia, jakoby korespondencję w sprawie oszustwa przesłano z naszego biura w Londynie do naszych prawników w Moskwie.

Niemal natychmiast po dostarczeniu przesyłki Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zarządziło nalot na kancelarię naszego prawnika w Moskwie, żeby przechwycić sfałszowane dokumenty.

Następnie nasi prawnicy zostali wezwani na przesłuchanie do tegoż ministerstwa. Sytuacja stawała się jasna. Przeciwnicy zamierzali zrobić nas w kradzież dwustu trzydziestu milionów dolarów, a nasi prawnicy znaleźli się na pierwszej linii. Dwóch natychmiast uciekło do Londynu pod osłoną nocy, lecz jeden został – Siergiej Magnitski. Błagaliśmy go, żeby też opuścił Rosję, jednak on nie chciał wyjeżdżać. Wierzył, że jego ojczyzna zmienia się na lepsze i ostatecznie prawo go ochroni.

Skoro chciał zostać i walczył, to potrzebował wsparcia.

Na świecie nie brakuje obrońców, ale my potrzebowaliśmy obrońcy, który potrafi atakować. Zacząłem poszukiwania kogoś odpowiedniego

i cztery osoby niezależnie od siebie podały mi to samo nazwisko: John Moscow. Za każdym razem się śmiałem.

John Moscow przez trzydzieści trzy lata pracował w biurze prokuratora okręgowego w Nowym Jorku i był tam jednym z najbardziej agresywnych oskarżycieli zajmujących się walką z korupcją oraz międzynarodową przestępczością finansową. Zyskał sławę jako główny oskarżyciel w sprawie Bank of Credit and Commerce International, który znalazł się w centrum jednego z największych w historii skandali związanych z praniem brudnych pieniędzy. Stał też na czele zespołu prokuratorów oskarżających zarząd amerykańskiego konglomeratu przemysłowego Tyco. Doprowadził wówczas do skazania dyrektora zarządzającego i dyrektora finansowego Tyco za kradzież setek milionów dolarów na szkodę firmy, którą kierowali. Na początku tego wieku John Moscow rozpoczął praktykę prywatną, by ostatecznie dołączyć do nowojorskiego biura BakerHostetler, prestiżowej amerykańskiej kancelarii prawnej o zasięgu międzynarodowym.

We wrześniu 2008 roku skontaktowałem się z kancelarią BakerHostetler, żeby się umówić na rozmowę z Johnem Moscowem. Zbieg okoliczności sprawił, że właśnie wybierał się on do Wielkiej Brytanii na organizowane w Cambridge sympozjum na temat przestępczości gospodarczej, i sekretarka oznajmiła, że zorganizuje jego wizytę u nas w trakcie tego pobytu.

Mężczyzna, który przybył do naszej siedziby kilka dni później, nie wyglądał na bezwzględного pogromcę przestępców. Był wzrostu mniej niż średniego, miał siwe włosy i leniwe spojrzenie, a jego zachowanie opisałbym jako niezgrabne.

Próbowałem na początek prowadzić z nim rozmowę towarzyską, ale albo nie chciał, albo nie potrafił brać w niej udziału. Dopiero gdy wręczyłem mu przygotowaną w PowerPointcie prezentację chronologicznie opisującą poszczególne etapy oszustwa w Rosji, wyraźnie się ożywił i zaczął zadawać pytania.

– Ten podpułkownik Kuzniecowa... – zaczął, dotykając palcem zdjęcia funkcjonariusza, który kierował przeszukaniem naszych siedzib. – Musimy udowodnić wszystko, co się stało podczas nalotu, zwłaszcza to, co wam wtedy zabrał i gdzie skonfiskowane rzeczy wypłynęły później.

– To nie jest problem – odparłem. – Zostawili nam spis wszystkiego, co zajęli.

Mój gość się uśmiechnął.

– Czy to oficjalny dokument?

– Tak. – Rosyjscy biurokraci słyną z pedanterii. Dokumentują wszystko.

– To bardzo pomocne. – Przejrzał kilka kolejnych stron prezentacji. – No dobrze, a te pieczęcie i certyfikaty...

– Zostały użyte do przeniesienia własności naszych spółek.

– Jeśli ta sprawa kiedykolwiek trafi do sądu w Stanach Zjednoczonych, będzie potrzebny ktoś, kto zna rosyjskie prawo i opisz, jak się korzysta z pieczęci firmowych. Ma pan kogoś takiego?

Spodobał mi się sposób myślenia tego faceta. Rozprawa przed sądem amerykańskim nie przyszła mi nawet do głowy, gdy postanowiłem się z nim skontaktować.

– Jestem pewien, że Siergiej Magnitski mógłby zeznawać – odpowiedziałem. – Jest jednym z najlepszych rosyjskich prawników.

– Dobrze. Kluczem do sukcesu oskarżenia jest jakość przedstawionych dowodów i wiarygodność świadków.

– Czy nie martwi pana, że wystąpimy przeciwko naprawdę groźnym ludziom?

– Przez długi czas wsadzałem za kratki groźnych ludzi. Na tym polega moja praca.

Zrozumiałem, skąd się wzięła jego reputacja.

Zdecydowanie chciałem mieć go po naszej stronie.

ROZDZIAŁ 4

Ślady stóp na śniegu

Lato 2008–jesień 2009

Drugiego października Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rosji wszczęło śledztwo przeciwko dwóm naszym prawnikom, którzy uciekli do Londynu. Obydwu zarzucono posługiwanie się sfałszowanymi pełnomocnictwami do złożenia zawiadomień o kradzieży spółek należących do Hermitage Fund. Usłyszeli, że niezgodnie z prawem reprezentują nasze spółki, ponieważ te spółki już do nas nie należą. Zupełnie jakby ministerstwo twierdziło, że kradzież samochodu może zgłosić tylko ten, kto go ukradł.

Cynizm władzy tak bardzo uraził Siergieja, że pięć dni później, lekceważąc oczywiste ryzyko, udał się do Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej (odpowiednik amerykańskiego FBI), żeby przedstawić stan faktyczny. Chcąc oczyścić z zarzutów swoich kolegów, poinformował śledczych, że grupa przestępcza, która ukradła nasze spółki, wyłudziła też dwieście trzydzieści milionów dolarów zwrotu podatkowego¹.

Już po złożeniu tego zeznania Siergiej dokonał kolejnego oszałamiającego odkrycia. Znalazł dokumenty, z których wynikało, że przed wyłudzeniem dwustu trzydziestu milionów dolarów ta sama grupa przestępcza oszukała skarbu państwa na sto siedem milionów dolarów, bo wystąpiła o nienależny zwrot podatku zapłaconego przez inną firmę. Gdybyśmy potrafili udowodnić, że rok wcześniej podobne przestępstwo zostało popełnione przez tę samą grupę z wykorzystaniem firmy, która nie miała z nami nic wspólnego, znacznie utrudnilibyśmy naszym przeciwnikom przypisanie nam kradzieży tych dwustu trzydziestu milionów. Musieliśmy więc jak najszybciej upublicznić tę informację.

Zatelefonowałem do szefa moskiewskiego biura „Business Week”, Anglika Jasona Busha. Znałem go z czasów Hermitage, gdy zajmował się ujawnianiem korupcji w takich firmach jak Gazprom.

Jason się zaciekał i przez kilka tygodni badał sprawę. Im głębiej kopał, tym bardziej szokujące informacje odkrywał. Przestępcy przesłali miliardy rubli do firm wydmuszek, które według dokumentów miały siedziby w rozwalających się ruderach. Często też były likwidowane natychmiast po otrzymaniu zwrotu podatku.

Przed publikacją Jason chciał porozmawiać z osobą, która odkryła to oszustwo, umówiłem go więc na spotkanie z Siergiejem.

W połowie października Jason zebrał dokumenty i wybrał się do kancelarii Siergieja. Przy herbacie wypakował swoje papiery i obok nich położył na stole dyktafon.

– Przepraszam, wolałbym, żebyś tego nie używał – powiedział Siergiej. – To informacje, które nie mogą zostać nagrane.

Jason wsunął dyktafon z powrotem do kieszeni marynarki.

– Rozumiem.

– Trochę się boję, szczerze mówiąc – dodał Siergiej przepraszająco.

– Oczywiście, to zrozumiałe. – Jason przeszedł do tematu spotkania. – Czy możemy zacząć od przejrzenia tych wyciągów?

– Tak.

Kolejne pół godziny spędzili, wertując zebrane dowody. Gdy dotarli do dokumentów dotyczących zwrotu stu siedmiu milionów dolarów podatku, Jason zapytał:

– Może istnieje jakieś niewinne wytłumaczenie?

– Też się nad tym zastanawiałem – odparł Siergiej. – Niestety, to najbardziej ponure jest jedynym możliwym.

– Czyli mamy kolejne oszustwo podatkowe takie jak w przypadku Hermitage?

– Tak.

I faktycznie, żadnego innego wytłumaczenia nie było. Zebrane dokumenty wskazywały jednoznacznie: ta sama grupa, ci sami prawnicy, ten sam urząd skarbowy, te same sądy i ta sama technika, żeby okraść skarb państwa na sto siedem milionów dolarów rok wcześniej. Przestępcy wykorzystali nawet te same dokumenty, zmieniwszy tylko daty i nazwy przedsiębiorstw.

Artykuł Jasona ukazał się miesiąc później. Nasi przeciwnicy stanęli wobec całkiem nowych problemów. Teraz ryzykowali, że zostaną zdemaskowani jako złodzieje nie tylko dwustu trzydziestu, lecz także stu siedmiu milionów dolarów.

Szesnaście dni po publikacji Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przeprowadziło nalot na mieszkanie Siergieja i aresztowało go na oczach Nataszy, jego żony, i Nikity, siedmioletniego syna. Do wykonania tego zadania wyznaczony został podpułkownik Artem Kuzniecowa, a więc oficer, który wcześniej przeprowadził nalot na naszą siedzibę i przeciwko któremu Siergiej zeznawał.

Do tamtego momentu nasze problemy z Rosjanami były wirtualne. Teraz wzięli zakładnika w realnym świecie.

Jedną z pierwszych osób, do których zatelefonowałem, był John Moscow. Wyraził współczucie i wyjaśnił sposób działania przestępców. Rozumiał go lepiej niż większość z nas.

– Wykorzystają go jako kartę przetargową – stwierdził. – Ma żonę? Dzieci?

– Tak, zamierzamy ich wspierać. Dostarczymy pomoc prawną i wszystko, czego będą potrzebowali.

– Pan osobiście się tam nie wybiera, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie.

– To dobrze, ponieważ będziemy o tych ludziach mówić rzeczy, które z pewnością nie przysporzą panu akceptacji społecznej.

– No tak – rzuciłem.

Później Moscow wyłożył swoją strategię.

– Zamierzam się dowiedzieć, kto dostał te pieniądze. Pamięta pan film Jerry Maguire? „Pokaż pieniądze!”

– Problem polega na tym, że pieniądze przesyłano od jednego banku do drugiego – podkreśliłem. – Jak prześledzimy całą tę drogę?

– Ponieważ to przelew dolarowy, zachowały się ślady w Nowym Jorku.

Wyjaśnił, że możemy prześledzić drogę tych pieniędzy dzięki Artykułowi 1782. Chociaż nigdy o nim nie słyszałem, wydał się obiecujący. Pomysł polegał na wykorzystaniu mało znanej funkcji międzynarodowego systemu bankowego. Ilekroć przelewane są kwoty w dolarach, nawet między bankami w Rosji, transakcja na ułamek sekundy trafia do amerykańskiego banku kliringowego, w którym zostawia trwałe ślady. Banki kliringowe mieszczą się na Manhattanie, więc podlegają amerykańskiej jurysdykcji.

Jeśli wezwiemy te banki do przedstawienia dowodów w sądzie, będziemy mogli wykorzystać tak zdobyte informacje, żeby odtworzyć drogę naszych pieniędzy.

– Zrobimy to krok po kroku – zapewnił z przekonaniem.

– Zgoda.

– Jest dobra wiadomość: chodzi nam o kwoty tak duże, że przelewy raczej da się namierzyć. Czasy są takie, że nawet milion można dostarczyć gotówką, co w kategoriach dowodowych oznacza prawdziwy niefart.

– Mówimy tutaj o dwustu trzydziestu milionach, więc...

– Tak – przerwał mi w pół zdania. – Trudniej przejść po zaśnieżonym polu z dwustoma trzydziestoma milionami dolarów i nie zostawić śladów stóp.

To był mądry plan. Gdybyśmy zdołali ustalić, kto otrzymał wyłudzone pieniądze, mielibyśmy argument, żeby naciskać na zwolnienie Siergieja z więzienia.

Ale 11 grudnia Bernie Madoff został zatrzymany w Nowym Jorku i niebawem usłyszał zarzuty w związku z największą na świecie piramidą finansową, ponieważ oszukał klientów swojego funduszu hedgingowego na zawrotną kwotę 64,8 miliarda dolarów. Dlaczego o nim wspominał? Ponieważ tak się składa, że ten skandal jest związany z naszą historią.

Mniej więcej w tym czasie John Moscow stał się praktycznie nieuchwytny. Próbowałem skontaktować się z nim telefonicznie i czasem musiałem czekać tygodniami, zanim oddzwonił. Zdarzało się też, że nie oddzwaniał wcale.

Początkowo byłem skonsternowany. Chyba wszyscy mamy znajomych, którzy z jakiegoś powodu przestali się do nas odzywać, tyle że z Johnem Moscowem nie łączyła mnie znajomość. Był moim prawnikiem, ja byłem jego klientem i płaciłem mu sześćset dolarów za godzinę. Moja konsternacja szybko przerodziła się we frustrację, ponieważ go potrzebowaliśmy, a przede wszystkim potrzebował go Siergiej. Gdy Moscow nadal ignorował próby kontaktu, miejsce frustracji zajął gniew. Chyba nigdy w życiu nie widziałem, żeby prawnik tak dziwacznie postępował. Czułem się jak nastolatek ostentacyjnie zlekceważony przez dziewczynę, w której się zadurzył.

W styczniu wszystko się wyjaśniło. Kancelaria BakerHostetler, w której pracował John Moscow, została syndykiem masy upadłościowej Madoffa. Rozeszła się plotka, że za tę pracę miała otrzymać sto milionów dolarów.

(Do dnia, w którym piszę te słowa, kancelaria BakerHostetler zarobiła półtora miliarda dolarów za działania związane z bankructwem Madoffa). Przy takiej kwocie honorarium w wysokości dwustu tysięcy dolarów, które mieliśmy wypłacić, stawało się śmieszne, bo nie byłoby nawet błędem zaokrąglenia.

Od prawników, w odróżnieniu od ludzi biznesu, oczekuje się profesjonalizmu. Naiwnie zakładałem, że raz zatrudniony prawnik powinien się zajmować swoim klientem bez względu na okoliczności – tak jak lekarz, bo przecież lekarz nie zostawia jednego pacjenta tylko dlatego, że drugi pacjent płaci mu więcej za bardziej skomplikowaną procedurę.

Jeszcze gorzej ocenialiśmy to zachowanie późną wiosną, gdy zaczęły do nas docierać strzępki informacji o torturach stosowanych w więzieniu wobec Siergieja. Trafiał on do czternastoosobowych cel, w których znajdowało się tylko osiem łóżek, a światło paliło się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, co miało pozbawić osadzonych snu. Zimą spędził w nieogrzewanych celach o oknach bez szyb i przez moskiewski mróz omal nie zmarzył na śmierć. Zamiast sedesu miał w podłodze dziurę, z której wybijały ścieki.

Jego porywacze próbowali osiągnąć dwa cele. Po pierwsze, by wycofał zeznania przeciwko Kuzniecowskiemu i Karpowowi. Po drugie, by przyznał się do winy i podpisał niezgodne z prawdą zeznanie, że ukradł dwieście trzydzieści milionów dolarów i zrobił to na moje polecenie.

Siergiej był prawnikiem, pracownikiem umysłowym, który w dni powszednie nosił granatowy garnitur i czerwony krawat, a w weekendy razem z żoną i synem rozkoszował się muzyką klasyczną w konserwatorium. Jego oprawcy zapewne sądzili, że się złamie nawet pod delikatną presją – źle go oceniali. Dla Siergieja myśl, że mógłby się dopuścić krzywoprzysięstwa i złożyć fałszywe zeznanie, była boleśniejsza od fizycznych cierpień, które mu zadawali. Nie złamał się.

Mimo to nie uniknął skutków tortur. Po siedmiu miesiącach poważnie podupadł na zdrowiu. Schudł prawie osiemnaście kilogramów i cierpiał z powodu straszliwego bólu brzucha.

Popadaliśmy w coraz większą desperację. Musieliśmy wydostać go z więzienia. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Skontaktowaliśmy się z Międzynarodowym Stowarzyszeniem Prawników, Brytyjskim Towarzystwem Prawniczym, Zgromadzeniem Parlamentarnym Rady Europy i wieloma innymi organizacjami. Chociaż część z nich podjęła

interwencję w sprawie Siergieja, dla Rosjan była to co najwyżej wrzawa i mogli sobie pozwolić na ignorowanie naszych działań. Nigdy w życiu nie czułem się bardziej bezradny.

Musieliśmy odnaleźć te dwieście trzydzieści milionów dolarów.

Zanim John Moscow nas zlekceważył, zdążył przygotować wnioski na podstawie Artykułu 1782 dotyczące dwóch banków kliringowych, które pośredniczyły w przelewach wyłudzonej kwoty: JPMorgan i Citibank. Nadszedł czas, żeby wystąpić do sądu.

W tym celu zatrudniliśmy nową kancelarię prawną. Zanim wnioski zostały złożone, Siergiej poważnie zachorował. Zdiagnozowano u niego zapalenie trzustki oraz kamienie żółciowe. Wymagał operacji, którą zaplanowano na 1 sierpnia 2009 roku.

Tydzień przed operacją porywacze znów się pojawili w jego celi i ponownie próbowali go zmusić, żeby podpisał fałszywe zeznanie. Tym razem też odmówił. W odwecie przenieśli go z aresztu tymczasowego z oddziałem medycznym na Butyrkach do prawdziwego piekła, więzienia o zaostrowym rygorze, uznawanego za jedno z najgorszych w Rosji. Dla Siergieja największe znaczenie miał brak odpowiedniej opieki medycznej. Stan jego zdrowia jeszcze się pogorszył. Ból nękał go bez przerwy i stał się nieznosny, mimo to odmówiono mu leczenia.

Nasi nowi amerykańscy prawnicy złożyli wnioski do sądu 28 lipca i sędzia szybko je zatwierdził.

Dwa tygodnie później, gdy Siergiej gnił na Butyrkach, JPMorgan i Citibank przysłały nakazane dokumenty. Odżyła w nas nadzieja, zaraz się jednak okazało, że odpowiedzi były potwornie niekompletne. Obydwa banki pominęły całe kategorie informacji i kluczowe dla nas przedziały czasowe, więc ani trochę nie przybliżyliśmy się do odkrycia, kto otrzymał wyłudzone pieniądze.

Nasi prawnicy zażądali od banków należytego wykonania wezwania sądowego, to jednak wymagało czasu, a Siergiejowi czas się kończył.

Mieliśmy jeszcze ostatnią nadzieję. Zgodnie z rosyjskim prawem tymczasowe aresztowanie może trwać najwyżej rok. Potem władze muszą albo złożyć w sądzie akt oskarżenia, albo zwolnić podejrzanego. Tyle że w przypadku Siergieja nie mogli ryzykować rozprawy. Gdyby do niej doszło, Siergiej zyskałby możliwość, żeby na cały świat nagłośnić wyłudzenie dwustu trzydziestu milionów dolarów, wyłudzenie stu siedmiu milionów dolarów oraz nazwiska rosyjskich urzędników, którzy wyłudzili

nienależny zwrot podatkowy. Sąd mimo to mógłby go skazać – i zapewne by skazał – co jednak by go nie uciszyło.

Musieli więc uciszyć go inaczej.

Nocą 16 listopada 2009 roku, trzysta pięćdziesiąt osiem dni po zatrzymaniu, stan zdrowia Siergieja stał się krytyczny. Władze więzienia na Butyrkach nie chciały dłużej ponosić za niego odpowiedzialności, nakazały więc wsadzić go do ambulansu i przewieźć na drugi koniec miasta do placówki penitencjarnej, w której znajdował się szpital więzienny. Tam Siergiej trafił nie do ambulatorium, lecz do celi izolacyjnej. Najpierw przykuto go do łóżka, a później ośmiu funkcjonariuszy ochrony więzienia biło go gumowymi pałkami, aż zmarł.

Miał tylko trzydzieści siedem lat.

ROZDZIAŁ 5

Klucz

Jesień 2009–wiosna 2010

O siódmej czterdzieści pięć następnego ranka odebrałem telefon.

Tamta rozmowa wciąż należy do najtragiczniejszych, najbardziej przygnębiających i wzruszających wydarzeń w moim życiu. Nic nie mogło przygotować mnie na to, że stracę kolegę w taki sposób. Siergiej został zabity, ponieważ chciał postąpić właściwie. Został zabity, ponieważ pracował dla mnie. Poczucie winy, które wtedy przeniknęło każdą komórkę mojego organizmu, towarzyszy mi do dzisiaj.

Kiedy zdołałem zapanować nad histerią i smutkiem, mogłem zrobić tylko jedno: wszystkie inne rzeczy w życiu odsunąć na bok, a całą energię i całe zasoby poświęcić na wymierzenie sprawiedliwości wszystkim, którzy byli zamieszani w zatrzymanie Siergieja pod fałszywymi zarzutami i przyczynili się do jego śmierci, oraz tym wszystkim, którzy otrzymali choćby część wyłudzonych dwustu trzydziestu milionów.

Przez następne lata właśnie tym się zajmowałem.

Po zamordowaniu Siergieja organy ścigania w Rosji zasypaliśmy wnioskami i skargami, w których domagaliśmy się sprawiedliwości. Dysponowaliśmy całą górą dowodów. Przez trzysta pięćdziesiąt osiem dni pozbawienia wolności Siergieja i jego prawnicy napisali czterysta pięćdziesiąt skarg dotyczących znęcania się albo złego traktowania. Jego prawnicy dostarczyli nam kopię każdego z tych pism, dzięki czemu łamanie praw człowieka w Rosji mogliśmy udokumentować najlepiej od trzydziestu pięciu lat. Rosjanie musieli coś z tym zrobić.

Nie robili. Za to cały system zwarł szeregi i władze rosyjskie rozpoczęły szeroko zakrojoną akcję zacierania śladów. Dwadzieścia cztery godziny po

zamordowaniu Siergieja Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zmieniło przyczynę zgonu ze wstrząsu toksycznego na zatrzymanie akcji serca. Później nie wyrażono zgody na niezależną sekcję zwłok i zaprzeczono, jakoby Siergiej wcześniej chorował. Te i inne kłamstwa powtarzali wszyscy: od funkcjonariuszy najniższego szczebla do najwyższych dygnitarzy rządowych.

Wkrótce poznaliśmy więcej szczegółów na ten temat. Dwa tygodnie po zamordowaniu Siergieja Jewgienija Albac z redakcji „Nowoje Wriemia”, należąca do elity rosyjskich dziennikarzy śledczych, ujawniła, że funkcjonariusze Federalnej Służby Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej, następczyni sowieckiej KGB, przyjęli sześć milionów dolarów łapówki za aresztowanie Siergieja i zatuszowanie wyłudzenia dwustu trzydziestu milionów dolarów.

Stało się jasne jak słońce, że Siergieja zamordowano dla pieniędzy. Musieliśmy raz jeszcze zwrócić się do JPMorgan i Citibanku, żeby ujawniły wszystkie dokumenty. To były już nie tylko brudne pieniądze, to były pieniądze splamione krwią.

Tym razem amerykańskie banki potraktowały nas poważnie i umieściły na liście każdą płatność dolarową dokonaną przez dziesiątki banków w Rosji i dawnym Związku Radzieckim w ciągu dwudziestu ośmiu miesięcy. Aż takiego sukcesu się nie spodziewaliśmy. Do naszej dyspozycji oddano bazę danych obejmującą ponad 1,3 miliona transakcji wielu rosyjskich banków.

Początkowo myśleliśmy, że to będzie klucz do rozwiązania zagadki prania pieniędzy, lecz gdy zaczęliśmy przeglądać otrzymane wykazy, zdaliśmy sobie sprawę, że informacji jest zbyt dużo. Mieliśmy dziesiątki tysięcy nazw przedsiębiorstw i spółek, numerów rachunków i kwot, ale absolutnie żadnego kontekstu. Bez klucza, który pozwoliłby połączyć te dane z dwustoma trzydziestoma milionami wyłudzonymi od fiskusa, mieliśmy niewielkie szanse na sukces.

Skoro nie mogliśmy ustalić, dokąd trafiły brudne pieniądze, postanowiliśmy się skupić na oczywistych sprawcach w Rosji: majorze Pawle Karpowie, podpułkowniku Artemie Kuzniecowie i Dmitriju Klujewie, właścicielu banku UBS, do którego przelano znaczną część wyłudzonego zwrotu podatku.

Nie mieliśmy już w zespole eksperta w dziedzinie prania brudnych pieniędzy tak wybitnego jak John Moscow, mimo to znaleźliśmy się na

prowadzeniu śledztw finansowych, zwłaszcza w Rosji. Szukanie śladów przestępstw stanowiło znaczący element modelu biznesowego Hermitage Fund i wykorzystanie tamtych doświadczeń do tego zadania nie wymagało wielkiej filozofii.

Oprócz doświadczenia mieliśmy jeszcze dwa atuty: mojego kolegę Wadima Kleintera oraz fakt, że w Rosji ochrona danych praktycznie nie istnieje.

Wadim został analitykiem finansowym w Hermitage na początku istnienia funduszu. Pochodził z Moskwy, był sześć lat młodszy ode mnie, miał doktorat w dziedzinie ekonomii, okulary i ciemną brodę. Na przyjęciach i konferencjach zapewne brano go za naukowca albo dziennikarza. Wadim był świetnym analitykiem rynku pieniężnego, a specyfika prowadzonych przez nas interesów sprawiła, że dołączył do grona najlepszych na świecie specjalistów w dziedzinie finansowej analizy kryminalnej. Nie jest to komplement na wyrost. Każdy, kto poznał Wadima, potwierdzi moją opinię. To prawdziwy geniusz.

Na szczęście mieliśmy naprawdę dużo informacji, które Wadim mógł wykorzystać. Chociaż wielu uważa Rosję za kraj całkowicie nieprzejrzysty, w rzeczywistości jest ona zupełnie transparentna. Ilekroć ktoś robi coś w Rosji, informacja o tym jest przekazywana w czterech egzemplarzach do czterech różnych ministerstw. Ludzie, którzy w tych ministerstwach pracują, zarabiają w przeliczeniu ledwie kilkaset dolarów miesięcznie. Z tego powodu niemal wszystko w Rosji można kupić.

Większość tych danych dociera ostatecznie do fizycznego epicentrum rosyjskiego rynku informacji, którym jest leżący po zachodniej stronie rzeki Moskwy bazar Gorbuszka.

Znajdziemy na nim chaotyczny miszmasz budek, w których sprzedaje się najróżniejsze tanie towary – od pirackich nagrań Szybkich i wściekłych na płytach DVD po figuynki bohaterów Gwiazdnych wojen i chińskie telefony komórkowe. Wystarczy jednak przejść na tyły tych stoisk, żeby znaleźć sprzedawców, którzy potencjalnym klientom oferują dyski z rządowymi bazami danych. Dyski te zawierają na przykład informacje o wynagrodzeniach pracowników albo rejestry numerów telefonów komórkowych, a kosztują ledwie kilka dolarów za sztukę.

Z kolei towary z górnej półki na rosyjskim rynku informacji sprzedają wyspecjalizowani kupcy, którzy z Gorbuszką nie mają nic wspólnego. Oni oferują dane bardziej wyrobionym odbiorcom, na przykład bazy należące

do Banku Centralnego Rosji czy Państwowego Komitetu Ceł. Za moskiewskich czasów Hermitage Fund wykorzystywaliśmy te źródła, żeby tropić wielomiliardowe oszustwa popełniane przez pracowników firm, w które inwestowaliśmy. Teraz, gdy Wadim i ja prowadziliśmy śledztwo w sprawie prania brudnych pieniędzy, te zasoby zyskały nową wartość: dla nas stały się wręcz bezcenne.

Dmitrij Klujew, do którego należał Uniwersalny Bank Sbierieżenij, był początkowo nie do namierzenia. Natomiast Paweł Karpow i Artem Kuzniecowa, funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, owszem. Niedługo po wyłudzeniu dwustu trzydziestu milionów dolarów wpadli w szal wydawania pieniędzy. Dla siebie oraz członków rodziny kupowali porsche, mercedesy i audi. Rezerwowali apartamenty w pięciogwiazdkowych hotelach Mediolanu, Madrytu, Londynu i Paryża. Wprowadzili się do wartych wiele milionów dolarów mieszkań w Moskwie. Zupełnie się nie przejmowali faktem, że oficjalne zarobki w wysokości piętnastu tysięcy dolarów rocznie nie pozwoliłyby im prowadzić tak rozrzutnego życia. Stali się karykaturą skorumpowanych rosyjskich gliniarzy.

Zmontowaliśmy w angielskiej oraz rosyjskiej wersji językowej i zamieściliśmy w serwisie YouTube kilka filmów o Karpowie i Kuzniecowie. Szybko stały się wiralami, zwłaszcza w Rosji.

Obnażenie oficjeli wywołało wściekłość wśród zwykłych Rosjan, nam zaś przyniosło niespodziewany rezultat: skontaktował się z nami rosyjski sygnalista, niejaki Aleksandr Pierieplicznyj.

Pierieplicznyj był doradcą finansowym. Do jego klientów należeli Olga Stiepanowa, naczelniczka urzędu skarbowego, która zatwierdziła znaczną część wyłudzonego zwrotu dwustu trzydziestu milionów dolarów, oraz jej mąż Władlen. Pierieplicznyj pomógł Stiepanowom założyć i utrzymywać rachunki w szwajcarskich bankach. Podczas kryzysu finansowego lat 2008–2009 jego porady inwestycyjne spowodowały znaczne straty. Zamiast się z nimi pogodzić, Stiepanowowie oskarżyli go o kradzież pieniędzy i zagrozili mu zarzutami karnymi w Rosji. Żeby się przed nimi chronić, Pierieplicznyj razem z rodziną uciekł do Londynu.

Jako doradca finansowy Stiepanowów nasz informator dysponował dowodami, że jedenaście z dwustu trzydziestu milionów, których poszukiwaliśmy, trafiło na konto Władlena Stiepanowa prowadzone przez bank Credit Suisse w Zurychu. Pierieplicznyj podzielił się z nami tą

informacją nie dlatego, że oburzyła go korupcja. Upubliczniał posiadane dowody, bo miał nadzieję wywołać w Rosji taki skandal, że Stiepanowowami zainteresuje się prokurator, przez co stracą oni wpływy, a ich oskarżenia skierowane przeciwko niemu upadną.

Pierieplicznyj pokazał nam wyciągi bankowe dwóch firm wydmuszek potwierdzające przelanie jedenastu milionów dolarów na rachunek prowadzony w Credit Suisse. Dzięki tym dokumentom wreszcie zyskałyśmy informacje, które pozwoliły nam się zorientować w danych z banków kliringowych. Mieliśmy klucz.

Wadim przeszukał bazy danych i znalazł transakcje obydwu tych firm. To doprowadziło go do kolejnej wydmuszki. I kolejnej, i jeszcze jednej. Wreszcie Wadim mógł prześledzić drogę, którą te jedenaście milionów dolarów przesłano z rosyjskiego Ministerstwa Finansów przez Uniwersalnyj Bank Sbierieżenij do Mołdawii i Litwy, a stamtąd do Szwajcarii.

Zgodnie z zapewnieniami Johna Moscowa każda z tych transakcji dolarowych na ułamek sekundy trafiała do banku kliringowego w Nowym Jorku. I chociaż pieniądze przesyłano w jedenastu etapach, dzięki pozyskanej bazie danych mogliśmy je wychwycić.

Jeśli nasi przeciwnicy sądzili, że udało im się zatrzeć ślady na śniegu, bo do wyprania pieniędzy wykorzystali wiele banków w różnych krajach, to się mylili. Odkryliśmy wielką moc naszej bazy danych o transakcjach dolarowych i wiedzieliśmy, że jeszcze nie raz ją wykorzystamy.

ROZDZIAŁ 6

Finrosforum

Wiosna–lato 2010

Zazwyczaj pranie brudnych pieniędzy nie kojarzy się ani z konkretnymi ofiarami, ani z twarzami konkretnych przestępców, my jednak mieliśmy nie tylko konkretną ofiarę, Siergieja, ale też triumfujące twarze policjantów, uśmiechniętych i zadowolonych, że skorzystali na przestępstwie, które Siergiej ujawnił i przez które został zabity.

Z kolei rosyjskich policjantów wyobrażamy sobie najczęściej w niemodnych mundurach i radiowozach marki Łada pamiętających czasy sowieckie. Major Karpow i podpułkownik Kuzniecowa wyglądali zupełnie inaczej. Oni nie lubili munduru. Nosili najmodniejsze włoskie garnitury i drogie szwajcarskie zegarki. Karpow był szczególnie ostentacyjny. Na swoim profilu w serwisie społecznościowym VKontakte, rosyjskiej wersji Facebooka, zamieszczał zdjęcia z imprez, na których się bawił, i wakacji, na które się wybrał kilka miesięcy po wyłudzeniu podatku.

Jego arogancja była irytująca. Zupełnie jakby się z nas naśmiewał.

Każdy, kto obejrzał nasze filmy na YouTubie, miał ochotę zetrzeć mu z twarzy ten pełen zadowolenia uśmiešek. Jak tego dokonać? Wystarczyło sprawić, żeby oni oraz ich skorumpowani koledzy nie mogli wykorzystać nieuczciwie zdobytych pieniędzy na szalone wakacje ani deponować ich w zachodnich bankach. Ten zamiar ewoluował i z czasem dał początek inicjatywie ustawodawczej znanej jako ustawa Magnitskiego, która zamrażała aktywa Rosjan łamiących prawa człowieka, wśród nich także morderców Siergieja, oraz zakazywała udzielania im wiz wjazdowych.

Inicjatywa nabrała tempa, gdy Ben Cardin, senator z Marylandu i członek Partii Demokratycznej, uznał ją za jeden ze swoich priorytetów

legislacyjnych. Niebawem zyskała poparcie ponadpartyjne i do grona inicjatorów dołączyli senatorowie John McCain, Roger Wicker i Joe Lieberman.

Wsparcie dla ustawy Magnitskiego w Stanach Zjednoczonych dało nam wielką satysfakcję, ale skorumpowani rosyjscy oficjele większość pieniędzy wydawali w Europie, gdzie najczęściej spędzali luksusowe wakacje w takich miejscach jak Courchevel, Marbella i Sardinia. Posyłali swoje dzieci do szkół w Szwajcarii, swoje żony do kurortów na Lazurowym Wybrzeżu, a swoje kochanki na pokazy mody do Mediolanu.

Żeby ci ludzie naprawdę odczuli nasze uderzenie, potrzebowaliśmy ustawy Magnitskiego także w Europie.

Z powodów politycznych w Europie musieliśmy działać inaczej niż w Stanach Zjednoczonych. Unia Europejska liczyła dwudziestu ośmiu członków (jeszcze przed brexitem) i nie brakowało w niej zwolenników Putina.

Działania mające przeciągnąć Europejczyków na naszą stronę zacząłem od Parlamentu Europejskiego, który jako ciało ustawodawcze odpowiada mniej więcej Kongresowi Stanów Zjednoczonych, tyle że zasiada w nim prawie dwukrotnie więcej parlamentarzystów.

Przy tak dużej liczbie osób nie byłem pewien, od kogo zacząć, na szczęście szybko nawiązałem obiecujący kontakt: poznałem Heidi Hautalę, fińską deputowaną Partii Zielonych. Heidi przewodniczyła Podkomisji Praw Człowieka i była znaną działaczką upominającą się o prawa ofiar reżimu Putina. Cieszyła się szacunkiem za udział w wiecach organizowanych w Moskwie przez opozycję, których uczestników stale bito i aresztowano. Wydała mi się odważna i uznałem, że możemy zyskać w niej sojusznika.

Pod koniec maja 2010 roku poleciałem do Brukseli na spotkanie z Heidi. Była to moja pierwsza wizyta w Parlamencie Europejskim, labiryncie zatłoczonych korytarzy tak samo pogmatwanych jak sama Europa. Do starych gmachów dostawiono nowe, instalując w nich windy, schody ruchome i klatki schodowe we wszystkich możliwych konfiguracjach, a gabinety deputowanych ponumerowano według tak skomplikowanego systemu, że niemal nie dawało się ich odnaleźć. Miałem wrażenie, że wszedłem do wnętrza namalowanego przez Mauritsa C. Eschera.

W końcu znalazłem niewielki gabinet Heidi. Przywitała mnie około czterdziestoletnia kobieta z krótkimi blond włosami i o poważnym,

rzeczowym stylu bycia. (Szybko się dowiedziałem, że Finowie wymawiają jej imię inaczej, niż się to robi w krajach anglojęzycznych).

Usiadłem naprzeciwko jej biurka, opowiedziałem historię Siergieja i wyjaśniłem założenia ustawy Magnitskiego. Wspomniałem, że prace nad jej uchwaleniem nabierają tempa w Stanach Zjednoczonych.

– To wspaniały pomysł. Powinniśmy zastosować go także w Europie – stwierdziła.

– Też tak uważam. Może pani mi pomóc?

– Mogę, ale to skomplikowane miejsce. – Gestem ręki wskazała wokół siebie, sugerując Parlament Europejski. – Jeśli się chce, żeby coś takiego ruszyło tutaj z miejsca, trzeba mieć po swojej stronie Rosjan. Dobrych Rosjan. Najlepiej powszechnie znanych obrońców praw człowieka.

Prawdopodobnie z uprzejmości nie powiedziała tego wprost, ale Brytyjczyk amerykańskiego pochodzenia, który wcześniej kierował funduszem hedgingowym, nie byłby dobrze widziany jako twarz brukselskiej kampanii przeciwko rosyjskim oficielom łamiącym prawa człowieka. Europa staje się coraz bardziej egalitarystyczna i sukcesy w biznesie nie zawsze są tu mile widziane. Po niemiecku dla określenia prywatnych funduszy inwestycyjnych stosuje się czasem rzeczownik Heuschrecke, co znaczy „szarańcza”.

– Przykro mi, nie znam żadnych rosyjskich działaczy na rzecz praw człowieka – odrzekłem.

– Nic nie szkodzi. Ja znam. Proszę przyjechać do Helsinek, przedstawię pana.

Wyjaśniła mi, że jest współorganizatorką konferencji o nazwie Finrosforum, na którą w połowie lipca do ośrodka pod Helsinkami przybędą wszystkie tuzy rosyjskiej opozycji i tamtejszych środowisk walczących o prawa człowieka.

– Czy chciałby pan wygłosić referat na temat ustawy Magnitskiego? – zapytała.

Twierdząco skinąłem głową.

– Tak.

Perspektywa podróży do Finlandii była i ekscytująca, i trochę przerażająca. Granica tego państwa z Rosją ma tysiąc trzysta czterdzieści kilometrów, dlatego w Helsinkach Rosjan nie brakuje.

Nie zamierzałem tracić takiej okazji tylko z powodu strachu. Zatrudniłem trzech ochroniarzy i razem z Wadimem poleciliśmy do

Helsinek 20 lipca 2010 roku. Z ochroniarzy korzystałem po raz pierwszy od połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku; toczyłem wówczas walki z rosyjskimi oligarchami.

Dotarliśmy na konferencję i natychmiast poczułem się nie na miejscu: tylko ja i Wadim mieliśmy na sobie garnitury. Poza tym nikt oprócz nas nie miał obstawy. Wyglądałem jak oligarcha, a więc ktoś, z kim ci aktywiści walczyli. Jestem pewien, że kilkoro z nich zapałało do mnie nienawiścią od pierwszego wejrzenia. Gdybym był na ich miejscu, też bym się chyba znienawidził.

Odnalazłem Heidi w małej grupce osób. Przywitała mnie ciepło i przedstawiła rosyjskim dysydem, znanym przywódcom opozycji oraz rozmaitym blogerom, dziennikarzom i przedstawicielom organizacji pozarządowych.

Żadne z nich nie wiedziało, co o mnie myśleć, więc wszyscy zachowywali dystans – wszyscy oprócz jednego: rosyjskiego dokumentalisty Andrieja Niekrasowa. Miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat, mnóstwo młodzieńczego zapału i niesforną siwą czuprynę. Prywatnie był partnerem życiowym Heidi, ale na konferencji pojawił się z niewielką ekipą filmową, żeby dokumentować obrady. Powiedział mi, że niedawno zrobił film o zamachu na Aleksandra Litwinienkę, byłego agenta FSB śmiertelnie otrutego radioaktywnym polonem w centrum Londynu. Ponieważ Andriej miał ze sobą sprzęt i ekipę, poprosił mnie o wywiad na temat Siergieja. Chętnie się zgodziłem.

Następnego dnia przed wystąpieniem na konferencji usiadłem z Andriejem w przestronnym atrium na długą rozmowę. Zadawał trudne pytania, drążył każdy aspekt zamordowania Siergieja. Oburzyły go informacje o postępowaniu rosyjskich władz wobec Siergieja i o tym, jak później próbowały one zacierać ślady.

Andriej uznał, że ten wywiad może być zaczątkiem nowego filmu, i zapytał, czy zgodzę się na kolejne nagrania. Chciał też wiedzieć, czy mógłbym go skontaktować z wdową po Siergieju i z jego matką. Na wszystkie te pytania odpowiedziałem stanowczym „tak”.

Nawet gdyby moje wystąpienie na konferencji nie przełożyło się na konkretne działania, warto było wyruszyć w tę podróż dla tego przypadkowego spotkania z rosyjskim filmowcem.

Po lunchu udałem się do dużej, wyłożonej drewnem sali i usiadłem przy stole dla prelegenta. Miejsca dla publiczności wypełniał gwarny tłumek

mówiący po rosyjsku, angielsku i fińsku. Mimo chłodnego przyjęcia, z którym się spotkałem poprzedniego dnia, wszyscy ucichli, gdy Heidi mnie przedstawiła.

Rosjanie znali historię Siergieja, o mnie wiedzieli niewiele. Wyjaśniłem, co łączyło mnie z Siergiejem, po czym przedstawiłem cele i założenia ustawy Magnitskiego. W sali zawrzało.

Obywatelki i obywatele Rosji z własnego doświadczenia znali chyba wszystkie formy łamania praw człowieka, prześladowań i niesprawiedliwości, jakie fundował im reżim Putina. Ich przyjaciele znikali, prześladowano ich rodziny, pozbawiano ich środków do życia, wielu też oglądało świat przez kraty rosyjskich więzień, dokąd trafiali za rzekome przestępstwo krytykowania władzy. I żadne protesty niczego nie zmieniały.

Aż pojawiłem się ja, nieznany im właściciel funduszu hedgingowego, który z amerykańskim akcentem opowiadał, że może istnieć sposób, żeby Putin i jego poplecznicy za to wszystko odpowiedzieli. Moi słuchacze zdawali sobie sprawę, że dla reżimu pieniądze są ważniejsze od ludzkiego życia i że każdy skorumpowany urzędnik rosyjski lokuje pieniądze poza Rosją, najlepsze jednak było to, że proponowałem rozwiązanie, na które Kreml nie mógł nic poradzić.

Później podszedł do mnie opalony pięćdziesięciolatek w niebieskiej lnianej koszuli i białych spodniach. Wyglądał, jakby właśnie zszedł z pokładu żaglówki na Capri. Nigdy wcześniej go nie spotkałem, ale rozpoznałbym go wszędzie. Wyciągnął rękę na powitanie.

– Panie Browder, nazywam się Boris Niemcow.

Z trudem mogłem w to uwierzyć.

Boris Niemcow był legendą. Pełnił funkcję wicepremiera Rosji w czasach prezydenta Jelcyna i przez pewien czas uchodził nawet za jego następcę. Poznawszy zasięg korupcji i prześladowań pod rządami Putina, został najzagorzalszym krytykiem reżimu. Kilka razy aresztowano go za udział w zakazanych demonstracjach oraz pisanie raportów na temat majątku Putina, zdobytego niezgodnie z prawem, nigdy jednak nie dał się przekupić ani zastraszyć.

W życiu mamy szansę poznać ledwie kilka osób charyzmatycznych we wszystkim, co robią. Boris należał właśnie do takich osób.

– Ta pańska ustawa Magnitskiego jest genialna – oświadczył. – Tylko czy da się ją zrealizować?

– Nie wiem. W świecie polityki stawiam dopiero pierwsze kroki. Heidi mówiła, że ustawa potrzebuje głosów rosyjskiej opozycji, żeby wejść w życie.

– Jednym z tych głosów mogę być ja, panie Browder – zaproponował.

– Proszę mówić mi Bill.

Uśmiechnął się.

– Dobrze, Bill. Razem sprawimy, że te bydlaki nigdy nie zapomną nazwiska Siergieja Magnitskiego. Jestem tego pewien.

Od tamtej pory Boris Niemcow razem ze mną szukał sprawiedliwości dla Siergieja i wspierał ustawę Magnitskiego na całym świecie.

ROZDZIAŁ 7

Symposium w Cambridge

Lato–jesień 2010

Z Borisem na pokładzie nasze szanse na uchwalenie ustawy Magnitskiego i w Stanach Zjednoczonych, i w Europie rosły w postępie geometrycznym.

Wiedziałem, że mimo wszystko potrzeba lat, żeby nowe prawo weszło w życie – i to przy pomyślnych wiatrach. Ale mieliśmy też coś, z czym mogliśmy ruszyć natychmiast: miliony zdeponowane w zuryjskim oddziale Credit Suisse przez Władlena Stiepanowa.

Nie potrzebowaliśmy ustawy przeciwko łamaniu praw człowieka, żeby dopaść tych pieniędzy. Istniały procedury walki z przestępczością, my zaś mieliśmy dowody potwierdzające pranie brudnych pieniędzy i mogliśmy te dowody wykorzystać do zamrożenia zdobytych nielegalnie środków. Gdyby nam się udało namówić władze szwajcarskie do działania, byłby to poważny cios dla naszych rosyjskich przeciwników.

Pytanie brzmiało, jak zaangażować Szwajcarów.

Jeśli nie liczyć krótkiej przygody w Młodzieżowym Patrolu Policji Chicago, miałem niewielkie doświadczenie w kontaktach z organami ochrony porządku publicznego na Zachodzie, ale brak doświadczenia nigdy wcześniej mnie nie powstrzymał. Zanim założyłem Hermitage Fund, nie znałem w Rosji nawet jednej osoby, nie mówiłem po rosyjsku ani nawet nie prowadziłem funduszu inwestycyjnego. Wiedziałem za to, że sobie poradzę, gdy skoczę od razu na głęboką wodę. Obdzwaniałem kolegów ze studiów, wgryzałem się w specjalistyczne czasopisma branżowe i korzystałem z każdej okazji, żeby czegoś się dowiedzieć o inwestowaniu w Rosji.

Co oczywiste, z zachodnim systemem wymiaru sprawiedliwości rzecz się miała inaczej. Podczas gdy w Rosji po upadku komunizmu praktycznie nie

istniały reguły inwestowania, wymiar sprawiedliwości w państwach Zachodu od setek lat ustanawia przepisy, tworzy procedury i tradycje. Postanowiłem przyjąć taki sam jak w przypadku Hermitage sposób działania i zobaczyć, dokąd mnie to doprowadzi.

Zacząłem od wyszukiwania konferencji, w których mógłbym uczestniczyć. Wcześniej słyszałem tylko o symposium organizowanym w Cambridge – przyjechał na nie John Moscov w 2008 roku, zanim odwiedził naszą siedzibę.

Wygooglowałem. Pełna nazwa brzmiała Cambridge International Symposium on Economic Crime (Międzynarodowe Symposium w Cambridge na temat Przestępczości Gospodarczej). Wydało się idealne dla naszych celów. Sprawdziłem też, że odbywa się co dwa lata na terenie Jesus College w Cambridge, niecałą godzinę jazdy pociągiem od Londynu.

Ściągnąłem program. Obecność zapowiedziały setki funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości. Co więcej, drugi dzień obrad otwierał szwajcarski prokurator federalny specjalizujący się w ściganiu przestępstw gospodarczych i walce z praniem brudnych pieniędzy.

Postanowiłem, że tam pojadę i zagadnę szwajcarskiego prokuratora.

Wpisałem się na listę uczestników, zapłaciłem wpisowe i 5 września 2010 roku na stacji King's Cross wsiadłem do pociągu z Londynu do Cambridge. Zameldowałem się w hotelu Double Tree obok uniwersytetu, zaniósłem bagaż do pokoju i odebrałem materiały konferencyjne w recepcji symposium. Zawiesiłem na szyi smycz z identyfikatorem i poszedłem się rozejrzeć. W sali zastałem ludzi pijących drinki, śmiejących się, krzyczących do siebie, jakby byli starymi znajomymi. Nie miałem pojęcia, że spotkanie przedstawicieli prawa może przebiegać w tak rozrywkowej atmosferze.

Próbowałem zlokalizować kogoś ze Szwajcarii, lecz odnalezienie konkretnych osób graniczyło z cudem, kręciłem się więc tylko w tłumie, zerkając na plakietki z nazwiskiem i próbując nawiązać rozmowę.

Nie było to łatwe. Miałem wrażenie, że wszyscy pozostali się znają. Na moim identyfikatorze widniał napis „Hermitage Capital Management”, który nic nikomu nie mówił.

W kolejce do baru zauważyłem, że na identyfikatorze kobiety, która stała za mną, widnieje nazwa komisji nadzoru finansowego z Karaibów. Kawał drogi od Szwajcarii, ale taka znajomość mogła się przydać, ponieważ wiele

firm wydmuszek wykorzystywanych do prania brudnych pieniędzy jest zarejestrowanych właśnie na Karaibach.

Przedstawiłem się i wyjaśniłem, dlaczego przyjechałem do Cambridge. Uprzejmie skinęła głową. Wzięła swój drink i najwidoczniej gdzieś za mną zauważyła kogoś, z kim naprawdę chciała porozmawiać, więc przerwała mi w pół zdania.

– Miło było poznać, panie Browder – powiedziała i odeszła.

Z puszką coli w ręku pokręciłem się jeszcze trochę wśród zebranych. Niestety, nie udało mi się nikogo poznać. Wreszcie gdzieś w przeciwległym końcu pomieszczenia odezwał się gong. Tłum ruszył w stronę jadalni na obiad. Wszedłem i natychmiast przypomniałem sobie czytane dzieciom powieści o Harrym Potterze: sala była długa i wysoka, a na wyłożonych drewnem ścianach wisiały olejne szesnastowieczne portrety. Miejsc nie przydzielono – przy stołach zbierały się grupki znajomych.

Szukałem wolnego krzesła, kiedy przyjaźnie wyglądający mężczyzna uśmiechnął się do mnie i gestem zaprosił, żebym usiadł obok niego. Siadając, zerknąłem na jego identyfikator: „Prokurator Generalny Autonomicznego Miasta Buenos Aires”. Przyjemnie nam się rozmawiało podczas posiłku, ale argentyński prokurator raczej niewiele mógł zrobić, żeby mi pomóc.

Po obiedzie podano deser i kawę, po czym nastąpiła kolejna runda rozmów w grupach. Wciąż prześladował mnie ten sam towarzyski pech. Nie znalazłem nawet szwajcarskiego prokuratora. Nie martwiłem się tym zbyt: wiedziałem, że się pojawi na wykładzie otwierającym drugi dzień obrad.

Następnego ranka przy śniadaniu zastanawiałem się, jak najlepiej przedstawić Szwajcarowi istotę sprawy, i skierowałem się do jednego z namiotów na porośniętym trawą dziedzińcu, żeby wysłuchać wykładu. Nie pamiętam, czego dotyczył. Jedno jest pewne: należał do najnudniejszych, jakie w życiu słyszałem. To raczej nie był mój świat.

Szwajcar skończył. Stałem blisko podium i czekałem, aż pozostali uczestnicy przestaną zadawać pytania. Wreszcie zostaliśmy tylko we dwóch i mogłem się przedstawić.

Chociaż najwyraźniej nie chciał ze mną rozmawiać, nie dałem mu wyboru. Przedstawiłem pokrótce historię, kończąc wzmianką o jedenastu milionach w banku Credit Suisse.

– Czy pana zdaniem szwajcarski wymiar sprawiedliwości mógłby wszcząć postępowanie w tej sprawie?

Odpowiedział szorstko.

– Rozumiem pańską sytuację, panie... – zrobił pauzę, żeby odczytać mój identyfikator – panie Browder, ale jeśli chce pan złożyć skargę, to proszę ją skierować do Prokuratury Generalnej w Bernie. – I odszedł.

Nawet nie wymieniliśmy wizytówek. Z perspektywy czasu dostrzegam, jak bardzo naiwne było moje przekonanie, że pierwszy lepszy uczestnik sympozjum w Cambridge namówi przedstawiciela szwajcarskiego wymiaru sprawiedliwości do wszczęcia śledztwa. Tematem obrad było przecież prawo, a prokuratorzy stosują się do zasad.

Wyszedłem z namiotu, gromiąc się w duchu za decyzję o przyjeździe do Cambridge. Zacząłem się zastanawiać nad powrotem do Londynu i nagle zobaczyłem znajomą twarz, której się tam nie spodziewałem.

John Moscow.

Mogłem się domyślać, że go spotkam. W końcu do Cambridge przyjechali przedstawiciele jego profesji, żeby dyskutować o sprawach zawodowych.

Zauważyłem go, zanim on zauważył mnie. Wciąż byłem na niego wściekły za to, że zostawił i nas, i sprawę Siergieja, ale nie miałem jak go uniknąć. Spodziewałem się, że mnie zignoruje. Nic z tego. Spojrzał na mnie i wykrzyknął:

– Bill! Co ty tu robisz? – Wyciągnął rękę na powitanie, jak gdyby nigdy nic.

Powściągnąłem gniew i uściśnąłem jego dłoń.

– Próbuję poznać ludzi, którzy mogliby pomóc w sprawie Magnitskiego.

– Znam takich – zadeklarował.

Tego się nie spodziewałem. Nie miałem pojęcia, dlaczego okazuje mi życzliwość, ale był w tym świecie gigantem i na moim miejscu tylko głupiec okazałby urazę.

W tej samej chwili dobiegła końca sesja poranna. Namioty opustoszały, dziedziniec zappełnił się prawnikami. John rozejrzał się, zauważył kogoś i gestem zaprosił mnie za sobą. Podeszliśmy do mężczyzny mniej więcej w moim wieku, ubranego w granatowy garnitur, zupełnie jakby przydziałowy, i białą koszulę, a do niej czerwony krawat. To musiał być Amerykanin.

John powiedział:

– Adamie, chciałbym ci przedstawić Billa Browdera. – Uścisnąłem dłoń mężczyzny. – Bill, poznaj Adama Kaufmanna. Jest z biura prokuratora w Nowym Jorku, w którym kiedyś pracowałem.

Tymczasem pozostali uczestnicy sympozjum powoli przemieszczali się w stronę jadalni na lunch. Adam zaproponował, żebyśmy usiedli obok siebie.

Znaleźliśmy trzy wolne krzesła, powiesiliśmy marynarki na ich oparciach i przeszliśmy do bufetu. Lunch nie wyglądał przesadnie apetycznie: jakaś studencka wersja poledwicy Wellingtona, do tego gotowany na parze zielony groszek, paszteciki z kiełbaską i rozgotowany makaron. Nie miało to dla mnie większego znaczenia.

Podczas posiłku próbowałem wytłumaczyć Adamowi historię Siergieja. Nieustannie przeszkadzali mi w tym kolejni uczestnicy seminarium. Wyglądało na to, że wielu innych ludzi też chciało z nim porozmawiać. Wyczuł chyba moją frustrację, bo zaproponował, żebyśmy się spotkali w Londynie pod koniec tygodnia. Przystałem na jego propozycję.

Po lunchu wyjechałem z Cambridge, bo nie spodziewałem się, że osiągnę tam coś więcej.

W piątek Adam zawitał do londyńskiej siedziby Hermitage Fund przy Golden Square. Podałem mu najważniejsze fakty na temat kradzieży dwustu trzydziestu milionów dolarów i zamordowania Siergieja oraz pokazałem, co odszukaliśmy w szwajcarskim banku.

– Jeśli znajdziesz jakieś powiązania z Nowym Jorkiem, byłbym zainteresowany sprawą – zapowiedział.

Musiałem ukryć podniecenie. Zgodnie z tym, co mówił John Moscow podczas pierwszego spotkania, powiązania z Nowym Jorkiem już mieliśmy, bo przecież każdy przelew dolarowy przechodził przez nowojorskie banki JPMorgan albo Citi, nawet jeśli był w nich tylko przez ułamek sekundy. Wspomniałem o tym.

– To nie wystarczy. – Adam pokręcił głową. – Ale gdybyś znalazł rachunek bankowy w Nowym Jorku albo jakąś nieruchomość kupioną za te pieniądze, nowojorskie ogniwo stałoby się faktem. Wtedy mógłbym coś zrobić.

Nie pozostało nam więc nic innego, jak tylko znaleźć to nowojorskie ogniwo, jeśli tylko istniało.

ROZDZIAŁ 8

Obwinić umarłych

Jesień 2010

W Moskwie trwał ciepły, jeszcze letni wrześniowy wieczór 2008 roku. Nie było w nim nic szczególnego. Pięćdziesięciosiedmioletni Rosjanin z miną winowajcy i bujnym wąsem siedział na tylnej kanapie mercedesa, który wiozł go z centrum miasta do wysokiego, niewykończonego apartamentowca w pobliżu Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego. Mercedes należał do bliskiego znajomego Dmitrija Klujewa, właściciela banku UBS.

Na terenie budowy na mężczyznę czekał agent nieruchomości. Obydwaj włożyli pomarańczowe kaski i mozolnie wspięli się po schodach do penthouse'u na siedemnastym piętrze.

Budynek był w stanie surowym, wewnątrz znajdowały się właściwie tylko ściany z pustaków i betonu, nie zamontowano jeszcze drzwi, okien ani barierek balkonowych. Nie są znane szczegóły tego, co się wydarzyło wśród tych gołych ścian, ale niedługo po wejściu na siedemnaste piętro mężczyzna spadł na ziemię, wylądował w błocie i zamienił się w stertę połamanych kości. Szofer, który został w samochodzie, powiedział policji, że nie widział upadku. Agent nieruchomości tak samo. Policja uznała, że śmierć mężczyzny nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku. Mężczyzna nazywał się Siemion Korobiejnikow.

Sześć miesięcy wcześniej inny Rosjanin znalazł się na stacji kolejowej w Briańsku, rosyjskim mieście niedaleko granicy ukraińskiej, gdzie spotkał się z czterema kolegami. Wszyscy byli współpracownikami Dmitrija Klujewa i wszyscy mieli na koncie wyroki więzienia za różne przestępstwa – od zabójstwa przez napad z bronią w rękę po kradzież. Pociągiem

pojechali do Kijowa, gdzie spędzili kilka tygodni. W kwietniu czterej koledzy mężczyzny wrócili do Rosji, jednak bez niego, ponieważ 30 kwietnia w Boryspolu koło kijowskiego lotniska stwierdzono jego zgon. Jako oficjalną przyczynę śmierci podano marskość wątroby. Nazywał się Walery Kuroczkin. Miał czterdzieści trzy lata.

Pierwszego października 2007 roku, zatem rok przed wypadkiem na budowie apartamentowca, trzeci mężczyzna, pochodzący z Baku w Azerbejdżanie były muzyk i bezrobotny ochroniarz, który całymi dniami pił wódkę na podwórzu za moskiewskim blokiem, zmarł w swoim mieszkaniu. Według dokumentów śmierć spowodował atak serca. Mężczyzna nazywał się Oktai Gasanow. Dożył pięćdziesięciu trzech lat.

Co te trzy przedwczesne zgony mają wspólnego z nami? Zdaniem rosyjskich władz bardzo dużo.

Dzień przed pierwszą rocznicą zamordowania Siergieja, 15 listopada 2010 roku, siedziałem w swoim londyńskim gabinecie, rozmyślając o tym, co się stało. Zatopiony w myślach nie zauważyłem wejścia Wadima.

– Bill? – zagadnął.

Wzięłem się w garść.

– Co takiego?

– Rosyjski rząd oficjalnie obwinił Siergieja o kradzież dwustu trzydziestu milionów dolarów.

Wadim pokazał mi zapis konferencji prasowej w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, która tego ranka odbyła się w Moskwie, oraz artykuł z rosyjskiego dziennika „Kommiersant”.

Oba teksty opisywały misternie skonstruowaną teorię spiskową. Władze twierdziły, że Siergiej przygotował dokumenty wykorzystane do wyłudzenia podatku, po czym przekazał je alkoholikowi o nazwisku Oktai Gasanow, który dostarczył je kolejnym współnikom. Jeden z nich, były więzień Walery Kuroczkin, podpisał i złożył w urzędzie skarbowym sfałszowane wnioski o zwrot podatku. Po przelaniu wyłudzonej kwoty mężczyzna, który później spadł z siedemnastego piętra, Siemion Korobiejnikow, do ich wyprania wykorzystał Uniwersalnyj Bank Sbierieżenij. Według Ministerstwa Spraw Wewnętrznych bank był własnością Korobiejnikowa, choć my wiedzieliśmy, że należał do Dmitrija Klujewa. Ani podczas konferencji prasowej, ani w artykule „Kommiersanta” nazwisko Klujewa nie padło ani razu.

– Kim są ci mężczyźni? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Wadim. – Ale mają wspólną cechę: wszyscy trzej nie żyją.

– Kurwa mać! Czyli zostali zabici?

– Nie wiem, mogli umrzeć z przyczyn naturalnych... Jedno jest pewne. Żaden z nich nie może się bronić w sądzie ani wyjaśnić, co naprawdę się dzieje.

– Musimy się lepiej przyjrzeć temu Klujewowi – powiedziałem z przekonaniem.

– Też tak uważam – zgodził się Wadim. – Nawet już zacząłem.

Wadim był błyskotliwy, chociaż niezorganizowany. Nikt w naszym biurze nie chciał siedzieć obok niego. Jego biurko wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan, który porzucił papiery także na blatach sąsiednich biur. Tydzień po tym, jak Wadim zaczął szukać informacji na temat Klujewa, bałagan jeszcze się zwiększył, ponieważ na podłodze wyrosło kilka dużych stert ułożonych na krzyż dokumentów po rosyjsku.

– Co tu masz? – zapytałem bezceremonialnie.

– Michajłowski GOK.

– Co to jest Michajłowski GOK?

– Rosyjski producent rudy żelaza. Nie pierwszy raz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych kryje Klujewa. W 2006 roku został złapany na wykorzystaniu swojego banku UBS do kradzieży akcji Michajłowski GOK o wartości jeden koma sześć miliarda dolarów na szkodę rosyjskiego oligarchy.

– Domyślam się, że oligarcha się nie ucieszył – powiedziałem.

– Na pewno nie. Doprowadził do wszczęcia śledztwa w tej sprawie. I teraz zgadnij, komu Ministerstwo Spraw Wewnętrznych je powierzyło.

– Nie mam pojęcia.

Wadim sięgnął po płytę DVD, podszedł do mojego biurka i wsunął ją do komputera. Płyta zawierała nagranie audycji telewizyjnej o Michajłowski GOK, którą Wadim znalazł w sieci. Po chwili zatrzymał odtwarzanie, gdy w kadrze pojawiło się trzech mężczyzn stojących nad dokumentami, i wskazał na tego w środku.

– Poznajesz go?

Pochyliłem się nad monitorem. Mężczyzna patrzył w dół i widziałem tylko czubek jego głowy. Wystarczyła mi charakterystyczna fryzura.

– Karpow!

To był ten sam rozrzutny funkcjonariusz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który maczał palce w wyłudzeniu dwustu trzydziestu milionów dolarów.

– Tak. A teraz popatrz na to.

Wadim położył przede mną dwa wydruki – daty podróży Klujewa i Karpowa. Wskazał na dwie pozycje zakreślone żółtym mazakiem.

– Razem polecili na Cypr, do Larnaki, choć w tym czasie Karpow rzekomo badał sprawę Klujewa.

– Coś podobnego! Jestem w szoku. – Oczywiście nie byłem.

Wadim pokazał mi kolejne wydruki, tym razem wyrok sądu.

– Klujew został skazany. Wyrok w zawieszeniu. Nie trafił do więzienia.

– Więc nie znaleźli winnych?

– Owszem, dwóch. Kierowcę Klujewa i któregoś z jego asystentów.

– A oni mieli z tym coś wspólnego?

– Kto to wie? Obydwaj zmarli przed procesem. Jeden miał trzydzieści dziewięć lat, drugi czterdzieści sześć.

– Niech zgadnę, na atak serca?

– Tak.

Przeszły mi ciarki po plecach. Schemat działania Klujewa wydawał się oczywisty: popełnić przestępstwo i zrzucić winę na zmarłych. Nigdy nie poznamy prawdziwych przyczyn śmierci tych mężczyzn. Nawet gdyby były one naturalne, Klujew i jego grupa przestępcza nie stawali się z tego powodu mniej przerażający.

Wadim szukał dalej. Ustalił, że pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku Klujew służył w sowieckich siłach specjalnych w Afganistanie jako zwiadowca, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych jego nazwisko pojawiło się w raporcie policyjnym jako oskarżonego o napaść i rabunek. Kilka lat później kolejny raport policyjny wspominał o nim i jego żonie jako niedoszłych ofiarach zamachu przeprowadzonego na parkingu Starlite Diner, całodobowej moskiewskiej restauracji popularnej wśród obcokrajowców i bogatych moskwian.

Klujew miał więc raczej bogaty życiorys, mimo to Wadim odnalazł wówczas tylko jedno jego zdjęcie, i to stare: mężczyzna około czterdziestki, który oprócz małej, okrągłej głowy niczym specjalnym się nie wyróżnia i wygląda nawet przyjaźnie.

Ponieważ ślad się urywał, Wadim zatelefonował do jednego ze swoich najbardziej wiarygodnych źródeł w Moskwie, mężczyznę nazywanego

przez nas Asłanem. Pracował on dla FSB, ale został wpłątany w walkę z tymi samymi rosyjskimi oficjelami, którzy prześladowali nas. Asłan często przekazywał Wadimowi informacje. Robił to nie z dobroci serca, tylko z makiawelicznej konieczności. Niemal wszystko, co nam dawał, później się potwierdzało.

Podczas rozmowy z Asłanem Wadim rzucił nazwisko Klujewa. Po drugiej stronie linii telefonicznej zapadła długa cisza. Wreszcie Asłan zapytał:

– Dlaczego szukasz informacji na jego temat?

– Wydaje się, że jest w centrum wszystkich naszych spraw – odpowiedział Wadim. – Kim jest ten człowiek?

– Powinieneś sobie uświadomić, że sama rozmowa na jego temat jest niebezpieczna – cicho powiedział Asłan. – To boss mafijny. Jeździ opancerzonym mercedesem brabus w eskorcie trzech innych samochodów. Gdziekolwiek się pojawia, towarzyszą mu uzbrojeni po zęby ochroniarze.

– Jakim cudem kryje go Ministerstwo Spraw Wewnętrznych?

– Praktycznie rzecz biorąc, oni dla niego pracują, Wadim. Słyszałem, że mundurowi funkcjonariusze resortu ustawiają się w szeregu i salutują, gdy przychodzi z wizytą, jakby witali generała.

Asłan zakończył złowieszczym ostrzeżeniem:

– Oni polują na Browdera i resztę waszej ekipy. Powiedziałem za dużo. Bądź ostrożny, Wadim. Bardzo ostrożny.

ROZDZIAŁ 9

Skarga w Szwajcarii

Zima–wiosna 2011

Ostrzeżenie Asłana potraktowaliśmy poważnie. Wiedzieliśmy, że będą nas obwiniać o swoje przestępstwa; obawialiśmy się też, że spróbują nas zabić. Nie miałem pojęcia, jak powstrzymać gangsterów przed nastawaniem na nasze życie, i bardzo mnie to przygnębiało, ale wierzyłem, że jeśli Szwajcarzy postawią Stiepanowów przed sądem, Rosjanom trudniej będzie zrzucić na nas winę za to, co sami zrobili. Mogło to również zniechęcić ich do zamachu na nas. Niewielka ochrona – niestety, lepszej nie mieliśmy.

Z nastaniem 2011 roku skończyliśmy przygotowywać wniosek, który zamierzaliśmy przedstawić władzom szwajcarskim. Gdybyśmy wysłali go na adres korespondencyjny, pozostawałaby nam tylko nadzieja, że ktoś się z nim zapozna i zacznie działać. Dlatego postanowiłem podjąć ostatni wysiłek, żeby znaleźć kogoś wpływowego w Szwajcarii, kto by nam pomógł.

Taka okazja mogła się nadarzyć podczas Światowego Forum Ekonomicznego zaplanowanego na koniec stycznia w Davos.

Światowego Forum Ekonomicznego nie opuściłem ani razu od 1996 roku, tak więc 25 stycznia poleciałem z Londynu do Zurychu, by następnie odbyć trzygodzinną podróż pociągiem znajomą trasą w górę Alp. Gdy przybyłem do Davos, zobaczyłem sterty śniegu na ulicach. Wojsko obsadziło posterunki przy barykadach i rozlokowało snajperów na dachach budynków, dbając o bezpieczeństwo ważnych gości, którzy z całego świata przybyli do tego sennego na co dzień górskiego miasteczka.

Zameldowałem się w Concordii, skromnym trzygwiazdkowym hotelu w sąsiedztwie centrum konferencyjnego, który za noc w ciasnym pokoju z prysznicem liczył sobie aż pięćset franków szwajcarskich. Mimo to byłem zachwycony, bo ci, którzy mieli prawdziwego pecha, byli odsyłani do hoteli w Klosters, położonym w dolinie miasteczku odległym o trzydzieści minut jazdy.

Oficjalne motto tego forum brzmi: „Zaangażowani w poprawę stanu świata”. Niemniej wśród uczestników znajdują się miliarderzy, dyktatorzy oraz szefowie notowanych na liście „Fortune” pięciuset firm niedbający o poprawę stanu świata, a kilku nawet postępujących wręcz przeciwnie.

Żeby uzasadnić swoją szlachetną misję, organizatorzy Światowego Forum Ekonomicznego zawsze zapraszają kilka osób działających zgodnie z tym mottem. W 2011 roku wśród tych osób znalazł się Mark Pieth, szwajcarski kryminolog. Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku pracował w szwajcarskim Ministerstwie Sprawiedliwości, gdzie kierował komórką do walki z przestępczością zorganizowaną i gospodarczą. Wkrótce został profesorem na Uniwersytecie w Bazylei i jednym z najlepszych na świecie ekspertów w dziedzinie prania brudnych pieniędzy.

Każdy uczestnik szczytu w Davos wypełnia swój terminarz spotkaniami, żeby jak najlepiej wykorzystał pięćdziesiąt tysięcy dolarów wpisowego. Umówienie rozmowy z osobami pokroju Billa Gatesa czy Richarda Bransona graniczy z cudem. Na szczęście dla mnie nie wszyscy chcieli się spotkać z ekspertem od prania brudnych pieniędzy – prawdę mówiąc, wielu wolało unikać Marka Pietha.

Dzień po przyjeździe poszedłem do Meierhof, małego hotelu w stylu alpejskim położonego przy promenadzie, zaledwie kilka kroków od centrum konferencyjnego, na rozmowę z Piethem. Gdy dotarłem na miejsce, trwało jeszcze jego spotkanie z prezesem spółki Total, francuskiego przedsiębiorstwa petrochemicznego, które w tamtym czasie borykało się z oskarżeniami o korupcję. Prezes zachowywał się swobodnie, ale chyba miał poważnych wrogów, skoro zabrał ze sobą dwóch wielkich ochroniarzy w skórzanych kurtkach.

Niebawem ich rozmowa dobiegła końca i mogłem się przywitać. Poszukaliśmy stolika jak najdalej od ludzi z francuskiej spółki. Nie byli Rosjanami, lecz i tak nie chciałem, żeby nas podsłuchali.

Usiedliśmy w rogu hotelowej restauracji i zamówiliśmy śniadanie. Mark był przed sześćdziesiątką, miał zaczesane do tyłu siwiejące włosy i nieśmiały chłopięcy uśmiech. Przedstawiłem się, wyjaśniłem historię sprawy Magnitskiego, którą znał tylko pobieżnie, po czym wyjąłem roboczą wersję zawiadomienia o przestępstwie i przesunąłem ją po stole w jego stronę.

Odczekałem minutę, by mógł przekartkować dokument, i podsunąłem mu diagram pokazujący przepływ pieniędzy z banku Uniwersalnyj Bank Sbierieżenij przez Mołdawię i Litwę na rachunki w banku Credit Suisse. Na ten widok pojaśniały mu oczy.

– Czy potrafi pan to wszystko udowodnić? – zapytał.

– Tak. Sto procent.

– Skąd pochodzą dane? Zakładam, że nie od rosyjskiego wymiaru sprawiedliwości.

– Mamy informatora, który przekazał nam wyciągi Credit Suisse. Potwierdzenia płatności dolarowych pozyskaliśmy w wyniku nakazu nowojorskiego sądu.

– Imponująca praca, panie Browder.

– Dziękuję, choć pochwała należy się przede wszystkim mojemu koledze, Wadimowi Kleinerowi. Planuję złożyć to zawiadomienie w Bernie, byłoby jednak znacznie lepiej, gdyby reprezentował nas ktoś taki jak pan i złożył je w naszym imieniu.

Oparł łokcie na stole i pochylił się ku mnie.

– Proszę dać mi czas na uważną lekturę i namysł. Walce z czymś takim poświęciłem całe życie. Jeśli wniosek okaże się zasadny, nie wykluczam, że będę zainteresowany.

Następne dni miałem całkowicie wypełnione spotkaniami w Davos, ale na rezultacie tego jednego zależało mi najbardziej. Miałem nadzieję, że Mark Pieth się zgodzi.

Po szczycie w Davos poleciałem do Stanów Zjednoczonych. W Waszyngtonie i Nowym Jorku prowadziłem rozmowy na temat ustawy Magnitskiego, która zyskiwała wsparcie w Kongresie. Pewnego dnia w Nowym Jorku na ekranie mojego telefonu komórkowego wyświetlił się nieznanym numerem ze szwajcarskim prefiksem. Odebrałem. Z powodu złej jakości połączenia, mnóstwa szumów i trzasków, ledwie rozumiałem osobę po drugiej stronie.

– Bill? Bill? Mówi Mark Pieth. Słyszysz mnie pan? – Jakość połączenia się poprawiła.

– Co się dzieje?

– Przepraszam za zakłócenia. Jadę samochodem. Przeczytałem dokumenty. Całość jest bardzo kusząca. Tak kusząca, że jestem gotów dołączyć do pańskiego zespołu.

– Naprawdę? – Gdybym mógł uścisnąć go przez telefon, na pewno bym to zrobił.

– Jeśli pan pozwoli, chciałbym złożyć zawiadomienie natychmiast.

Oczywiście, że się zgodziłem. Następnego dnia zatelefonowałem znowu.

– Bomba została zrzucona. Zobaczymy, gdzie eksploduje.

Zaangażowanie Marka miało dla nas wielkie znaczenie, chociaż nie gwarantowało, że Szwajcarzy zaczną działać. Zazwyczaj prokuratorzy wszczynają postępowanie pod warunkiem, że są niemal pewni wygranej. Chociaż zgromadziliśmy niepodważalne dowody, Szwajcarzy musieli wiedzieć, że każde postępowanie dotyczące Rosji będzie koszmarem. Rosjanie notorycznie odmawiają współpracy, puszczają zasłony dymne i kłamią na każdym kroku.

Musiałem zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby Szwajcarzy nie wpadli na pomysł zamieszczenia sprawy pod dywan. Postanowiłem zaangażować media.

Po pojednawczym geście podczas sympozjum w Cambridge John Moscow skontaktował mnie także ze swoim starym znajomym – Billem Alperem, reporterem tygodnika „Barron’s”, którego zaliczył do najlepszych dziennikarzy śledczych w Nowym Jorku. W ramach etatu Bill pisał o problemach opieki zdrowotnej oraz rynku spółek technologicznych, poza tym publikował długie i ostre teksty śledcze ujawniające korupcję i nadużycia władzy.

Przed powrotem do Londynu umówiłem się z Billem na lunch na trzydziestym piątym piętrze nowojorskiego hotelu Mandarin Oriental, w restauracji z widokiem na Central Park. Gdy tylko się pojawił, ubrany w znoszoną niebieską parkę i w starych sportowych butach, przyszło mi do głowy, że może się nie czuć komfortowo w takim eleganckim miejscu.

– Jesteś Bill? – zapytał, podchodząc do stolika.

– Tak, a ty?

Zachichotał.

– Tak, przyznaję się do winy.

Zupełnie nie zwracał uwagi na otoczenie. Jego wygląd i nonszalancja sprawiły, że skojarzył mi się z porucznikiem Columbo. Polubiłem go natychmiast.

Zaczęliśmy od rozmowy czysto towarzyskiej i szybko doszedłem do wniosku, że łączy nas coś więcej niż tylko imię: obydwaj mieliśmy w rodzinie sławnego komunistę. Mój dziadek, Earl Browder, był sekretarzem generalnym Amerykańskiej Partii Komunistycznej od 1932 do 1945 roku, natomiast daleki kuzyn Billa, Maksim Litwinow, pełnił funkcję komisarza ludowego spraw zagranicznych Stalina przed II wojną światową. (Na ministerialnym stanowisku Litwinowa zastąpił Wiaczesław Mołotow – ten, który wsławił się wymyśleniem koktajlu nazwanego jego nazwiskiem). Obydwaj też odeszliśmy od komunizmu najdalej, jak się dało: ja jako szef funduszu inwestycyjnego w Moskwie, on jako reporter na Wall Street.

Z wykształcenia był prawnikiem. W latach osiemdziesiątych ukończył Columbia Law School. Pewnie dlatego jednym z jego hobby stało się śledzenie nad umowami i porozumieniami w poszukiwaniu skandali korporacyjnych. Przełożeni w „Barron’s” niezbyt przychylnie patrzyli na jego zapędy śledcze, lecz dopóki na czas wywiązywał się ze swoich obowiązków, pozwalali mu robić to, co lubił.

Podczas posiłku opowiedziałem o zawiadomieniu, które złożyliśmy w Szwajcarii. Bill zareagował podobnie do Marka Pietha, choć kierował się zupełnie czym innym. Dla niego to była przede wszystkim dziennikarska bomba. W tej historii miał wszystko: morderstwo, rachunki w szwajcarskich bankach, sygnalistów, skorumpowanych rosyjskich oficjeli, inspirowane przez Kreml matactwo. Bez wahania oświadczył, że jest zainteresowany.

Wróciłem do Londynu. Nasi prawnicy, kiedy się dowiedzieli o mojej rozmowie z Alpertem, wyraźnie zasugerowali, żebym przyhamował. Argumentowali, że upublicznienie treści zawiadomienia rozżłości szwajcarskich śledczych i zrazi ich do nas. Z tego powodu prokuratura może przeciągać sprawę w nieskończoność albo wręcz odmówić wszczęcia postępowania.

Przekazałem ich zdanie Billowi, który przyznał, że wstrzymanie publikacji, aż Szwajcarzy podejmą decyzję, to słuszna decyzja.

Potem czekałem na wiadomość z Berna. To chyba najtrudniejszy etap w całym procesie informowania władz o przestępstwie. Mijały tygodnie, odpowiedź nie nadchodziła. W połowie marca zatelefonowałem do Marka

z nadzieją, że zna jakieś przecieki. Powiedział tylko: „Musimy się uzbroić w cierpliwość. Ci ludzie pracują w innym tempie niż my”.

Dwudziestego drugiego marca 2011 roku coś się jednak wydarzyło, tyle że nie w Szwajcarii. W Moskwie Rosjanie ujawnili nazwisko nowego aktora w sprawie wyłudzenia dwustu trzydziestu milionów dolarów. Był to jeszcze jeden recydywista, włamywacz Wiaczesław Chlebnikow – tym razem żywy.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych twierdziło, że Chlebnikow należał do najważniejszych organizatorów oszustwa. Faktycznie jednak był komediantem, bo zgodził się wziąć na siebie karę za przestępstwo własne i współników. Nie tylko przyznał się do winy jako główny organizator oszustwa podatkowego, lecz także zeznał, że Siergiej i trzech nieżyjący mężczyźni wcześniej wskazani jako sprawcy pomagali mu w popełnieniu tego przestępstwa.

Ministerstwo poparło jego wyznanie opasłym tomem akt i w ten sposób nadało mu pozory wiarygodności. Akta zostały zdeponowane w sądzie dla obwodu twerskiego, więc nie mieliśmy do nich dostępu.

Winę Chlebnikowa sąd uznał wyłącznie na podstawie jego zeznań i skazał go na pięć lat kolonii karnej (najniższy możliwy wyrok), nie wymierzył żadnej grzywny ani nie nakazał ujawnienia, gdzie są wyłudzone pieniądze. Władze uznały, że Olga Stiepanowa i kilkoro innych pracowników skarbowki, którzy zatwierdzili nielegalny zwrot podatku, zostali oszukani, faktycznie byli więc ofiarami przestępstwa. Jednocześnie przymknięto oko na fakt, że zaraz po dokonaniu przestępstwa na rachunek męża Olgi w zuryskim Credit Suisse wpłynęło jedenaście milionów dolarów z autoryzowanego przez nią zwrotu. Zignorowali też wartość dwadzieścia osiem milionów dolarów, wyróżnioną nagrodami podmoskiewską rezydencję Stiepanowów, która formalnie należała do będącej na emeryturze matki Władlena, oraz wyceniany na trzy miliony dolarów ich dom letniskowy w Dubaju. (Wszystko to przy oficjalnym dochodzie obojga małżonków nieznacznie przekraczającym trzydzieści osiem tysięcy dolarów).

W żaden sposób nie odniesiono się też do wcześniejszego oszustwa podatkowego na kwotę stu siedmiu milionów dolarów, które także zatwierdziła Stiepanowa. Uczestniczącym w nim osobom nawet włos z głowy nie spadł.

Chrzanić to, pomyślałem. Nie może być tak, że oni wciąż ulepszają swoją mistyfikację, a my nie reagujemy. Postanowiłem, że nie będziemy czekać

na Szwajcarów.

Omówiłem wszystko z Billem i 16 kwietnia 2011 roku w tygodniku „Barron's” ukazał się tekst Crime and Punishment in Putin's Russia (Zbrodnia i kara w Rosji Putina). Bill w dwa tysiące ósmuset słowach ujawniał, jaką drogę przebyły wyprane pieniądze, zanim trafiły na rachunek w banku Credit Suisse, omawiał zdjęcie podmiejskiej rezydencji Stiepanowów oraz opisywał rolę Klujewa, zakończył zaś apelem do szwajcarskiej prokuratury, żeby całą sprawę potraktowała poważnie.

Tydzień później Szwajcarzy poinformowali, że tak właśnie postąpili. Należące do Stiepanowów jedenaście milionów dolarów zamrożono na rachunku bankowym w Credit Suisse. To był pierwszy nakaz zabezpieczenia² w sprawie Magnitskiego.

I nie ostatni.

ROZDZIAŁ 10

Aleksandr Pierieplicznyj

Lato 2011–wiosna 2012

Po wszczęciu postępowania Maria-Antonella Bino, szwajcarska prokuratorka, wezwała mnie do Lozanny na przesłuchanie w charakterze świadka.

Szwajcaria słynie z neutralności, co może dobrze brzmieć, czasem jednak dobre nie jest. Owszem, Konfederacja Szwajcarska zaprasza do siebie wojujące kraje na podpisanie traktatów pokojowych i jest siedzibą międzynarodowych instytucji, na przykład Światowej Organizacji Zdrowia czy urzędu Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Praw Człowieka. Niestety, nadużywa niekiedy tej neutralności, żeby wspierać najobrzydliwszych dyktatorów na świecie. Właściwie nie ma roku, żebyśmy nie słyszeli o skandalu dotyczącym jakiegoś afrykańskiego potentata albo środkowoazjatyckiego kleptokraty, który ukrywa miliony dolarów w szwajcarskich bankach. Szwajcarzy wręcz szczycą się tym, że przyjmą każdego – dobrego czy złego – byle ich kraj odnosił korzyści ekonomiczne.

Obawiałem się, że z tym rodzajem szwajcarskiej neutralności będziemy mieli do czynienia w naszym przypadku. Na szczęście po tekście Billa Alperta sprawą zainteresowały się szwajcarskie media. Gdy dziennikarze SRF, publicznego nadawcy radiowo-telewizyjnego Szwajcarii, dowiedzieli się o moim przyjeździe do Lozanny, przysłali reportera, żeby przeprowadził ze mną wywiad.

Szesnastego maja przyleciałem do Genewy i stamtąd wyruszyłem pociągiem do Lozanny. Godzinna trasa przebiega wzdłuż Jeziora Genewskiego, za którym w oddali widać ośnieżone szczyty Alp. Miasto jest przepiękne jak z pocztówki: kręte ulice, stare budynki kryte dachówką,

liczne kościoły i strzelające w niebo średniowieczne wieże, a wszystko to w sąsiedztwie jeziora.

Następnego dnia poszedłem do prokuratury. Jej siedzibie brakowało uroku charakterystycznego dla reszty miasta. Prawdę mówiąc, okazała się przeciwieństwem tego, co można by nazwać ładnym budynkiem: pięciokondygnacyjny biurowiec o walorach wyłącznie użytkowych, prawdopodobnie z lat siedemdziesiątych zeszłego wieku, na parterze miał sklepy, a przed frontem parking.

Czekała tam na mnie ekipa telewizyjna. Ustawiliśmy się pod arkadą i nagrałem krótki materiał. Reporter pytał, czego się spodziewam po szwajcarskim dochodzeniu i czy przywiozłem nowe dowody. Odpowiedziałem bardzo ogólnie: wyraziłem przekonanie, że ten wątek doprowadzi w końcu do ujawnienia sieci pralni brudnych pieniędzy używanej przez przestępców, którzy ukradli dwieście trzydzieści milionów dolarów.

Skończyliśmy i wtedy podeszła do nas kobieta w szarym żakiecie, mniej więcej czterdziestoletnia.

– Pan Browder? – zapytała.

– Tak.

– Jestem prokurator Bino – oznajmiła. Spojrzała na operatora i reportera.

– Tutaj nie wolno filmować. – Mówiła perfekcyjną angielszczyzną.

– Przepraszam. Właśnie skończyliśmy. – Pomachałem ekipie na pożegnanie. – Nie wchodzą do środka.

Uniosła brwi.

– Proszę za mną.

Weszliśmy do budynku. W recepcji pokazałem swój paszport i poprowadziła mnie do windy. Podczas jazdy na górę, stojąc ramieniem w ramię ze mną, powiedziała:

– Obowiązuje tajemnica postępowania. Mam nadzieję, że pan to rozumie. Proszę więcej tak nie robić.

Możliwe, że już na początku zraziłem ją do siebie, ale przynajmniej dałem jasny sygnał: jeśli Szwajcaria postanowi zachować neutralność w tej sprawie, świat się o wszystkim dowie.

Pokój przesłuchań przypominał małą salę rozpraw. Prokurator Bino siedziała na podwyższeniu, ja niżej – przy stole dla świadków. Obecni byli też protokolanci, strażnik sądowy i tłumacz. Szwajcarskie prawo wymaga, żeby procedury prawne przeprowadzać w jednym z dwóch języków

oficjalnych, w tym wypadku wybrano francuski. Prokurator Bino zadawała pytania, które następnie tłumaczono dla mnie na angielski. Odpowiadałem po angielsku, po czym tłumaczenie odbywało się w odwrotnym kierunku. Przesłuchanie, które powinno zająć najwyżej półtorej godziny, trwało pięć godzin.

Wszystko odbyło się bez rewelacji, właściwie powtarzałem tylko oskarżenia zawarte w naszym zawiadomieniu – z jednym ważnym wyjątkiem. Prokurator Bino chciała się dowiedzieć, kim jest nasz rosyjski sygnalista.

Zobowiązaliśmy się wobec Aleksandra Pierieplicznego, że nie ujawnimy jego tożsamości, nie podałem więc jego nazwiska. Mówiłem o nim jako o osobie, która się z nami skontaktowała. Wiele ryzykował, przekazując nam swoje dowody, i nie chciałem tego ryzyka jeszcze nasilać.

Prokurator Bino odpuściła i chwilę później przesłuchanie się zakończyło.

Niestety, moja troska o bezpieczeństwo Pierieplicznego nie na wiele się zdała. Nasi rosyjscy przeciwnicy obserwowali działania szwajcarskiej prokuratury i tego samego dnia w Moskwie mąż Olgi Stiepanowej zamieścił całostronicowe płatne ogłoszenie w rosyjskiej gazecie finansowej, w którym ujawniał naszego informatora. „Jestem przekonany, że to Aleksandr Pierieplicznyj naruszył moje dobre imię, ponieważ pewne szczegóły znał tylko on i nikt więcej”, napisał. Zapowiedział też, że zamierza „domagać się zadośćuczynienia”.

Następnego dnia w Moskwie korespondent SRF poruszył naszą sprawę podczas konferencji prasowej prezydenta Dmitrija Miedwiediewa. (Miedwiediew był prezydentem Rosji od 2008 do 2012 roku, Putin pełnił wtedy funkcję premiera, oczywiście zachowując pełnię władzy za kulisami). Szwajcarski dziennikarz zapytał: „Panie prezydencie, odnośnie do sprawy Hermitage Capital i Siergieja Magnitskiego. Federalna prokuratura szwajcarska zajęła się tą sprawą na wniosek Hermitage Capital. Badany jest między innymi wątek wyłudzenia nienależnego podatku w Rosji i możliwego wyprania wyłudzonych pieniędzy w Szwajcarii. Czy Rosja zamierza współpracować ze Szwajcarią w tej sprawie?”.

Miedwiediew nie odpowiedział na pytanie, lecz zapewnił, że traktuje tę sprawę bardzo poważnie, dlatego rozmawiał o niej z szefami FSB oraz Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej. Zaraz potem pokazał swoją prawdziwą twarz.

– Sprawy nie są tak proste, jak chciałyby je przedstawiać media, dlatego musimy poznać prawdę i ustalić tożsamość osób zamieszanych w to przestępstwo w kraju i za granicą – powiedział.

Tłumaczenie: zamierzamy nadal tuszować tę sprawę, natomiast Bill Browder z kolegami i Aleksandr Pierieplicznyj należą do wspomnianych „osób za granicą”.

Kilka tygodni później Miedwiediew wydelegował najwyższego rangą funkcjonariusza systemu ochrony porządku publicznego, prokuratora generalnego Jurija Czajkę, na rozmowy ze szwajcarskim ministrem sprawiedliwości, by doprowadzić do zamknięcia śledztwa. Następnie podległy Czajce urząd wystosował do Szwajcarów dwa wnioski o międzynarodową pomoc prawną, formalnie poprosił o udzielenie dostępu do akt naszej sprawy³.

Widziałem wiele głupich posunięć rosyjskich władz, ale otwarte zaangażowanie prezydenta kraju i najwyższego przedstawiciela prokuratury federalnej w tuszowanie przestępczości zorganizowanej na terenie Rosji było wprost niewiarygodne.

Tyle że rosyjskie interwencje najwyraźniej nic nie dały. Szwajcarzy nie zamknęli postępowania ani nie przekazali Rosjanom w tamtym czasie żadnych informacji.

Skoro władze rosyjskie nie zdołały powstrzymać Szwajcarów, zostało im powstrzymanie Pierieplicznego.

Żeby to zrobić, szybko wszczęły nowe śledztwo przeciwko niemu. Później, na początku września, Andriej Pawłow, consigliere i doradca prawny Dmitrija Klujewa, skontaktował się z Pierieplicznym za pośrednictwem Skype’a.

Pawłow zasugerował, że może istnieć sposób rozwiązania problemów Pierieplicznego, i zdradzi mu ten sposób, jeśli się spotkają osobiście. Ponieważ Pierieplicznyj nie zamierzał wracać do Moskwy, umówili się na lotnisku w Zurychu.

Wcześniej rano 6 września Pierieplicznyj wyleciał z Londynu do Zurychu. Ponieważ nigdy wcześniej nie spotykał się z Pawłowem osobiście, włożył na siebie jaskrawopomarańczową kurtkę. Szybko przeszedł kontrolę paszportową, żeby stanąć na bezpiecznej szwajcarskiej ziemi, zanim pojawi się jego rozmówca. Chociaż porwanie w biały dzień na środku lotniska w Zurychu było raczej nieprawdopodobnie, Pierieplicznyj nie zamierzał

ryzykować. Znalazł kawiarnię Starbucks blisko stanowisk odprawy w terminalu 2 i czekał.

Pawłowi wysłał mu SMS tuż przed ósmą trzydzieści. Nalegał, żeby się spotkali przy bramkach. Pierieplicznyj nie chciał o tym słyszeć. Ostatecznie Pawłowi ustąpił i odnaleźli się dwadzieścia minut później. Usiedli i zaczęli rozmawiać.

Początkowym celem Pierieplicznego było to, by zakończono wszystkie śledztwa prowadzone przeciwko niemu w Rosji. Ale ciąg wydarzeń, który zapoczątkował, ujawniwszy brudy Stiepanowów, doprowadził do skutku odwrotnego niż zamierzony. Stiepanowowie zachowali siłę i wpływy. Dowodził tego choćby fakt, że Pawłowi siedział naprzeciwko niego. Pierieplicznyj wiedział, że się przeliczył, i zamierzał współpracować.

Pawłowi chciał namówić Pierieplicznego do złożenia zeznań, w których ten zapewni, że pieniądze Stiepanowów w banku Credit Suisse pochodzą nie z wyłudzonego zwrotu podatkowego, lecz z legalnej działalności gospodarczej. Prawdopodobnie chciał w ten sposób sabotować śledztwo Szwajcarów. Wiedział też, że nowe zeznanie wzmocni wersję rozpowszechnianą w Rosji dla zatuszowania całej sprawy. Sugerował, że nie ma niczego za darmo: gdyby Pierieplicznyj złożył zeznanie uniewinniające Stiepanowów, zniknęłyby jego problemy w Rosji.

Pierieplicznyj zgodził się podpisać takie oświadczenie i mężczyźni się rozeszli.

Zanim Pierieplicznyj wrócił do Londynu, zdał sobie sprawę, że przyjęcie oferty Pawłowa oznacza jeszcze większe kłopoty. Owszem, pozbyłby się problemów w Rosji, ale czekałyby go problemy w Szwajcarii. Gdyby zaświadczył, że Stiepanowowie nie ukradli dwustu trzydziestu milionów dolarów, szwajcarska prokuratura musiałaby dojść do wniosku, że jest nie tyle działającym ze szlachetnych pobudek sygnalistą, ile godnym potępienia współsprawcą, jak Stiepanow. Tak więc czekał go trudny wybór: śledztwo w Rosji, jeśli nie będzie współpracował z Pawłowem, albo śledztwo w Szwajcarii, jeśli tę współpracę podejmie.

Niedługo potem Pawłowi przesłał Pierieplicznemu oświadczenie do podpisania. Pierieplicznyj odmówił, więc Pawłowi bardzo się oburzył i nalegał na kolejne spotkanie, tym razem na londyńskim Heathrow.

Spotkanie nie poszło dobrze. Około dwóch tygodni później rosyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wezwało na przesłuchanie do Moskwy szwagra Pierieplicznego.

Nie wiadomo, co sobie obiecywali po przesłuchaniu szwagra, ale ta strategia też nie zadziałała. Wreszcie 19 listopada Pawłow przysłał Pierieplicznemu wiadomość SMS: „Nie powinieneś załatwiać sprawy w ten sposób... Istnieje realna groźba, że i tak Cię dopadną, bo jeżeli nie stawisz się na przesłuchanie, wniosą przeciwko Tobie akt oskarżenia i zostaniesz zatrzymany na granicy”.

Pierieplicznyj bił się z myślami przez cały okres świąteczno-noworoczny i na początku stycznia 2012 roku skontaktował się z Wadimem. Umówili się w restauracji Polo Bar londyńskiego hotelu Westbury i usiedli przy niskim stoliku pod oknem.

Pierieplicznyj, krępy czterdziestotrzylatek z gęstymi czarnymi włosami, zwykle tryskał humorem i był pełen optymizmu, ale tego dnia zachowywał się nerwowo i podczas rozmowy co chwilę lękliwie zerkał przez ramię.

– Co się dzieje? – zapytał Wadim.

Pierieplicznyj odstawił drinka i ciężko westchnął.

– Myślę, że ktoś chce mnie zabić.

– Skąd wiesz?

– Moja rodzina dostała telefon z jednostki antyterrorystycznej w Moskwie. Niedawno zatrzymali płatnego zabójcę w innej sprawie. Podczas przesłuchania znaleźli materiały o mnie.

– Płatnego zabójcę?

– Tak. Jakiegoś Czeczena.

– Skąd masz pewność, że to prawda? Przecież od miesięcy próbują cię zastraszyć.

– Podali różne szczegóły dotyczące mnie, mojej rodziny i naszego życia w Anglii. Pocieszam się tylko tym, że mają stary adres, bo już tam nie mieszkam.

– Niewielkie pocieszenie – odrzekł Wadim.

Później się okazało, że chodziło o Walida Lurachmajewa, czeczeńskiego płatnego zabójcę, którego pseudonim brzmiał tak samo jak nazwa leku uspokajającego: Validol. Była to niezbyt subtelna aluzja do tego, że mordował ludzi, czyli w taki sposób ich „uspokajał”.

Pierieplicznyj niewiele mógł zrobić, żeby się chronić, zaczął więc szukać polisy na życie z dużą wypłatą w Wielkiej Brytanii. Chciał przynajmniej zabezpieczyć rodzinę, gdyby doszło do najgorszego.

Obawa o życie nie powstrzymała go przed złożeniem zeznań. Wiosną pojechał do Lozanny, usiadł naprzeciwko prokurator Bino i jako świadek

w sprawie prania brudnych pieniędzy złożył oficjalne zeznanie obciążające Stepanowów.

Klamka zapadła.

ROZDZIAŁ 11

Przynęta

Lato 2012

Czwartego lipca 2012 roku wyleciałem z Londynu do Nicei. Gdy samolot British Airways zniżał się do lądowania nad Morzem Śródziemnym przy południowym wybrzeżu Francji i w oddali zobaczyłem czerwone dachówki, zazdrościłem ludziom wokół mnie: nosili szorty i sandały, a na twarzach mieli uśmiech, bo właśnie zaczynali wakacje.

Ja byłem ubrany w garnitur.

Leciałem na doroczne Zgromadzenie Parlamentarne Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (ZP OBWE), organu tworzonego przez setki parlamentarzystów z pięćdziesięciu siedmiu krajów zbierających się regularnie, żeby omawiać kwestie związane z prawami człowieka, demokracją i bezpieczeństwem. Tamtego roku posiedzenie miało się odbyć w Monako, które od Nicei dzieli krótka podróż samochodem. Wybrałem się tam, ponieważ zaplanowano głosowanie nad rezolucją wzywającą wszystkie kraje członkowskie OBWE do przyjęcia ustawy Magnitskiego.

Zaprosił mnie sekretarz generalny Zgromadzenia Parlamentarnego, Teksiańczyk o nazwisku Spencer Oliver.

Uznał, że powinienem poprowadzić spotkanie poświęcone ustawie Magnitskiego, zaplanowane jako wydarzenie towarzyszące. Zazwyczaj są to stateczne posiedzenia, na których przedstawiciele organizacji pozarządowych przedstawiają dokumenty programowe. Dlatego postanowiłem uatrakcyjnić swoje wystąpienie i przedstawić krótki materiał o Dmitriju Klujewie, który przygotowaliśmy z myślą o zamieszczeniu na

YouTube. Był podobny do wcześniejszych naszych filmów o Karpowie i Kuzniecowie, a w Monako miał światową premierę.

Nikt lepiej niż Klujew nie uosabiał powiązań między rosyjską przestępczością zorganizowaną a władzami Rosji, to zaś sprawiało, że idealnie nadawał się na uzasadnienie potrzeby wprowadzenia ustawy Magnitskiego.

Politycznie była to dla nas wielka szansa. Prywatnie nie cieszyłem się na wizytę w Monako. Od 2008 roku znajdowałem się na liście osób poszukiwanych w Rosji i było tylko kwestią czasu, kiedy wpiszą mnie na listę międzynarodową. Gdyby tak się stało, dowiedziałbym się o tym dopiero podczas aresztowania na którymś przejściu granicznym, dlatego zawsze serce mocniej mi biło, ilekroć przekraczałem granicę. Ta obawa stała się szczególnie silna właśnie w Monako.

Księżę Albert, głowa państwa Monako, blisko przyjaźnił się z Putinem. Był jedynym obcokrajowcem podczas polowania zorganizowanego w 2007 roku na Syberii, po którym zostało niesławne zdjęcie Putina bez koszuli siedzącego na koniu. Ze względu na ich przyjaźń księżę Albert entuzjastycznie wspierał rosyjskiego prezydenta i od czasu do czasu wykonywał jego polecenia. Słyszałem wiele opowieści o tym, jak wrogowie Putina przyjeżdżali do któregoś z hoteli w Monako, pokazywali recepcjoniście paszport i kilka minut później byli aresztowani przez miejscową policję.

Ja miałem pewne obejście. Ponieważ między Francją a Monako nie ma kontroli granicznej, mogłem się zatrzymać po francuskiej stronie bez wpadania w pułapki prawne. Wybrałem hotel w Roquebrune-Cap-Martin, francuskim mieście oddalonym od Monte Carlo zaledwie o kwadrans jazdy samochodem. Mimo to trochę ryzykowałem, pojawiając się na terenie księstwa, ale zakładałem, że skoro mam uczestniczyć w międzynarodowym sympozjum rządowym, dobranie się wtedy do mnie byłoby zbyt wielkim skandalem.

Rankiem 5 lipca spotkałem się na śniadaniu w hotelowej restauracji z moim kolegą Markiem Sabahem. Mark był entuzjastycznym trzydziestopięcioletkiem i moją prawą ręką w sprawach politycznego lobbingu w naszej batalii prawnej. Miał arabsko brzmiące nazwisko, chociaż w rzeczywistości był Żydem z północnego Londynu. Uczestniczył w kilku brytyjskich kampaniach politycznych, zanim przyłączył się do mnie.

Mark był wręcz stworzony do prowadzenia lobbingu. Z natury ekstrawertyk, nie miał żadnych oporów, żeby zacząć rozmowę z kimkolwiek, i najczęściej ludzie szybko się do niego przekonywali.

Po śniadaniu pojechaliśmy taksówką do centrum kongresowego Grimaldi Forum, olbrzymiego budynku ze szkła i betonu posadowionego na niskiej skarpie nad Morzem Śródziemnym. Strzelisty hol główny był tak oślepiająco jasny, że wielu ludzi – wśród nich także Mark, choć nie ja – nosiło okulary przeciwsłoneczne.

Do dużej sali konferencyjnej weszliśmy dwadzieścia minut przed czasem. Gdy sprawdzaliśmy wyposażenie, ludzie zaczęli się schodzić, zanim przygaszono światła, sala zrobiła się pełna. Zebrało się co najmniej sto osób, z czego mniej więcej pięćdziesięciu parlamentarzystów z ponad dwunastu krajów.

Zacząła się projekcja. Obserwowałem twarze widzów, gdy oglądali historię Klujewa. Film pokazywał jego przestępczą przeszłość, cudowne ocalenie przed więzieniem w sprawie Michajłowski GOK, znajomość z majorem Karpowem i wpływy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych oraz przedstawiał zmarłych niby przypadkiem ludzi z jego otoczenia, którym przypisywano winę za przestępstwa popełnione przez niego i jego współpracowników.

Po filmie miałem wystąpienie. Przedstawiłem argumenty za uchwaleniem rezolucji w sprawie ustawy Magnitskiego i spuentowałem:

– Jak państwo widzą, nie ma różnicy między rządem Rosji a przestępczością zorganizowaną.

Po mnie głos zabrało wielu posłów. Większość zgadzała się poprzeć proponowaną rezolucję, jednak kilkoro wyraziło opinię, że moje stwierdzenie o kryminalizacji struktur rządu rosyjskiego posuwa się za daleko.

Sesja się zakończyła. Belgijski poseł zaprosił nas na koktajl organizowany tego wieczoru przez premiera Monako w hotelu Le Meridien. Podziękowaliśmy za zaproszenie i zapowiedzieliśmy naszą obecność.

Około godziny osiemnastej wskoczyliśmy z Markiem do taksówki i pojechaliśmy do Le Meridien. W lobby zauważyłem, że niemal wszyscy, których mijamy, mówią po rosyjsku. Bardzo mnie to zaniepokoiło.

Lobby wychodziło na rozległy półkolisty basen z niewielkimi kładkami łączącymi pasażerów wysadzane cyprysami. W oddali połyskiwało Morze Śródziemne. Nie zdążyliśmy przyjrzeć się wszystkim gościom, gdy podeszła

do nas Anna Chernova, znajoma Marka, Amerykanka zatrudniona w OBWE.

– Co tu robią ci wszyscy Rosjanie? – zapytał Mark.

– Większość polityków przyjechała tu do pracy. Dla Rosjan to wakacje na koszt państwa – odpowiedziała szeptem.

Rosja, podobnie jak inne państwa nieeuropejskie, na przykład Stany Zjednoczone i Kanada, przystąpiła do OBWE, ale w odróżnieniu od nich przysyłała nadzwyczaj liczne delegacje.

Anna spojrzała na grupkę mężczyzn z nadwagą siedzących przy barze.

– To rosyjscy parlamentarzyści. – Ruchem głowy wskazała na jarmarcznie wyglądające, noszące zbyt wiele biżuterii i drogie ubrania kobiety, które kręciły się przy bufecie. – Tutaj są ich żony. – Odwróciła się w stronę przeciwległego końca basenu, gdzie stłoczyło się stadko ubranych w bikini i kaftany plażowe blondynek nie starszych niż dwadzieścia pięć lat. – Tam widzicie ich kochanki. Dzieci zostały w pokojach z iPadami.

Ta groteskowa scena mi wystarczyła. Chciałem wyjść. Mark mnie powstrzymał.

– Jest tu wielu ważnych ludzi, Bill. To naprawdę dobra okazja.

Niechętnie zgodziłem się zostać.

Anna zostawiła nas i wmieszaliśmy się w tłum, przechodząc od jednej konwersującej grupki do drugiej. Mark był w swoim żywiole. On rozmawiał z kolejnymi ludźmi, ja poczułem się głodny. Od rana miałem tyle zajęć, że nie wystarczyło mi czasu na lunch.

Poszedłem do bufetu. Rząd Monako nie poskąpił funduszy: na stole piętrzyły się świeże krewetki, nogi krabów i francuskie wędliny. Stałem na końcu kolejki.

Przeglądając zawartość smartfona, poczułem, że ktoś się otarł o moje plecy. Przesunąłem się do przodu, żeby zrobić miejsce temu komuś, ale znów poczułem dotknięcie. Kątem oka zerknąłem do tyłu i zauważyłem, że napiera na mnie kobieta. Gdy się odwróciłem, miałem przed oczami olśniewającą blondynkę co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu z pełnymi czerwonymi wargami. Pachniała jak drzewo sandałowe. Ubrana była w prostą czarną sukienkę koktajlową i miała wysokie szpilki. Uśmiechnęła się ciepło. Po angielsku z delikatnym rosyjskim akcentem powiedziała:

– Dzień dobry. Jestem Swietłana. Przyjechał pan na posiedzenie?

– Tak, a pani?

– Mieszkam w Monako i jestem wolontariuszką w OBWE. To bardzo ciekawe wydarzenie, prawda?

Potwierdziłem skinieniem głowy. Kolejka nieco się przesunęła. Sięgnąłem po talerz i owinięte w serwetkę sztucce. Swietłana zrobiła to samo, po czym kontynuowała konwersację.

– Normalnie pracuję w branży modowej. Mimo to uważam, że polityka jest bardzo interesująca.

Także dlatego, że przed południem oskarżyłem rosyjski rząd o bratanie się z przestępczością zorganizowaną, nie miałem specjalnej ochoty na kontakty z Rosjanami, a co dopiero z piękną blondynką, która „normalnie pracowała w branży modowej”.

Nałożyłem sobie coś na talerz i odszedłem do stolika przy barze, żeby zjeść tylko w swoim towarzystwie.

Wróciłem do stołu po deser i Swietłana znów się przy mnie pojawiła. Tym razem zapytała:

– Czy ma pan wystąpienie na konferencji?

– Tak.

– Na jaki temat?

– Prawa człowieka.

– Och! Prawa człowieka są bardzo interesujące. – Zaakcentowała dwa ostatnie wyrazy. – Ma pan wizytówkę? – Opuszkami palców dotknęła mojego ramienia i trochę za długo trwało, zanim je cofnęła.

W tym samym momencie zagadnęło mnie dwóch parlamentarzystów uczestniczących rano w mojej prelekcji. Zasypali mnie pytaniami. Swietłana ociągała się z odejściem. Kilka minut później mężczyźni poprosili o jakiś namiar na mnie. Sięgnąłem do kieszeni i podałem im wizytówki. Swietłana wyciągnęła rękę wyczekująco. Zawahałem się, ale niezręcznie byłoby odmówić, wręczyłem więc wizytówkę także jej.

Podeszli Mark z Anną i moi rozmówcy się pożegnali. Patrząc na odchodzącą Swietłanę, Mark zapytał:

– Kim jest ta szalowa blondynka?

– Rosjanka zainteresowana modą i prawami człowieka – odpowiedziałem beznamiętnie.

Mark uśmiechnął się znacząco.

Ponieważ byłem zmęczony, nie zostałem na przyjęciu długo. Wziąłem taksówkę i wróciłem do francuskiego hotelu, zostawiając Marka samego. W pokoju sprawdziłem skrzynkę mailową. Gdy skończyłem przeglądać

wiadomości, pojawiła się nowa. Od niejkiej Swietłany Melnikowej: „Drogi Panie Browder, było mi bardzo miło spotkać Pana dziś wieczorem. Zdawało mi się, że czuję między nami silną więź. Pomyślałam, że może chciałby Pan spotkać się na drinka w Pańskim hotelu? Gdzie się pan zatrzymał?”. I podpis: „Buziaczki, S.”.

Roześmiałem się. Mierzę metr siedemdziesiąt pięć i jestem łysym facetem w średnim wieku. Wysokie blond modelki z obfitym biustem raczej się na mnie nie rzucają. Nie miałem wątpliwości, że tę kobietę podstawiono jako przynętę.

Potem jednak, leżąc w ciemności, zacząłem się zastanawiać. Przeciwnicy wrabiali nas w swoje przestępstwa na terenie Rosji. Byłem tam poszukiwany jako ich sprawca. Na Aleksandra Pierieplicznego polował czeczeński płatny zabójca. Mnie usiłuje się teraz schwytać w pułapkę, podstawivszy mi piękną kobietę. Owszem, to była nieudolna, nieporadnie przeprowadzona akcja, znaczyła też jednak, że tego wieczoru stałem obok agentki FSB.

Nie dałem się złapać na tę przynętę, ale Rosjanie wiedzieli, że przyjadę do Monako. Uświadomiłem sobie przed zaśnięciem, że nie mogę tam wrócić.

O świcie chwyciłem swoje rzeczy, wrzuciłem je do torby podróżnej i zszedłem do lobby, żeby zamówić taksówkę.

Menedżer nocnej zmiany zaproponował, żebym skorzystał z tej stojącej przed wejściem. Odmówiłem.

– Proszę wezwać kolejną – zażądałem. Mężczyzna nie miał pojęcia, dlaczego jestem taki grymaśny, a ja mu tego nie wyjaśniłem. Zrobił to, o co prosiłem.

Kilka minut później podjechał czarny mercedes. Wsiadłem i poleciłem kierowcy, żeby jechał do Mentony, francuskiego miasta w kierunku przeciwnym niż lotnisko w Nicei. Tak wczesny wyjazd miał tę dobrą stronę, że drogi były puste, zauważyłbym więc, gdyby ktoś nas śledził.

Po drodze do Mentony bez przerwy zerkałem przez tylną szybę. Nikt nie siedział nam na ogonie, kazałem więc kierowcy zawrócić w kierunku Nicei.

Zadzwoiłem do Marka i oczywiście go obudziłem. Powiedziałem mu, co się stało ze Swietłaną, po czym podzieliłem się obawą, że FSB nas namierza. Poprosiłem, żeby przyjechał i spotkał się ze mną przy stanowisku odpraw British Airways na nicejskim lotnisku.

– Tu nie jest bezpiecznie. Pokazaliśmy nasz film. Resztę możemy robić z Londynu.

– Bill, przesadzasz. Mnie nie namierzają. I nie pójdę z żadną Rosjanką, obiecuję. Pozwól mi skończyć to, po co tu przyjechaliśmy.

Ustąpiłem. Wróciłem do Londynu sam. Przez następne dni Mark systematycznie wydeptywał ścieżki do delegacji parlamentarnych z poszczególnych krajów Europy, przekonywał je do przyjęcia rezolucji w sprawie Magnitskiego i prawie nie napotykał sprzeciwu.

W dniu głosowania z Markiem skontaktował się niejaki Neil Simon z biura prasowego Spencera Olivera. Przed podjęciem pracy w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy Neil pracował nad ustawą Magnitskiego w Senacie USA i znał Marka bardzo dobrze.

Ledwie Mark zdążył odebrać telefon, Neil wypalił:

– Nie uwierzysz, co ci powiem. Dmitrij Klujew i Andriej Pawłow właśnie rozmawiają ze Spencerem.

– Co? – wykrztusił Mark.

– Klujew jest u Spencera i...

– Co on tam robi?

– Próbuje namówić Spencera, żeby zdjął z porządku obrad rezolucję w sprawie Magnitskiego.

– Dmitrij Klujew? Nasz Dmitrij Klujew?

– Tak!

Mark zaniemówił.

Rosyjska FSB miała w repertuarze wiele narzędzi, ale żeby wydelegować bossa organizacji przestępczej na rozmowę z szefem międzynarodowej organizacji politycznej? To było coś nowego.

Mark poprosił Neila o zdjęcie. Po kilku sekundach miał już w telefonie fotografię Klujewa i Pawłowa siedzących na kanapie w tymczasowym gabinecie Spencera Olivera na terenie Grimaldi Forum. Nigdy wcześniej Mark ani nikt z nas nie widział tak wyraźnej podobizny Klujewa.

Mark oddzwonił do Neila.

– Potrzebujemy więcej – oznajmił. Gdybyśmy mieli więcej zdjęć albo – jeszcze lepiej – nagranie wideo, moglibyśmy je wykorzystać, żeby tchnąć życie w postać Dmitrija Klujewa.

Neil odmówił.

– To zbyt ryzykowne. Wylecę z roboty.

Mark popędził do centrum prasowego, desperacko szukając kogoś, kto mógłby mu pomóc. Główny hol był pusty, tylko ekipa gruzińskiej telewizji siedziała na kawie. Mark podbiegł do nich i ledwie udało mu się wyhamować przed Ketewan Kardawą, znajomą reporterką.

– Ketewan, potrzebuję twojej kamery!

Kamerzysta, który przypominał raczej zawodnika rugby niż pracownika telewizji, zapytał szorstko:

– Dlaczego miałbym ci dawać swoją kamerę?

– Byliście wczoraj na pokazie naszego filmu, prawda?

– Byliśmy – przytaknął kamerzysta.

– Dmitrij Klujew jest tutaj.

– Co takiego?

– Jest tutaj. Gwiazda naszego filmu. Na spotkaniu ze Spencerem Oliverem!

Gruzini popatrzyli po sobie z niedowierzaniem.

– Niemożliwe – odparła Ketewan.

Mark sięgnął po telefon i pokazał jej zdjęcie przysłane przez Neila, trzymając aparat w wyciągniętej ręce.

Zrobiła wielkie oczy. Przez kilka sekund rozmawiali ze sobą po gruzińsku, po czym Ketewan rzuciła:

– Idziemy.

(Rosja najechała Gruzję w 2008 roku, dlatego rany – te emocjonalne i te psychiczne – jeszcze się nie zagoiły, a Gruzini z Rosjanami z pewnością się nie kochali).

Wszyscy troje pobiegli do schodów ruchomych w holu głównym, tam ustawili się i czekali. Kilka minut później nadeszli Dmitrij Klujew i Andriej Pawłow w towarzystwie dwóch pracowników rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Klujew i Pawłow nosili zawieszki z oficjalnym identyfikatorem OBWE. Dostali je jako członkowie delegacji Rosji, choć żaden z nich nie pełnił oficjalnej funkcji w rosyjskich władzach.

Gruzini zaczęli filmować. Klujew udawał, że ich ignoruje. Trochę się przygarbił, zsunął przez głowę tasiemkę z identyfikatorem i schował ją do kieszeni. Rozglądał się nerwowo, wszedł na schody ruchome i jechał na górę w kierunku wyjścia.

Gruzinom udało się nagrać mniej więcej minutę materiału, ale tyle nam wystarczyło.

Klujew wyszedł z budynku. Ekipa wróciła do centrum prasowego, zgrała materiał na serwer i przesłała Markowi link.

Nieoczekiwana obecność Klujewa w Monako wydawała się zbyt piękna, żeby była prawdziwa. Spencer Oliver nie zgodziłby się na rozmowę z Dmitrijem Klujewem, gdyby rząd Rosji oficjalnie nie poprosił go o to spotkanie. Cała sytuacja tylko wsparła naszą tezę: zorganizowana grupa przestępcza Klujewa i rosyjskie władze wzajemnie się przenikały.

Kilka godzin, które zostały do głosowania nad rezolucją, Mark poświęcił na rozmowy z parlamentarzystami, żeby jak najwięcej z nich zobaczyło nagranie Klujewa podczas sesji.

Wątpliwości zgłaszane po moim wystąpieniu wyparowały. Doszło do głosowania i rezolucja w sprawie poparcia ustawy Magnitskiego przeszła jak burza: dwieście dziewięćdziesiąt jeden do osiemnastu. Przeciwno głosowały tylko delegacje Rosji, Białorusi i Kazachstanu.

Rosjanie ewidentnie przeszarżowali. Prawdę mówiąc, wykonali nasze zadanie znacznie lepiej, niż zrobilibyśmy to my sami. Nie tylko nie zdołali zapobiec rezolucji w sprawie Magnitskiego, lecz także swoimi działaniami przypieczętowali własną porażkę. W dodatku udało nam się wyciągnąć Klujewa z cienia anonimowości.

Mark powrócił do domu zwycięsko, potem zaś nadeszły jeszcze lepsze wieści. Na podstawie doniesień po sesji w Monako szwajcarski wymiar sprawiedliwości podjął decyzję o zamrożeniu rachunków Klujewa w bankach szwajcarskich.

Był to drugi nakaz zabezpieczenia w sprawie Magnitskiego. I znów nie ostatni.

ROZDZIAŁ 12

Mołdawskie dane

Lato 2012

Niedługo po powrocie z Monako, gdy pewnego ranka szykowałem się w Londynie do pracy, zadzwonił Bill Alpert. Nie kontaktowałem się z nim od pewnego czasu.

– Znalazłem coś w Nowym Jorku! – wykrzyknął.

Od publikacji tekstu na temat rachunków w szwajcarskich bankach sprawa Magnitskiego stała się jego obsesją. Szukając kolejnych źródeł informacji i rozpracowując kolejne wątki, zyskał dostęp do bazy danych zawierającej wszystkie przelewy gotówkowe banku o nazwie Banca de Economii działającego w Mołdawii, małym kraju wciśniętym między Ukrainę i Rumunię, byłej republice Związku Radzieckiego.

Bazę danych pozyskała niedawno utworzona organizacja pozarządowa Projekt Zgłaszania Przemocności Zorganizowanej i Korupcji (ang. Organized Crime and Corruption Reporting Project, OCCRP) stanowiąca luźną konfederację dziennikarzy śledczych, którzy zajmują się problemem korupcji w Europie Wschodniej i Rosji. Jej działalność koordynowano za psie pieniądze z ośrodków w Sarajewie i Bukareszcie. Gdy pierwszy raz usłyszałem tę nazwę, skojarzyła mi się raczej z przykrywką dla pralni brudnych pieniędzy niż z organizacją antykorupcyjną. Potem się okazało, że autentycznie działają.

W Kiszyniowie, stolicy Mołdawii, OCCRP miał swojego człowieka, któremu udało się skopiować plik policyjny zawierający między innymi bazę danych na temat przelewów w Banca de Economii. Te dane trafiły do Billa Alperta i do nas.

Było to istotne odkrycie. Dotychczas Wadim mógł prześledzić przepływ wyłudzonych pieniędzy właściwie tylko do granicy Rosji – z dwoma wyjątkami: jedenastoma milionami dolarów, które wylądowały w Szwajcarii, pięćdziesięciopięciomilionową kwotą przelaną na konta dwóch mołdawskich przedsiębiorstw z rachunkami w Banca de Economii. Tam jednak ślad się urywał.

Mołdawskie dane pozwoliły Wadimowi odkryć, dokąd te pieniądze trafiły później. Ponieważ chodziło o przelewy dolarowe, niektóre z nich pojawiły się nawet w wykazach, które pozyskaliśmy dzięki decyzji nowojorskiego sądu.

Teraz wiedzieliśmy znacznie więcej. Wadimowi udało się ustalić, że z Mołdawii pieniądze przelano do takich miejsc jak Cypr, Litwa, Łotwa i Estonia. Niestety, ani OCCRP, ani my nie mieliśmy dostępu do danych o transakcjach bankowych w tych krajach. Ponieważ chodziło o kraje członkowskie Unii Europejskiej, dobra ochrona danych oznaczała, że nie mogliśmy po prostu kupić interesujących nas informacji, jak to zrobiliśmy w Rosji.

Nasz londyński zespół zaczął pracować nad zawiadomieniami o popełnieniu przestępstwa, które zamierzaliśmy złożyć w każdym z tych krajów, do których wpłynęły brudne pieniądze. Mieliśmy nadzieję w ten sposób doprowadzić do wszczęcia postępowań prokuratorskich i uzupełnić naszą mapę o nowe miejsca, które będziemy mogli na niej oznaczyć.

Bill Alpert znalazł jeszcze jeden sposób wykorzystania tych informacji. Zamiast łączyć kropki linearnie, podążając śladem wyłudzonych pieniędzy z Rosji przez wszystkie kraje tranzytowe do punktu docelowego, co mogło nam zająć długie lata, opracował sprytną strategię mogącą dać ten sam rezultat.

Mołdawski plik zawierał zapisy dotyczące dziesiątek przedsiębiorstw naftowych o nieznanym nikomu nazwach typu Dexterson, Green Pot Industrial Corporation, Prevezon Holdings czy Malton International. Bill zaczął szukać tych nazw we wszystkich bazach danych o nowojorskich nieruchomościach, jakie tylko wpadły mu w ręce. Wyszedł z założenia, że jeden lub kilku złodziei mogło kupić nieruchomość na Manhattanie za część tych dwustu trzydziestu milionów.

Noc w noc po napisaniu tekstów o giełdzie Bill ślęczał do późna nad rejestrami i umowami z nadzieją, że z prawnego żargonu da się coś wyłowić.

Wyglądało na to, że wreszcie mu się udało.

– Trafiłem na jedną z tych firm – powiedział mi przez telefon tamtego ranka. – Prevezon. Nie wiem, kto jest właścicielem, ale kosi nieruchomości w Nowym Jorku jak świeżą trawę.

– Niemożliwe!

– Też nie mogłem uwierzyć. Poszczyściło mi się dopiero dzisiaj, to znaczy w nocy. Która jest godzina? – W Londynie była ósma rano, czyli trzecia nad ranem w Nowym Jorku. – Teraz muszę się trochę przespać. Jutro pójde obejrzeć te nieruchomości, ale chciałem ci dać znać od razu.

– Ty się kładź, a ja powiem Wadimowi, żeby sprawdził, co da się znaleźć na temat firmy Prevezon.

– Świetnie. Zadzwoń później. To ważne odkrycie.

Gdy Wadim przyszedł do firmy tamtego ranka, szybko znalazł firmę Prevezon Holdings w naszej mołdawskiej bazie danych: zarejestrowano ją na Cyprze. Dwie mołdawskie firmy wydmuszki przelały na jej konto 857 764 dolary ze skradzionych dwustu trzydziestu milionów. Los się do nas uśmiechnął. W odróżnieniu od takich miejsc jak Brytyjskie Wyspy Dziewicze i Panama, gdzie beneficjenci rzeczywiści spółek są ukryci, Cypr ma otwarty rejestr. Wystarczy otworzyć wyszukiwarke internetową i wstukać nazwę, by się dowiedzieć, do kogo należy dana firma.

W ten sposób Wadim ustalił, że firma Prevezon Holdings należy do Rosjanina o nazwisku Denis Kacyw.

Proceder prania brudnych pieniędzy przypomina matrioszkę: otwiera się jedną firmę wydmuszkę, wewnątrz znajduje się kolejna i tak dalej. Gdy wreszcie dotrze się do ostatniej, w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto okazuje się, że należy ona do bezrobotnego alkoholika, wędrownego instruktora jogi albo jakiejś innej przypadkowej osoby, która zgodziła się użyczyć swoich dokumentów w zamian za kilkaset dolarów. Taka osoba nie ma pojęcia, że jest nominalnym właścicielem firmy wydmuszki, która może wyprać miliony, a czasem miliardy dolarów.

Początkowo Wadim zakładał, że Denis Kacyw jest właśnie kimś takim. Wystarczyło wpisać jego nazwisko do Yandeksu, rosyjskiego odpowiednika wyszukiwarki Google, żeby się okazało, że to syn Piotra Kacywa, wysoko postawionego urzędnika państwowego Rosji.

Wieczorem znów zatelefonował do mnie Bill Alpert.

– Nieruchomości są bardzo przyzwoite. Apartamenty w dawnej siedzibie JPMorgan, ściśle centrum, pod dwudziestym przy Pine Street. Budynek

wygląda jak Rockefeller Center, ma nawet stół do bilardu w byłym skarbcu. Konsjerż, ogród na dachu, wszystko na dobrym poziomie. Naprawdę przyzwoite miejsce.

Ponadto Bill ustalił, że firma Prevezon kupiła apartamenty od Lwa Lewiewa, rosyjsko-izraelskiego potentata handlu brylantami.

Oniemiałem.

Na firmę Prevezon Denis Kacyw nabył kilka nowojorskich nieruchomości łącznie za siedemnaście milionów dolarów, czyli o wiele więcej niż te osiemset pięćdziesiąt kilka tysięcy, które namierzyliśmy. Nie mieliśmy też pojęcia, dlaczego Kacyw otrzymał te pieniądze. Samo odkrycie, że syn wysokiego rangą rosyjskiego urzędnika jest powiązany z wyłudzonymi dwustoma trzydziestoma milionami, uznaliśmy za przełomowe.

– Domyślam się, że zrobisz z tego duży tekst w „Barron’s” – powiedziałem.

– Owszem, przyszło mi to do głowy.

Redakcja „Barron’s” i OCCRP zgodziły się koordynować planowane teksty. Uzgodniono, że „Barron’s” opublikuje swój materiał w wydaniu papierowym i w sieci, OCCRP zaś swój na stronie internetowej, obydwaj 12 sierpnia.

Gdy zbliżała się data publikacji, moja ekscytacja rosła. Wiedziałem, jak na poprzedni raport Billa Alperta zareagowała Szwajcaria, i wyobrażałem sobie, że władze Stanów Zjednoczonych zrobią to samo. Jeśli dopisze nam szczęście, przed końcem lata zostanie wydany nakaz zabezpieczenia nowojorskiego majątku Denisa Kacywa, a przeciwko niemu samemu będzie się toczyło śledztwo w sprawie prania brudnych pieniędzy.

Wieczorem przed planowaną publikacją materiałów zadzwoniłem do Billa.

– Jak idzie? – zapytałem, mając nadzieję, że opowie mi ze szczegółami, jak Denis Kacyw wszystkiemu zaprzeczał, gdy Bill poprosił go o komentarz.

Zamiast tego powiedział ponurym głosem:

– Przykro mi, Bill, materiał został zdjęty. Nasi prawnicy nie zgodzili się na publikację.

– Co takiego? Może da się ich nakłonić do zmiany zdania?

– Nie – odpowiedział. Widocznie radca prawny wydawnictwa nie chciał ryzykować procesu, nawet jeśli tekst zawierał żelazne argumenty. – Nie wolno mi zdradzać szczegółów, ale możesz być pewien, że jestem jeszcze bardziej wkurwiony niż ty.

Kończyłem rozmowę w fatalnym nastroju. Bez tekstu opublikowanego w Stanach Zjednoczonych raczej nie mogliśmy liczyć, że Amerykanie podejmą działania prawne przeciwko Prevezonowi.

Na szczęście władze OCCRP nie miały takich ograniczeń, opublikowały więc swój tekst. Chociaż strona internetowa tej organizacji miała nie więcej niż jedną tysięczną odsłon portalu „Barron’s” i mało kto w Stanach Zjednoczonych o niej wiedział, na szczęście dla nas zaglądał na nią pracownik monitorujący ryzyko prawne zuryckiego banku UBS, w którym Prevezon zdeponował siedem milionów dolarów. Po przeczytaniu artykułu sporządził on zgłoszenie o podejrzanej transakcji i przekazał je odpowiednim władzom szwajcarskim. Takie zgłoszenia działu compliance różnych banków przesyłają rutynowo, gdy natrafią na jakiegokolwiek informacje o podejrzanej działalności; w ten sposób uwalniają się od odpowiedzialności prawnej, jeśli ich klienci okażą się później kryminalistami.

Na całym świecie codziennie przekazuje się do odpowiednich organów tysiące zgłoszeń o podejrzanej działalności i niemal wszystkie są ignorowane. Nie to. Niedługo po otrzymaniu informacji władze szwajcarskie wydały nakaz zabezpieczenia, który objął siedem milionów dolarów przechowywane przez Prevezon w banku UBS.

Trzeci nakaz zabezpieczenia w sprawie Magnitskiego.

Postanowiłem, że następny musi być Nowy Jork.

Adam Kaufmann chciał nowojorskiego ogniwa, no to teraz je miał.

ROZDZIAŁ 13

Hotel Le Bristol

Jesień 2012

Trzy miesiące później, 8 listopada 2012 roku, Aleksandr Pierieplicznyj poleciał do Paryża spotkać się ze swoją kochanką, dwudziestoosmioletnią Elmirą Medynską. Wysoka Ukrainka wyglądała jak karykatura lalki Barbie: miała farbowane blond włosy, napompowane wargi i nieprawdopodobnie długie nogi.

Spotkali się w hotelu Le Bristol, jednym z najbardziej wykwintnych paryskich hoteli, w którym Pierieplicznyj zarezerwował pakiet o nazwie „Romantyczny” w cenie tysiąc czterysta euro za noc. Łóżko w ich apartamencie posypano płatkami róż. W wiaderku z lodem stojącym obok tacy z ciasteczkami czekała butelka szampana.

Pierieplicznyj chciał i zaimponować kochance, i uciec od swoich problemów. Po południu zjedli lunch w Hotel George V, potem poszedł do apteki po paczkę prezerwatyw. Resztę dnia spędzili w łóżku. Wieczorem poszli na kolację do L’Ecrin, wyróżnionej gwiazdką Michelina restauracji w Hotel de Crillon.

Następnego popołudnia Pierieplicznyj zabrał Elmirę na zakupy przy ulicy Saint-Honore. W sklepach Yves’a Saint Laurenta, Louboutina i Prady wydał kilka tysięcy na torebkę i szpilki. Chciał też kupić jej futro. Uznała, że to za dużo, i odmówiła.

Na ostatni wspólny wieczór wybrali się do restauracji Budda Bar w ósmej dzielnicy. Zamówili sushi i tempurę. Od początku pobytu w Paryżu Pierieplicznyj zachowywał się swobodnie, teraz był poruszony i nerwowo się rozglądał. W połowie posiłku kazał zabrać swój talerz, narzekając przy tym, że danie jest nieświeże.

Po powrocie do hotelu Elmira naląa sobie kieliszek wina i usiadła, opierając nogi na kanapie. Pierieplicznyj chciał do niej dołączyć. Niestety, nie mógł. Większość nocy spędził w toalecie, wymiotując. W końcu doczołgał się do łózka.

Rano czuł się wystarczająco dobrze, żeby zjeść śniadanie. Później spakowali bagaże i pojechali taksówką na lotnisko. Tam porozmawiali o kolejnym spotkaniu, uścisnęli się i każde poszło swoją drogą.

Na lotnisko Heathrow po Pierieplicznego przyjechał jego stały kierowca, który zabrał go do domu na strzeżonym luksusowym osiedlu St. George's Hill w podlondyńskim hrabstwie Surrey. Żona podała mu jedną z jego ulubionych ukraińskich potraw, zupę szczawiową.

Podczas lunchu córka skarżyła się, że szwankuje jej komputer. Kiedy zjedli, Pierieplicznyj zabrał ją więc do pobliskiego Brooklands Shopping Centre, żeby sprawdzić, czy komputer da się tam naprawić. Po powrocie do domu przebrał się w strój sportowy i poszedł pobiegać. W połowie treningu poczuł, że trudno mu oddychać. Potem osunął się na ziemię.

Zauważył to kucharz pracujący u jednego z sąsiadów i wybiegł na zewnątrz, dzwoniąc pod numer alarmowy. Kucharz służył wcześniej w brytyjskich siłach specjalnych, wiedział więc, jak prowadzić resuscytację krążeniowo-oddechową. Między kolejnym uciskiem klatki piersiowej a kolejnym wdechem z ust Pierieplicznego pociekła zielonkawa piana. Kucharz otarł twarz i splunął na ziemię. Później powiedział, że poczuł smak jakby kwasu akumulatorowego.

Po kilku minutach nadjechała karetka. Ratownicy medyczni uklękli wokół pacjenta i zastąpili kucharza. Ciało Pierieplicznego było zimne, wilgotne i nie reagowało na bodźce.

Reanimacji zaprzestali o siedemnastej pięćdziesiąt dwie. Był 10 listopada 2012 roku.

Kolejny świadek w sprawie Magnitskiego nie żył.

ROZDZIAŁ 14

Nowojorskie ogniwo

Zima 2012–2013

Wiadomość o śmierci Pierieplicznego dotarła do mnie sześć dni później, w trzecią rocznicę zamordowania Siergieja. Tak się akurat złożyło, że tego dnia w Waszyngtonie Izba Reprezentantów Stanów Zjednoczonych przegłosowała ustawę Magnitskiego.

O jej przygotowanie zabiegaliśmy ponad dwa lata, teraz wreszcie nasz trud wydał owoce. Boris Niemcow dotrzymał złożonej w Helsinkach obietnicy i wiele razy opowiadał się za ustawą Magnitskiego podczas wizyt na Kapitolu. W dużej części dzięki zaangażowaniu Borisa ustawa przeszła tego dnia stosunkiem głosów trzysta sześćdziesiąt pięć do czterdziestu trzech. W ciągu kilku tygodni miała trafić do Senatu i było pewne, że prezydent podpisze ją zaraz potem.

Powinienem popaść w euforię – i jakaś część mnie zareagowała euforycznie – ale nagła śmierć Pierieplicznego położyła się cieniem na naszym sukcesie w Waszyngtonie. W odróżnieniu od Siergieja Pierieplicznij nie był ani naszym przyjacielem, ani współpracownikiem, ale odegrał ważną rolę w ujawnieniu wypranych pieniędzy. Nieważne, jaką miał motywację ani co robił wcześniej. Wiele ryzykował i stracił życie.

Jego śmierć była nie tylko tragiczna, lecz także przerażająca. Wszystko na to wskazywało, że Rosjanie posyłali na Zachód zabójców, żeby wziąć odwet na ludziach, którzy ujawnili udział przedstawicieli rosyjskiej władzy w sprawie Magnitskiego.

Jeśli istniał właściwy moment, żeby zaangażować w sprawę władze Stanów Zjednoczonych, to właśnie nadszedł.

Do Nowego Jorku poleciałem 4 grudnia. Wiozłem grubą szarą kopertę zawierającą sześciostronicowe zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa oraz sto sześćdziesiąt sześć stron uprawdopodobniających je dokumentów i dowodów rzeczowych. Zawiadomienie opisywało związki między spółką Prevezon, Denitem Kacywem i ukradzionymi dwustoma trzydziestoma milionami dolarów. Zamierzałem wręczyć je osobiście Adamowi Kaufmannowi w siedzibie nowojorskiej prokuratury.

Piątego grudnia wybrałem się do gmachu przy Hogan Place 1 na dolnym Manhattanie. Granitowa fasada wyglądała dostojnie i imponująco, natomiast hol główny był ponury, wręcz groźny. Poszedłem za grupą osób, które wyglądały na detektywów albo kiepsko opłacanych obrońców z urzędu. Ustawiliśmy się w kolejce do wykrywacza metalu obsługiwanego przez opryskliwych funkcjonariuszy, którzy instruowali nas szczekliwymi głosami z silnym nowojorskim akcentem. Nikt nie wyglądał na zadowolonego. Panowała atmosfera rezygnacji, czułem tłącą się agresję. Wszyscy ci ludzie przyszli, bo musieli; nikt nie chciał tam być.

Nikt oprócz mnie.

W gabinecie Adama moją uwagę zwróciły kartonowe pudła do przeprowadzki. Zignorowałem je, gdy się z nim witałem.

– Usiądź – powiedział ciepło. – Przyprawdę kilka osób.

Wrócił po minucie i przedstawił mnie Duncanowi Levinowi, który kierował wydziałem konfiskaty aktywów, i jeszcze jednemu mężczyźnie.

– Ten facet to nie jest gawędziarz – zwrócił się do kolegów, wskazując na mnie kciukiem. – Wysłuchacie go z zainteresowaniem. Jestem pewien.

Siedliśmy przy sfatygowanym stole konferencyjnym obstawionym krzesłami nie do kompletu.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, powiedziałaś mi, że mam się skontaktować, jeśli znajdę ogniwo nowojorskie – zacząłem. – No więc znalazłem. – Sięgnąłem do torby, wyjąłem nasz wniosek i po blacie stołu przesunąłem do Adama. – Ustaliliśmy, że prawie milion dolarów ze sprawy Magnitskiego przeznaczono na zakup nieruchomości na dolnym Manhattanie.

Atmosfera w pomieszczeniu nagle się zmieniła. Najwyraźniej Adam zakładał, że to będzie kolejne spotkanie o wszystkim i o niczym, teraz jednak dotarło do niego, że przyszedłem z czymś konkretnym. Pokazałem im zdjęcia nieruchomości i opisałem drogę, którą przebyły ukradzione pieniądze.

– Skąd to wszystko wzięłeś? – zapytał Adam.

– Część z rosyjskich baz danych, część z akt policji mołdawskiej, część z rejestru publicznego tutaj, w Nowym Jorku.

Duncan, specjalista od konfiskaty aktywów, mruknął z uznaniem. Rezultaty naszych działań mu zaimponowały.

Zaoferowałem im więcej, niż przyzwyczaili się dostawać. Zazwyczaj gdy ktoś przychodzi do prokuratury zgłosić przestępstwo, mówi coś w rodzaju: „Zostałem obrabowany. Zróbcie coś”. Nie zdarza się, żeby ktoś przyszedł i powiedział: „Zostałem obrabowany. Sprawca jeździ samochodem o takim a takim numerze rejestracyjnym, mieszka tu i tu, skradzione przedmioty ukrył tu i tu, za zyski z przestępstwa kupił to i to”.

Moje zgłoszenie wyglądało właśnie tak.

Adam wraz z zespołem musieli oczywiście przeprowadzić śledztwo i zebrać dowody, natomiast mogli wykorzystać nasze zawiadomienie jako podstawę do aktu oskarżenia w sprawie o pranie brudnych pieniędzy.

Adam dźgnął dokumenty palcem.

– Możemy się tym zająć.

– Świetnie – ucieszyłem się. – Kiedy zaczniesz?

– No cóż... – powiedział powoli. – Nie zacznę. Widzisz te pudła?

– Tak – potwierdziłem.

– Przechodzę do prywatnej praktyki. Złapałeś mnie kilka dni przed końcem pracy w prokuraturze.

– Yyy... Czyli mam ci gratulować?

Roześmiał się.

– Nie martw się, Bill. Duncan nigdzie się nie wybiera. Jeśli wszystko tutaj się potwierdzi, poprowadzi sprawę. – Duncan skinął uspokajająco głową.

Właśnie na taką reakcję miałem nadzieję.

Następnego dnia Senat Stanów Zjednoczonych przyjął ustawę Magnitskiego przy dziewięćdziesięciu dwóch głosach za i czterech przeciw. Prezydent Obama podpisał ją 14 grudnia 2012 roku.

Poczułem, że sytuacja się zmienia.

Po Bożym Narodzeniu zadzwonił Duncan.

– Bill, chciałbym cię skontaktować z agentem SIC.

– SIC? – Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi.

– Służb Imigracyjnych i Celnych – wyjaśnił.

Zabrzmiało dziwnie. Dotychczas służby imigracyjne kojarzyły mi się z umundurowanymi funkcjonariuszami, którzy sprawdzali paszporty na lotnisku JFK, albo ludźmi w dżipach patrolującymi granicę Stanów Zjednoczonych z Meksykiem.

– Czy to znaczy, że nie zajmiecie się naszym wnioskiem?

– Po prostu chcę, żeby się przyjrżeli. Ludzie z SIC prowadzą też sprawy brudnych pieniędzy.

– Rozumiem. Pewnie, skieruj go do mnie.

Potrwało to kilka tygodni, ale w końcu odebrałem telefon od agenta specjalnego Todda Hymana z SIC. Moje pierwsze wrażenie było takie, że nie brzmi on jak agent specjalny. Miał akcent z prowincji, ciepły, gawędziarski głos i zwracał się do mnie per Bill. Powiedział, że skończył MBA w Baruch College na Manhattanie i pracował w Deloitte & Touche, zanim przeszedł do służb rządowych. Kojarzył mi się bardziej z ludźmi zatrudnionymi w moim funduszu hedgingowym niż z agentem federalnym, który nosi odznakę i broń. Przynajmniej zakładałem, że je nosi.

Na koniec rozmowy zapytałem, czy podejmą śledztwo w tej sprawie. Uprzejmie, ale stanowczo odrzekł:

– Tego nie mogę powiedzieć. Będziemy w kontakcie.

No i potem nikt się ze mną nie skontaktował...

Tymczasem rozwścieczeni Rosjanie na oślep mścili się za uchwalenie ustawy Magnitskiego.

Po raz pierwszy od czasów zimnej wojny Stany Zjednoczone nałożyły sankcje na Rosję i Putin dostał szału. Natychmiast zareagował, zakazując adopcji rosyjskich sierot przez rodziny amerykańskie. Decyzja straszna nawet na pierwszy rzut oka, stawała się jeszcze bardziej haniebna po sprawdzeniu szczegółów. Do adopcji zagranicznej Rosja przeznaczała dzieci chore, cierpiące na zespół Downa, rozszczepienie kręgosłupa albo alkoholowy zespół płodowy, które często nie miały szansy na przeżycie w rosyjskim sierocińcu. Zabraniając Amerykanom adoptowania tych dzieci, Putin właściwie skazywał je na śmierć, żeby chronić swoich skorumpowanych oficjeli. To było wyjątkowe draństwo nawet jak na jego zdeprawowane standardy.

Putin zaangażował się też osobiście w tuszowanie zamordowania Siergieja. Podczas dorocznej konferencji prasowej oznajmił, że Siergiej nigdy nie był torturowany i zmarł po prostu „na atak serca”. To znaczyło, że w Rosji śledztwa w sprawie Siergieja nie będzie.

Wszczęto za to inne śledztwa. Podczas tej samej konferencji prasowej Putin wymienił z nazwiska i Siergieja, i mnie w związku z rzekomymi przestępstwami gospodarczymi, których się dopuściliśmy. Tydzień później moskiewski sąd wyznaczył datę mojego procesu in absentia.

Nie tylko ja zostałem oskarżonym.

Razem ze mną postanowili sądzić Siergieja – pośmiertnie. To był pierwszy w historii Rosji przypadek postawienia przed sądem osoby zmarłej. Nie zamierzali wykopać jego zwłok i sadzać ich na ławie oskarżonych, jak to robiły niektóre średniowieczne sądy, ale postanowili zrobić coś równie paskudnego. Zamiast Siergieja na ławie oskarżonych miała zasiąść wdowa po nim. Na szczęście niedługo przedtem zdążyłem ewakuować Nataszę i jej młodego syna Nikitę do Wielkiej Brytanii, gdzie byli bezpieczni.

Początek rozprawy przeciwko Siergiejowi i mnie wyznaczono na pierwsze dni marca 2013 roku.

Putin używał całej siły rosyjskiego rządu, by zniszczyć każdą osobę powiązaną ze mną albo ze sprawą Magnitskiego, i nie cofał się nawet przed morderstwem. Jediną szansą na podjęcie walki było pozyskanie silnych sojuszników. Za najlepszego sojusznika uznałem wymiar sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych.

Nie wyglądało na to, że stanie on po naszej stronie. Adam Kaufmann przeszedł do prywatnej praktyki, Duncan Levin wydawał się zainteresowany, lecz później przekazał mnie agentowi specjalnemu Hymanowi, ten zaś odbył ze mną rozmowę i zniknął.

Miałem wtedy poczucie, że zostaliśmy całkiem sami.

ROZDZIAŁ 15

Prokurator Stanów Zjednoczonych dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku

Zima–wiosna 2013

Duncan w końcu zadzwonił. Zapytał, czy mogę przyjechać do Nowego Jorku na spotkanie z pracownikami wydziału zajmującego się konfiskatą mienia w biurze Prokuratora Stanów Zjednoczonych dla Dystryktu Południowego Nowego Jorku.

Czyli jednak nie byliśmy sami. Coś się szykowało.

Dotychczas kontaktowałem się z prokuratorami stanowymi Nowego Jorku, ale rozmowa z federalną prokuraturą Stanów Zjednoczonych to zupełnie inna sprawa. Fakt, że chodziło o południowy dystrykt Nowego Jorku, ze względu na wyjątkową bezstronność i niezależność powszechnie nazywany „dystryktem suwerennym”, jeszcze zwiększał potencjał tego spotkania.

W lutym poleciałem do Nowego Jorku i pewnego szarego dnia wybrałem się na St. Andrews Plaza. Do budynku z numerem jeden dojazdu nie było, taksówkarz wysadził mnie więc niedaleko Foley Square, przy trójkątnym, porośniętym suchą trawą i gołymi platanami klinie wbitym w bezładną betonową dżunglę siedzib instytucji wymiaru sprawiedliwości. Zabłądziłem. Najpierw wszedłem do budynku Sądu Federalnego. Później do więzienia Metropolitan Correctional Center. Po dziesięciu minutach znalazłem wreszcie prokuraturę federalną, szpetną budowlę, która wyglądała jak forteca i zupełnie nie pasowała do majestatycznych gmachów rządowych w sąsiedztwie.

Byłem spóźniony. Zaanonsowałem swoje przybycie, po czym sekretarka zaprowadziła mnie do dużej, pozbawionej okien sali konferencyjnej na

ósmym piętrze, w której stał długi stół otoczony rzędami półek wypełnionych prawniczymi tomami o czerwonych grzbietach. Naprzeciwko wejścia znajdowało się godło Prokuratury Stanów Zjednoczonych dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku. Choć wyposażenie sali było przydziałowe i raczej sfatygowane, wiedziałem, że znajduję się w centrum jednego z najpotężniejszych organów wymiaru sprawiedliwości na świecie.

Sala mogła pomieścić około dwudziestu osób i ze zdumieniem stwierdziłem, że jest w połowie wypełniona. Podeszedłem do każdego z obecnych, żeby się przedstawić. Czekali już na mnie Duncan Levin, któremu towarzyszył jeden z asystentów, Todd Hyman wraz z kolegą z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz kierująca wydziałem konfiskaty mienia Sharon Levin (niespokrewniona z Duncanem) z dwoma pracującymi dla niej prawnikami.

Przy stole zasiadło również dwóch mężczyzn, którzy nie wręczyli mi swoich wizytówek, jako jedyni pozostali więc anonimowi. Dość miałem za sobą spotkań w instytucjach rządowych, żeby nie wiedzieć, że jeśli ktoś się nie przedstawia i nie zabiera głosu, to zazwyczaj pracuje dla wywiadu.

Duncan zaczął spotkanie, wyjaśniając, dlaczego przekazał sprawę do prokuratury federalnej. Gdyby jego urząd wszczął postępowanie w sprawie prania brudnych pieniędzy na podstawie nowojorskiego prawa stanowego, byłby zobligowany ścigać osobę fizyczną, to zaś oznaczało konieczność sprowadzenia do Stanów Zjednoczonych Denisa Kacywa i postawienie go przed sądem w Nowym Jorku. Ponieważ Stany Zjednoczone nie mają z Rosją umowy ekstradycyjnej, a Denis Kacyw nie oddałby się dobrowolnie w ręce nowojorskiego wymiaru sprawiedliwości, rozpoczęcie rozprawy nie byłoby możliwe.

Jednak jak wyjaśnił Duncan, prawo federalne nie nakłada obowiązku oskarżania konkretnego człowieka. Prokuratorzy federalni mogli po prostu iść do sądu, złożyć wniosek o wszczęcie postępowania w sprawie zajęcia aktywów i próbować przejąć nieruchomości kupione za nielegalne fundusze. W takim postępowaniu nikt nie trafia do więzienia, ale w obecnej sytuacji lepszego wyjścia nie było.

Zacząłem prezentację. Do sali konferencyjnej wszedł wtedy jeszcze jeden uczestnik spotkania.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział zdyszczym głosem. – Przybiegłem prosto z sądu.

– Bill, poznaj Paula Monteleoniego, asystenta prokuratora federalnego – przedstawiła Sharon. – Poprosiłam go, żeby poprowadził tę sprawę.

Paul był wysokim, trzydziestokilkuletnim mężczyzną z zadbanymi włosami i sylwetką biegacza. Chociaż miał tę samą rangę co pozostali uczestnicy spotkania i podlegał Sharon jako szefowej, budził szacunek wszystkich obecnych. Zupełnie jakby ona była pierwszym trenerem, on zaś gwiazdą wśród zawodników.

Monteleoni usiadł, więc kontynuowałem prezentację. Początkowo wydawał się zdekoncentrowany, ale po chwili przyłgął plecami do oparcia, zamknął oczy i zacisnął dłonie na poręczach krzesła. Od czasu do czasu otwierał oczy i wpatrywał się w sufit, po czym zadawał naprawdę celne pytanie. Odpowiadałem najlepiej, jak potrafiłem.

Spotkanie trwało dobrze ponad godzinę. Na koniec ruszyłem wokół stołu, żeby z każdym się pożegnać. Gdy podałem rękę Paulowi, powiedział:

– To była świetna prezentacja, ale czy w pańskim zespole jest ktoś, kto pomógłby mi lepiej zrozumieć kilka kwestii?

– Tak. Powinien pan porozmawiać z moim kolegą Wadimem Kleinerem. Jest naszym ekspertem.

– Może tu przyjechać?

– Absolutnie tak.

Wróciłem do Londynu i przekazałem Wadimowi, że czeka go podróż do Nowego Jorku.

Kilka tygodni później do gmachu przy St. Andrews Plaza 1 zawitał Wadim. Miał ze sobą laptop i walizkę na kółkach marki Samsonite wypchaną papierami. Udał się do gabinetu Paula i został przywitany przez kolejną grupkę ludzi. Najwidoczniej prokuratorom federalnym podczas oficjalnych spotkań zawsze towarzyszą inni prokuratorzy albo agenci służb rządowych.

Wadim pracował z Paulem i jego zespołem do dziewiątej wieczorem, długo po tym, jak wszyscy inni wyszli do domów. Wrócił następnego ranka o ósmej i znów został do późna. I tak przez kilka kolejnych dni. Na koniec tygodnia w naszym zawiadomieniu nie została ani jedna kwestia, której by nie poruszyli, i padły odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania.

Przynajmniej tak uważaliśmy.

Dwa tygodnie po powrocie do Londynu Wadim pojawił się w moim gabinecie wyraźnie zmartwiony.

– W Nowym Jorku powiedziałem Paulowi, że da się ustalić najniższe saldo pośrednie dla każdego rachunku w procesie prania pieniędzy. Teraz chce, żebym to zrobił.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi – proces prania brudnych pieniędzy Wadim rozumiał znacznie lepiej niż ja – ale wiadomość wydała mi się dobra.

– Więc w czym problem?

– Nie rozumiesz, Bill. Żeby to zrobić, musiałbym się przekopać przez dosłownie dziesiątki tysięcy transakcji ponad pięćdziesięciu spółek w kilkunastu międzynarodowych bankach. Niektóre z nich zaledwie na kilkaset dolarów. To trwałoby tygodniami.

– Jeśli powiedziałeś im, że możesz to zrobić, to teraz nie masz wyjścia.

Wadim odwrócił się i wyszedł przygnębiony. Przez następne dwa tygodnie przychodził do firmy pierwszy i wychodził ostatni, często po północy. Po tygodniu chodził już bez marynarki i bez krawata, choć zazwyczaj dbał o nienaganny ubiór. Pod jego oczami pojawiły się sińce. Nieraz słyszałem, jak w porze obiadowej spiera się z żoną, tłumacząc jej przez telefon, dlaczego nie jest z nią ani trójką ich synów.

Wreszcie skończył na początku kwietnia. Wymizerowany, ale zadowolony, przesłał swoją analizę do prokuratury federalnej w Nowym Jorku i miał nadzieję na chwilę wytchnienia.

Nic z tego. Niemal natychmiast prokuratorzy mieli do niego kolejną prośbę, a po niej następną. I jeszcze jedną, i jeszcze. Prokuratura federalna miała apetyt wilczy i nienasycony.

Na początku tego procesu każde kolejne pytanie z Nowego Jorku traktowałem jako potwierdzenie, że sprawa posuwa się naprzód. Po miesiącach przesyłania odpowiedzi zacząłem się obawiać, że nowojorskie śledztwo to jakieś biurokratyczne korowody, które prowadzą donikąd.

Ta obawa stawała się jeszcze bardziej przygnębiająca w świetle wydarzeń, które następowały w Moskwie. Szóstego marca rosyjska telewizja państwowa NTV w czasie najwyższej oglądalności nadała czterdziestopięciminutowy reportaż, jeśli to odpowiednie słowo, zatytułowany Lista Browdera. Wynikało z niego, że nie tylko unikałem podatków, ale też ukradłem 4,5 miliarda dolarów funduszu ratunkowego MFW sprzed nosa wszystkich międzynarodowych władz i rosyjskiego rządu oraz zabiłem byłego współnika Edmonda Safre, który zmarł tragicznie podczas pożaru jego domu w Monako w 1998 roku.

Tego rodzaju programy dokumentalne były emitowane przed każdym politycznym procesem pokazowym. Chodziło o przekonanie rosyjskich odbiorców, że oskarżony jest wyjątkowo ohydny indywidualnie.

Proces przeciwko Siergiejowi i mnie zaczął się tydzień później. W maju, gdy toczył się już pełną parą, Rosja wydała pierwszy czerwony alert w sprawie mojego aresztowania na żądanie Interpolu. Chociaż było to nieuniknione, mocno mną wstrząsnęło. Awansowałem na międzynarodową listę osób poszukiwanych przez Rosję.

Na szczęście po interwencji moich prawników Interpol usunął ten alert z systemu jako motywowany politycznie, to jednak nie powstrzymało reżimu Putina. Wykorzystanie Interpolu, który słynie z niedbałości podczas weryfikowania nakazów aresztowania wystawianych przez państwa autorytarne, jako broni przeciwko mnie było przygnębiające. Od tamtej pory ilekroć odprawiałem się gdzieś na granicy, istniało poważne ryzyko, że zostanę aresztowany i wydany Rosji.

W tej sytuacji bardziej niż kiedykolwiek potrzebowałem Stanów Zjednoczonych po mojej stronie. Pytałem Paula, na jakim etapie postępowania jest śledztwo w sprawie Prevezonu, ale za każdym razem unikał odpowiedzi.

Ponieważ wyjeżdżałem do Nowego Jorku w innej sprawie, postanowiłem porozmawiać z nim osobiście. Miałem nadzieję, że podczas spotkania w cztery oczy odpowie na moje pytania.

Do gmachu przy St. Andrews Plaza wróciłem w gorący letni dzień. Tym razem spotkali się ze mną Paul i Sharon Levin. Po wymianie uprzejmości zapytałem: „Coś z tego będzie, prawda?”. W odpowiedzi zobaczyłem dwie pokerowe twarze.

Wróciłem do Londynu, nie mając pojęcia, jak sprawa się zakończy. Prośby o informacje napływały dalej.

Wadim tyrał więc od świtu do nocy, tymczasem rosyjski proces przeciwko Siergiejowi i mnie dobiegł końca. Dziesiątego lipca 2013 roku obydwaj zostaliśmy uznani za winnych. Siergieja już zabili, nie mogli więc nic mu zrobić, natomiast mnie skazano zaocznie na dziewięć lat obozu pracy. Dysponując wyrokiem skazującym, Rosja wystąpiła o drugi czerwony alert w mojej sprawie. Tym razem Interpol się nie zgodził.

Jeszcze bardziej niż dotychczas chciałem poznać wyniki działań nowojorskich prokuratorów. Ku mojemu zaskoczeniu na początku sierpnia zamilkli. Żadnych e-maili, żadnych próśb o informacje. Nic. Nie

wiedziałem, co o tym myśleć. Czułem, że nasze szanse na podjęcie skutecznej walki słabną.

Minął sierpień. Zaczął się wrzesień. Prokuratura federalna nadal nie podejmowała żadnych działań prawnych.

Dziesiątego września odebrałem e-mail z adresu Paula Monteleoniego. Od siebie nie napisał ani słowa, żadnego przywitania, żadnych pozdrowień. W treści znalazłem tylko skopiowaną informację prasową pod tytułem Prokuratura Stanów Zjednoczonych składa wniosek o orzeczenie przepadku mienia korporacji na rynku nieruchomości rzekomo zamieszanych w pranie pieniędzy z oszustwa podatkowego w Rosji.

A więc stało się.

Prokuratorski wniosek obejmował cztery luksusowe apartamenty kupione przez firmę Prevezon, które Bill Alpert znalazł w dawnym budynku JPMorgan przy Pine Street.

Nie tylko. Podczas tych wielu miesięcy, gdy Paul i jego zespół bombardowali Wadima pytaniami, agent specjalny Todd Hyman przetrząsnął cały Nowy Jork w poszukiwaniu nabytków firmy Prevezon. Znalazł apartament na 49. Wschodniej, placówkę handlową przy 7. Alei oraz kilka rachunków prowadzonych w Bank of America.

Departament Sprawiedliwości wystąpił do sądu o wydanie nakazu zabezpieczenia wszystkich aktywów firmy Prevezon, także poza granicami Stanów Zjednoczonych. Wniosek obejmował nieruchomości i gotówkę w Nowym Jorku na łączną kwotę około dwudziestu milionów dolarów oraz trzy miliony euro aktywów zgromadzonych w Holandii.

Łączna kwota była ponad dwadzieścia siedem razy większa od 857 764 dolarów zidentyfikowanych przez nas na początku jako część wyłudzonych dwustu trzydziestu milionów, która trafiła do Nowego Jorku. Amerykańska prokuratura sięgnęła po wszystko, co zdołała znaleźć, i zamierzała przechwycić całe dwieście trzydzieści milionów, pod warunkiem że zdoła je zlokalizować.

Wniosek Prokuratora Stanów Zjednoczonych dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku był niezależnym i kompletnym potwierdzeniem wszystkiego, co mówiliśmy od 2008 roku. Departament Sprawiedliwości pokazał fakty czarno na białym i był gotów dowodzić ich w sądzie federalnym.

Następnego dnia sąd przychylił się do wniosku. To był czwarty nakaz zabezpieczenia w sprawie Magnitskiego.

Uzasadnienie wniosku prokuratury było naprawdę miażdżące, uznałem więc sprawę za ostatecznie zamkniętą, bo założyłem, że Rosjanie nie spróbują się bronić.

Czas pokazał, że to było jedno z najbardziej naiwnych założeń w całym moim życiu.

ROZDZIAŁ 16

John Moscow powraca

Jesień 2013–lato 2014

Mniej więcej miesiąc później, gdy szedłem z pracy do domu, przyszedł e-mail od Billa Alperta. Temat wiadomości brzmiał „Mój idol!”. Nie było w niej tekstu, tylko załącznik z informacją sądu w Nowym Jorku o ustanowieniu obrońcy przez spółkę Prevezon. Wbrew moim przypuszczeniom Rosjanie jednak zamierzali się bronić. I kto został ich prawnikiem?

John Moscow.

Zadzwoiłem do Billa.

– Czy to nasz John Moscow? – zapytałem.

– We własnej osobie.

– To niemożliwe.

– A jednak. Jestem zdruzgotany – wyznał szczerze.

Reputacja, jaką się cieszył John Moscow, to jedno, ale Bill od wielu lat blisko się z nim przyjaźnił. Regularnie chodzili na wspólne śniadania do greckiej restauracji w SoHo. Bill był jednym z gości na przyjęciu pożegnalnym, które prawnik wydał, gdy odchodził z prokuratury stanowej w Nowym Jorku. Bill zatrudnił nawet syna Johna Moscowa jako stażystę w „Barron’s”.

Taki rozwój wypadków był potencjalnie niebezpieczny dla mnie i dla moich kolegów. Spośród jakichś pięćdziesięciu siedmiu tysięcy prawników oficjalnie prowadzących praktykę w Nowym Jorku Rosjanie wybrali akurat tego, który reprezentował nas wcześniej w tej samej sprawie. John Moscow zaprzyjaźnił się z nami i pracował dla nas, potem nas zostawił, ale wrócił

i podał pomocną dłoń, a teraz przeszedł na drugą stronę. To było niewiarygodne.

Nie trzeba się znać na prawie, żeby wiedzieć, że prawnikom nie wolno zmieniać stron. Czułem, że to zwyczajna zdrada. Więcej nawet, niebezpieczeństwo. John Moscow nas znał. Był naszym prawnikiem. Konsultowaliśmy się z nim niezliczoną ilość razy, widział dowody, którymi dysponujemy, wiedział też, jakie mamy cele i obawy. Miał dostęp do szczegółów dotyczących naszego bezpieczeństwa. Znał każdego członka naszego zespołu. Więcej nawet, podczas jednej z telekonferencji z jego udziałem wypowiadała się moja żona.

Było jasne, dlaczego Rosjanie chcieli go zatrudnić: zyskiwali dostęp do naszych tajemnic wewnętrznych. Nie rozumiałem tylko, dlaczego zgodził się dla nich pracować. Po wielu latach doświadczenia w prokuraturze doskonale wiedział, do czego Rosjanie są zdolni. Kiedy zaczął pracować dla nas, ostrzegał mnie, podkreślając, jak niebezpieczni potrafią być. Poza tym musiał przecież dbać o swoją reputację, która w jednej chwili ległaby w gruzach, gdyby poprowadził tę sprawę.

Mieliśmy jednak sposób, żeby się bić o swoje. John Moscow był amerykańskim prawnikiem pracującym w dużej kancelarii o zasięgu międzynarodowym, nie jakimś podejrzanym Rosjaninem chronionym przez potężnych i skorumpowanych oficjeli. Nawet jeśli on sam zgodził się przyjąć to zlecenie, to BakerHostetler, firma z obrotem rocznym rzędu sześciuset milionów dolarów, zapewne mu na to nie pozwoli.

Wysłaliśmy list do partnerów zarządzających kancelarii, w którym przypomnieliśmy im, że my i Siergiej padliśmy ofiarą oszustwa na kwotę dwustu trzydziestu milionów dolarów, a kancelaria BakerHostetler pracowała dla nas, by pomóc nam ustalić, do kogo trafiły te pieniądze. Teraz reprezentowali beneficjentów tego oszustwa! Był to oczywisty konflikt interesów, ponieważ ich obecny klient jest w rozumieniu prawnym stroną przeciwną wobec nas. Podkreśliliśmy też, że w ramach współpracy przekazaliśmy im poprzednio informacje poufne, a izba adwokacka wprost zakazuje tego typu nielojalności. Na koniec poprosiliśmy, żeby kancelaria BakerHostetler wyłączyła się z tego postępowania i wycofała udział Johna Moscowa⁴.

Nasz list stawiał sprawę tak klarownie, że spodziewaliśmy się w ciągu kilku dni dostać odpowiedź z przeprosinami i informacją, że kancelaria wycofuje się ze sprawy Prevezonu.

Odpowiedzi nie dostaliśmy przez dwa tygodnie. Kiedy w końcu nadeszła, zamiast przeprosin zawierała odmowę. List podpisał prawnik z waszyngtońskiego biura firmy, niejaki Mark Cymrot, który bezczelnie twierdził, że nie zamierzają się wyłączyć.

W uzasadnieniu napisał, że nie jesteśmy ofiarą tego przestępstwa. Ponieważ dwieście trzydzieści milionów dolarów zostało wyłudzone z rosyjskiego Ministerstwa Finansów, poszkodowany został rząd Rosji i tylko on mógł być stroną w sprawie.

Dalej Cymrot argumentował, że „w jego przekonaniu” kancelaria nie dysponuje informacjami poufnymi na nasz temat, ponieważ „ponad 3000 stron” o nas jest „dostępnych na stronach internetowych”, dlatego wszystko, co im przekazaliśmy, znajduje się już w domenie publicznej. Zapewnił jednak, że nawet gdyby faktycznie mieli jakieś poufne informacje, to nie sięgali po nie ani nie ujawniali ich firmie Prevezon.

Na koniec stwierdzał, że firma Prevezon nie może być względem nas stroną przeciwną, ponieważ w ogóle nie jesteśmy stroną w tej sprawie. Dowodził, że określenie to odnosi się tylko do pozwanego i powoda w tym samym postępowaniu sądowym, a w związku z tym nie mamy podstaw żądać, żeby się wyłączyli.

Dość powszechna jest opinia, że słowa „prawnik” i „etyka” wzajemnie się wykluczają. Chyba wszyscy znamy niewybredne dowcipy o przedstawicielach tego zawodu (Jaka jest różnica między prawnikiem a meduzą? Jedno nie ma kręgosłupa i bywa jadowite, a drugie jest zwierzęciem morskim. Dlaczego rekiny nie atakują prawników? Bo obowiązuje je solidarność zawodowa). Mimo wszystko myślałem, że ten brak szacunku zarezerwowany jest dla adwokatów, którzy zdobywają klientów, nagabując pacjentów pogotowia ratunkowego, i prowadzą jednopokojowe kancelarie w centrach handlowych, nie zaś dla absolwentów najlepszych uczelni urzędujących w szklanych wieżowcach centralnego Manhattanu. Byłem zaskoczony, że kancelaria BakerHostetler, firma działająca od 1916 roku, której zaufali tacy klienci jak Ford czy Microsoft, dopasuje się do najgorszych stereotypów.

Zasady postępowania wobec adwokatów, którzy przekraczają granice, są jasne i nie ma znaczenia, czy działają oni w centrach handlowych, czy na Manhattanie. Skoro kancelaria BakerHostetler nie chciała się wyłączyć dobrowolnie, chcieliśmy ją do tego zmusić.

Szóstego grudnia w nowojorskim oddziale Komisji Rozjemczej Adwokatury, organu nadzorującego zachowanie prawników, złożyliśmy skargę na postępowanie kancelarii BakerHostetler i Johna Moscowa. Mydlenie nam oczu żargonem prawniczym niewiele ich kosztowało, ale postępowanie przed komisją mogło się zakończyć surową karą, z pozbawieniem uprawnień adwokackich włącznie. Uznaliśmy, że łatwiej im będzie odejść od Prevezonu.

Kancelaria BakerHostetler znów nas zaskoczyła. Na pismo Komisji Rozjemczej odpowiedziała powtórzeniem wyводу, który przesłała w liście do nas, tyle że posunęła się jeszcze dalej. Według niej „zlecenie firmy Hermitage nie dotyczyło śledzenia transferów ukradzionych dwustu trzydziestu milionów dolarów ani zidentyfikowania beneficjentów tego oszustwa”.

Pomyślałem, że strzelili samobója. Mieliśmy kopie wniosków o wydanie nakazu sądowego, które John Moscow przygotował właśnie po to, żeby prześledzić drogę ukradzionych pieniędzy. Lepszego dowodu nie można by chyba znaleźć. Nie było mowy, żeby się z tego wywinęli, jeśli pokażemy te wnioski, gdy komisja wezwie nas na posiedzenie.

Wezwanie nie przychodziło. Skończyła się zima, nadeszła wiosna 2014 roku, a Komisja Rozjemcza Adwokatury milczała. Nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości.

Wspomniałem o tej zwłoce w rozmowie z zaprzyjaźnioną nowojorską prawniczką.

– Ilu ludzi pracuje w komisji, sześć osób? I te sześć osób ma nadzorować nieuczciwych adwokatów w całym Nowym Jorku? Wiesz, ile kancelii wykonuje zawód adwokata w tym mieście?

– Pięćdziesiąt siedem tysięcy? – rzuciłem.

– Mniej więcej – odpowiedziała, chichocząc. – Poza tym to nie jest prosta sprawa. Proste są tylko te sprawy, w których adwokat morduje swojego klienta i kradnie jego pieniądze.

Miałem nadzieję, że się myli, ale jeśli tylko sześć osób rozstrzygało wątpliwości dotyczące przestrzegania etyki w całym Nowym Jorku, to mogłem sobie wyobrazić, ile czasu upłynie, zanim się zaborą do naszej skargi.

Pewnego dnia na początku kwietnia moja sekretarka wpadła jak burza do mojego gabinetu, ściskając w rękach sporych rozmiarów pakiet DHL.

– Właśnie przyszło z Nowego Jorku – oznajmiła. – Zdaje się, że nadawcą jest amerykański sąd.

Nareszcie odpowiedź od Komisji Rozjemczej, pomyślałem. Wręczyła mi kopertę, którą od razu rozerwałem. Rzut oka na pierwsze kartki wystarczył, żeby stwierdzić, że nadawcą nie była Komisja Rozjemcza.

Trzymałem w ręku wezwanie sądowe w sprawie Prevezonu. Zaadresowane do mnie.

Nigdy wcześniej nie zostałem wezwany do amerykańskiego sądu pod groźbą kary. Wpatrywałem się w słowa „nakazuje stawić się w miejscu i czasie wskazanym poniżej”. Za pięć tygodni w kancelarii na terenie Rockefeller Center miałem złożyć zeznanie pod przysięgą. Nakaz obejmował także ujawnienie dwudziestu jeden kategorii dokumentów, w tym wymiany informacji z OCCRP, całej korespondencji z naszymi sygnalistami oraz dziennikarzami i politykami, a także informacji o wszystkich naszych poufnych rozmowach z instytucjami wymiaru sprawiedliwości, które prowadziły śledztwo w sprawie ukradzionych dwustu trzydziestu milionów dolarów.

Zeznanie miało uwzględnić „pracowników, konsultantów, agentów, przedstawicieli lub inne osoby działające w [moim] imieniu”, a także „pisma, rysunki, wykresy, grafy, diagramy, fotografie, nagrania dźwiękowe, podobizny i inne dane” dotyczące tej sprawy, które są przechowywane w naszej siedzibie lub gdziekolwiek poza nią.

Czyli właściwie wszystko.

Wiedzieliśmy ze współpracy z Johnem Moscovem, że jedną z jego specjalności było wykorzystanie wezwań sądowych jako broni samej w sobie. Podczas pierwszej rozmowy, zanim jeszcze go zatrudniliśmy, chwalił się, że lubi identyfikować poufne obszary działalności oponentów, by następnie zażądać przekazania tych wszystkich informacji, których ujawnienie jest dla drugiej strony niewygodne. Teraz wykorzystywał tę taktykę przeciwko nam, tyle że nie musiał identyfikować wrażliwych obszarów naszej działalności, bo znał je z czasów, gdy pracowaliśmy razem.

Nie miałem wątpliwości, że natychmiast po otrzymaniu tych wszystkich informacji John Moscov przekaże je swojemu klientowi, synowi prominentnego rosyjskiego funkcjonariusza, który najprawdopodobniej udostępni je różnego rodzaju czarnym charakterom w rosyjskich władzach.

To zagroziłoby nie tylko nam, ale też spowodowało poważne niebezpieczeństwo na naszych informatorów i współpracowników w Rosji.

Rosjanie nie musieli wynajmować kogoś takiego jak Validol, żeby nas obserwować i zbierać informacje na nasz temat, wchodzili po prostu głównym wejściem do budynku amerykańskiego sądu i żądali ujawnienia danych.

Ten nakaz trzeba było cofnąć.

Przemierzając gabinet tam i z powrotem, uruchomiłem zestaw głośnomówiący telefonu i zadzwoniłem do mojego londyńskiego prawnika.

– Co się dzieje, Bill? – zapytał.

Mówiłem tak szybko, że mi przerwał.

– Hola, nie tak prędko! Zwolnij i zacznij od początku.

Przekazałem mu treść nakazu i znów wpadł mi w słowo. Spokojnym, prawniczym tonem poprosił:

– Zanim przejdiesz dalej, pokaż mi ten dokument.

Zeskanowałem i przesłałem mu nakaz nowojorskiego sądu. Oddzwonił niemal natychmiast.

– To wezwanie jest nieskuteczne – oznajmił. – Jesteś tutaj, w Londynie. Nie dostarczyli ci go osobiście na terenie Nowego Jorku, dlatego nie można uznać, że zostało doręczone. Koniec historii.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Dopóki wezwanie nie zostanie doręczone do rąk własnych, pozostaje ich pobożnym życzeniem. Ni mniej, ni więcej.

Ulżyło mi, ale wiedziałem, że to tylko pierwszy ruch Johna Moscowa.

Mój londyński prawnik był dobry, ale skoro sprawa miała się ciągnąć, musiałem wytoczyć ciężkie działa w Stanach Zjednoczonych, i to szybko.

Sporządziłem listę dziesięciu największych kancelarii prawnych w Nowym Jorku i skontaktowałem się z nimi. Sześć od ręki odpowiedziało, że nie są zainteresowane. Żadna nie wyjaśniła dlaczego, ale i tak znałem powód: honoraria. Rosjanie w Nowym Jorku rzucali dolarami niczym confetti. Pozywali się do sądu, rozwodzili się, kupowali luksusowe nieruchomości, występowali o wizę, zakładali rachunki bankowe. A ich prawnicy zacierali ręce. Dlaczego te kancelarie miałyby psuć sobie relacje z potencjalnymi klientami, podjąwszy współpracę z kimś tak toksycznym dla Rosjan jak ja?

Pozostałe cztery z mojej listy były skłonne współpracować, w maju 2014 roku pojechałem więc do Nowego Jorku. Trzy pierwsze kancelarie

praktycznie się od siebie nie różniły. W każdej zaprowadzono mnie do porządnie urządzonej sali konferencyjnej w siedzibie na środkowym Manhattanie, gdzie czekał na mnie któryś z głównych wspólników znany ze skuteczności w postępowaniach sądowych, otoczony przez dobrze ubranych młodych współpracowników kilka lat po studiach prawniczych. I w każdym przypadku nie miałem wątpliwości, że jak tylko podpiszę umowę dotyczącą obsługi prawnej, nigdy więcej nie zobaczę głównego wspólnika, który przede mną siedział.

Jako ostatnie zaplanowałem spotkanie z Randym Mastro, który nadzorował postępowania sądowe w kancelarii Gibson, Dunn & Crutcher. W poprzednim życiu zawodowym był zastępcą burmistrza Nowego Jorku za kadencji Rudy'ego Giulianiego (zanim jeszcze Giuliani dokonał politycznego samospalenia). Randy miał reputację jednego z najlepszych wyjadaczy sądowych w Nowym Jorku. Gdy go wygooglowałem, znalazłem między innymi opinię, że to człowiek, którego „nie chciałoby się spotkać w ciemnej uliczce, a już na pewno nie w oświetlonej sali sądowej”. Ktoś inny napisał, że występowanie przeciwko niemu byłoby jak „uprawianie zapasów z aligatorem”.

Nie mogłem się doczekać, kiedy go poznam.

Dotarłem do siedziby Gibson, Dunn & Crutcher w budynku MetLife nad stacją Grand Central i wjechałem na czterdzieste siódme piętro. Po wyjściu z windy znalazłem się w strzelistym, dwupiętrowym holu z białym marmurem na podłodze, ciemnym drewnem na ścianach, nowoczesnymi meblami i dużym murałem przy biurku recepcjonistki. Pomyślałem: „Nie stać mnie na to”.

Do holu zeszła sekretarka Mastro i po schodach poprowadziła mnie piętro wyżej do narożnego gabinetu. Okna wychodziły prosto na słynne orły Chrysler Building, za którym rozciągał się widok na południe od Wall Street i port nowojorski. Randy rozmawiał przez telefon. Gestem wskazał mi krzesło naprzeciwko swojego biurka i przez chwilę czekałem, aż skończy.

Dobiegał chyba sześćdziesiątki, lecz nie wyglądał jak inni prawnicy, których poznałem w Nowym Jorku. Miał gęste, siwe i długie włosy (w każdym razie długie jak na prawnika) i dobrze utrzymaną brodę. Nosił szary garnitur, ale bez krawata. Nie zapiął kołnierzyka koszuli. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałem prawnika bez krawata.

W gabinecie zgromadził sporo przedmiotów związanych z bejsbolem, zdjęcie Roberta Clementego na biurku i starannie wyeksponowany kij bejsbolowy. Uśmiechnąłem się w duchu, myśląc, że prawnik idący do sądu powinien mieć ten kij zawsze pod ręką. Obok zdjęcia na biurku leżał mały kauczukowy aligator.

Pięć minut później mój gospodarz odłożył słuchawkę i przywitał się ze mną.

– Czym mogę panu służyć?

Opowiedziałem mu całą historię. Słuchał uważnie. Gdy skończyłem, potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Znam Johna Moscowa. Należał do najlepszych w ekipie Morgenthaua – powiedział, przywołując nazwisko jednego z najbardziej znanych prokuratorów Nowego Jorku. – Cholerna szkoda... Czego oczekuje pan ode mnie?

– Z pewnością uderzą jeszcze raz, a wówczas będę potrzebował kogoś, kto odda z podwójną siłą.

– To dobrze pan trafił.

– I nie przeszkadza panu rosyjski wątek w sprawie?

– Nie. Ani trochę. – Sięgnął ręką nad biurkiem, podając mi wizytówkę. – To mój prywatny numer. Może pan dzwonić o każdej porze, w dzień i w nocy.

Wróciłem do Londynu zadowolony, że gdy John Moscow zaatakuje po raz drugi, będę przygotowany.

ROZDZIAŁ 17

Incydent w Aspen

Lato 2014

Kilka tygodni później po służbowym lunchu w okolicy parlamentu przechadzałem się po Birdcage Walk w pobliżu St. James's Park, odruchowo zerkając na wyświetlacz BlackBerry. Wśród nieprzeczytanych wiadomości zauważyłem SMS od Paula Monteleoniego. Prawie się do mnie nie odzywał, odkąd prokuratura federalna wniosła sprawę przeciwko spółce Prevezon. Tekst był krótki: „Proszę o telefon. To pilne”.

Nigdy wcześniej nie otrzymałem od Paula tego rodzaju wiadomości.

Przystanąłem przy wejściu do jednego z budynków i wybrałem numer. Odebrał, zanim wybrzmiał pierwszy dzwonek.

– Cześć, Paul, mówi Bill. Co się dzieje?

– Och, cześć. – Chwilę potrwało, zanim podjął rozmowę, jakby wychodził ze spotkania. – Nie chcę cię niepokoić i nie jestem na sto procent pewien, ale od wywiadu otrzymaliśmy informację, że pewni ludzie gromadzą fundusze, żeby zebrać grupę, która cię namierzy i sprowadzi do Rosji.

Mnie do Rosji?

– Którzy ludzie? – zapytałem.

– Chodzi o Rosjan.

– Których Rosjan?

– Nie mogę powiedzieć nic więcej. Powiadamy władze brytyjskie, ale chciałem dać ci znać, żebyś mógł przedsięwziąć środki, jakie uznasz za właściwe.

Zakończyłem rozmowę i nadal stałem przy wejściu do budynku, gapiąc się na bujną zielen parku. Trochę dalej w kierunku zachodnim był pałac

Buckingham, choć przesłaniały go domy; kilka przecnic na wschód miałem gmach parlamentu. Chociaż znajdowałem się w samym sercu Londynu, gdzie liczba kamer monitoringu na metr kwadratowy jest większa niż gdziekolwiek indziej w całym Zjednoczonym Królestwie, nagle poczułem się zagrożony.

Ruszyłem, uważnie śledząc otoczenie, i szybkim krokiem przemierzyłem park. Otrzymana od przedstawiciela amerykańskiej instytucji informacja, że ktoś spiskuje, żeby mnie porwać, skrytykowała wszystkie moje obawy. Jeśli była prawdziwa, a musiałem tak założyć, nie mogłem w Londynie czuć się bezpiecznie. Bez względu na liczbę kamer monitoringu, bo przecież one nigdy wcześniej nie odstraszyły Rosjan.

Do tego dochodziła świadomość, że w Londynie przebywa co najmniej trzysta tysięcy Rosjan, którzy tu albo mieszkają, albo pracują, albo przyjechali na jakiś czas. Są jak latarnie uliczne lub piętrowe autobusy – wszechobecni i uważani za oczywistość.

Ja nigdy ich tak nie traktowałem. Jeśli nie liczyć mojej rosyjskiej żony i pracowników w większości pochodzących z Rosji, trzymałem się od nich z daleka. Gdy słyszałem, że ktoś na ulicy mówi po rosyjsku, instynktownie odchodziłem. Gdy zapraszano mnie na drinka, unikałem modnych barów i restauracji, w których bywali Rosjanie.

Rząd Wielkiej Brytanii Rosjan nie unikał. Byłem niemal pewien, że po otrzymaniu ostrzeżenia od rządu amerykańskiego brytyjskie służby nic nie zrobią. Gorzej: gdybym faktycznie został porwany, nie wyciągnęłyby żadnych konsekwencji.

Tak właśnie się stało w przypadku Aleksandra Litwinienki, zbiega z FSB, który w 2006 roku został otruty polonem w centrum Londynu przez dwóch rosyjskich agentów. Chociaż ustalono, że zamordowanie Litwinienki było zainicjowanym przez Kreml aktem terroryzmu, rząd Wielkiej Brytanii ograniczył się do wydalenia kilku rosyjskich dyplomatów i wystawienia nakazów aresztowania, które nie miały żadnego znaczenia, bo rząd Rosji nigdy ich nie uwzględnił. Ta pobłażliwość doprowadziła Putina do przekonania, że w Zjednoczonym Królestwie może działać bezkarnie.

Skoro groźba, że w każdej chwili mogę zostać porwany, stała się realna, zwiększyłem swoje bezpieczeństwo. Zatrudniłem ochroniarzy, którzy wcześniej pracowali dla klientów w takich krajach jak Meksyk i Afganistan, gdzie porwania są na porządku dziennym, ale nawet ich doświadczenie i budząca postrach obecność niewiele mnie uspokoiły. Na londyńskim

rynku ochrony osobistej największym klientem są Rosjanie (którzy boją się innych Rosjan). Zdałem sobie sprawę, że skoro moi przeciwnicy nie liczą się z pieniędzmi, nie mogę ufać żadnemu ochroniarzowi.

Żeby poczuć się bezpiecznie, musiałem polegać na sobie. Zacząłem od zadania sobie pytania: co bym zrobił, gdybym zamierzał porwać samego siebie?

Planowanie takiego przedsięwzięcia wymagałoby inwigilacji, poznania moich zwyczajów i opracowania wzorca mojego postępowania. To znaczyło, że nie mogłem już mieć żadnych nawyków i moje życie musiało biec bez zauważalnych szablonów.

Zrezygnowałem z ustalonego porządku. Zaczynałem dzień o różnych godzinach, czasem bardzo wcześnie, czasem dopiero w porze lunchu. Różnymi trasami jeździłem do pracy, nierzadko nadkładając drogi. Jednego dnia brałem taksówkę, drugiego wsiadałem do autobusu albo do metra. Czasem szedłem piechotą albo podjeżdżałem metrem tylko jeden przystanek. Bywało, że po drodze wpadałem do kawiarni. Raz moi ochroniarze szli obok mnie, innym razem trzymali się z tyłu, żeby obserwować, czy ktoś mnie śledzi.

Co najważniejsze, kalendarz zacząłem prowadzić tylko w wersji papierowej i całkowicie zrezygnowałem z internetu podczas planowania jakichkolwiek zdarzeń.

Wszystko to było męczące, lecz jeszcze bardziej stresujące okazało się życie w stanie ciągłego pogotowia. Nie mogłem tak funkcjonować w nieskończoność. Na szczęście nie musiałem. W połowie lipca razem z Eleną i dziećmi wybieraliśmy się na długie wakacje do Aspen w Kolorado, gdzie miałem nadzieję wrócić do normalnego życia.

Wylądowaliśmy tam 14 lipca. Natychmiast po wyjściu z samolotu poczułem się jak w innym świecie. Na małym lotnisku w Aspen z samolotu wysiada się niczym w latach pięćdziesiątych: po schodkach prosto na asfalt. Powietrze było czyste, suche. Czułem zapach ciemnych sosen, które pną się po zboczach do samych szczytów, przetykane osikami i topolami.

Kocham Kolorado. Dorastałem w Chicago, ale do szkoły średniej przez pierwszy rok chodziłem w Steamboat Springs i przez całą zimę jeździłem na nartach prawie codziennie. Wtedy pokochałem Góry Skaliste. Po szkole średniej dwa lata studiowałem na Uniwersytecie Kolorado w Boulder i od tamtej pory wracam w te góry, kiedy tylko mogę. W 2014 roku kochałem je nie tylko ja, pokochała je cała moja rodzina.

Moje nerwy potrzebowały kilku dni, żeby się uspokoić. W końcu doszedłem do siebie i czerpałem przyjemność z ustalonego porządku dnia: rowery z dziećmi, wyjścia na koncerty plenerowe, obiady u przyjaciół. Cudownie było poczuć się wolnym i nie musieć bez przerwy oglądać się za siebie.

W wakacje najważniejsza była rodzina, zwłaszcza Elena, która najdotkliwiej odczuła moją sytuację. Musiała nie tylko żyć z myślą, że jej mąż może w każdej chwili zniknąć, ale też robić dobrą minę do złej gry ze względu na nasze dzieci. Jakimś cudem zdołała je przekonać, że wszyscy ojcowie walczą z Władimirem Putinem, nasze życie jest więc całkowicie normalne.

Miałem też inne zadania. Pod koniec lipca zostałem poproszony przez Aspen Institute o wygłoszenie prelekcji na temat ustawy Magnitskiego. Instytut jest międzynarodowym think tankiem i centrum konferencyjnym, które regularnie zaprasza aktywistów, przedsiębiorców, polityków i dziennikarzy do dyskusji nad różnymi problemami. Jego siedziba nad Roaring Fork River to bez wątpienia jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Zabrałem ze sobą swojego siedemnastoletniego syna, Davida, mając nadzieję, że go to zainspiruje.

Na zakończenie pierwszego dnia odbyło się przyjęcie w Doerr-Hosier Center, głównej sali recepcyjnej Aspen Institute. David, który niebawem miał zacząć studia w Stanfordzie, był zachwycony, że może spędzić trochę czasu w towarzystwie sławnych przedsiębiorców z Doliny Krzemowej, ja zaś byłem zachwycony, że spędzam czas z Davidem.

Przyjęcie dobiegało końca. Wtedy niebo nad Górami Skalistymi przesłoniły chmury zwiastujące, że niebawem nad doliną rozpęta się potężna burza.

Podszedłem do syna i przerwałem mu rozmowę z młodym inwestorem:

– Przepraszam, Davidzie, musimy się zbierać.

Zanim doszliśmy do głównego wejścia, zaczęło padać.

Zatelefonowałem do Pierre'a, swojego kolegi, który do Aspen przyjechał na wakacje z Belgii. To on nas przywiózł, po czym pojechał do miasta na zakupy.

– Pierre, jesteś może gdzieś blisko instytutu? Przy tej pogodzie przydałby się nam transport.

– Macie szczęście. Jestem kilka przecznic dalej. Zaraz po was przyjadę.

Doerr-Hosier Center leży w bok od głównej drogi na końcu długiego chodnika, Pierre nie mógł więc podjechać pod wejście. Kilka minut później przysłał SMS, że czeka przy końcu ślepej uliczki. Wyszliśmy z budynku. Nie zabraliśmy parasola, pobiegliśmy więc, próbując ramionami osłaniać głowy przed wielkimi kroplami deszczu.

Nagle jakby znikąd zaczęła biec w moją stronę kobieta, wołając:

– Panie Browder! Panie Browder!

Jej krzyk zabrzmiał ostro. David i ja stanęliśmy jak wryci. Mrużąc oczy na deszczu, przyglądałem się jej twarzy. Nie rozpoznałem jej i nie zauważyłem, żeby miała na szyi smycz z identyfikatorem jak wszyscy inni na konferencji.

Nagle poczułem przyływ adrenaliny. Zadziałał mechanizm obronny i w jednej chwili powróciły wszystkie złe uczucia, które przed miesiącem ogarnęły mnie w Londynie. Kimkolwiek była, instynktownie czułem, że nie życzy mi dobrze.

Złapałem Davida i pociągnąłem go za sobą, rzucając się do biegu.

Kobieta pobiegła za nami, krzycząc coś jeszcze. Nie skupiałem się na jej słowach. Myślałem tylko o tym, żeby razem z synem dobiec do samochodu.

David mnie przegonił. Zerknąłem za siebie. Do kobiety dołączył mężczyzna i teraz biegł razem z nią.

W tym samym momencie jakby niebo się otworzyło i lunęła ściana deszczu.

David dobiegł do samochodu pierwszy. Zmoknięty do suchej nitki odwrócił się, rzucając mi pytające spojrzenie.

– Wsiadaj! – wrzasnąłem.

David otworzył przednie drzwi od strony pasażera i wskoczył na siedzenie. Sekundę albo dwie później dobiegłem i ja, praktycznie wpadając na auto. Otworzyłem tylne drzwi i wsiadłem. Pierre jak gdyby nigdy nic wpatrywał się w wyświetlacz iPhone'a, zupełnie nieświadomy, co się dzieje.

– Gaz do dechy, Pierre! – krzyknąłem.

Spojrzał na mnie, nie bardzo wiedząc, czy nie żartuję.

– Jedź! – wrzasnąłem.

Zrozumiał. Odłożył telefon na konsolę, włączył bieg i ruszył.

Instytut Aspen jest niemal w całości strefą dla pieszych, nie mogliśmy więc wystartować z piskiem opon. Wyjechaliśmy ze ślepej uliczki i wtedy mężczyzna, który gonił nas razem z kobietą, rzucił na przednią szybę coś,

co zaplątało się w machające wściekle tam i z powrotem wycieraczki. Pierre musiał zahamować. W kaskadach szarego deszczu nie widział drogi.

Zanim którykolwiek z nas zdążył się odezwać, David wyskoczył na zewnątrz, zrzucił na ziemię materiał przysłaniający przednią szybę i wsiadł z powrotem.

– Co to było? – zapytałem.

– Nie wiem – rzucił David.

Natychmiast odjechaliśmy, zostawiając za sobą instytut. W ponurych nastrojach pędziliśmy przez mokre ulice Aspen.

W pewnej chwili obejrzałem się, żeby przez tylną szybę sprawdzić, czy ktoś za nami nie jedzie.

– Co, do cholery, się dzieje? – zapytał Pierre.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Na pewno nic dobrego.

Kimkolwiek byli, cieszyłem się, że nas nie dopadli. Ale to, że moi wrogowie wysłedzili mnie w Aspen, było bardzo złą wiadomością.

Pojechaliśmy prosto do mnie i opowiedziałem Elenie, co się stało. Chociaż ci ludzie mówili z amerykańskim akcentem, nie miałem wątpliwości, że byli powiązani z Rosjanami.

– Skoro Rosjanie znają miejsce naszego pobytu, musimy się zbierać – zdecydowałem.

Następnego dnia planowałem wracać do Londynu, gdzie z brytyjskim wydawcą mojej książki Czerwony alert miałem omówić jej premierę. Teraz uznałem, że żona i dzieci nie powinny zostawać w Aspen beze mnie. Powiedziałem Elenie, żeby się spakowała, bo wyjeżdżamy wszyscy.

Elena zachowała spokój.

– Nie musimy się pakować, Bill – powiedziała.

Poznaliśmy się w Moskwie. Elena odnosiła tam sukcesy jako specjalistka od zarządzania kryzysowego w amerykańskiej firmie PR – stanowisko właściwie nie do zdobycia przez młodą kobietę w kraju tak patriarchalnym i przytłaczającym jak Rosja – i pewnie dlatego nigdy nie traciła głowy.

– W takim razie odwołam swój jutrzejszy wyjazd.

– Nie – zaproponowała. – Książka jest zbyt ważna. Musisz jechać. Poza tym jest tutaj Pierre, jest David. I zawsze możemy wezwać Steve’a. – Steve mieszkał w Aspen, był naszym przyjacielem i zapalonym myśliwym z imponującą kolekcją strzelb. – Leć do Londynu.

Prawdopodobnie miała rację. Zawsze czułem, że poślubienie Eleny było dla mnie niczym poślubienie lekarki specjalizującej się w prowadzeniu

pacjentów z rzadką egzotyczną chorobą, która mnie dotknęła. Nie mógłbym wybrać lepszej partnerki do przechodzenia przez tę próbę.

Następnego dnia poleciałem do Denver, gdzie miałem przesiadkę. W oczekiwaniu na samolot do Londynu zadzwoniłem do Eleny. Włączyła funkcję FaceTime. Był cudowny, słoneczny dzień. Dzieci ustawiły zraszacz na podjeździe. Śmiały się radośnie, goniąc jedno za drugim przez strumienie wody.

Godzinę później wsiadłem na pokład samolotu do Londynu. Myśląc o dzieciach bawiących się na podjeździe, zapadłem w głęboki sen na cały nocny lot.

Tuż przed południem podczas odprawy na Heathrow wysłałem SMS do Eleny, że wylądowałem bezpiecznie. W Aspen dopiero świtało, nie oczekiwałem więc odpowiedzi. Telefon zadzwonił niemal natychmiast.

– Bill, oni rozmawiali z dziećmi! – wykrzyknęła Elena histerycznie.

– Kto? Kiedy?

– Wczoraj po południu dwaj mężczyźni podeszli do domu, gdy dzieci bawiły się na dworze. Jeden zapytał: Czy tata jest w domu?

– Co?

– Weronika odpowiedziała, że nie. Wtedy on zapytał: „A gdzie jest?”. Wystraszyła się i pobiegła do środka, pozostałe dzieci też. Mężczyzna krzyczał coś za nimi. Potem długo dzwonił do drzwi wejściowych, ale schowaliśmy się w piwnicy. – Po chwili ciszy Elena dodała: – Już nie czuję się tu bezpiecznie.

Przez piętnaście wspólnych lat nigdy nie słyszałem jej tak bardzo wstrząśniętej.

Sprawdziłem rozkład lotów. Pierwszy samolot do Kolorado miałem dopiero następnego dnia, tymczasem musiałem zorganizować jakąś pomoc.

Najpierw zatelefonowałem do Steve’a. Mieszkał na małym ranczu u podnóża gór na zachód od miasta. Usłyszawszy, co się stało, powiedział:

– Zawiadomię kilku kolegów. Natychmiast pojedziemy pod dom i będziemy pilnować na zmianę. Nie martw się, Bill, nic złego się nie stanie twojej rodzinie.

Drugi był Paul Monteleoni w Nowym Jorku. Jako prokurator niewiele mógł zrobić, zaangażował więc agenta specjalnego Hymana, ten zaś skontaktował się z szefem policji w Aspen. (Zadzwoniłby do lokalnej placówki Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, ale najbliższy oddział

na terenie Kolorado znajdował się w Centennial, cztery godziny jazdy samochodem od Aspen).

Regularnie czytałem rubrykę policyjną w „Aspen Times”. Tamtejszy posterunek był raczej spokojny, od czasu do czasu spokój zaburzał tylko jakiś kierowca prowadzący pod wpływem alkoholu, złodziej sklepowy albo awanturnik wywołujący bójkę w pubie. Szeryf z pewnością nie chciał, żeby jego rejon stał się tłem poważnego międzynarodowego incydentu z udziałem Rosjan, bo zadzwonił do mnie natychmiast.

– Zostałem poinformowany o sytuacji w pańskim domu, panie Browder – powiedział z góralskim zaśpiewem. – W ciągu najbliższej godziny odwiedzę pańską żonę. Poinstruowałem też swoich funkcjonariuszy, żeby regularnie patrolowali tamtą okolicę.

Na koniec rozmawiałem z Eleną, która jeszcze nie otrząsnęła się z szoku.

– Kochanie, wracam do was – zapowiedziałem. – Najbliższy samolot mam jutro.

Pojechałem do domu się przebrać, odwołałem zaplanowane spotkania i zarezerwowałem bilet na lot do Aspen. Gdy po kilku godzinach znów zadzwoniłem do Eleny, jej głos brzmiał zupełnie inaczej.

– Steve i jego kolega ze strzelbami w rękę siedzą przed naszym domem na bagażniku jego pikapa. Był też u mnie szef policji. Jeden z radiowozów przejeżdża obok nas co kwadrans. Myślę, że nic nam się nie stanie. Powinieneś zająć się pracą.

Z radością stwierdziłem, że jest spokojniejsza. Niechętnie zgodziłem się zostać w Londynie przez najbliższe dni, ale im dłużej myślałem o tym, co się stało, tym bardziej się irytowałem.

Rosjanie znali miejsce pobytu mojej rodziny i podejrzewałem, że maczał w tym palce John Moscow. Fakt, że zwrócił się przeciwko mnie i stanął po stronie rosyjskiego rządu, budził moje oburzenie. Natomiast na ocenienie tego, że wciągnął w sprawę moją żonę i moje dzieci, zabrakło mi słów.

ROZDZIAŁ 18

Sędzia Griesa

Lato–jesień 2014

Gdy kurz opadł, dowiedzieliśmy się, że ludzie, którzy mnie gonili, nie byli porywaczami ani trucicielami, lecz doręczycielami dokumentów sądowych wynajętymi przez Rosjan. Na przednią szybę samochodu Pierre’a rzucili wtedy kopię wezwania sądowego. I faktycznie maczał w tym palce John Moscow.

Kolejny nakaz sądowy był nawet bardziej niepokojący od pierwszego.

Oprócz informacji wskazanych poprzednio John Moscow i jego zespół chcieli teraz wglądu w ważne dla mojego bezpieczeństwa informacje z ośmiu ostatnich lat, kopii paszportu i wiz za ostatnie dwadzieścia lat, kopii mojej korespondencji z Interpolem i Unią Europejską oraz wszelkich możliwych informacji osobistych na temat moich pracowników Wadima i Iwana.

Gdybyśmy przekazali wszystkie te informacje kancelarii BakerHostetler, niewątpliwie dostaliby je zaraz nasi rosyjscy przeciwnicy i mogliby lepiej zaplanować kolejne wrogie posunięcia przeciwko nam. Świadomość liczby zwłok wiążących się z tą sprawą jeszcze zwiększała nasze przerażenie. Trudno mi było pozbyć się myśli, że to wezwanie wiąże się raczej z potrzebami operacyjnymi wywiadu rosyjskiego niż ze sprawą w amerykańskim sądzie.

Jakby na potwierdzenie tego przeczucia po kilku dniach TASS, państwowa agencja informacyjna w Rosji, opublikowała materiał pod tytułem William Browder wezwany do Nowego Jorku na przesłuchanie. Tekst cytował amerykańskich prawników firmy Prevezon, według których „pan Browder może zostać ukarany nawet aresztem, jeśli nie stawi się na to

przesłuchanie”. Z kolej prawniczka rodziny Kacywów, niejaka Natalia Weselnicka, o której wcześniej nigdy nie słyszałem, próbowała nawet stworzyć wrażenie, że oskarżony jestem ja, nie Prevezon.

Jeśli kiedykolwiek potrzebowałem aligatora po swojej stronie, to właśnie teraz.

W połowie sierpnia wyparłem z pamięci drogą sztukę współczesną oraz białą marmurową podłogę w siedzibie kancelarii Gibson Dunn i zadzwoniłem pod prywatny numer, który dał mi Randy Mastro. Zgodził się mnie reprezentować i po podpisaniu umowy przesłałem mu dokumenty związane ze sprawą, żeby mógł opracować plan działania.

We wrześniu poleciałem do Nowego Jorku na spotkanie. Pierwszy raz miałem odwiedzić Randy’ego jako swojego prawnika. Przyznaję, naprawdę się niepokoiłem. Jak przed wizytą u lekarza po serii badań. Randy i jego zespół zapoznali się z naszymi dokumentami i teraz czekałem na diagnozę. Bałem się usłyszeć, że nie ma nadziei i będę musiał przekazać Johnowi Moscowowi i kancelarii BakerHostetler wszystko, czego zażądali.

Spotkaliśmy się na śniadaniu w hotelu Regency przy Park Avenue. Kierownik sali, który dobrze znał Randy’ego, poprowadził nas przez małą restaurację. Zobaczyłem zaskakująco dużo ludzi jak na siódmą trzydzieści. Randy chyba znał wszystkich, bo często się z kimś witał po drodze do stolika. Szybko zdałem sobie sprawę, że ta restauracja jest swego rodzaju nowojorską instytucją, miejscem biznesowych śniadań, w którym co rano zbierają się finansiści, ludzie mediów i prawnicy.

Zajęliśmy miejsca. Musiałem wyglądać nieswojo, bo najpierw Bill mnie uspokoił.

– Nie martw się, Bill. Wszystko kontrolujemy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że unieważnimy ten nakaz. Schrzanili jurysdykcję, schrzanili doręczenie, nie mówiąc już o tym, że w życiu nie widziałem nakazu o takim zakresie. Naprawdę.

– Co za ulga! – Odetchnąłem.

– Na tym nie poprzestaniemy. Nie znam lepszego przykładu prawnika, który popadł w konflikt interesów. John Moscow musi wylecieć z tej sprawy.

– Próbowaliśmy w Komisji Rozjemczej... – przypomniałem z ubolewaniem.

Na początku sierpnia w końcu się do nas odezwali. W jednym akapicie bez ogródek stwierdzali, że nie zamierzają nic robić.

– Zapomnij o Komisji Rozjemczej. Złożymy wniosek do sądu o odsunięcie go od sprawy – zapowiedział.

– Co za różnica?

– Swoje argumenty osobiście przedstawimy sędziemu, a nie jakimś ludziom, którzy podejmują decyzję, patrząc na stertę papierów. Możesz mi wierzyć, mamy co przedstawiać.

Wniosek o zdyskwalifikowanie trafił do sądu 29 września, rozprawę zaś wyznaczono na 14 października.

W tym czasie John Moscow i kancelaria BakerHostetler złożyli pisemną odpowiedź. Z jeszcze większą determinacją przedstawili te same argumenty, które przekazali nam, gdy poprosiliśmy, żeby sami się wyłączyli. Zaczęli od stwierdzenia z naciskiem, że „Browder nigdy nie był klientem BakerHostetler” emfaza jak w ich piśmie, i próbowali dowodzić, że skoro ich honoraria płaciła firma Hermitage, nie zaś ja osobiście, to zalecenia dotyczące zachowania tajemnicy zawodowej nie mają zastosowania.

Następnie wskazali, że ani Funduszu Hermitage, ani mnie osobiście nie dotyczyła finansowo sprawa rządu USA przeciwko firmie Prevezon, ponieważ bez względu na rozstrzygnięcie w tej sprawie nie należała się nam żadna część spornych kwot. Na tej podstawie twierdzili, że nie jesteśmy stroną przeciwną ich klienta i dlatego nie może być mowy o konflikcie interesów.

To był czysty absurd. Od 2009 roku moim głównym celem było doprowadzenie do osądzenia zabójców Siergieja oraz wszystkich, którzy skorzystali na ujawnionym przez niego przestępstwie. Wiedział o tym cały świat. To działanie definiowało pojęcie strony przeciwnej. Próba dowiedzenia, że tak nie jest, oznaczała nie tylko nieuczciwość z ich strony, lecz była też szczytem cynizmu.

Zakończyli stwierdzeniem, którego nie powstydziliby się sam Franz Kafka: „Browder chce wyrządzić szkody wizerunkowe Johnowi Moscowowi, który ponad trzydzieści lat godnie służył Stanowi Nowy Jork jako jeden z najwybitniejszych prawników walczących z praniem brudnych pieniędzy”. Próbowali przekonać sędziego, że ofiarą w tej sprawie jest John Moscow, który teraz bronił firmy oskarżonej o korzystanie z brudnych pieniędzy, natomiast ofiarami nie jesteśmy ani Siergiej, ani ja.

Ledwie powstrzymałem wściekłość. Pozytywne rozpatrzenie naszego wniosku powinno być dla sędziego czystą formalnością. Nie mogłem się doczekać, kiedy pójdziemy do sądu.

Później, gdy termin się zbliżył i podano do wiadomości nazwisko sędziego przydzielonego do naszej sprawy, moja ekscytacja jeszcze wzrosła. Przewodniczyć miał sędzia Thomas Griesa, o którym mówiono, że jest twardy i nie boi się podejmować kontrowersyjnych decyzji. Wcześniej przesądził o niewypłacalności Argentyny, ponieważ zmusił rząd tego kraju do spłacenia wraz z odsetkami zobowiązań wobec części wierzycieli, kiedy orzekał w sprawie z powództwa nowojorskiego funduszu hedgingowego Elliott Management. (Griesa został za to tak bardzo znienawidzony w Argentynie, że na ulicach Buenos Aires palono jego podobizny).

Miałem jeszcze jeden powód do optymizmu. Wiele lat wcześniej kolega Randy'ego z kancelarii Gibson Dunn, Richard Mark, należał do ulubionych asystentów sędziego Griesy. Plan był więc taki, że Randy przedstawi wniosek, a Richard go uargumentuje. Teoretycznie rzecz biorąc, względy tego rodzaju nie powinny się liczyć, ale sędziowie przecież też są ludźmi i lepiej się czują, rozmawiając z zaufanym ekswspółpracownikiem niż z kimś całkiem obcym.

Późnym rankiem 14 października Randy i Richard poszli do sali 26B sądu w gmachu imienia Daniela Patricka Moynihana przy Foley Square, tuż za siedzibą Prokuratury dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku. Randy znał tę salę jak własną kieszeń, bo występował tam w setkach spraw. Prezentowała się malowniczo i dostojnie z wyłożonymi drewnem ścianami, tapicerowanymi krzesłami, lożą dla przysięgłych, okazałym stołem sędziowskim, miejscem dla świadka i galerią dla publiczności mogącą pomieścić nawet sto osób. Na ścianie za fotelem sędziego wisiało godło Departamentu Sprawiedliwości USA.

Na miejscu Randy i Richard zastali sporą grupę ludzi. Między innymi sześciu prawników z trzech różnych firm reprezentujących Prevezon, w tym Johna Moscowa i Marka Cymrota, prawnika z waszyngtońskiego oddziału kancelarii BakerHostetler, który podpisał się pod skierowanym do nas listem odmawiającym wyłączenia się ze sprawy. Miał rzednące siwe włosy oraz gęste siwiejące wąsy i kierował całym zespołem. Prawnikom towarzyszyła gromadka aplikantów, pomocników i innych współpracowników siedzących na miejscach dla publiczności. Niewątpliwie było to ważne posiedzenie dla ekipy Prevezonu.

Sędzia Griesa wszedł do sali z przyległego gabinetu, usiadł na swoim miejscu i kwadrans po jedenastej uderzeniem młotka rozpoczął postępowanie.

Nominację sędziowską odebrał jeszcze z rąk prezydenta Nixona. Miał osiemdziesiąt trzy lata, ale wyglądał starzej. Chociaż był wysoki, najwyraźniej cierpiał na jakieś skrzywienie kręgosłupa, przez które garbił się tak mocno, że ledwie podnosił głowę znad swojego stołu. Każdy ruch zdawał się sprawiać mu ból.

Randy przemawiał jako pierwszy, po czym oddał głos Richardowi. Gdy ten zaczął przedstawiać argumenty, sędzia kazał mu skorzystać z mikrofonu. Wyglądało na to, że ma też problemy ze słuchem. Richard podszedł do mównicy i kontynuował, jednak sędzia Griesa zaraz znów mu przerwał. Nie bardzo wiedział, dlaczego składamy ten wniosek. Szybko stało się jasne, że nie przeczytał ani jednej z setek stron złożonych do akt sprawy przez obydwie strony.

Dobry prawnik jest przygotowany na taką ewentualność, więc Richard spokojnie opowiedział sędziemu całą historię od początku. Zdawało się, że dobrze mu idzie, potem jednak sędzia zaczął zadawać pytania.

W ciągu kolejnej godziny sędzia Griesa najwyraźniej zapomniał, jaki jest cel posiedzenia, które prowadzi. Nie docierało do niego, kim jestem ani jakie są moje powiązania z Johnem Moscowem. Nie potrafił zrozumieć, jak Prevezon otrzymał część skradzionych pieniędzy. W pewnym momencie nie pamiętał nawet, że początkiem całej sprawy było oszustwo dokonane w Rosji.

Richard sięgnął do najgłębszych pokładów cierpliwości i wiedzy na temat sędziego Griesy, żeby się przebić przez tę mgłę. Na próżno.

Cymrot nie miał łatwiej. Dowodził, że skoro ja rutynowo wygłaszam prelekcje na temat Siergieja i umieściłem w serwisie YouTube materiały filmowe i prezentacje na temat oszustwa na kwotę dwustu trzydziestu milionów dolarów, to sam zrezygnowałem z prawa do tajemnicy adwokackiej.

Sędzia Griesa nie nadał za tym wywodem.

- Proszę powtórzyć. Kto wygłaszał te prelekcje? – zapytał.
- On regularnie występuje publicznie – wyjaśnił Cymrot.
- Ale kto?
- Pan Browder.
- Kto umieszcza te materiały w sieci?

– Pan Browder i Hermitage. Mają stronę internetową, proszę sądu. I wygłaszają prelekcje przez cały ten czas. Co miesiąc.

– Kto wygłasza prelekcje dla kogo?

Nawet Cymrot zaczynał tracić cierpliwość.

– Pan Browder wygłasza prelekcje – powiedział powoli do mikrofonu. – Mówi o panu Magnitskim i oszustwie na kwotę dwustu trzydziestu milionów oraz wyjaśnia, dlaczego jego zdaniem państwo rosyjskie jest przedsięwzięciem przestępczym.

Wydawało się, że sędzia, chociaż kompletnie zdezorientowany, sympatyzuje z Johnem Moscowem. Kiedy prawnicy skończyli uzasadniać swoje wnioski, oznajmił:

– Odsunięcie [Johna Moscowa] od tej sprawy, żeby nie mógł wykonywać swojej pracy? Nie mam pojęcia, dlaczego Hermitage miałby się tego domagać. Szczerze mówiąc, to raczej podłe zachowanie.

Sędziowie nie są od tego, żeby oceniać, czy jakieś zachowanie jest podłe czy nie. Mają orzekać, czy jest zgodne z prawem.

Było oczywiste, że przegramy. Randy interweniował w ostatniej chwili, prosząc sędziego Griesę o spotkanie w jego gabinecie. Sędzia wyraził zgodę. Randy, Richard, John Moscow i Mark Cymrot udali się do jego gabinetu.

Richard przedstawił sędziemu zapis rozmowy, którą odbyłem z Johnem Moscowem w dniu aresztowania Siergieja – tej, podczas której były prokurator mówił o śledzeniu wyłudzonych dwustu trzydziestu milionów, bo zostawiają „ślady na śniegu” – oraz kilku innych prywatnych rozmów, które jako klient przeprowadziłem z nim jako moim adwokatem. Materiały te przeczyły twierdzeniu Johna Moscowa, że nigdy nie pomagał mi prześledzić drogi wyłudzonych pieniędzy, oraz zapewnieniu Cymrota, że nie przekazywałem im żadnych poufnych informacji.

Spotkanie za zamkniętymi drzwiami trwało ponad godzinę. Sędzia Griesa nie był przekonany, mimo to zgodził się na kolejne posiedzenie 23 października.

Cała ta sytuacja wyjątkowo mnie zirytowała, lecz nie mogłem powstrzymać współczucia dla sędziego. Mój ojciec, który był mniej więcej w tym samym wieku, został odznaczony Narodowym Medalem Nauki i należał do najwybitniejszych matematyków na świecie. U szczytu swojej kariery rozwiązywał najbardziej skomplikowane nieliniowe równania różniczkowe cząstkowe, jakie istnieją. Teraz, w wieku osiemdziesięciu

kilku lat, problemem stały się dla niego najprostsze czynności, choćby opłacenie rachunków za media czy włączenie alarmu przeciwwłamaniowego. Obserwowanie, jak starość go upokarza, należało do najsmutniejszych doświadczeń w moim życiu.

Fakty były takie, że sędzia Griesa nie nadawał się już do pracy w sali sądowej. Natknęliśmy się na skutek osobliwości amerykańskiego systemu sądownictwa, który nie nakłada na sędziów federalnych obowiązku przechodzenia na emeryturę w określonym wieku. Mogą oni orzekać dosłownie do dnia swojej śmierci. Jestem pewien, że sędzia Griesa w czasie swojej kariery brylował wśród prawników, teraz jednak był cieniem swojego dawnego ja, a nam przyszło za to zapłacić.

Im dłużej o tym myślałem w ciągu tygodnia między obiema rozprawami, tym bardziej się martwiłem. Rozmawiałem z Randym dzień przed terminem. Zauważył, że jestem przejęty, sam jednak pozostał spokojny i pewny zwycięstwa: „Nie martw się, Bill. Przekonam go”.

Następnego popołudnia prawnicy znów stawili się w sali 26B. Tym razem argumentował Randy. Próbował nakłonić sędziego do zmiany opinii, odwołując się raczej do zdrowego rozsądku niż do skomplikowanych argumentów prawnych.

Niestety, im dłużej mówił, tym głębsza stawała się frustracja sędziego. Griesa sprawiał wrażenie, jakby się złościł na samego siebie, że nie potrafi zrobić tego, co wcześniej przychodziło mu z taką łatwością. Po prostu nie nadążał za wywodem. Nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób praca, którą John Moscow wykonywał wcześniej dla nas, kolidowała z tym, co teraz robił jako pełnomocnik Prevezonu.

W dodatku przez cały czas John Moscow pozwalał sobie na haniebne zachowanie i scenicznym szeptem rzucał komentarze typu: „To nieprawda!” albo „Randy, jak możesz mówić coś takiego?”. Trudno byłoby wskazać bardziej nieprofesjonalne zachowanie na sali sądowej. Sędzia Griesa nie mógł go powstrzymać, ponieważ po prostu tego nie słyszał.

Randy mówił prawie półtorej godziny, cierpliwie próbując się przebić przez frustrację sędziego. Po nim głos zabrał Cymrot. Zdawał sobie sprawę, że ma wygraną w kieszeni, i skończył po niecałych dziesięciu minutach.

W zasadzie to był koniec, ale w ostatniej chwili interweniował Paul Monteleoni, który poprosił o głos. Podjął jeszcze jedną próbę pokonania niemocy sędziego. Wstał, podszedł do mikrofonu i przez kilka minut

wyjaśniał, że Hermitage i Prevezon to przeciwległe strony tego samego przestępstwa.

Nadal zdezorientowany sędzia Griesa zapytał:

– Czyli twierdzi pan, że Prevezon jakoś współpracował z funduszem Hermitage podczas prania brudnych pieniędzy?

– Nie! – zdecydowanym głosem zaprzeczył Paul. – Prevezon z całą pewnością nie współpracował z funduszem Hermitage. Hermitage był ofiarą tego przestępstwa.

Jestem pewien, że żaden z obecnych na sali prawników nie wierzył własnym uszom. Po setkach stron wniosków, dwóch posiedzeniach i długiej rozmowie za zamkniętymi drzwiami sędzia Griesa nadal nie rozumiał podstaw sprawy, o której rozstrzygał.

Chwilę później zapadł wyrok. Sędzia oznajmił, że nie widzi „żadnego powodu, żeby Moscow nie reprezentował Prevezonu, swojego nowego klienta, w nowych działaniach”. Po chwili dodał: „Te nowe działania to zupełnie inna para kaloszy. Dziękuję państwu bardzo”.

I to wszystko. John Moscow i kancelaria BakerHostetler mogli nadal prowadzić sprawę.

Nasi przeciwnicy w Rosji wpadli w zachwyt. W ciągu godziny Weselnicka, wspomniana prawniczka rodziny Kacywów, opublikowała pokaźnych rozmiarów post na Facebooku. Trudno było nadażyć za jej pokrętną argumentacją, ale w jednej sprawie okazała się zaskakująco szczerą. Używając sformułowania „Browder przeciwko Rosji” zamiast „Stany Zjednoczone przeciwko Prevezonowi”, obaliła całą argumentację, którą kancelaria BakerHostetler skonstruowała w sądzie chwilę wcześniej. Byliśmy stroną przeciwną Prevezonu.

Tytuł jej wpisu mówił wszystko: Dziś ważny dzień. 1:0 dla Rosji.

ROZDZIAŁ 19

The Daily Show

Jesień 2014–zima 2015

Po nieudanej próbie zdyskwalifikowania Moscowa i kancelarii BakerHostetler Randy stracił trochę pewności siebie. Nadal był przekonany, że uda mu się unieważnić nakaz z Aspen – czego ostatecznie dokonał – ale stanowczo podkreślał, że nie wolno mi przyjeżdżać do Nowego Jorku, dopóki trwa sprawa Prevezonu.

– Bo jeśli dostarczą wezwanie tutaj, to całkiem zmieni reguły gry – ostrzegał.

Zalecenie unikania Nowego Jorku łatwo było wydać, dużo trudniej wykonać. Regularnie jeździłem tam w interesach i z powodów osobistych, bo moi rodzice mieszkali w Princeton, w stanie New Jersey, więc niedaleko.

Tamtej jesieni podczas kolacji z okazji Święta Dziękczynienia odebrałem telefon od Natalie, pielęgniarki mieszkającej w domu moich rodziców i opiekującej się nimi.

– Bill, twoja matka nie czuje się dobrze – poinformowała mnie. – Zabraliśmy ją na ostry dyżur do szpitala. Chyba powinieneś przyjechać.

Moja matka miała osiemdziesiąt pięć lat i chorowała od lat. Po siedemdziesiątce doznała rozległego udaru, który doprowadził do częściowego paraliżu i przykuł ją do wózka inwalidzkiego, gdy zaś skończyła osiemdziesiąt trzy lata, zdiagnozowano u niej chorobę Alzheimera i od tamtej pory stan jej zdrowia tylko się pogarszał. Jako dziecko uciekła z Wiednia, po czym sama odbyła podróż przez Atlantyk do Stanów Zjednoczonych. Uciekła przed Hitlerem i Holocaustem, przed wyniszczającymi skutkami choroby uciec nie mogła.

Odkąd skończyła sześćdziesiąt lat, mieszkałem poza Stanami Zjednoczonymi. Przez długi czas, dopóki rodzicom dopisywało zdrowie, znajdowaliśmy sposoby, żeby się spotykać albo w Ameryce, albo w Wielkiej Brytanii. Wszystko się zmieniło, gdy matka podupała na zdrowiu. Dręczyło mnie poczucie winy, że nie jestem blisko niej.

Kilkadziesiąt lat wcześniej moi rodzice znaleźli się w analogicznej sytuacji i moja matka też czuła się winna. Jej matka, Erna, w wieku osiemdziesięciu pięciu lat złamała biodro i zniedołężniała. Nie mogła mieszkać sama, trafiła więc do raczej ponurego domu opieki w Alamedzie w Kalifornii finansowanego przez państwowy program pomocy socjalnej Medicaid. Jej stan stopniowo się pogarszał, co głęboko ją upokarzało. Przykro było na to patrzeć. Moi rodzice, którzy utrzymywali się z profesorskiej pensji, nie mieli pieniędzy, żeby polepszyć jej sytuację życiową albo sprowadzić ją do siebie do New Jersey.

Miałem wtedy dwadzieścia cztery lata i studiowałem w szkole biznesu. Jako jedyny z całej rodziny przebywałem na Zachodnim Wybrzeżu, odwiedzałem więc babcię tak często, jak mogłem. Z ogromnym bólem patrzyłem, jak podupada w takim zimnym, nieczułym miejscu. Babcia w końcu umarła sama w nieznanym otoczeniu, z dala od tych, którzy ją kochali. Nawet ja nie mogłem do niej pojechać, gdy to się stało.

Po śmierci Erny obiecałem sobie, że nigdy nie dopuszczę, żeby coś podobnego spotkało moich rodziców czy kogokolwiek z moich bliskich. Dwadzieścia sześć lat później dotrzymałem tej obietnicy. Kiedy moi rodzice stali się słabi i niesamodzielni, miałem to szczęście, że mogłem zapewnić im troskliwą opiekę pielęgniarek w ich własnym domu.

Po rozmowie z Natalie w Święto Dziękczynienia zarezerwowałem bilet na najbliższy lot do Newark. Chociaż Princeton jest w stanie New Jersey, nie w stanie Nowy Jork, ta podróż oznaczała zignorowanie zaleceń Randy'ego. Jurysdykcja Sądu Federalnego Stanów Zjednoczonych nie kończy się na granicy stanu, lecz rozciąga się w promieniu około stu sześćdziesięciu kilometrów od siedziby tego sądu. Princeton leży mniej więcej osiemdziesiąt kilometrów od miasta Nowy Jork.

Nie było mowy, żeby John Moscow ze swoim nakazem sądowym mógł powstrzymać mnie przed wizytą u poważnie chorej matki. Nie zamierzałem mu na to pozwolić.

Następnego popołudnia byłem już w Newark. Po przejściu przez odprawę wynająłem samochód i prosto z lotniska udałem się do Princeton Medical

Center, nowoczesnego szpitala na przedmieściach. Na miejscu okazało się, że stan zdrowia mojej matki jest znacznie gorszy, niż się spodziewałem.

Lekarz, który przyszedł ze mną porozmawiać, powiedział, że matka może z tego nie wyjść. Na koniec zadał rutynowe pytanie, czy podpiszę zgodę na niepodejmowanie reanimacji.

Jeszcze zanim matka straciła zdolność klarownego myślenia, kazała mi przysiąc, że w takiej sytuacji nie zgodzę się na podejmowanie herkulesowych wysiłków dla utrzymania jej przy życiu, i nie zamierzałem teraz tej przysięgi łamać. Powiedziałem lekarzowi, że podpiszę formularz DNR (Do Not Resuscitate).

Mimo wszystko czym innym było rozmawianie na abstrakcyjny temat przed laty, a czym innym podjęcie teraz realnej decyzji. Czułem się okropnie. Zadzwoiłem do swojego brata, Toma, który mieszkał na Hawajach. On też musiał tu być. Przyleciał następnego dnia. We dwóch siedzieliśmy przy łóżku naszej matki przez resztę tygodnia, czekając, modląc się i żywiąc nadzieję. Mój ojciec też chciał z nami czuwać. Niestety, nie czuł się dość dobrze, żeby wyjść z domu.

Piątego dnia wydarzył się cud i stan matki się poprawił. Ustabilizowało się ciśnienie krwi, oddech stał się swobodniejszy. Pielęgniarki zaczęły usuwać jedno po drugim urządzenia, do których była podłączona. Trzy dni później parametry życiowe były już tak dobre, że mogła funkcjonować poza szpitalem i karetką odwieziono ją do domu.

Widocznie nie nadszedł jej czas.

Tom i ja spędziliśmy z rodzicami jeszcze jedną noc. Następnego ranka pożegnałem się z bratem, po czym usiadłem z matką, trzymając ją za rękę, i razem obserwowaliśmy wiewiórki szukające żołądki. Mówiłem do niej, choć nie miała pojęcia, kim jestem, ani nie rozumiała moich słów. Opowiedziałem jej, co u wnuków, do której uczelni pójdzie David, wspominałem nawet o ustawie Magnitskiego.

Przed wyjazdem wziąłem Natalie na stronę.

– Mam pewne problemy z Rosjanami – poinformowałem ją. – Gdybyś zauważyła tu coś niezwykłego, daj mi znać. – Natalie pochodziła z Gruzji i dobrze wiedziała z historii swojego kraju, do czego potrafią się posunąć Rosjanie. Obiecała mieć oczy otwarte.

Wróciłem do Londynu. Na razie nie musiałem jeździć do rodziców, by czuwać u boku matki, czekał mnie natomiast poważny dylemat w nadchodzącym roku. Czerwony alert miał się ukazać na początku lutego

i zaplanowano mój udział w działaniach promocyjnych przygotowanych w związku z tą premierą. Nie było mowy, żebym uniknął radarów Johna Moscowa podczas tego wyjazdu.

Randy na wieść o nowojorskiej promocji stanowczo oznajmił, że nie powinienem pojawiać się w Nowym Jorku. Zapewne zastosowałbym się do tego zalecenia, gdyby chodziło tylko o uniknięcie odebrania nakazu sądowego. Coś innego uznałem za znacznie istotniejsze. Rosjanie zainwestowali wiele, żeby stworzyć fałszywą narrację na temat Siergieja, dlatego było tak ważne, żeby dzięki mnie prawdziwa wersja tego, co się stało, trafiła do jak największej grupy ludzi. Mógłbym zedrzyć gardło, przekonując polityków i prokuratorów z takim sobie skutkiem. Bestsellerowa książka miała nieporównanie większą siłę perswazji.

Priscilla Painton, moja redaktorka w wydawnictwie Simon & Schuster, zapewniała mnie, że tekst jest świetny, ale książki same się nie sprzedają, zwłaszcza jeśli ich autor niczego wcześniej nie wydał, dlatego żeby wzbudzić szerokie zainteresowanie, musiałem przyjąć każdą propozycję wywiadu i odwiedzić wszystkie programy telewizyjne, które tylko chciały mnie pokazać.

Po prostu musiałem pojechać do Nowego Jorku.

Tuż przed Bożym Narodzeniem wspólnie z Eleną pakowaliśmy prezenty dla naszych dzieci, gdy znów zadzwoniła Natalie.

– Chciałeś, żebym zadzwoniła, jeśli zauważę coś dziwnego.

– Tak. Co się stało?

– Wokół domu kręciło się dzisiaj dwóch mężczyzn. Chodzili po śniegu. Zaglądali do środka, gdy szykowałam kolację. – Dom stał na końcu ślepej drogi, właściwie w lesie. Ktokolwiek zaglądał do środka, nie mógł się tam znaleźć przypadkiem.

– Przyjrzałaś im się?

– Nie, było za ciemno. Za to sprawdziłam, czy wszystkie drzwi są zamknięte, i włączyłam alarm. Co mam zrobić, jeśli wrócą?

– Najpierw zgłoś pod 911, później dzwoń do mnie.

Zaniepokoiła mnie ta wiadomość. Nie mogłem wtedy być pewien, że za tajemniczymi mężczyznami stoi John Moscow, jednak gdyby faktycznie za nimi stał, posunąłby się za daleko. Co więcej, gdyby miał aż taką determinację i dysponował aż takimi możliwościami, byłoby mi znacznie trudniej promować moją książkę w Nowym Jorku w taki sposób, żeby mnie nie namierzył.

Potrzebowałem strategii, żeby poprowadzić promocję bez żadnych incydentów.

Jej znalezienie powierzyłem przede wszystkim Sophie de Selliers, która wcześniej pracowała dla mnie podczas kampanii promującej ustawę Magnitskiego. Była absolwentką Uniwersytetu Edynburskiego w Szkocji, wieczorowo studiowała też prawo. Chociaż miała dopiero dwadzieścia dziewięć lat, była nad wiek dojrzała i czujna.

Wydarzenia w moim terminarzu zaplanowała z najdrobniejszymi szczegółami. Poza tym poprosiła każdego producenta audycji i dziennikarza o zapewnienie nam drugiego wyjścia z budynku, żebyśmy nie wpadli w pułapkę. Większość z nich rozumiała powody tej prośby, a ci, którzy się dziwili, prawdopodobnie nie przeczytali książki.

Odebrałem kolejny telefon od Natalie, kiedy Sophie dopinała ostatnie sprawy związane z moimi działaniami w Nowym Jorku.

– Musisz przyjechać. – Natalie była silnie poruszona. – Myślę, że to już.

Okazało się, że moja matka całkiem przestała jeść i pić. Gdyby to się nie zmieniło, zostałoby jej tylko kilka dni życia.

Wszystkie sprawy odłożyłem na bok i wróciłem do New Jersey. Niestety, Tom tym razem nie mógł przyjechać, a Elena musiała zostać w Londynie z dziećmi. Przy łóżku matki czuwaliśmy więc tylko ja, mój ojciec i Natalie.

Matka leżała w domu, nie w szpitalu. Rodzice mieli lekarza rodzinnego w dawnym stylu, który przychodził do pacjentów na wizyty domowe. Zjawił się tego samego dnia, którego przyleciałem. Zapytałem go, co możemy zrobić, żeby nakłonić ją do jedzenia i picia.

– Nic. Uznała, że nadszedł jej czas – odpowiedział po prostu. Wiedział tak samo dobrze jak ja, że matka nie chciała sztucznego przedłużania życia. Wyjaśnił, że teraz będzie powoli gasła, nie czując bólu ani dyskomfortu.

Przez następne dni siedziałem z nią, snując wspomnienia i zapewniając ją, że nie jest sama. Uruchomiłem aplikację FaceTime i ustawiłem iPada tak, żeby Tom, Elena i David mogli z nią porozmawiać.

Od czasu do czasu odchodziłem od łóżka i spacerowałem po domu, żeby oczyścić głowę i trochę się rozruszać. Mój ojciec miał około trzydziestu pięciu tysięcy książek poukładanych równo na półkach w przystosowanej do tego piwnicy, dzieła różnych pisarzy, od Arystotelesa przez św. Tomasza z Akwinu po Gogola, i na różne tematy, od geofizyki po historię sztuki i topologię. Tomy po angielsku, francusku i rosyjsku stały ułożone jak w uniwersyteckiej bibliotece. Przeczytał je wszystkie. Ilekroć

przyjeżdżałem tu z rodziną, moje dzieci bawiły się tu w chowanego i znikwały między regałami czasem na długie godziny. Spacerując po bibliotece, myślałem o tym, jak imponujący jest ten księgozbiór, i o tym, jak bardzo moja matka nienawidziła obsesji ojca na punkcie kolekcjonowania książek.

W tych ostatnich dniach skupiałem się na matce, ale za każdym razem, gdy przechodziłem obok okna na podwórze, do moich myśli wdzierał się John Moscow. Na samą myśl o tym, że on i jego nakaz sądowy mogliby zakłócić taką chwilę, ogarniała mnie wściekłość.

Minęły cztery dni. Oddech mojej matki stawał się coraz wolniejszy. Po południu przyszły dwie pielęgniarki z hospicjum. Wcześniej obiecały, że jeśli pojawią się jakiegokolwiek oznaki bólu, podadzą morfinę, ale gdy zobaczyły moją matkę, zapewniły mnie, że na pewno nie cierpi.

Pod wieczór matka była bliska końca. Chwyciłem ją za rękę i powiedziałem, że ją kocham. Potem wydała ostatnie tchnienie i odeszła.

Zmarłemu życzy się zwykle, żeby odpoczywał w pokoju. Ten pokój widziałem na jej twarzy. Już nie walczyła, wreszcie się skończyły lata cierpienia.

Później zabrano ją do domu pogrzebowego. Pojechałem nad pobliskie jezioro Carnegie. Na tamtejszym parkingu zatrzymywałem się czasem, żeby posiedzieć w samochodzie po drodze między domem rodziców a szpitalem albo z powrotem. Patrząc na nieruchomą wodę, uświadomiłem sobie, że towarzyszenie matce podczas umierania było znacznie mniej przygnębiające niż wizyty w szpitalu, gdy żyła i leżała podłączona do tych wszystkich maszyn. Owszem, strata matki mnie przytłaczała, ale obecność przy jej boku sprawiła, że łatwiej zniosłem tę stratę.

To była druga po Sergieju Magnitskim poważna strata w moim życiu. Naturalne, spokojne odejście mojej matki w otoczeniu tych, których kochała, jeszcze dosadniej mi uświadomiło, w jakich potwornych okolicznościach został zamordowany. Nie dość, że zabrano mu dziesiątki lat życia, to ostatnie chwile spędził bez najbliższych, w zimnej izolatce, bity na śmierć.

Po powrocie do Londynu zdałem sobie sprawę, że najlepszym sposobem przeżycia żałoby po matce i naprawienia niesprawiedliwości tego, co spotkało Sergieja, było przekształcenie mojego smutku w szlachetne działania. Postanowiłem, że za dwa tygodnie wrócę do Nowego Jorku i przeprowadzę cholernie dobrą promocję Czerwonego alertu.

Na Manhattan wróciłem 2 lutego 2015 roku. Pierwszego wywiadu udzieliłem w programie Fox & Friends za kwadrans siódma. Sophie poprosiła producentów, żeby nie zapowiadali mojego udziału, tak więc John Moscow i jego ekipa nie mieli pojęcia o wizycie, dopóki nie pojawiłem się w studiu.

Do budynku telewizji Fox weszliśmy przez rampę załadunkową od strony 48. Zachodniej, niespełna sto pięćdziesiąt metrów od głównego wejścia na 6. Alei. Nasze auto zatrzymało się obok zaparkowanego tam samochodu dostawczego. Kilku robotników kręciło się przy rampie, paląc papierosy. Jeden z nich krzyknął głośno:

– Podjechaliście od złej strony! Musicie zjechać od frontu.

– Nie, nie – odrzekła Sophie. – Dobrze podjechaliśmy. Wszystko jest uzgodnione.

Robotnik chciał jeszcze coś powiedzieć, ale otworzyły się drzwi i stanęło w nich dwóch krzepkich ochroniarzy.

– Pan Browder? – krzyknął jeden z nich.

Potaknąłem głową.

– Proszę z nami. – Przez labirynt korytarzy poprowadzili nas do poczekalni na parterze.

Podczas przerwy reklamowej producent podszedł ze mną do kanapy na planie, gdzie przywitało mnie troje współprowadzących. O Rosjanach wiele się mówiło w wiadomościach. Napadli na Ukrainę, zestrzelili samolot pasażerski i oszukiwali podczas igrzysk olimpijskich. Odniosłem wrażenie, jakby moi gospodarze całym sercem się zgadzali, że Putin szkodzi światu. Opowiedziałem historię Siergieja, jak wiele razy wcześniej, teraz jednak mogłem też odesłać swoich słuchaczy do książki w twardej oprawie, która leżała na stoliku przed nami. Rozmowa potrwała niecałe pięć minut, ale nie mogła chyba pójść lepiej.

Razem z Sophie wyszliśmy z budynku tą samą drogą bez żadnych problemów. Gdy samochód wiozł nas przez miasto, wyobraziłem sobie, że po obejrzeniu mojego wywiadu Moscow gorączkowo dzwoni do różnych ludzi i próbuje ustalić, gdzie jeszcze się pojawię.

Następnego wywiadu udzieliłem dziennikarzowi internetowego magazynu „Slate”. John Moscow nie mógł wiedzieć, że tam jestem, ponieważ nagrywaliśmy podcast, nie rozmowę na żywo. Mimo to z Sophie i tak weszliśmy bocznymi drzwiami.

Później byłem umówiony z przedstawicielami prasy. Po spotkaniach w redakcjach „Wall Street Journal” oraz „Business Insider” wróciłem do hotelu, gdzie ze swojego pokoju udzieliłem wywiadów kilku rozgłośniom radiowym. Później zrobiłem sobie przerwę, zjadłem lunch i przygotowywałem się do najważniejszej rozmowy podczas całego książkowego tournée, wizyty w The Daily Show.

Ponieważ od dwudziestu sześciu lat mieszkalem w Londynie, niewiele wiedziałem o The Daily Show, satyrycznym programie informacyjnym wówczas prowadzonym przez Jona Stewarta, komika o bystrym i wnikliwym umyśle. Wahałem się, czy powinienem wystąpić w programie komediowym. Moja znajoma, Juleanna Glover, znawczyni realiów waszyngtońskich, która wcześniej pomagała mi w działaniach na rzecz uchwalenia ustawy Magnitskiego, zapewniła mnie, że wywiad w tym show praktycznie gwarantuje Czerwonemu alertowi miejsce na liście bestsellerów. Entuzjastycznie nastawiona przyjechała pociągiem z Dystryktu Kolumbii, żeby dotrzymać towarzystwa mnie i Sophie.

Ale był pewien szkopuł. Mój udział w The Daily Show nie tylko zapewniał potencjalnie największe korzyści promocyjne, lecz także wiązał się z największym ryzykiem. Wydawcy zawsze informowali widzów, kto będzie gościem programu, i od tej reguły nie robili wyjątków – także dla mnie. John Moscow na pewno wiedział, że się tam pojawię.

Dlatego przedsięwzięliśmy specjalne środki ostrożności. Pod boczne wejście do studia na 51. Zachodniej podjechaliśmy ponad godzinę przed rozpoczęciem programu. Zanim wyszliśmy z samochodu, starannie sprawdziliśmy ulicę w obu kierunkach. Nikogo nie dostrzegliśmy w promieniu piętnastu metrów od nas, Sophie zadzwoniła więc do producenta. Po niecałej minucie otworzyły się drzwi przesuwne. Pośpiesznie wyszliśmy z samochodu i ochroniarze wprowadzili nas do budynku.

Czekaliśmy w pokoju dla gości programu. Kilka minut przed rozpoczęciem emisji do poczekalni szybkim krokiem wszedł Jon Stewart. Przywitał się i zapoznał mnie z planowanym przebiegiem rozmowy. Na koniec zapytał, czy chciałbym coś jeszcze wiedzieć.

Ciekawiło mnie tylko jedno:

– Czy mam być zabawny? – Nie potrafiłem sypać żartami na komendę, a już na pewno nie na tak poważny temat.

– Nie, nie. Proszę być sobą i mówić tak, jak podczas każdego innego wywiadu – odpowiedział. – Żarty będę opowiadał ja, w końcu to moja praca. – Posłał mi uśmiech, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Kilka chwil później usłyszeliśmy śmiech publiczności. Zaczął się program. Nagle poczułem zdenerwowanie większe niż przed którymkolwiek innym występem w telewizji. Potem zjawił się producent z informacją, że już czas. Chwilę później znalazłem się w studiu.

Było to duże pomieszczenie. Wszystkie powierzchnie pomalowano na czarno, wszystkie lampy oświetlały scenę, więc nie widziałem publiczności. Rozległy się oklaski i Jon Stewart podniósł się, żeby mnie przywitać. Zgodnie z oczekiwaniem rozmowa była niepodobna do wywiadów, których udzielałem dotychczas. Jon Stewart dużo żartował – nie z Siergieja czy ze mnie, tylko z Putina i jego kumpli.

Pod koniec wywiadu rozmawialiśmy o bankach i o praniu pieniędzy.

– Skoro banki wiedzą, że to brudne pieniądze, czy na liście [Magnitskiego] nie powinniśmy umieścić także banków? – wypalił Jon.

Wzbudził tym największe oklaski tego wieczoru. Nikt nie lubi banków.

Kilka chwil później otrzymałem rekomendację, o jakiej marzy każdy autor. Jon Stewart oparł książkę o blat swojego biurka i powiedział:

– Niesamowita opowieść. Czerwony alert. Bill Browder.

Rozbrzmiała muzyka i uścisnąłem jego rękę na pożegnanie. Zanim się zorientowałem, znów byłem w poczekalni. Sophie promieniała, Juleanna mnie uścisnęła.

– Wypadłeś doskonale, Bill.

W przyływie emocji całkiem zapomniałem o Johnie Moscow i jego doręczycielach. Natomiast gdy wychodziliśmy ze studia przez te same boczne drzwi, jeden z ochroniarzy zabezpieczających The Daily Show zatrzymał mnie i oznajmił:

– Najpierw sprawdzę, czy teren jest czysty, panie Browder.

Wyszedł na zewnątrz. Słońce zdążyło zająć i zaczął padać śnieg. Kilka sekund później ochroniarz wrócił, pokazując uniesiony kciuk.

Juleanna, Sophie i ja ruszyliśmy po chodniku w stronę samochodu. Nagle z mroku wynurzyło się dwóch postawnych mężczyzn i ruszyło w naszą stronę. Juleanna zauważyła ich pierwsza, chwyciła mnie za ramię i krzyknęła:

– Bill, wsiadaj do samochodu!

Jeden z mężczyzn zepchnął Juleannę z drogi, gdy wsiadłem na tył naszego auta. Wcisnął się w wąską przestrzeń między samochód a drzwi i mimo wysiłków nie mogłem ich zamknąć.

Zdając sobie sprawę, że przegrywam tę szarpaninę, przesunąłem się po tylnej kanapie, otworzyłem przeciwległe drzwi i wyszedłem na oblodzoną, pokrytą śniegiem ulicę. Manewrując między samochodami, odbiegłem w kierunku West Side Highway. Szukałem taksówki, ale oczywiście żadnej nie ma, gdy jest potrzebna, co każdy nowojorczyk zapewne potwierdzi. Biegłem dalej, zawróciłem przy 50. ulicy i wreszcie zauważyłem taksówkę stojącą przy 11. Alei. Nie wiem, czy któryś z mężczyzn mnie gonił, ale żadnego nie zauważyłem.

Wsiadłem do taksówki i warknąłem:

– Midtown.

Kierowca odwrócił się na fotelu.

– Jesteśmy w Midtown.

– Więc do Sheratona. – To był pierwszy hotel, który przyszedł mi do głowy, chociaż nie w nim się zatrzymałem.

– Rozumiem.

Taksówka wlokła się przez Theater District. Co chwila zerkałem przez tylną szybę, żeby sprawdzić, czy ktoś za nami nie jedzie. Wyglądało na to, że nie, ale przy tak dużym ruchu nie mogłem być pewny.

Pod Sheraton podjechaliśmy kwadrans później. Poszedłem prosto do baru i zamówiłem drinka. Odczekałem pół godziny i gdy zyskałem pewność, że nikt mnie nie śledzi, wyszedłem na zewnątrz, złapałem kolejną taksówkę i pojechałem do swojego hotelu. Tam też nie było żadnych podejrzanych osobników.

Ze swojego pokoju zatelefonowałem do Randy'ego. Nie ucieszyła go ta wiadomość.

– Mówiłem, żebyś nie przyjeżdżał do Nowego Jorku.

– Można uznać, że zostałem powiadomiony? Zdaje mi się, że ten facet wrzucił coś do samochodu, ale z całą pewnością niczego mi nie wręczył.

– Trudno stwierdzić. Mimo wszystko to nie jest dobra wiadomość.

Następnego ranka dowiedziałem się, że do kancelarii Randy'ego wpłynął najnowszy nakaz sądowy wydany na wniosek Johna Moscowa. Zamierzaliśmy go zaskarżyć, co oznaczało ponowne stawienie się przed sędzią Griesą.

Tego samego ranka otrzymałem też dobrą wiadomość. Czerwony alert trafił na listę dwudziestu najlepiej sprzedających się książek Amazona. Osiągnąłem swój główny cel: prawdziwa historia Siergieja Magnitskiego dotarła do szerokiego grona odbiorców.

Tyle że nie miałem pojęcia, jaką cenę przyjdzie zapłacić mnie i moim kolegom za działania Johna Moscowa.

ROZDZIAŁ 20

Boris Niemcow

Zima–wiosna 2015

Incydent po wywiadzie w The Daily Show miał tę dobrą stronę, że Sophie i ja przestaliśmy obsesyjnie unikać doręczycieli sądowych. Przez resztę pobytu w Nowym Jorku nie musieliśmy wślizgiwać się do budynków bocznymi drzwiami albo wejściem od strony rampy załadunkowej, ja zaś skupiłem się wyłącznie na promowaniu książki.

W ciągu następnych kilku tygodni Czerwony alert trafił na listę bestsellerów „New York Timesa” w Stanach Zjednoczonych i „Sunday Timesa” w Wielkiej Brytanii. Ludzie kupowali moją książkę nie po to, żeby stała na półce – czytali ją, i to z przyjemnością.

Po kampanii promocyjnej w Stanach Zjednoczonych i Zjednoczonym Królestwie wyruszyłem w trasę po Europie. Przekonanie publiczności angloamerykańskiej, że Putin nie jest porządnym facetem, nie wymagało wielkiego wysiłku. W Europie sprawy wyglądały inaczej. Chociaż nie ustawialiśmy w wysiłkach, w żadnym kraju Unii Europejskiej nie przyjęto ustawy Magnitskiego, a wymiar sprawiedliwości co prawda wszczął kilka postępowań w sprawie prania brudnych pieniędzy, w tym jedno znaczące we Francji, lecz toczyły się w iście żółtym tempie lub wręcz utknęły w martwym punkcie. Miałem nadzieję, że Czerwony alert to zmieni – ukazał się w dwunastu krajach Europy.

Główna trudność polegała na tym, że w Europie działało kilka jawnie proputinowskich ugrupowań, zatruwających główny nurt debaty politycznej.

We Francji Marine Le Pen, liderka skrajnie prawicowego Frontu Narodowego, otwarcie przyjmowała miliony euro od powiązanego

z Kremlu banku, żeby finansować swoją partię polityczną. W zamian zdawała się wspierać antyzachodnią politykę Putina.

W Niemczech były kanclerz Gerhard Schröder objął lukratywną posadę w spółce zależnej od Gazpromu, rosyjskiego giganta gazowego, niemal natychmiast po odejściu ze stanowiska. Chociaż od wielu lat należał do partii socjaldemokratycznej, która deklaruje wierność wolności i sprawiedliwości społecznej, stał się jednym z najaktywniejszych popleczników Putina w Europie.

Z kolei na Węgrzech autokratyczny premier Viktor Orban regularnie interweniował w Unii Europejskiej na rzecz Putina i nawet nie próbował ukrywać swoich sympatii.

Był wówczas co najmniej jeden kraj Unii Europejskiej, który nie miał złudzeń dotyczących Rosji: Holandia.

Latem 2014 roku samolot malezyjskiego przewoźnika Malaysian Airlines, lot numer MH17 z Amsterdamu do Kuala Lumpur, został zestrzelony przez rosyjski pocisk raketowy ziemia–powietrze nad wschodnią Ukrainą. Wszyscy na pokładzie zginęli. Sto dziewięćdziesiąt trzy ofiary z dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu miały obywatelstwo holenderskie. Chociaż Kreml próbował się wyprzeć zestrzelenia, dowody jednoznacznie wskazywały winnych⁵.

W Holandii, liczącej zaledwie siedemnaście milionów mieszkańców, ten akt terroru był odpowiednikiem ataku na WTC z 11 września. Nikt też nie miał wątpliwości, że wina za tę tragedię spada bezpośrednio na Putina.

Dlatego media w Holandii zainteresowały się Czerwonym alertem znacznie żywiej niż media w innych krajach europejskich.

Do Amsterdamu wyleciałem rankiem 26 lutego i udałem się prosto do siedziby mojego wydawcy w osiemnastowiecznej kamienicy nad kanałem. Żeby nie musiał biegać po całym Amsterdamie od jednej redakcji do drugiej, wydawca posadził mnie w sali konferencyjnej, do której co pół godziny przychodził kolejny dziennikarz.

Trwało to dwa dni. Kulminacją mojego amsterdamskiego blitzkriegu był udział w programie Jinek, jednym z najpopularniejszych w Holandii wieczornym talk-show oglądanym przez milion widzów. Miał w Holandii taką samą siłę przebicia jak The Daily Show w Stanach Zjednoczonych.

Do studia przyjechałem pół godziny przed rozpoczęciem programu. Poczekalnia dla gości w studiu nie przypominała pomieszczeń tego typu w innych telewizjach. Wyglądała raczej jak modny klub nocny z głośną

muzyką, barem, kelnerami roznoszącymi napoje i posiłki oraz kanapami i stołami rozstawionymi, gdzie się dało. Zapytałem, czy zawsze tak to wygląda.

– Nie, nie zawsze – usłyszałem. – Dziś jest ostatni odcinek tego sezonu. Stąd przyjęcie, które już się chyba zaczęło.

Poszedłem do baru po drinka. Czekając na zamówienie, rozejrzałem się i z zaskoczeniem stwierdziłem, że na lewo ode mnie stoi Mark Rutte, premier Holandii. Byłem tak zajęty przez ostatnie dwa dni, że nie miałem czasu sprawdzić, kto oprócz mnie wystąpi w programie. Najwyraźniej to on był głównym gościem.

Rozmawialiśmy przez kilka minut. Rutte z całą pewnością nie należał do moich ulubionych polityków. W 2011 roku, na długo przed tragedią MH17, holenderski parlament jednogłośnie przyjął rezolucję wzywającą rząd, żeby wcielił w życie ustawę Magnitskiego, i Rutte ją zablokował. Jak wielu innych przywódców europejskich wolał nie drażnić Putina. Między innymi chodziło o to, że holenderskie spółki zaliczały się do głównych beneficjentów zbudowanego nakładem wielu miliardów dolarów rurociągu Nord Stream 2, i Rutte nie chciał zakłócać przepływu pieniędzy.

Tamtej nocy, być może wskutek niedawnych wydarzeń, Rutte wydawał się zadowolony z mojego towarzystwa, uśmiechał się do wspólnych zdjęć, trzymając w ręku egzemplarz mojej książki.

Kilka minut później wydawca zaprowadził Ruttego, mnie oraz jeszcze kilku gości do studia. Program emitowano na żywo. Scena znajdowała się pośrodku widowni na okrągłym podeście. Panowała na niej tak samo imprezowa atmosfera jak w poczekalni, prawie jakby nie było między nimi różnicy.

Prowadząca program trzydziestokilkuletnia blondynka Eva Jinek pochodziła z Tulsy w Oklahomie, ale wczesne dzieciństwo spędziła w Dystrykcie Kolumbii, skąd w wieku jedenastu lat przeniosła się wraz z rodzicami do Holandii. To do niej trafiali na wywiad Amerykanie, którzy chcieli skutecznie zaistnieć w holenderskich mediach. Siedziała na krześle z lewej strony wielkiej półokrągłej kanapy przeznaczonej dla gości. Ponieważ prowadziła program po holendersku, dostałem słuchawki, żeby śledzić tłumaczenie na żywo.

Eva zaczęła rozmowę z Ruttem od pytania o skandal, który wybuchł po sprzeniewierzeniu kilkuset euro przez członka jego partii politycznej. Było mi trudno wykrzesać z siebie jakiegokolwiek emocje w związku z tą sprawą.

Szacowałem, że Putin ukradł Rosjanom miliardy. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego dyskutowali o kradzieży kilkuset euro, ale Eva dociskała. Straciłem zainteresowanie i zacząłem sprawdzać wiadomości w telefonie.

Podczas przewijania listy natrafiłem na SMS, który mnie zmroził. Wysłała go Elena Servettaz, rosyjska reporterka pracująca dla Radio France Internationale w Paryżu. Tekst brzmiał: „Niemcow został zabity w Moskwie!”.

Gapiałem się na te słowa z kciukiem znieruchomiałym nad jaśniejącym wyświetlaczem. To nie mogła być prawda. Z furią wpisałem „Niemcow” do wyszukiwarki Google. Wiadomość Eleny potwierdzało wiele różnych mediów. Przed kilkoma minutami Boris Niemcow został zastrzelony dosłownie parę metrów od Kremla.

Serce zaczęło mi walić.

Po naszej pierwszej rozmowie w Helsinkach Boris został nie tylko moim nieodzownym sojusznikiem, lecz także przyjacielem. Im lepiej go poznawałem, tym większy stawał się mój podziw dla niego. Na wzór wszystkich innych rosyjskich urzędników wysokiego szczebla mógł się dorwać do koryta i obłowić dzięki korupcji i nadużyciom. Nie zrobił tego, odrzucił chciwe, żarłoczne życie. Wybrał trudniejszą i właściwą drogę upominania się o zwyczajnych Rosjan oraz krytykowania tych, którzy nadużywali władzy.

Po uchwaleniu w Stanach Zjednoczonych ustawy Magnitskiego Boris często słyszał pytanie: „Czy to ustawa antyrosyjska?”. Zawsze odpowiadał: „Nie. To najbardziej prorosyjskie prawo przyjęte przez Stany Zjednoczone w całej historii naszych dwóch krajów”.

Za to stanowisko Boris został potępiony wśród rosyjskich oficjeli. Kiedyś po powrocie z Waszyngtonu, gdzie przedstawił amerykańskim senatorom wykaz kolegów Putina, których należy dodać do Listy Magnitskiego, padł ofiarą fizycznej napaści na lotnisku Szeremietiewo, gdzie zaatakowali go członkowie proputinowskiej młodzieżówki Nasi.

Mimo wszystko zamordowanie go wydawało mi się czymś niewyobrażalnym.

Tuż przed wejściem na scenę w amsterdamskim studiu telewizyjnym walczyłem z emocjami. Myślałem tylko o tym, żeby stamtąd wyjść. Chwilę później rozległy się oklaski na zakończenie wypowiedzi Ruttego. Zaczęto odtwarzać krótki film o Siergieju i o mnie. Wciąż oszołomiony zająłem

miejsce na kanapie dla gości. Film się skończył. Eva Jinek przedstawiła mi nienaganną amerykańską angielszczyznę.

Zaczęliśmy rozmawiać o historii Siergieja. Starłem się z zaangażowaniem odpowiadać na jej pytania, choć nie mogłem przestać myśleć o Borisie. Musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby skomentować to, co się stało.

– Siedząc w tym studiu, pokazujesz wszystkim swoją twarz – zwróciła się do mnie Eva pod koniec rozmowy. – To raczej nie jest dla ciebie bezpieczne?

– Z całą pewnością nie jest. Grozili mi śmiercią. Straszili, że mnie porwą. Kilka minut temu otrzymałem straszną, przerażającą wiadomość z Rosji, że Boris Niemcow, jeden z liderów opozycji, został zastrzelony na placu Czerwonym.

– Przed chwilą?

– Tak. Dosłownie kilka minut temu. – Na widowni rozległ się stłumiony krzyk. Chwilę później producenci programu wyświetlili zdjęcie Borisa Niemcowa na monitorach wokół sceny.

– Czy wiadomo, kto to zrobił? – zapytała Eva zaskoczona.

– Dotarła do mnie jednozdaniowa informacja. Nie mogłem o tym nie wspomnieć podczas naszej rozmowy.

Wywiad skończył się kilka minut później. Wciąż bardzo chciałem wyjść ze studia i jednocześnie czułem, że nie mogę tego zrobić. Usiadłem więc obok premiera i przez następne dwadzieścia minut znosiłem niefrasobliwą rozmowę o drukowaniu 3D, a po niej jakąś holenderską grupę hip-hopową.

Wreszcie program się skończył. Od razu taksówką pojechałem do hotelu. Po drodze odebrałem kolejny SMS od Eleny Servettaz: „Rozmawiałam z Władimirem KM. Jest na miejscu obok Borisa. Zdruzgotany”. Chodziło jej o Władimira Kara-Murzę, trzydziestotrzyletniego podopiecznego Borisa, który tak jak on protestował przeciwko działaniom Putina w Rosji oraz przekonywał do wprowadzenia ustawy Magnitskiego w różnych krajach na całym świecie.

Zadzwoiłem do Władimira. Był zrozpaczony. Zrozumiałem tylko tyle, że stoi na moście blisko Kremla, tuż przy ambulansie, w którym leżą zwłoki Borisa. Próbowałem wydobyć z niego coś więcej... Spazmatycznie szlochał i ledwie mógł mówić.

Resztę wieczoru spędziłem, wisząc na telefonie i przeglądając internet, dzięki czemu w końcu zdołałem jakoś odtworzyć, co się wydarzyło.

Tamtego wieczoru Boris udzielał wywiadu w radiu Echo Moskwy. Mówił o nadchodzącej demonstracji antyputinowskiej, którą organizował. Później ze swoją partnerką poszedł do restauracji w domu towarowym GUM. Zjedli kolację i zamierzali wrócić do domu. Pod rękę szli spacerem przez plac Czerwony w stronę mieszkania Borisa znajdującego się po drugiej stronie rzeki. Weszli na Wielki Kamienny Most i w tej samej chwili obok nich przetoczył się pług śnieżny. Niemal równocześnie z ciemnych schodów z boku mostu wyskoczył zabójca i oddał sześć strzałów. Boris zginął na miejscu. Jego partnerce nic się nie stało.

Boris leżał na plecach z wykrzywionymi nogami. Podciągnięta do pach koszula odsłaniała brzuch i klatkę piersiową. Pozostał tam przez długi czas, zanim włożono go do czarnego worka na zwłoki i przeniesiono do ambulansu. Gdy wiadomość się rozniosła, jego była żona Raisa z córką pośpieszyły na miejsce zabójstwa. W tym samym czasie znalazł się tam Władimir Kara-Murza. Wszystkim trojgu początkowo kazano pozostać za barierą policyjną. Byli tak zrozpaczeni, że w końcu ich przepuszczono. Na próżno jednak błagali, żeby pozwolono im zobaczyć Borisa.

Potem służby odjechały i pojawiła się polewaczka, która zmyła wodą cały most, co uniemożliwiło technikom kryminalistycznym prawidłowe zabezpieczenie śladów.

Następnego ranka wróciłem do Londynu. Byłem wycieńczony, mimo to poszedłem do pracy. Tam dotarły do mnie kolejne niezrozumiałe wiadomości. Władze rosyjskie poinformowały, że poprzedniego wieczoru wszystkie kamery monitoringu w okolicy Wielkiego Kamiennego Mostu wyłączono z powodu „konserwacji”. Było to całkowicie nieprzekonujące. Boris został zamordowany tuż przy Kremlu, który jest najlepiej strzeżoną nieruchomością w całej Rosji. Okazało się, że jedyna działająca kamera w okolicy, zamontowana około ośmiuset metrów od miejsca zbrodni, należała do stacji telewizyjnej TV Centr. Tyle że jej obiektyw zasłonił pług śnieżny akurat wtedy, gdy padły strzały.

Późniejsze działania władz wyraźnie pokazywały, że nie chodziło im o dotarcie do prawdy. Zamiast szukać faktycznych wskazówek i tropów, policjanci zrobili nalot na mieszkanie oraz biuro Borisa. Zabezpieczyli należące do niego dokumenty, komputery, telefony, twarde dyski i wszystko, co się wiązało z jego działalnością polityczną. Bardziej interesowało ich ustalenie, z kim współpracował w opozycji wobec Putina, niż z czyjej ręki zginął.

Władz nie interesowało ustalenie prawdy, lecz Rosjanie chcieli ją poznać. Dwa dni po zamordowaniu Borisa na ulice wyszło ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy utworzyli wielokilometrowy korowód wzdłuż rzeki Moskwy. To, co przed śmiercią Borisa planowano jako antyputinowski wiec, zamieniło się w masową demonstrację smutku i żądanie sprawiedliwości. Tysiące kwiatów pojawiły się w miejscu, w którym zamordowano Borisa. Władze szybko je usuwały, ludzie przynosili następne. Potem znowu i znowu, i znowu. Do dziś leżą tam kwiaty, prowizoryczny pomnik Borisa Niemcowa.

Zamordowanie Borisa wywołało tak wielki skandal, że Kreml musiał coś zrobić. Władze aresztowały więc pięciu Czeczenów (szósty zmarł w wybuchu, gdy miał zostać zatrzymany). Jeden z nich przyznał się do winy, choć z czasem wyszło na jaw, że torturowano go, zanim złożył to zeznanie. Inny okazał się czynnym funkcjonariuszem rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Ostatecznie wszystkich pięciu skazano na długoletnie więzienie za udział w zamordowaniu Borisa. Ale nadrzędnym celem tych wyroków było rozmycie odpowiedzialności. Jak można się było spodziewać, żadnych wyższych funkcjonariuszy państwowych nie powiązano nigdy z tym morderstwem.

Nie wątpiłem, że to Putin nakazał zamordowanie Borisa. I nie byłem odosobniony. Gdy opinia publiczna wskazywała, że to Putin miał najpoważniejszy motyw, żeby zabić Borisa, Dmitrij Pieskow, rzecznik prasowy prezydenta, przekonywał, że Boris „nie stanowił żadnego zagrożenia dla obecnego przywództwa Rosji” oraz że „Boris Niemcow tylko nieznacznie się różnił od zwykłego obywatela”.

Zdumiewające oświadczenie. Jakby Kreml sugerował, że gdyby Boris stanowił dla niego zagrożenie – a przecież wszyscy wiedzieli, że zagrażał Putinowi – zabicie go byłoby najzupełniej właściwe.

Poza tym Putin wiedział, że Boris nie był zwykłym obywatelem. Stały za nim dziesiątki, może nawet setki tysięcy ludzi. Gdyby Putin pozwolił mu na dalsze budowanie popularności i szacunku społecznego, Boris stałby się nie do powstrzymania.

Prawdopodobnie najbardziej irytujące były dla Putina działania, które Boris podejmował na rzecz ustawy Magnitskiego. Umysł Putina uznawał je za niewybaczalną zdradę.

Nade wszystko zamordowanie Borisa stanowiło komunikat dla ludzi takich jak Władimir Kara-Murza i ja. Rok wcześniej telewizja CNN nadała wywiad, w którym Boris powiedział: „Jestem powszechnie znany, to zaś oznacza bezpieczeństwo, bo jeśli coś mi się stanie, wybuchnie skandal nie tylko w Moskwie, ale też na całym świecie”.

Wiele razy mówiłem to samo o sobie. I chociaż śmierć Borisa wywołała wielki skandal, te słowa nie miały teraz żadnego znaczenia.

Zamordowanie Borisa udowodniło, że Putin nie przejmuje się skandalami.

ROZDZIAŁ 21

Strzała w szyi

Wiosna 2015

Zamach na Borisa sprawił, że nowe wezwanie sądowe, które próbowano mi doręczyć po The Daily Show, stawało się jeszcze bardziej niebezpieczne. Gdyby Rosjanie otrzymali poufne informacje, o których ujawnienie wniosła kancelaria BakerHostetler, Kreml zyskałby szczegółową instrukcję, jak skrzywdzić moich kolegów, naszych informatorów w Rosji oraz mnie.

Istniała niewielka szansa, że wniosek można jeszcze unieważnić. Na 9 marca wyznaczono przesłuchanie, po którym miano ustalić, czy jest on zasadny. Nie mogłem uwierzyć, że znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Latami poprawialiśmy swoje bezpieczeństwo cybernetyczne i ulepszaliśmy fizyczne zabezpieczenia swoich siedzib, żeby uniemożliwić Rosjanom poznanie szczegółów związanych z naszą działalnością. Teraz zapowiadało się, że bez wysiłku poznają te szczegóły na sali sądu Stanów Zjednoczonych przy zdecydowanym wsparciu sędziego federalnego.

W trakcie przygotowań do tego przesłuchania zapytałem Randy'ego:

– Jak oni mogą to robić? Co zabezpieczenia w mojej firmie i ustalenia dotyczące moich podróży mają wspólnego z obroną Prevezonu?

– Nic – odpowiedział. – Ale nawet jeśli sędzia uzna, że nakaz został dostarczony prawidłowo, to dopilnujemy, żeby sąd nie pozwolił im na pozyskanie tego rodzaju materiałów.

– Tylko że sędzia Griesa nie bardzo kojarzy, o co w tej sprawie chodzi – przypomniałem. – Nie widział konfliktu interesów w przypadku Johna Moscowa, więc raczej nie ma możliwości, żeby zrozumiał, dlaczego ten wniosek jest taki niebezpieczny.

– Nawet jeśli orzeknie, że wniosek jest zasadny, to będziemy jeszcze mieli możliwość zawęzić zakres żądań – spokojnie wyjaśniał Randy. – Tak szerokie nakazy nigdy nie są automatycznie zatwierdzone. Procedurą zawężenia nie będzie się zajmował sędzia Griesa. Przekaze ją urzędnikowi sądowemu, który się specjalizuje w takich sprawach.

Po południu 9 marca 2015 roku Randy ponownie poszedł do sądu. Przez prawie godzinę przedstawiał sędziemu argumenty prawne, które miały go przekonać, że tych nakazów nie należy zatwierdzić. Podkreślał też, że zatwierdzenie nakazu postawi mnie osobiście w niebezpiecznej sytuacji.

Im dłużej Randy mówił o mnie, tym bardziej irytował sędziego Griesę, który zupełnie nie dbał o to, czy Rosjanie zamierzają mnie zabić. Przejmował się tylko tym, że sprawa Prevezonu wlecze się w jego sądzie od półtora roku. Z jego perspektywy to ja byłem przeszkodą w tym postępowaniu, chciał więc tę przeszkodę usunąć.

W końcu sędzia Griesa zdenerwował się tak bardzo, że gdy nadszedł czas na podjęcie decyzji, rozstrzygnął na moją niekorzyść, uznawszy nakaz za prawidłowo dostarczony po moim udziale w The Daily Show.

Potem jednak zrobił coś naprawdę niewiarygodnego. Zamiast przesłać nakaz do referendarza w celu doprecyzowania szczegółów, zatwierdził go w całości. Nie dopuścił do zawężenia zakresu przekazywanych informacji. Rosjanie mieli dostać wszystko, czego żądali. Sędzia Griesa tak się zdenerwował, że poradził Randy’emu, żeby nie przysyłał żadnych nowych pism ani dokumentów. „Wystarczy. Dość już mamy tu papierów na temat pana Browdera i nie potrzebujemy kolejnych”.

Tą decyzją zostałem prawomocnie zobowiązany do przekazania całej zawartości serwera Hermitage, wszystkich swoich starych laptopów i każdego telefonu komórkowego, jaki kiedykolwiek do mnie należał. W konsekwencji Kreml miał zyskać dostęp do informacji na temat wszystkich ludzi, z którymi się spotykałem, odwiedzanych przeze mnie miejsc, całej korespondencji ze źródłami informacji w Rosji, listy instytucji wymiaru sprawiedliwości, do których się zwracaliśmy – i wielu innych.

Równie przerażający był fakt, że sędzia zaaprobował wniosek kancelarii BakerHostetler o wyznaczenie terminu przesłuchania pod przysięgą na 15 kwietnia. Byłem więc zobowiązany nie tylko przekazać wszystkie informacje wyszczególnione w nakazie, lecz także odpowiedzieć na pytania, które ich dotyczyły.

I wszystko to miało trafić do Rosjan. Od wielu lat nie zdołali postawić mnie przed swoim wymiarem sprawiedliwości, więc teraz wykorzystywali prowadzone przeciwko nim procedury sądowe w Stanach Zjednoczonych dla osiągnięcia tych samych celów.

Stało się dla mnie jasne, że konwencjonalne działania prawne się nie sprawdzają. Mieliśmy sędziego, który nie rozumiał argumentów przedstawianych na sali sądowej, i bezwstydnego przeciwnika. Naprawdę lubiłem Randy'ego i wiedziałem, że jest wybitnym prawnikiem, ale jeśli chciałem wyjść z tego cało, potrzebowałem radykalnych zmian. I to szybko.

Tamtego wieczoru zadzwoniłem do niejakiego Michaela Kima. Już wcześniej polecano mi go jako jednego z najbystrzejszych i najbardziej niekonwencjonalnych prawników w Nowym Jorku. Urodził się w Korei Południowej i jako mały chłopiec przyjechał do Stanów Zjednoczonych razem z rodzicami. Służył w siłach powietrznodesantowych armii amerykańskiej, następnie skończył studia licencjackie na Harvardzie i po nich harwardzki wydział prawa. Po uzyskaniu dyplomu przez pięć lat pracował w prokuraturze dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku i otrzymał przez ten czas więcej gróźb śmierci niż którykolwiek inny prokurator.

Jedną z najsłynniejszych prób zamachu na Michaela podjął oskarżony, który przed rozprawą sądową ukrył w swoim odbycie żyletkę. Zamierzał ją wyjąć w trakcie rozprawy, żeby na oczach przysięgłych podciąć Michaelowi gardło podczas mów końcowych. Zamach został udaremniony. Na ścianie swojego gabinetu Michael powiesił oprawione w ramki zdjęcie rentgenowskie tułowia tego mężczyzny. Ilekroć chce zrugać kogoś ze swoich młodych współpracowników, zapala oświetlenie pod kliszę, pokazuje metalowy prostokąt w ciele i mówi: „Zobacz. Tak wygląda determinacja”.

Wyjaśniłem naszą sytuację, oczekując w odpowiedzi hardego prawniczego trajkotania, jakie słyszałem od tylu innych. Michael był powściągliwy.

– Sprawa u sędziego Griesy to duży problem – powiedział. Przynajmniej był szczery. – Przyjrzę się dokumentom, choć nie mogę obiecać, że wiele wskóram.

Mimo to następnego popołudnia zadzwonił z optymistyczną wiadomością.

– To nie będzie łatwe, ale mam plan – oznajmił.

– Jaki? – zapytałem z niepokojem.

– Wyobraź sobie, że masz strzałę w szyi – odpowiedział. – Trzeba ją jakoś wyjąć i nie będzie to przyjemne. Jeśli wyrwiemy ją zbyt gwałtownie, może zahaczyć o tętnicę i umrzesz. Musimy więc wyciągać ją powoli i ostrożnie.

Potem przedstawił mi swoją strategię i wyjaśnił, jak chce zastawić pułapkę na prawników z BakerHostetler. Plan był całkowicie sprzeczny z intuicją. I bardzo mi się spodobał.

Michael Kim został moim adwokatem i reprezentował mnie w Nowym Jorku.

Cztery dni później Michael wysłał do sędziego Griesy krótki list kurtuazyjny, w którym przedstawił się jako mój nowy pełnomocnik. Przy okazji poinformował, że w całości zastosujemy się do nakazu sądowego, w tym do terminu przesłuchania wyznaczonego na 15 kwietnia. Zakończył obietnicą, że postaramy się rozwiązać wszelkie spory ze stroną przeciwną, nie zaprzatając niepotrzebnie uwagi sądu. Taki komunikat sędzia Griesa przyjął zapewne z radością.

Mogło to wyglądać na całkowitą kapitulację, ale Michael znalazł słaby punkt naszych przeciwników. Po prostu zażądali zbyt wiele. Żeby zakamufłować te wrażliwe informacje, które były dla nich naprawdę istotne, dodali do wniosku żądanie ujawnienia znacznej ilości danych, na których im nie zależało. Michael uznał, że możemy przekazać te wszystkie dokumenty i materiały wskazane w nakazie, które dla nikogo nie stwarzają zagrożenia.

Dziesięć dni później przekazaliśmy do kancelarii BakerHostetler trzysta dwadzieścia osiem tysięcy pięćset dwadzieścia pięć stron dokumentów, wśród nich kopie akt rosyjskich sądów, banku centralnego Rosji oraz wyciągi bankowe. Znaczną część stanowiły materiały, które John Moscow i jego współpracownicy z kancelarii już widzieli, albo materiały publicznie dostępne.

Potem codziennie wysyłaliśmy im kolejne partie równie nieszkodliwych dokumentów, o które wystąpili w swoim wniosku.

Prawnicy w BakerHostetler nie byli naiwni. Dobrze wiedzieli, co robimy, ale znaleźli się w potrzasku. Nie mogli zgłosić sędziemu, że odmawiamy współpracy, ponieważ współpracowaliśmy. Nie mogli też twierdzić, że nie udostępniamy dokumentów wskazanych w nakazie sądowym, ponieważ

przekazywaliśmy im dokładnie to, o co wystąpili. Tyle tylko, że w kolejności ustalonej przez nas.

Mogliby otrzymać wszystko, czego zażądali, gdyby podjęli decyzję o przesunięciu terminu przesłuchania, co Michael uprzejmie im zaproponował. Skoro sędzia wyraził zgodę, żeby mnie przesłuchać, tak bardzo chcieli poznać moje zeznania, że utrzymali datę 15 kwietnia.

Wyznaczony termin się zbliżał, a my wciąż nie przekazaliśmy Rosjanom ani jednego dokumentu, który mógłby zagrazać czyjemukolwiek bezpieczeństwu.

Samo przesłuchanie było potencjalnie bardziej niebezpieczne niż udostępnienie dokumentów. Miałem zeznawać pod przysięgą i byłem zobowiązany odpowiedzieć na pytania, które mogły dotyczyć mojej rodziny, krewnych Wadima i Iwana w Rosji, naszych informatorów – dosłownie wszystkiego. Gdybym odmówił odpowiedzi, mógłbym zostać oskarżony o lekceważenie nakazu sądu, co jest przestępstwem ściganym przez amerykańskie prawo.

Dwa dni przed zeznaniem przyjechałem do Nowego Jorku, żeby się przygotować razem z Michaeliem. Następnego ranka pierwszy raz odwiedziłem jego kancelarię na rogu 3. Alei i 49. Wschodniej. Była zwyczajna, nowoczesna i funkcjonalna. Żadnych marmurów, żadnej sztuki współczesnej, żadnej pretensjonalności.

Poszliśmy do sali konferencyjnej. Podczas próbnego przesłuchania Michael odgrywał rolę prawnika z kancelarii BakerHostetler. Przesunął po stole dokument.

– Czy zna pan ten dokument? – zapytał.

Zerknąłem na kartkę.

– Tak. To skarga, którą złożyłem w biurze prokuratora okręgowego w Nowym Jorku.

Michael wyszedł z odgrywanej roli, kręcąc głową.

– Nie, nie tak. Mogą podsunąć ci dowolną stertę papierów. Cokolwiek ci dadzą, musisz uważnie przeczytać strona po stronie, żeby się upewnić, czy masz przed sobą to, co myślisz.

– To zajmie dziesięć albo nawet dwadzieścia minut! – zaprotestowałem.

– A czyje to są minuty?

– Nie rozumiem, o co pytasz.

– Na przesłuchanie cię mają łącznie siedem godzin. Jeśli będą chcieli stracić dwadzieścia minut na zweryfikowanie jakiegoś dokumentu, to ich

wybór. I ich dwadzieścia minut.

Ten facet naprawdę miał głowę na karku.

Ćwiczyliśmy dalej. Chwilę później Michael zapytał:

– Czy to prawda, że ukradł pan te dwieście trzydzieści milionów dolarów?

– Oczywiście, że nie! To rosyjski rząd...

Michael podniósł rękę, by mi przerwać.

– Bill, musisz się zachowywać tak, jakbyś naprzeciwko siebie w sali przesłuchań miał manekiny, nie ludzi. Mogą się uśmiechać albo krzyczeć, albo szeptać. To nie jest rozmowa. Ty nie pójdziesz tam po to, żeby kogokolwiek do czegoś przekonać. Masz tylko odpowiadać na pytania zgodnie z prawdą.

– Czyli powinienem odpowiedzieć „nie”, dobrze myślę? – upewniłem się.

– Dobrze. A najważniejsze, że jeśli zadadzą pytanie, na które nie znasz odpowiedzi, po prostu powiedz „Nie wiem”. Nie próbuj im pomóc. Nieważne, czy wypadniesz mądrze, czy wypadniesz głupio, bo to nie będzie miało żadnych konsekwencji prawnych. Jeśli zaczniesz spekulować albo się spierać, oni to wykorzystają, żeby cię wpędzić w kłopoty.

Przećwiczyliśmy te i wiele innych sytuacji. Pod koniec dnia byłem przygotowany naprawdę dobrze. Lepiej się nie dało.

Następnego ranka znów się pojawiłem w kancelarii Michaela i stamtąd piechotą przeszliśmy do wieżowca 30 Rockefeller Plaza, gdzie miało się odbyć przesłuchanie. Wjechaliśmy windą na czterdzieste piąte piętro i Michael zaprowadził mnie do sali konferencyjnej ze stołami ustawionymi w podkowie. Dotarliśmy pierwsi. Michael powiedział, że powinienem usiąść u szczytu podkowy naprzeciwko kamery wideo w przeciwległym krańcu pomieszczenia. Na stole krzyżowały się przewody, na prawo od mojego miejsca stał otwarty laptop, który wyświetlał obraz transmitowany na żywo nie wiadomo dokąd. Chwilę po nas przyszedł Paul Monteleoni w towarzystwie jeszcze jednego prokuratora ze swojego biura. Obydwaj usiedli obok Michaela.

Tuż po dziewiątej dumnie wkroczył zespół pełnomocników Prevezonu. Adwokaci zajęli miejsca po swojej stronie stołu, podczas gdy asystenci i praktykanci wnosili pudła dokumentów, które układali wzdłuż ściany. Następnie młodzi prawnicy przeszli do sali odsłuchowej, gdzie rozwój wypadków mogli śledzić na monitorze. W sumie prawników było około tuzina, z dwóch różnych kancelarii. Szacowałem, że Prevezon musiał

zapłacić za obsługę prawną kilkaset tysięcy dolarów – tylko tego jednego dnia.

O dziwo, John Moscow się nie pojawił. Wypytywanie mnie powierzono jego koledze, Markowi Cymrotowi.

Przesłuchanie się rozpoczęło i zostałem zaprzysiężony. Zanim Cymrot zadał pierwsze pytanie, Michael zapytał, czy ktokolwiek oprócz prawników w sąsiednim pokoju ogląda transmisję. Cymrot wykręcał się od odpowiedzi, lecz w końcu przyznał, że transmisję oglądają także „inni ludzie”. Wymienił Denisa Kacywa i jego prawniczkę Natalię Weselnicką w Moskwie oraz prawnika z Brooklynu, który prowadził sprawy nieruchomości firmy Prevezon.

Michael nie był zadowolony. Jeśli przesłuchanie transmitowano do Moskwy, mógł je tam oglądać każdy.

– Czy jest pan w stanie zweryfikować, kto faktycznie ogląda transmisję, żeby zyskać pewność, ile to jest osób? – zapytał.

– Siedząc tutaj, nie jestem – odpowiedział Cymrot wymijająco.

Byłem pewien, że transmisję oglądają urzędnicy w Moskwie. Wyobraziłem sobie grupę funkcjonariuszy wokół stołu konferencyjnego na Łubiance, czyli w głównej kwaterze FSB, którzy niecierpliwie oczekują na rozpoczęcie spektaklu, wyjmując z kartonowych opakowań jedzenie zamówione z dowozem.

Michael zgłosił do protokołu swój sprzeciw, ale nie mógł nic zrobić, żeby powstrzymać transmisję, więc kontynuowano przesłuchanie.

Zaczęły się pytania.

Dokładnie tak, jak przewidział Michael, Cymrot wręczył mi skargę, którą złożyłem w biurze nowojorskiej prokuratury okręgowej.

– Czy rozpoznaje pan ten dokument?

Wziąłem dokument do ręki i powoli czytałem każdą stronę. Wszyscy obecni czekali w całkowitej ciszy. Nie zajęło mi to dwudziestu minut, ale i tak z satysfakcją myślałem, że zegar tyka.

W końcu potwierdziłem, że to złożona przeze mnie skarga. Cymrot przeszedł do załączników, które przekazałem prokuraturze razem z nią.

– Co to za dokument?

Ponieważ nie mówię ani nie piszę po rosyjsku, odpowiedziałem:

– Nie wiem.

– Nie wie pan?

– Nie.

– Przekazał pan ten dokument prokuratorowi Stanów Zjednoczonych?

– Tak.

– Czy omówił pan ten dokument z prokuratorem Stanów Zjednoczonych?

– Nie.

– Co powiedział pan prokuratorowi Stanów Zjednoczonych o tym dokumencie?

– Nic.

Udzielanie jednowyrazowych odpowiedzi sprawiało mi wielką przyjemność.

– I nie ma pan pojęcia, kto stworzył ten dokument?

– Nie.

Widząc, że niczego nie wskóra, Cymrot przeszedł do kolejnych pytań, by w końcu skupić się na ustaleniu, skąd wiedzieliśmy, że Dmitrij Klujew pojechał na Cypr z funkcjonariuszem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Pawłem Karpowem.

– Skąd wziął pan dokumenty związane z tą podróżą? – zapytał.

– Otrzymaliśmy je z anonimowego źródła w Moskwie.

– Kto jest tym anonimowym źródłem?

Ponieważ naszymi rosyjskimi źródłami zajmował się Wadim, nie wiedziałem, jak ci ludzie się nazywają, jak się z nimi kontaktować ani gdzie mieszkają czy pracują.

– Nie wiem. – Tego rodzaju pytań najbardziej się obawiałem, bo odpowiedź na nie mogła sprowadzić na kogoś niebezpieczeństwo. Ale naprawdę nie znałem naszych informatorów.

Cymrot nie dowierzał.

– Nie znamy nazwiska, nie znamy adresu, nie wiemy, kto to jest, nie wiemy, skąd wzięły się dokumenty, i nie wiemy, czy są prawdziwe, czy tak?

– Nie wiem.

Przez całe przedpołudnie zwrot „nie wiem” powtórzyłem ponad sto razy. Musiałem brzmieć jak kompletny idiota, ale – jak powiedział Michael – nie przyszedłem tam po to, żeby zrobić na kimś dobre wrażenie. Powtarzałem sobie w myślach: „W tej sali nie ma ludzi, są tylko manekiny”.

Po dwóch godzinach wypytywania Cymrot zaczął tracić zapał. Na dodatek przez cały czas był bombardowany wiadomościami w laptopie. Mógłbym się założyć, że jego rosyjscy klienci i ich nadzorcy na bieżąco wyrażali w nich swoje niezadowolenie.

Tuż przed trzynastą zaczęła się przerwa na lunch. Zanim wyszliśmy z budynku, musiałem skorzystać z toalety. Po drodze z zaskoczeniem zauważyłem, że naprzeciwko mnie wlecze się nogą za nogą John Moscow. Więc był na miejscu, tylko oglądał moje zeznania w sali odsłuchowej.

Prawdopodobnie to on wpadł na pomysł tego całego cyrku i musiał już wiedzieć, że nie idzie najlepiej.

Uśmiechnąłem się nieszczerze, wyciągnąłem rękę i zagailem:

– Cześć, John.

Podczas przypadkowego spotkania na konferencji w Cambridge w 2010 roku był cały w uśmiechach. Teraz spuścił głowę, nie przywitał się ze mną i odszedł.

Razem z Michaeliem poszliśmy do pobliskiej restauracji na sushi. Celowo zjadłem lekki posiłek, żebym nie zrobił się ospały, bo mógłbym opuścić gardę. Musiałem jakoś znaleźć w sobie siłę, żeby przetrzymać jeszcze pięć godzin tych prawniczych podchodów.

Wróciliśmy do sali i przesłuchanie zostało wznowione. Cymrot odzyskał trochę pewności siebie i przeszedł do kolejnego tematu. Chciał wiedzieć, w których krajach toczyło się śledztwo w sprawie prania rosyjskich pieniędzy związanych ze sprawą Magnitskiego.

Uniknięcie odpowiedzi na to pytanie byłoby znacznie trudniejsze. We wszystkie nasze kontakty z wymiarem sprawiedliwości byłem zaangażowany osobiście, nie mogłem więc odpowiedzieć „Nie wiem”, bo wiedziałem. Musiałbym mówić prawdę, informując rosyjskie władze o strategii działań podejmowanych przeciwko Rosjanom odpowiedzialnym za pranie brudnych pieniędzy. Dzięki tej wiedzy Kreml mógł wykonać wiele ruchów utrudniających śledztwa toczące się na całym świecie.

W końcu schwytali mnie w pułapkę. Zachowałem spokojną minę, chociaż spanikowałem.

Już miałem odpowiedzieć, gdy interweniował Paul Monteleoni.

– Muszę poprosić, żeby świadek nie udzielał odpowiedzi na pytania zmierzające do ujawnienia informacji, które nie zostały jeszcze upublicznione – oświadczył.

Powoływał się na tajemnicę działań organów ochrony porządku publicznego. Tym samym wykluczył z zakresu mojego przesłuchania wszystkie pytania dotyczące prowadzonych postępowań prokuratorskich. Cymrot był zły, ale nie mógł nic zrobić, zmienił więc temat.

Późnym popołudniem ta złość stała się wręcz namacalna. Jego współpracownicy kręcili się nerwowo tam i z powrotem, szukając czegoś, co by mnie zapędziło w kozi róg. Pytania Cymrota stały się coraz bardziej nieprzewidywalne, mimo to nie zdołał niczego osiągnąć.

Pod koniec przesłuchania powiedział:

– Był pan w Białym Domu czternastego lutego dwa tysiące czternastego roku. Pamięta pan?

– Nie – odpowiedziałem beznamiętnie.

W Białym Domu byłem tylko raz w życiu, gdy mój ojciec odbierał Narodowy Medal Nauki z rąk prezydenta Clintona w 1999 roku.

Cymrot się ożywił. Szepnął coś do swojego współpracownika, który wybiegł i po kilku minutach wrócił do sali, niosąc pudło z dokumentami. Wyjął z niego kilka kartek i podał Cymrotowi, który położył je przede mną. Była to lista osób odwiedzających Biały Dom. Cymrot wskazał na moje nazwisko, zapisane z inicjałem drugiego imienia, i zapytał:

– Czy czternastego lutego dwa tysiące czternastego roku odbył pan spotkanie w Białym Domu?

Miał pewność, że w końcu złapał mnie na kłamstwie.

– Nie – wyjaśniłem spokojnie. – Tego dnia miałem spotkanie w budynku administracji prezydenckiej.

Tak zwany Old Executive Office Building znajduje się obok siedziby prezydenta, nie byłem więc w Białym Domu.

Całe ożywienie po ich stronie sali zniknęło. Cymrot znów się odezwał:

– Czyli muszę ostrożnie zadawać pytania, czy tak?

– Tak.

Przesłuchanie zakończyło się niedługo potem, dwanaście minut przed upływem przewidzianych siedmiu godzin. Michael uprzejmie zasugerował, że możemy zostać do końca, ale Cymrotowi skończyły się pytania. Gdy zjeżdżaliśmy windą do wyjścia, Michael uśmiechnął się do mnie i powiedział:

– Dobra robota, Bill.

Wróciłem do hotelu zupełnie wyczerpany. Darowałem sobie kuchnię hotelową i zamówiłem do pokoju kolację z restauracji orientalnej. Jedząc wołowinę po mongolsku, wyobrażałem sobie, jak Denis Kacyw z Natalią Weselnicką objeżdżają Johna Moscowa i Marka Cymrota za to, że nie dostarczyli im mojej głowy na talerzu. Rosjanie wydali miliony dolarów, prawnicy i współpracownicy kancelarii BakerHostetler przez nie wiadomo

ile godzin badali moją sprawę, ścigali mnie i procesowali się ze mną... Nic im to nie dało.

Kilka dni później kancelaria BakerHostetler wystąpiła do sądu, by zmusić mnie do przekazania dokumentów, na których naprawdę jej zależało, i poprosiła o nakazanie kolejnego przesłuchania mnie pod przysięgą. Sędzia Griesa niechętnie wyznaczył termin posiedzenia w tej sprawie na koniec maja.

Prawnicy BakerHostetler nie mieli pojęcia, że to pułapka, którą zastawił Michael. Weszli prosto w jego sidła.

Natychmiast po rozpoczęciu majowego posiedzenia Cymrot zaczął rozprawiać o tym, że nie zastosowałem się do nakazu sądowego. Ilekroć wymieniał moje nazwisko, sędzia Griesa się jeżył, ale Cymrot się uparł, żeby przedstawić wszystkie swoje tezy, i nie ustępował.

W końcu sędzia Griesa miał dość.

– To rząd wniósł sprawę. Pan Browder jej nie wnosił! – krzyczał. – Poświęciliśmy już dość czasu i wysiłków panu Browderowi.

I było po wszystkim. Sędzia Griesa oddalił wniosek o ujawnienie dokumentów, nie zgodził się na ponowne przesłuchanie i oznajmił, że Cymrot powinien się teraz zająć innymi kwestiami, jeśli sprawa ma ruszyć do przodu.

Przez cały ten czas Michael nie powiedział ani jednego słowa, teraz jednak się odezwał.

– Ponieważ nie jesteśmy stroną w tym postępowaniu, czy sąd zechce nas zwolnić? – zapytał. Nie chciał zostać na sali, żeby Griesa nie zmienił zdania.

– Oczywiście, że tak.

– Dziękuję.

Michael wyszedł z sali. Nie złożył w tej sprawie ani jednego wniosku, nie wysyłał do sądu długich wyjaśnień, podczas rozprawy praktycznie się nie odzywał. Jego co najmniej niekonwencjonalna strategia świetnie się sprawdziła. Idealne prawnicze ju-jitsu. Wykorzystał wagę przeciwnika, żeby go powalić.

W taki sposób Michael Kim skutecznie usunął strzałę z mojej szyi.

ROZDZIAŁ 22

Władimir Kara-Murza

Wiosna 2015

Po złożeniu zeznania mogłem się skupić na walce o sprawiedliwość dla Borisa Niemcowa. Ponieważ tak bardzo się przyczynił do uchwalenia ustawy Magnitskiego, wydawało mi się słuszne, żeby prawo, które wspierał, zostało teraz użyte do ukarania ludzi, którzy zlecili jego zamordowanie.

Nie ja jeden miałem takie odczucie. Ważnym orędownikiem wykorzystania sankcji Magnitskiego był Władimir Kara-Murza – mężczyzna, który spotkał się z byłą żoną Borisa i jego córką na Wielkim Kamiennym Moście w wieczór morderstwa.

Władimir i Boris byli jak rodzina. Choć Władimir wraz z żoną i trojgiem dzieci miał dom w Fairfax w Wirginii, on i Boris spędzili tysiące godzin, prowadząc kampanię w Rosji, wspólnie jedząc, pijąc i wyjeżdżając na wakacje. Boris został nawet ojcem chrzestnym jednego z dzieci Władimira.

Władimir zaangażował się w ustawę Magnitskiego tak samo silnie jak wcześniej Boris, przez co nawet stracił pracę jako szef waszyngtońskiego biura RTVI, rosyjskiej stacji telewizyjnej, gdy w 2012 roku opowiedział się za jej uchwaleniem. (Gdy Władimir zaczynał pracę w RTVI, stacja była niezależna, ale w 2012 roku przeszła pod kontrolę Kremla).

Władimira poznałem w 2012 roku w siedzibie parlamentu Kanady, gdzie obydwaj agitowaliśmy za uchwaleniem ustawy Magnitskiego w Kanadzie. Zwracając się do parlamentarzystów w Ottawie, Władimir płynnie przechodził z angielskiego na francuski, w dodatku bez cienia rosyjskiego akcentu. Pozbył się go po latach spędzonych w brytyjskim systemie

edukacji, najpierw w szkole średniej w Londynie, później na Uniwersytecie Cambridge. Był tak bardzo utalentowany, charyzmatyczny i elokwentny, że podczas jego wystąpień zawsze się czułem, jakbym słuchał młodego Nelsona Mandeli czy Vaclava Havla.

Tak się złożyło, że Władimir i ja swoje argumenty za objęciem sankcjami Magnitskiego osób odpowiedzialnych za zamordowanie Borisa mieliśmy okazję przedstawić w Waszyngtonie 30 kwietnia 2015 roku, niespełna dwa miesiące po zamachu. Obydwaj zostaliśmy poproszeni o zabranie głosu podczas spotkania, które Kongres zorganizował dla upamiętnienia Borisa. Uroczystość odbyła się w sali 2255 biurowca Rayburn House Office Building. Akurat w tej sali narodziła się idea uchwalenia ustawy Magnitskiego. Tam pierwszy raz zeznawałem w sprawie zamordowania Siergieja przed noszącą imię Toma Lantosa Komisją Praw Człowieka w Kongresie Stanów Zjednoczonych.

Tego dnia ze względu na charakter uroczystości przewidziano tylko miejsca stojące. Wśród obecnych znaleźli się i szeregowi pracownicy administracji, i najważniejsi parlamentarzyści, wśród nich Steny Hoyer, drugi w hierarchii ważności demokratów w Kongresie, Eliot Engel, prominentny członek Komisji Spraw Zagranicznych, i Jim McGovern, który jako pierwszy promował ustawę Magnitskiego w Izbie Reprezentantów.

Uroczystość przebiegła inaczej niż upamiętnienia, w których uczestniczyłem przedtem. W niczym nie przypominała upamiętnienia mojej matki, które odbyło się zaledwie tydzień przed zamordowaniem Borisa. Jej śmierć była ciosem dla naszej rodziny – zwłaszcza dla mojego starego ojca, który został sam – ale przyszła jako nieunikniony element cyklu życia. Wszystkie przemowy, które wygłoszono, wspominały jej dobre i owocne życie. Panował smutek, jednocześnie cieszyły nas wspomnienia o niej.

W morderstwie nie ma niczego nieuniknionego. Mowy wygłoszone podczas upamiętnienia Borisa były inne. Oczywiście, że towarzyszył im smutek, choć dominował gniew. I nikt chyba nie odczuwał go intensywniej ani nie wyraził bardziej klarownie niż Władimir.

Z łysiną, ze zmarszczonymi brwiami i z przystrzyżoną bródką wyglądał trochę jak młody Lenin. Ani razu nie podniósł głosu. Skrupulatnie wyliczył najważniejsze zalety Borisa, który nigdy nie zdradzał przyjaciół ani wyznawanych zasad i nigdy nie przedkładał własnych interesów nad dobro kraju, przede wszystkim zaś był całkowicie nieprzekupny, co władze uznawały za jego największy grzech.

Pod koniec wystąpienia Władimir podniósł kartkę z nazwiskami ośmiu ludzi jego zdaniem odpowiedzialnych za podżeganie do zabójstwa Borisa, którzy powinni zostać objęci sankcjami w ramach ustawy Magnitskiego.

Przemawiałem niedługo po Władimirze i także wezwałem do zastosowania ustawy Magnitskiego w sprawie Borisa.

Tamtego dnia nasz apel padł na żyzny grunt. Na sali oprócz parlamentarzystów znajdował się człowiek prawdopodobnie najważniejszy w całym Waszyngtonie, jeśli chodzi o ustawę Magnitskiego: Kyle Parker, członek personelu Kongresu. Kyle – szczerzy i rzeczowy, pochodzący ze stanu Maine czterdziestokilkulatek z jasnobrązową brodą – był ekspertem od Rosji. To on napisał tekst ustawy i znał każdy aspekt wprowadzenia jej w życie. Bez konsultacji z nim amerykański rząd nie wprowadzał na Listę Magnitskiego nawet jednego nazwiska.

W 2015 roku Kyle, Władimir i ja byliśmy już dobrymi znajomymi. Połączyły nas zaangażowanie w pracę nad ustawą Magnitskiego i walka o sprawiedliwość w Rosji.

Żyzny grunt okazał się także grząski. Na uroczystość upamiętnienia Borisa przyszli w większości Amerykanie, zjawili się też kilku Rosjan. Ilekroć na Wzgórzu Kapitolimskim działo się coś związanego z Rosją, ambasada tego kraju wyznaczała oficjalnych przedstawicieli, którzy którzy obserwowali przebieg wydarzenia, a następnie informowali o nim Moskwę; jeśli sprawa jakkolwiek dotyczyła sankcji Magnitskiego, wśród obserwatorów z ambasady rosyjskiej znajdowali się tajni agenci moskiewskiego wywiadu.

Nawoływanie do nałożenia sankcji w ramach ustawy Magnitskiego inaczej odbierali oni z moich ust, jako obywatela Wielkiej Brytanii, a inaczej z ust Władimira, który miał obywatelstwo rosyjskie. Chociaż nie zrezygnował ze stałego pobytu w Stanach Zjednoczonych, większość czasu spędzał w Rosji. Pod koniec maja miał wracać do Moskwy, gdzie zamierzał kontynuować swoje (i Borisa) działania antyputinowskie.

Obecność agentów nie zniechęcała Władimira.

Po uroczystości na Kapitolu wrócił do domu w Fairfax, gdzie spędził kilka dni z Jewgieniją i dziećmi. Stamtąd pojechał do Nowego Jorku i do Berlina jako przedstawiciel Otwartej Rosji, organizacji pozarządowej, w której działał, założonej przez Michaiła Chodorkowskiego, rosyjskiego opozycjonistę i byłego oligarchę.

Władimir 22 maja wsiadł na pokład samolotu do Moskwy. Z Moskwy poleciał do Kazania, prowincjonalnego miasta osiemset kilometrów na wschód od rosyjskiej stolicy, gdzie miał poprowadzić spotkanie z wybitnym rosyjskim historykiem otwarcie krytykującym Putina. Spotkanie zaplanowano w siedzibie Państwowego Muzeum Sztuk Pięknych, okazałym gmachu pełnym obrazów oprawnych w złote ramy, położonym kilka przecznic od Wołgi. Tuż przed rozpoczęciem Ministerstwo Kultury poleciło władzom muzeum, żeby zamknęły podwoje przed Władimirem i jego kolegami.

Władimir zdążył przywyknąć do tego rodzaju utrudnień i szybko podjął decyzję, żeby przenieść spotkanie do lokalu zapasowego. Zamówił salę konferencyjną w hotelu Ibis i siedł do niej razem z uczestnikami, gdy odebrał telefon od menedżera hotelu. Mężczyzna zadzwonił z informacją, że sala jest niedostępna. Nagłą zmianę uzasadnił stwierdzeniem, że „nastąpił wyciek klimatyzacji w korytarzu”.

Władimir gorączkowo szukał rozwiązania. Zdecydował się na salę w pobliskim Muzeum Sowieckich Gier Zręcznościowych, dziwacznej instytucji wypełnionej stołami do gry w piłkarzyki i automatami wideo z logo CCCP. Publiczność – wciąż ponad sto osób – zajęła miejsca. Za ledwie Władimir wypowiedział kilka pierwszych słów, zgasło światło i pojawiła się policja, która przeprowadziła ewakuację. Policjanci twierdzili, że w budynku podłożono bombę (co oczywiście później okazało się nieprawdą).

Nie widząc innego wyjścia, Władimir zabrał resztkę najwytrwalszych do pobliskiej kawiarni, w której historyk mógł w końcu dojść do głosu. Podczas dwugodzinnego spotkania w kawiarni kręciło się kilku podejrzanie wyglądających nieznajomych ze sprzętem elektronicznym, którego otwarcie używali do nagrywania publiczności profesora. Wszyscy wiedzieli, że to agenci FSB, ale mimo ich obecności prelekcja trwała i okazała się sukcesem.

Władimir spędził kolejny dzień w Kazaniu i wrócił wieczornym lotem Aerofłotu do Moskwy zadowolony, że udało mu się przechytrzyć FSB. W trakcie lotu zjadł jakiś mdły posiłek, wylądował około dziesiątej trzydzieści i prosto z lotniska udał się do swojego mieszkania niedaleko obwodnicy Bulwaroje Kolco. Położył się do łóżka i zasnął przed północą.

Następnego dnia spotkał się z ekipą filmową, żeby nagrać dwa wywiady do filmu dokumentalnego o życiu Borisa – jeden w biurówcu, jeden

w pokoju Park Hyatt Hotel. Jeśli agenci FSB śledzili go także w Moskwie, to trzymali się z daleka i nie dali o sobie znać tamtego wieczoru, gdy zjadł wczesną kolację ze swoim ojcem.

Następnego ranka Władimir zrobił zakupy, oddał ubrania do pralni i poszedł do restauracji Bobry i Utki (Bobry i Kaczki), gdzie umówił się na lunch z innym aktywistą. Wszystko, co zjadł, nakładał sobie z bufetu, tylko sok żurawinowy przyniósł mu kelner. Po lunchu pojechał metrem na spotkanie w agencji informacyjnej RIA Nowosti, sześciopiętrowym betonowym budynku wzniesionym jako centrum prasowe na igrzyska olimpijskie w 1980 roku. Obecnie budynek jest siedzibą znanej jako RT telewizji Russia Today, głównego kanału międzynarodowej propagandy Kremla.

Władimir miał się tam spotkać z dawnym kolegą, którego chciał namówić, by został członkiem Otwartej Rosji. Razem z nim i jeszcze jednym kolegą usiedli w sali konferencyjnej. Chwilę później Władimir poczuł silny ucisk w żołądku i kwaśny posmak w ustach. Dostał mdłości.

Przeprosił, poszedł do łazienki, upadł na kolana i przez kilka minut wymiotował. Gdy myślał, że już po wszystkim, wstrząsnęła nim kolejna fala wymiotów. Torsje nie ustępowały. Nigdy w życiu żołądek nie dokuczał mu aż tak bardzo.

Wreszcie wymioty ustąpiły. Władimir resztką sił podniósł się z podłogi i jakoś dowlóknął się do sali konferencyjnej, trzymając się ściany, żeby nie upaść.

Usiadł z kolegami, by kontynuować spotkanie, i zemdlał. Koledzy szybko przenieśli go na kanapę. Jęczał z bólu, silnie się pocił. Był blady, z trudem oddychał. Przerażeni mężczyźni wezwali pogotowie.

Ratownicy medyczni przyjechali niedługo potem, ale nie mieli pojęcia, jaki jest powód dolegliwości. Przenieśli Władimira do karetki i na sygnale przewieźli do Miejskiego Szpitala Klinicznego nr 23 (jednej z placówek najbliższej RIA Nowosti). Na oddziale miał ciśnienie 100/20 i lekarze byli przekonani, że to atak serca. Ponieważ z taką diagnozą ten szpital nie mógł zapewnić mu odpowiedniego leczenia, podjęto decyzję o przeniesieniu do innego. Lekarze ustabilizowali go, jak mogli, wsadzili do kolejnej karetki i przekazali do Naukowego Centrum Chirurgii Układu Sercowo-Naczyniowego imienia Bakulewa, gdzie zaczęto go przygotowywać do pilnej operacji serca.

Ojciec Władimira pośpieszył do centrum Bakulewa, jak tylko usłyszał, co się stało. Był dziennikarzem z dobrymi koneksjami. Jeszcze zanim dojechał na miejsce, dodzwonił się do jednego z najlepszych rosyjskich kardiochirurgów i poprosił go, żeby też przyjechał do szpitala. Lekarz był na miejscu, zanim Władimir trafił na salę operacyjną. Przejrzał wyniki i zarządził wstrzymanie procedury. Jego zdaniem z sercem Władimira nie działało się nic złego, natomiast przeprowadzenie zabiegu oznaczało niemal pewną śmierć na stole operacyjnym. Lekarze zaczęli się spierać, ostatecznie przeważało zdanie wybitnego kardiochirurga.

O drugiej trzydzieści Władimir stracił przytomność – diagnozę zmieniono na zatrucie nieznaną substancją.

O szóstej rano został przewieziony do Szpitala Miejskiego imienia Pirogowa przy Leninskom Prosiektie, jednej z najlepszych placówek medycznych w Moskwie. Tam jego stan jeszcze się pogorszył. Doszło do obrzęku mózgu oraz niewydolności płuc i nerek. Wprowadzono go w stan śpiączki farmakologicznej, zaintubowano, podłączono do respiratora i rozpoczęto hemodializowanie, żeby oczyścić krew. Podano też leki stabilizujące niebezpiecznie niskie ciśnienie krwi.

Był 27 maja. Władimir znajdował się w tak ciężkim stanie, że mógł to być ostatni dzień jego życia.

ROZDZIAŁ 23

Poczta dyplomatyczna

Wiosna 2015

Tego popołudnia w Londynie wsiadałem na pokład samolotu do Lizbony, gdzie z rodziną spędzaliśmy wakacje. Moja żona i ja właśnie przeprowadzaliśmy młodsze dzieci przez rękaw, gdy odezwał się mój telefon. Dzwoniła Elena Servettaz, ta sama reporterka, która powiadomiła mnie o zamordowaniu Borisa Niemcowa. Próbując nie upuścić różowego plecaka z książniczką ani złożonej spacerówki, zdołałem odebrać po piątym dzwonku.

– Bill – zaczęła przejętym głosem. – Władimir Kara-Murza stracił przytomność w Moskwie!

Stałem jak wryty.

– Co?

– Był na spotkaniu. Bardzo źle się poczuł. Trafił do szpitala.

– Wyzdrowieje? – zapytałem trochę za głośno.

– Ja... Nie wiem.

Moja żona, która prowadziła tę rodzinną procesję, rzuciła mi zatroskane spojrzenie. Ruszyłem do drzwi samolotu, oddałem wózek personelowi i wszedłem do kabiny.

– Z kim się spotykał?

– Nie wiem.

– Który szpital?

– Tego też nie wiem. Próbuję ustalić.

Musiałem się oprzeć o jeden z foteli.

– W tej chwili wchodzę do samolotu. Zadzwoń do ciebie po wylądowaniu.

Zakończyłem połączenie i wsunąłem telefon do kieszeni. Moja żona cicho spytała:

– Co się dzieje?

– Władimir nagle zachorował i trafił do szpitala w Moskwie – odpowiedziałem szeptem.

– Kara-Murza? – upewniała się.

– Tak – potwierdziłem.

Pobladła na twarzy.

– Mój Boże!

– Tak – powtórzyłem.

Gdy usadziliśmy dzieci, gorączkowo dzwoniłem do naszych wspólnych znajomych, wśród nich do Kyle'a w Waszyngtonie, żeby poinformować, co się stało. Miałem nadzieję, że może wiedzą coś więcej. Nie wiedzieli. Drzwi kabiny się zamknęły i maszyna zaczęła kołować. Rozpoczął się najdłuższy trzygodzinny lot w moim życiu.

Natychmiast po wylądowaniu wysłałem SMS do Eleny Servettaz. Ponownie zadzwoniłem do Kyle'a. Wysłałem SMS-y do Wadima i Iwana w Londynie oraz do reporterów w Moskwie. Nikt jeszcze niczego nie wiedział. Ale ponieważ Władimir należał do najbliższych współpracowników Borisa, trudno było się opędzić od najbardziej ponurych myśli.

Tamtego wieczoru razem z rodziną zjedliśmy kolację w restauracji hotelowej. Dzieci, podekscytowane wakacyjnym wyjazdem, nie miały pojęcia, co się dzieje. Ja przebywałem myślami całkiem gdzie indziej i ciągle zerkałem na swój telefon.

Następnego ranka w końcu dotarły pierwsze wiadomości. Według rosyjskich mediów Władimir doznał niewydolności wielonarządowej spowodowanej „ostrym zatruciem niealkoholowym”.

Sformułowanie „ostre zatrucie niealkoholowe” można interpretować rozmaicie, dla mnie znaczyło tylko jedno: Władimir został celowo otruty.

Później tego dnia ojciec Władimira wydał zaskakujące oświadczenie. Spekulował, że stan jego syna jest skutkiem alergii, stresującego życia, nawet braku snu. Powiedział: „To mogło być wszystko: wczorajsze czebureki⁷, banan, jabłko... Nie wydaje mi się, żeby to było przestępstwo”.

Moim zdaniem bezdyskusyjnie doszło do przestępstwa, ale domyślałem się, co ojciec Władimira chce osiągnąć. Jako dziennikarz opozycyjny o długim stażu dobrze wiedział, jak zdemoralizowany jest reżim Putina,

i prawdopodobnie celowo bagatelizował wagę zdarzenia. Uznał, że najlepszym sposobem ocalenia synowi życia będzie próba ugłaskania jego niedoszłych zabójców. Owca

Trudno tej strategii odmówić logiczności, ale nie zmieniało to faktu, że Władimir znajdował się w rosyjskim szpitalu. Jeśli reżim Putina chciał go wykończyć, wystarczyło, żeby lekarze nie udzielili odpowiedniej pomocy albo, co jeszcze gorsze, agent FSB mógł wejść do szpitala i podać następną dawkę trucizny.

Dopóki Władimir pozostawał w Rosji, istniało realne zagrożenie dla jego życia. Trzeba go było ewakuować jak najszybciej.

Ojciec Władimira najwyraźniej nie zamierzał organizować wywiezienia syna z Rosji. Miałem nadzieję, że zrobi to żona Władimira, Jewgienija.

Zadzwoiłem do ich domu w Fairfax. Przedstawiłem się. Jewgieniję widziałem tylko raz w życiu i właściwie jej nie znałem, ale nie mogłem pozwolić, żeby wpłynęło to na przebieg tej rozmowy.

– Jeśli natychmiast nie wydobędziemy stamtąd Władimira, mogą podjąć kolejną próbę zamachu na jego życie.

W słuchawce najpierw zapanowała cisza. Po chwili Jewgienija odpowiedziała:

– Całkowicie się zgadzam. Rozmawiałam z Michaiłem Chodorkowskim. Wyśle samolot do ewakuacji medycznej z Tel Awiwu ze specjalistą intensywnej opieki medycznej na pokładzie. Powinni wylądować na Wnukowie jutro.

Ona sama miała już bilet do Moskwy. Zgodziliśmy się, że trzeba nie tylko ewakuować Władimira, ale też zabezpieczyć próbki biologiczne do testów na Zachodzie. Musieliśmy ustalić, czym został otruty i jakie są szanse na znalezienie antidotum. Ani ona, ani ja nie ufaliśmy, że Rosjanie zrobiliby to rzetelnie.

Przed zakończeniem rozmowy Jewgienija stwierdziła:

– Musimy też zadzwonić do ambasady brytyjskiej.

– Nie rozumiem.

– Władimir oprócz obywatelstwa rosyjskiego ma również brytyjskie. Dostał je podczas studiów w Cambridge.

Przez lata znajomości z Władimirem jakoś umknął mi fakt, że jest on posiadaczem brytyjskiego paszportu.

To mogło zmienić wszystko. W walkę o uwolnienie z więzienia Siergieja nie mogliśmy zaangażować władz żadnego państwa zachodniego. Nasze

prośby niezmiennie spotykały się ze stwierdzeniem: „To przykra sprawa, ale co ma wspólnego z nami?”. Skoro Władimir był Brytyjczykiem, otrucie go miało wiele wspólnego z Wielką Brytanią.

Natychmiast po rozmowie z Jewgieniją zatelefonowałem do ambasady brytyjskiej w Moskwie i rozmawiałem z urzędnikiem konsularnym. Wyjaśniłem mu sytuację, po czym stwierdziłem:

– Chcemy przeprowadzić badania krwi poza Rosją. Jeśli zabezpieczymy próbki, czy udostępnicie pocztę dyplomatyczną?

– Oczywiście. Wszyscy przejmujemy się tu stanem zdrowia pana Karamurzy. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby pomóc.

Potem mogłem tylko czekać, aż Jewgienija zdobędzie próbki.

Wylądowała na moskiewskim lotnisku Domodiedowo o piątej czterdzieści pięć następnego popołudnia. Był piątek. Przy wyjściu czekał na nią adwokat Władimira, Wadim Prochorow, z olbrzymią aktówką, którą nosił ze sobą wszędzie. Przywitali się, pośpiesznie wskoczyli do jego samochodu i pojechali prosto do szpitala imienia Pirogowa.

Po drodze zadzwoniła do mnie.

– Jakież wiadomości od Brytyjczyków? – zapytała.

– Tak. Są gotowi pomóc. Jeśli zdobędziesz próbki, przewiozą je do Londynu pocztą dyplomatyczną.

– Świetnie. Zrobię, co będę mogła.

Przyznałem w duchu, że trzymała się naprawdę dobrze, zważywszy na okoliczności, w jakich się znalazła.

O ósmej wieczorem Jewgienija i Prochorow dotarli do szpitala i poszli prosto do portierni. Dyżurująca kobieta nie oderwała nawet wzroku od swojego smartfona.

– Godziny odwiedzin się skończyły. W weekend odwiedzin nie ma. Przyjdźcie w poniedziałek.

– Przepraszam, przyleciałam ze Stanów Zjednoczonych, żeby zobaczyć męża – wyjaśniała Jewgienija. – On jest bardzo chory. Muszę się z nim zobaczyć.

– Przykro mi, to niemożliwe. Proszę wrócić w poniedziałek – powtórzyła kobieta.

– On może nie dożyć do poniedziałku!

Kobieta w końcu spojrzała znad wyświetlacza.

– Jediną osobą, która może wydać zgodę na odwiedziny w weekend, jest dyrektor szpitala.

– Chciałabym z nim porozmawiać.

Kobieta przewróciła oczami.

– On też będzie dopiero w poniedziałek.

Jewgienija i Prochorow wściekli wyszli na zewnątrz. Był ciepły, niemal letni wieczór. Słońce, które o tej porze roku zostaje na niebie długo po dziewiątej, jeszcze całkiem nie zaszło. Usiedli na pobliskiej ławce. Prochorow sięgnął po telefon i zaczął szukać kogoś, kto mógłby ściągnąć dyrektora do szpitala w piątkowy wieczór.

Jedną z osób, z którymi rozmawiał, była Jewgienija Albac, ta sama redaktorka wpływowego czasopisma opozycyjnego „Nowoje Wriemia”, która w 2008 roku podała informację, że ktoś dał FSB sześć milionów dolarów łapówki za aresztowanie Siergieja. Była osobą, z którą nikt nie chciałby zadzierać. Zadzwoiła w kilka miejsc i godzinę później na szpitalnym parkingu zatrzymało się nowiutkie auto. Wsiadło dwóch mężczyzn, jeden krępy i łysy z zadbaną siwiejącą brodą, drugi wyższy z fryzurą na jeża i świdrującymi oczami. Podeszli do Jewgienii i Prochorowa. Ten ze świdrującymi oczami przedstawił się jako dyrektor szpitala. Ten drugi się nie odzywał.

– Proszę za mną – powiedział dyrektor poirytowany, że ktoś psuje mu weekend.

Poszli bezpośrednio do jego gabinetu. Jewgienija i Prochorow usiedli naprzeciwko biurka, towarzysz dyrektora usiadł na krześle pod ścianą.

Dyrektor skrzyżował ramiona na piersi.

– Co mogę dla państwa zrobić?

– Chcę się dowiedzieć o stan zdrowia mojego męża.

– Leży na oddziale intensywnej opieki medycznej, prowadzi go doktor Procenko. – Niedbałym ruchem głowy dyrektor wskazał na mężczyznę pod ścianą. – Pani mąż doznał niewydolności wielonarządowej i obawiam się, że jego stan jest poważny.

– Jak poważny?

Dyrektor spuścił wzrok, żeby nie patrzeć jej w oczy.

– Dajemy mu pięć procent szans na przeżycie.

Jewgienija zaczęła drżeć. Zrobiła trzy głębokie wdechy i zapytała:

– Co spowodowało ten stan?

– Albo zatrucie pokarmowe, albo lekarstwa, które przyjmuje.

– Lekarstwa?

Władimir przyjmował tylko jeden lek o nazwie Celexa, powszechnie stosowany w leczeniu depresji, jeśli nie liczyć sprzedawanego bez recepty aerozolu przeciwalergicznego. Niemożliwe, żeby któraś z tych dwóch substancji mogła doprowadzić do niewydolności wielonarządowej. Gdyby tak było, miliony ludzi cierpiących na depresję i katar sienny na całym świecie padałyby trupem.

– Czy sprawdzaliście możliwość otrucia?

– Dlaczego ktoś miałby otruć pani męża?

– Z wielu powodów. Był zastępcą Borisa Niemcowa, a Boris został zamordowany zaledwie trzy miesiące temu.

Dyrektor pokręcił głową.

– To dwie różne rzeczy.

Jewgienija musiała użyć całej siły woli, żeby zachować spokój.

– Zamierzam jutro zabrać stąd mojego męża – poinformowała. – Samolot przystosowany do transportu chorych czeka na Wnukowie.

– Pani Kara-Murza – zaczął dyrektor – pani mąż nie może być transportowany. Gdybyśmy spróbowali przenieść go z jednego końca sali w drugi, prawdopodobnie nie przeżyłby nawet tego. Nie ma mowy, żeby przeżył przejazd na lotnisko, a co dopiero lot.

– W takim razie zasięgnę niezależnej opinii. W Moskwie jest izraelski lekarz z Tel Awiwu. Chcę, żeby zbadał Władimira jutro rano.

– Pani Kara-Murza – powiedział dyrektor jeszcze bardziej protekcyjnym tonem. – Dlaczego miałaby pani sięgać po drugą opinię?

– Dlaczego? – zapytała Jewgienija, lekko unosząc się na krześle. – Właśnie powiedział mi pan, że nie wykluczycie trucizny, chociaż mój mąż ma wszelkie objawy otrucia!

Dyrektor zaśmiał się drwiąco.

– Niech pani wyobrazi sobie pociąg i pomyśli, że ten pociąg uderzył pani męża. Czy w takiej sytuacji domagałaby się pani informacji, jaki to był pociąg? Nie. Zależy pani tylko na tym, żeby ocalić męża. I to właśnie próbujemy zrobić.

W końcu Jewgienija straciła panowanie nad sobą.

– I to właśnie próbuję zrobić ja! – krzyknęła. – Zasięgnę opinii mojego lekarza i sami przeprowadzimy testy toksykologiczne. Chcę dostać próbkę jego krwi. Natychmiast!

Rosyjscy lekarze raczej się nie spotykają z takim zachowaniem rodzin pacjentów.

– Żadnych zagranicznych lekarzy w moim szpitalu nie będzie. Ani żadnego pobierania próbek krwi – oznajmił dyrektor. – Jeśli nie ma pani poświadczonego notarialnie pełnomocnictwa, nie może pani prosić o żadną z tych rzeczy.

W Rosji, w odróżnieniu od wielu innych krajów, prawo decydowania o nieprzytomnym współmałżonku nie działa automatycznie.

Jewgienija posmutniała. Nie miała pełnomocnictwa. Za to Wadim Prochorow się rozpogodził. Jako adwokat Władimira on je miał.

Otworzył swoją sfatygowaną, pełną dokumentów aktówkę i gestem magika sięgającego do cylindra po królika wyjął pełnomocnictwo, które następnie położył na biurku dyrektora. Poświadczony dokument obejmował tylko działalność polityczną Władimira, nie kwestie medyczne, ale Prochorow nie zamierzał o tym informować. Dyrektor, najwyraźniej zaskoczony, nie pomyślał, żeby to sprawdzić. Poblady zerknął tylko na pierwszą stronę. Chowając dokument z powrotem do swojej aktówki, Prochorow powiedział:

– Proszę zrobić to, o co prosi pani Kara-Murza. I proszę zaprowadzić ją do męża.

Pokonany dyrektor zwrócił się do doktora Procenki, który dotychczas się nie odezwał:

– Zrób, jak mówi. Daj jej godzinę. I próbki.

Wciąż bez słowa doktor Procenko zaprowadził Jewgienię na oddział intensywnej opieki medycznej.

– Pani mąż jest tam – poinformował, wskazując.

Podeszła do łóżka. Władimir leżał za płataniną rurek i przewodów, otoczony pikającymi maszynami. Ledwie go poznała. Wyglądał jak ośmiornica.

Doktor Procenko wyjaśnił Jewgienii plan leczenia, który wydawał się kompleksowy, ale nie dodał jej otuchy.

– Przykro mi, ale jak już mówił mój kolega, stan pani męża jest bardzo poważny.

Jewgienija podsunęła sobie krzesło, usiadła obok Władimira i ujęła go za rękę. Chociaż był nieprzytomny, szepnęła mu, że jest obok i nie wyjedzie z Moskwy bez niego.

Godzinę później do sali weszła pielęgniarka, pobrała krew, obcięła próbki włosów i paznokci Władimira i wręczyła Jewgienii razem z kopią dokumentacji medycznej.

– Przepraszam, ale musi pani już wyjść – oznajmiła pielęgniarka. – Powiedziano mi, że może pani przyjść jutro.

Tuż po jedenastej w nocy Jewgienija wyszła ze szpitala. Wsiadła do samochodu Prochorowa i pojechali do mieszkania jej rodziców. Tam przywiezione ze szpitala próbki włożyła do lodówki i przesłała do mnie e-mail z wynikami badań Władimira.

Następnego ranka wróciła do szpitala z izraelskim specjalistą w dziedzinie intensywnej terapii. Po zbadaniu Władimira potwierdził on opinię swoich rosyjskich kolegów po fachu: Władimira nie wolno przewozić. Jewgienija liczyła się z taką możliwością. Kiedy usłyszała to z wiarygodnych ust, dotarło do niej, jak potworny dylemat musi rozwiązać.

Przewiezienie męża za granicę oznaczało jego pewną śmierć, pozostawienie go w Rosji – prawdopodobnie też.

ROZDZIAŁ 24

Fabryka trucizn KGB

Wiosna–lato 2015

Wiadomość, że Władimir przebywa w stanie ciężkim na oddziale rosyjskiego szpitala, była mocnym ciosem. Czuję się jak po aresztowaniu Siergieja. Kolejna współpracująca ze mną osoba znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie setki kilometrów ode mnie, ja zaś byłem bezradny i nie mogłem pomóc.

Kyle Parker czuł się podobnie. Współpracował przecież z Władimirem przy tworzeniu ustawy Magnitskiego, ich rodziny się przyjaźniły. Ich dzieci bawiły się razem, zapraszali się na grilla do swoich domów, ich żony spędzały czas razem.

Natychmiast po otrzymaniu dokumentacji medycznej Władimira przesłałem kopię Kyle'owi. Musieliśmy stać się ekspertami w dziedzinie trucizn, i to szybko. Obydwaj wiedzieliśmy o niesławnej fabryce trucizn KGB, która przez dziesięciolecia opracowała nowe, bezwzględne i tajemnicze sposoby zabijania wrogów Rosji. Przed zatwierdzeniem do użycia opracowane tam trucizny testowano na więźniach w gułagu. Do ulubionych substancji należały rycyna, dioksyna, tal, cyjanowodór, polon (którego użyto w Londynie do zabicia Aleksandra Litwinienki) i nawet rzadki jad pozyskiwany z meduz. Musieliśmy ustalić, czy którąś z tych substancji – albo jeszcze coś innego – podano Władimirowi.

Kyle i ja prosiliśmy o pomoc każdego, kto mógł jej udzielić.

W Stanach Zjednoczonych Kyle przesłał dokumentację medyczną Władimira do wiodącej toksykolożki w Narodowym Instytucie Zdrowia, do oficera wywiadu specjalizującego się w wojnie biologicznej, do kazachskiego zbiega, który przed ucieczką ze Związku Radzieckiego

pracował w fabryce trucizn, i do swojej własnej siostry, jednej z lepszych onkolożek w nowojorskim szpitalu Memorial Sloan Kettering.

Po naszej stronie Atlantyku wspólnie z moim zespołem zidentyfikowaliśmy wszystkie możliwe placówki specjalizujące się w otruciach. Wysłaliśmy e-maile do Porton Down, prowadzonego przez armię brytyjską renomowanego instytutu badawczego, Krajowego Centrum Informacji Toksykologicznej, Zakładu Medycyny Sądowej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Oddziału Toksykologicznego Guy's Hospital oraz byłego detektywa w wydziale zabójstw londyńskiej policji metropolitalnej.

Pierwsze odpowiedzi Kyle otrzymał po kilku godzinach. Najpierw odezwał się jego znajomy w wywiadzie amerykańskim. Podejrzał, że zastosowano dwie trucizny, nie jedną. Pierwsza wywołała objawy silnego zatrucia pokarmowego, więc lekarze podjęli interwencję. Wtedy podano drugą truciznę, która zatrzymała pracę organów wewnętrznych. Znajomy twierdził, że taką taktykę Rosjanie stosowali już wcześniej. Z perspektywy zabójcy to była czysta robota z wiarygodnym wytłumaczeniem. Lekarze, którzy o niczym nie mieli pojęcia, mogli z przekonaniem powiedzieć: „Nie znaleźliśmy niczego podejrzanego. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Niestety, pacjent zmarł”.

Druga odpisała znajoma z Narodowego Instytutu Zdrowia. Nie przekazała takiej szczegółowej analizy, natomiast stwierdziła kategorycznie, że wyniki badań krwi Władimira wykluczają truciznę radioaktywną.

To była ważna informacja. Pamiętając, co się stało z Aleksandrem Litwinienką, i ja, i Kyle przypuszczaliśmy, że Władimirowi podano właśnie taką truciznę. Obydwaj szybko się przekonaliśmy, że próby ustalenia, jakiej substancji użyto, przypominają szukanie igły w stogu siana. Jeśli mieliśmy ją odnaleźć, musieliśmy wykluczać różne możliwości.

Nasze brytyjskie starania nie okazały się aż tak skuteczne. Zdaje się, że nikt nie sprawdzał skrzynki mailowej w weekend. Jako jedyny zareagował były detektyw wydziału zabójstw. Nie próbował spekulować, czym otruto Władimira, tylko przekazał kilka makabrycznych uwag na temat zabezpieczenia dowodu zbrodni, czyli ciała Władimira, na wypadek jego śmierci. Zalecił między innymi pobranie krwi z tętnicy udowej, wycięcie fragmentu wątroby oraz zachowanie ciała szklistego oka w postaci płynu z gałki ocznej.

Podczas czytania tych uwag czułem, że żołądek podchodzi mi do gardła. Władimir był moim przyjacielem. Nie chciałem myśleć o jego gałkach ocznych ani o wątrobie. Chciałem zobaczyć go znowu. Żywego.

Potem przyszła wiadomość od siostry Kyle'a.

„Kyle, przykro mi przekazać Ci taką informację, ale nie wygląda na to, żeby mógł przeżyć – napisała. Na co dzień w pracy widziała wielu umierających ludzi. – Musisz powiedzieć jego rodzinie, że powinni się z nim pożegnać”.

Ani Kyle, ani ja nie zamierzaliśmy mówić tego Jewgienii, która czuwała przy łóżku Władimira i znała jego stan lepiej od nas. Ale nasza dotychczasowa wielka determinacja, żeby ustalić rodzaj trucizny, teraz jeszcze wzrosła. Dobrze choć, że mieliśmy próbki biologiczne, które mogliśmy przebadać na Zachodzie.

Zadzwoiłem do ambasady brytyjskiej w Moskwie rankiem w sobotę 30 maja. Połączono mnie z innym pracownikiem niż poprzednio.

– Mamy próbki Władimira – poinformowałem go. – Jego żona ma je przywieźć do ambasady czy sami je odbierzecie?

– Och, przepraszam pana – odrzekł urzędnik. – Nikt jeszcze do pana nie dzwonił?

– Nie.

– W ambasadzie nie zajmujemy się już tą sprawą. Została przekazana do Global Response Centre w Whitehall. Niedługo ktoś stamtąd powinien się z panem skontaktować.

Centrum Reagowania Globalnego jest strukturą w ramach Ministerstwa Spraw Zagranicznych i odpowiada za udzielanie pomocy obywatelom brytyjskim, którzy za granicą znaleźli się w trudnej sytuacji.

Informacja, że władze potraktowały sprawę Władimira aż tak poważnie, dodała mi otuchy. I faktycznie, niedługo potem otrzymałem e-mail od pracownika centrum.

Tyle że całkowicie bezużyteczny. Zamiast informacji o poczcie dyplomatycznej podawał numery kontaktowe do moskiewskich oddziałów DHL, FedEx i kilku innych firm kurierskich oraz wyraził raczej chłodne wsparcie moralne.

DHL i FedEx? Żarty sobie robili? Przecież tę informację sam mogłem sobie znaleźć w trzydzieści sekund.

Zatelefonowałem do osoby, której numer umieszczono na dole wiadomości e-mail.

– Nie wiem, co myśleć – stwierdziłem. – Mówiono mi, że pomożecie nam przetransportować pobraną krew.

– Obawiam się, że nie możemy tego zrobić.

– Ambasada w Moskwie obiecała nam transport w poczcie dyplomatycznej.

– Przykro mi, nie możemy udzielić panu takiej pomocy.

Uświadomiłem mu, że Władimir, który jest obywatelem brytyjskim, może umrzeć, ale mężczyzna był niewzruszony. Potrzebowałem kilkunastu minut, żeby się uspokoić po tej rozmowie.

Ludzie myślą, że jeśli obywatelowi tak potężnego państwa jak Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania stanie się coś złego za granicą, to rządy tych państw użyją całej swojej siły i wszystkich możliwości, żeby go chronić.

Nic takiego się nie wydarzyło.

Nowe informacje pokrzyżowały nam plany. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny skupiliśmy się na truciznach i diagnozach, nie na logistyce.

Ponieważ zaczynaliśmy od zera, zadzwoniłem do DHL. Usłyszałem, że nie przesyłają materiałów biologicznych z Moskwy. FedEx przyjmował takie przesyłki, ale transport trwałby co najmniej siedemdziesiąt dwie godziny i musielibyśmy uzyskać zezwolenie na wywóz od władz rosyjskich.

Ciekawe, jakim cudem byśmy je dostali. Jednym z głównych powodów, dla których chcieliśmy skorzystać z poczty dyplomatycznej, było uniknięcie rosyjskiej biurokracji, poza tym w równej mierze chodziło nam o bezpieczeństwo transportu. W razie śmierci Władimira próbki mogły być jedynym dowodem morderstwa i poczta dyplomatyczna gwarantowała, że pozostaną nienaruszone. Wrzucenie ich do pojemnika transportowego FedExu takiej gwarancji nie dawało.

Jedynym, co przyszło mi na myśl, było załatwienie sprawy ponad głowami urzędników ministerialnych, napisałem więc e-mail do Philipa Hammonda, ministra spraw zagranicznych, choć nie znałem go osobiście.

Nie spodziewałem się odpowiedzi od tak wysoko postawionego polityka, ale następnego dnia, w niedzielę, otrzymałem od niego osobisty list. Zapewnił, że śledzi rozwój wypadków i jest gotów udzielić pomocy, tylko że w sprawie poczty dyplomatycznej ma związane ręce: konwencja wiedeńska o stosunkach dyplomatycznych zakazuje wykorzystywania poczty dyplomatycznej do czegokolwiek poza oficjalną komunikacją. Żeby pokazać, że mu zależy, zaproponował eskortę pracownika ambasady, który

miałby towarzyszyć kurierowi do punktu kontroli granicznej. Niestety, dalej pracownik ambasady jechać nie mógł.

Poczułem się głęboko rozczarowany. Rosjanie mieli w nosie konwencję wiedeńską. Wykorzystywali pocztę dyplomatyczną do przewożenia narkotyków, trucizn i gotówki na całym świecie. Dlaczego Brytyjczycy nie mogli nagiąć zasad, żeby ratować swoich obywateli?

(Później zdałem sobie sprawę, że nie mogłem mieć i jednego, i drugiego. Przecież o to, żeby Rosja stała się krajem praworządnym, w którym minister spraw zagranicznych szczerze wyraziłby w liście podobną opinię, walczyliśmy z Borisem i Władimirem – a Siergiej do końca wierzył, że to możliwe).

Tamtego dnia gwarancję nienaruszalności próbek podczas transportu posłaliśmy do diabła. Skoro rząd brytyjski nie zezwolił nam na użycie poczty dyplomatycznej, postanowiliśmy użyć własnych możliwości, żeby dostarczyć je do Londynu. O problemach dowiedzieli się moskiewscy przyjaciele Władimira. Jeden z nich zaproponował, że przeschmuguje próbki samolotem rejsowym. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Ochotnik przyniósł próbki do naszego biura wczesnym popołudniem następnego dnia, czyli w poniedziałek, pięć dni po omdleniu Władimira. Próbki trafiły do lodówki obok jedzenia przyniesionego w kartonowych pojemnikach po lunchu.

Teraz musiałem tylko znaleźć odpowiednie laboratorium, chwyciłem więc za telefon. Zacząłem od instytutu badawczego Porton Down. Zanim zdążyłem wyjaśnić sytuację, głos w słuchawce powiedział:

– Zlecenia przyjmujemy tylko od rządu, proszę pana.

– To wyjątkowo pilne – przekonywałem. – Może w takiej sytuacji dopuścilibyście wyjątek?

– Przykro mi. Nie wolno nam prowadzić prac bez zlecenia rządu.

Później zadzwoniłem do Krajowego Centrum Informacji Toksykologicznej, także instytucji państwowej, ale powiedziano mi, że wymagane jest skierowanie od organów wymiaru sprawiedliwości. Nawet gdybyśmy otrzymali taki dokument, potrwałoby to kilka dni albo tygodni.

Kolejne rozmowy telefoniczne też niczego nie dały. Wreszcie pod koniec dnia skierowano mnie do lekarza, który prowadził praktykę prywatną często wybieraną przez dyrektorów funduszy hedgingowych, bankierów inwestycyjnych i innych zamożnych londyńczyków. Nie był tani, ale nie liczyłem się z kosztami.

Współpracował on z prywatnym laboratorium na Harley Street, a więc w tej części ścisłego centrum Londynu, w której mieści się sporo renomowanych placówek medycznych i praktykuje wielu znanych specjalistów. Zapewnił mnie, że mają wszystkie potrzebne kontakty, żeby zlecić przebadanie próbek w każdym rządowym laboratorium na terenie Wielkiej Brytanii. Obiecał, że zajmie to dzień, najwyżej dwa, a odpowiedź na część pytań poznamy natychmiast.

Zadzwoiłem do Jewgienii z informacją, że próbki trafiły już do badania w Londynie. Wpadła mi w słowo i przekazała całkiem niespodziewaną wiadomość.

– Nerki Władimira znów pracują!

– Naprawdę? Fantastycznie!

– Też tak myślę. Doktor Procenko postanowił wybudzić go ze śpiączki. Zrobią to jutro rano.

Swoich kontaktów z personelem szpitala Pirogowa Jewgienija nie zaczęła najlepiej, ale od tamtej pory sytuacja się poprawiła. Co najważniejsze, doktor Procenko naprawdę chciał uratować Władimirowi życie.

Lekarz i jego personel przygotowywali się do procedury wybudzenia, natomiast Jewgienija czuła paniczny strach. Czy Władimir będzie sparaliżowany? Czy zareaguje na jej głos? Czy w ogóle odzyska przytomność? Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądałoby jej życie, gdyby umysł męża przestał funkcjonować.

Wybudzanie zajęło większą część następnego dnia. Gdy lekarze powoli zmniejszali dawkę lekarstwa indukującego śpiączkę, Jewgienija trzymała Władimira za rękę i co jakiś czas wypowiadała jego imię, używając zdrobniającej formy „Wołodzia”.

Późnym popołudniem Władimir zamrugał. Jewgienija wstała z krzesła i pochyliła się nad nim. Znowu zamrugał.

– To ja, Żenia – wyszeptała.

Bawił się jej palcami i słabo ścisnął jej rękę.

– Wołodzia – powtórzyła ze łzami w oczach.

Więc jednak był sobą. Pozostawał zaintubowany i nie mógł mówić. Powiódł oczami wokół, w ten sposób zadając pytanie. Wcześniej patrzył tylko na sufit.

– Jesteś w Moskwie, w szpitalu – wyjaśniła Jewgienija. – Stąd te lampy.

Skierował wzrok w stronę okna.

– Jest pierwszy czerwca. Dzisiaj mamy prawdziwie letni dzień.

Z wysiłkiem przekreślił głowę, żeby spojrzeć na mężczyznę, który stał przy jego łóżku.

– To doktor Procenko – przedstawiła. – On się tobą zajmuje. – Wyjęła telefon, żeby mu pokazać zdjęcia dzieci. – Wszystkie mają się dobrze. Bardzo za tobą tęsknią.

Jeszcze tego samego popołudnia Jewgienija zadzwoniła do mnie, żeby się podzielić dobrą wiadomością. Poczuję wielką ulgę. Byłem pewien, że Władimir nie przeżyje. Zadzwoniłem do żony, żeby ją poinformować. Zadzwoniłem do Kyle'a. Uścisnąłem Iwana i Wadima w biurze, powstrzymując łzy, które napłynęły mi do oczu, gdy strach o życie Władimira powoli ustępował.

Później Władimir zrobił jeszcze większe postępy. Zaczął oddychać bez respiratora, następnego ranka lekarze usunęli rurkę intubacyjną. Jewgienija usilnie pragnęła usłyszeć jego głos, ale miał tak obolałą krtani, że ledwie potrafił wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, więc komunikował się z nią mrugnięciami, uśmiechami i uściskami dłoni.

Tamtego wieczoru Wadim, Iwan i ja wybraliśmy się do tajskiej restauracji w sąsiedztwie, żeby uczcić wyzdrowienie Władimira. Ledwie zdążyliśmy zamówić, gdy odezwał się mój telefon. Dzwoniła Jewgienija.

Słabo ją słyszałem przez gwar w sali restauracyjnej, dlatego wyszedłem na zewnątrz.

– Możesz powtórzyć? – poprosiłem.

– Władimir właśnie miał prześwietlenie – powiedziała. Jej głos brzmiał inaczej niż poprzednio. – Znaleźli coś. Jakąś czarną plamę na żołądku.

– Czarną plamę? Co to znaczy? – Czułem, że znów ogarnia mnie lęk.

– Doktor Procenko mówi, że to może być martwica. Muszą natychmiast operować.

– Cholera! Przykro mi. Zadzwonź do mnie, proszę, kiedy operacja się skończy.

Wróciłem do środka. Na nasz stół właśnie trafiły przystawki. Powiedziałem Wadimowi i Iwanowi, co się stało. Radosny nastrój zniknął. Ledwie tknęliśmy jedzenie, po czym poprosiliśmy o rachunek. Rozeszliśmy się do domów. Długo siedziałem po ciemku na kanapie, czekając na wiadomość od Jewgienii.

Zadzwoniła późno w nocy. Okazało się, że martwicy nie ma – czarna plamka była niegroźna – ale z powodu leków przeciwzakrzepowych, które

Władimirowi podawano od początku pobytu w szpitalu, operacja spowodowała nieoczekiwany wylew, a ten doprowadził do udaru, po którym doktor Procenko ponownie wprowadził Władimira w śpiączkę.

Udar mojej matki i paraliż, który nastąpił po nim, był początkiem długiego, potwornego procesu powolnego umierania. Życie naszej rodziny wywróciło się do góry nogami. Władimir miał zaledwie trzydzieści trzy lata i nawet nie chciałem myśleć, co to mogłoby oznaczać dla niego, Jewgienii i dzieci.

Przez całą noc przekręcałem się z boku na bok. Następnego ranka zadzwoniłem do lekarza, któremu powierzyłem próbki, z nadzieją, że dostanę wyniki badań. Chociaż nie pomogłyby w leczeniu skutków wylewu, informacja, czym go otruto, miała znaczenie.

Próbki przekazaliśmy w poniedziałek, lekarz obiecał wyniki najpóźniej do środy. Był czwartek, a my nadal nic nie mieliśmy. Nie odebrał, odczekałem więc kwadrans i spróbowałem ponownie. Znowu nic. Dzwoniłem przez cały ranek, bez skutku.

Około jedenastej przysłał mi długi e-mail. „Wiem, że nie na taką informację Pan oczekiwał, ale próbki znajdują się w dyspozycji Porton Down oraz innych laboratoriów rządowych i nie mam żadnych bezpośrednich możliwości, żeby przyspieszyć ich pracę”. Zakończył zapewnieniem, że jest po mojej stronie.

Ludzie, którzy piszą rzeczy w rodzaju „Jestem po Pańskiej stronie”, zazwyczaj po tej stronie nie są. Zacząłem podejrzewać, że lekarz coś przede mną ukrywa. W końcu udało mi się go złapać po lunchu i wtedy powiedział prawdę.

Przyznał, że dostarczony przez nas materiał nie został przekazany żadnej rządowej instytucji. Usiłował zrzucić winę na pracowników prywatnego laboratorium, którzy tak bardzo się przestraszyli zawartości próbek, że nawet nie wyjęli ich z opakowania na materiały stanowiące potencjalne zagrożenie biologiczne, w którym je umieściliśmy.

Natychmiast odebraliśmy próbki. Jak się okazało, nie były nawet przechowywane w lodówce! Gorączkowo szukaliśmy miejsca, gdzie moglibyśmy je przebadać. Polecono nam francuskie laboratorium pod Strasburgiem. Zgodzili się rozpocząć analizy natychmiast. Mark Sabah, ten, który towarzyszył mi w Monako, wsiadł do najbliższego pociągu Eurostar i zawiózł próbki osobiście. Niestety, zdążyły ulec tak znacznemu

rozkładowi, że wyniki przeprowadzonych badań nie dały jednoznacznych rezultatów.

Nie miałem czasu, żeby się tym zamartwiać, bo zapadła decyzja o wybudzeniu Władimira z drugiej śpiączki.

Następnego ranka procedura się powtórzyła. Jak poprzednio Jewgienija czuwała przy łóżku Władimira i szeptała jego imię, czekając na jakiegokolwiek oznaki powrotu świadomości. Tym razem, gdy wreszcie otworzył oczy, był znacznie bardziej zdezorientowany. Nie patrzył na nią ani nie ścisnął jej ręki, nie próbował też wydawać żadnych dźwięków.

Ponieważ oddychał samodzielnie, lekarz usunął rurkę intubacyjną. Kilka godzin później Władimir próbował coś powiedzieć – jego słowa nie miały sensu. Niektórych dźwięków nie dało się nawet uznać za słowa. U mówcy tak wspaniałego jak on było to jeszcze bardziej przerażające.

Władimir został na oddziale intensywnej opieki medycznej przez kolejny tydzień. Chociaż wciąż nie potrafił wyraźnie mówić, szybko odzyskiwał orientację i świadomość tego, co się wokół niego działo. W połowie czerwca wydobrał na tyle, że przeniesiono go na oddział neurologiczny. Skutki udaru okazały się poważne. Władimir nie chodził. Ledwie jadł, ponieważ miał problemy z przeżuwaniami i połykaniem. Czekano go dużo pracy, jeśli miał wrócić do samodzielnego funkcjonowania.

W Rosji, inaczej niż na Zachodzie, ciężar rehabilitacji pacjenta spada na barki rodziny. Jewgienija musiała sama nauczyć męża wszystkiego, z mówieniem włącznie. Początkowo w bełkotliwych wypowiedziach zdarzały się tylko pojedyncze zrozumiałe słowa, stopniowo, z upływem tygodni, zwiększała się ich liczba. Po ćwiczeniach z Jewgieniją bełkotliwość mowy powoli ustępowała. Uszkodzenie mózgu okazało się poważne, ale Władimir przeżył i zachował umysłowość człowieka, którego znaleźliśmy i kochaliśmy.

Prawie sześć tygodni po wystąpieniu pierwszych objawów zatrucia Władimir czuł się na tyle dobrze, że mógł zostać przetransportowany do Stanów Zjednoczonych. Czwartego lipca Jewgienija wwiozła go na wózku inwalidzkim do samolotu medycznego i poleciała do Waszyngtonu. Na lotnisku czekała karetka, która przetransportowała go prosto do Inova Fairfax Medical Campus, gdzie trafił na oddział intensywnej opieki medycznej. Amerykańscy lekarze wykonali wszystkie badania toksykologiczne, które Rosjanie powinni wykonać pierwszego dnia – byli tak ostrożni, że nawet kazali Jewgienii włożyć specjalny kombinezon

ochronny, gdy wchodziła do jego sali – ale ponieważ od początku choroby minęło już tyle czasu, niczego nie znaleźli.

Po trzech tygodniach rehabilitacji na innym oddziale Władimir mógł w końcu wrócić do domu w Wirginii. Skutki otrucia miały mu dokuczać przez długie miesiące, ale przeżył.

W listopadzie Władimir wybrał się w pierwszą podróż po chorobie. Poleciał do Londynu na uroczystość wręczenia Nagrody imienia Siergieja Magnitskiego. Do Central Methodist Hall w Westminsterze, tuż obok gmachu parlamentu, miało przybyć dwieście pięćdziesiąt osób z całego świata, żeby uczcić najodważniejszych bojowników o prawa człowieka. Pośmiertnie uhonorowany został też Boris Niemcow. Jego nagrodę odbierała córka Żanna.

Dzień przed ceremonią do naszego biura wkroczył Władimir. Utykając, wyszedł z windy. Musiał się podpierać laską, jego ramiona opadły, plecy się przygarbiły. Był kilkanaście kilogramów szczuplejszy niż w dniu, gdy widziałem go po raz ostatni. Chociaż fizycznie osłabł, błysk w jego oczach wyraźnie sugerował, że jest jeszcze bardziej zdeterminowany, żeby kontynuować swoją misję i szukać sprawiedliwości dla Borisa, Siergieja i wielu innych ofiar reżimu Putina.

Okazało się, że wszystkie zachodnie instytucje, które miały go ratować – rząd Wielkiej Brytanii, Porton Down, lekarz z prywatnej praktyki i laboratorium z Harley Street – zawiodły.

Ocalił go ktoś, po kim się tego nie spodziewaliśmy – jego rosyjski lekarz. Chociaż wielu członków rosyjskich elit chciało śmierci Władimira, szczęśliwy los postawił na jego drodze człowieka, który dobrze wykonywał swoją pracę i był wierny przysiędze Hipokratesa, żeby po pierwsze nie szkodzić.

Władimir Kara-Murza, dobry Rosjanin, trafił pod opiekę doktora Denisa Procenki, innego dobrego Rosjanina. To zadecydowało o wszystkim.

ROZDZIAŁ 25

Czajka

Jesień–zima 2015

Potrzebowałem trochę czasu, żeby ukoić nerwy po otruciu Władimira. Na szczęście latem Rosjanie zostawili mnie w spokoju. Piątego października, około miesiąca przed rozdaniem nagród imienia Magnitskiego, zadzwonił z Nowego Jorku Michael Kim, z którym od dłuższego czasu się nie kontaktowałem.

– Przykro mi, Bill, mam do przekazania złe wieści – zaczął. – BakerHostetler znowu atakują.

Właśnie otrzymał powiadomienie, że John Moscow i Mark Cymrot wystąpili do sądu o nakaz przesłuchania mnie w charakterze świadka. Najwyraźniej uczyli się na własnych błędach, bo zakres żądanych dokumentów nie był szeroki, a lista pytań mała niewiele pozycji. Zawężili wnioski w taki sposób, że sędzia Griesa mógł go uwzględnić. Zdaniem Michaela nic nie mogliśmy z tym zrobić.

Miał rację, bo 9 listopada sędzia Griesa zgodził się na ich prośbę bez żadnych zastrzeżeń i poinstruował nas, żebyśmy uzgodnili termin tak, by przesłuchanie mogło się odbyć, zanim zacznie się proces. Data rozpoczęcia procesu ciągle się zmieniała: miał wystartować zaraz po Nowym Roku.

Nie rozumiałem, dlaczego Rosjanie to robią. Pierwsze przesłuchanie było dla nich całkowitą klapą i nie wyciągnęli od nas żadnych wrażliwych danych, na których tak bardzo im zależało. Kosztowało ich też niezłą fortunę.

Niebawem powody ich działania stały się jasne.

Siedemnastego listopada, dzień po uroczystości wręczenia nagród Magnitskiego w Londynie, Mark Cymrot złożył w sądzie pismo formalnie

oskarżające mnie i Siergieja o kradzież dwustu trzydziestu milionów dolarów. Oparł się na zarzutach, które Prokurator Generalny Rosji przedstawił w piśmie wysłanym do Departamentu Stanu USA.

Rosjanie od lat produkowali tę fikcję na użytek odbiorcy krajowego, teraz oficjalnie eksportowali ją na Zachód.

Była to szalona strategia obrony. Prevezon miał brudne pieniądze na rachunkach w Nowym Jorku i to oni musieli wytłumaczyć, skąd się tam wzięły, nie ja. To przeciwko nim, nie przeciwko mnie, wystąpiła prokuratura federalna. Promowanie teorii spiskowych w sądzie nie przybliżało ich do uniewinnienia.

Takie prymitywne działanie przynajmniej zmuszało naszych oponentów, żeby wyłożyli karty na stół. Nowa strategia pokazywała, że powtórne przesłuchanie nie służy obronie Prevezonu ani nawet pozyskaniu poufnych informacji. Chodziło o wygłoszenie fałszywych zarzutów przeciwko mnie w majestacie amerykańskiego prawa. Rosjanie mogli potem umieścić moje zeznanie w internecie (tak jak za pierwszym razem) jako element kampanii, którą prowadzili, żeby przekonać świat, że to Siergiej i ja jesteśmy łajdakami, nie oni.

Chociaż przesłuchanie musiało się odbyć, uzgodnienie daty okazało się niełatwe. W grudniu trudno zgrać kalendarze. Ja musiałem dolecieć z Londynu, wolnego terminu nie mieli przedstawiciele administracji amerykańskiej, a ich obecność była konieczna, no i zbliżała się przerwa świąteczna... Na dodatek córka Marka Cymrota wychodziła za mąż zaraz po Bożym Narodzeniu, co wyłączało go na kilka dni.

Cymrot, zapewne działając pod silną presją swoich rosyjskich klientów, zażądał, żebym się stawił na przesłuchanie 7 grudnia. Ale tego dnia nie mogli przybyć przedstawiciele administracji amerykańskiej. Ponieważ wymagana była obecność i ich, i moja, nie przyjechałem do Nowego Jorku.

Moja nieobecność tak rozwścieczyła Rosjan, że jeszcze tego samego dnia Cymrot złożył wniosek o stwierdzenie, że zlekceważyłem nakaz sądu, za co w Stanach Zjednoczonych można trafić do więzienia. Nawet sędzia Griesa – mimo swoich ograniczeń – dostrzegł, jak bardzo niezasadny jest ten wniosek, i kategorycznie go oddalił. Zalecił wszystkim ostudzić emocje i uzgodnić datę.

Na tym zapewne by stało, gdyby nie fakt, że dwa dni później serwis Daily Beast opublikował materiał o Denisie Kacywie i Natalii Weselnickiej.

Dziennikarze dotarli do dokumentu, z którego wynikało, że Kacyw wystąpił do Departamentu Sprawiedliwości USA o wypłatę pięćdziesięciu tysięcy dolarów jako zwrotu kosztów niedawnej podróży do Nowego Jorku, dokąd stawiał się na zarządzone przez sąd przesłuchanie. Refundacja miała objąć między innymi pokoje w Plaza Hotel po dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów za noc oraz kolację za siedemset dziewięćdziesiąt trzy dolary i dwadzieścia dziewięć centów, podczas której Kacyw, Weselnicka i jeszcze jedna osoba zamówili osiemnaście potraw, osiem kieliszków grappy i dwie butelki drogiego wina.

Artykuł nosił tytuł Rosjanie wystawiają USA rachunek na 50 tysięcy za wódkę w hotelu. Wywołał tak wielką wściekłość w Rosji, że dwa dni po jego publikacji Cymrot złożył do sądu kolejny wniosek o stwierdzenie, że lekceważę sąd. Tym razem całkiem puścił się poręczy.

Twierdził, że zawiązałem spisek z rządem Stanów Zjednoczonych, żeby zniszczyć reputację rodziny Kacywów. Oskarżył nas o koordynowanie kampanii medialnej przeciwko nim, o znowę umożliwiającą mi uchylanie się od złożenia zeznań oraz – co najbardziej absurdalne – o spisek w celu sfingowania oskarżenia przeciwko Prevezonowi. Po lekturze tego uzasadnienia można by pomyśleć, że rząd Stanów Zjednoczonych jest moją marionetką i zrobi wszystko, czego zażądam, jakbym był jakimś wszechmocnym bondowskim czarnym charakterem.

Jakby tego było mało, na koniec Cymrot żądał, żeby sędzia zastosował sankcję karną wobec Departamentu Sprawiedliwości za postępowanie w tej sprawie.

Po lekturze tego wniosku trudno było nie dojść do przekonania, że napisała go w Moskwie Weselnicka targana emocjami, a następnie przetłumaczyła na angielski za pomocą translatora Google. W Rosji osoby prywatne często spiskują z przedstawicielami władzy, z jej punktu widzenia miało więc sens doszukiwanie się takiego zachowania w kontaktach między mną a instytucjami wymiaru sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych.

Było coś szaleńczego, niemal desperackiego w tych działaniach. Jakby kancelaria BakerHostetler nie prowadziła już sprawy samodzielnie, tylko na polecenie Weselnickiej podejmowała coraz dziwniejsze kroki, nawet z góry skazane na niepowodzenie.

Sędzia Griesa nie uwzględnił także tego wniosku. Odrzucił go w całości, stwierdziwszy, że „tego rodzaju przedłożenia nie mają żadnej wartości”.

Chciał natomiast poznać datę mojego przesłuchania, a ponieważ strony nie mogły się zgodzić w tej sprawie, wyznaczył termin na 18 grudnia. Bez dyskusji.

Przerywało to dokładnie w połowie mój świąteczny wyjazd z rodziną do Aspen, ale nie zamierzałem protestować. Jedynym pocieszeniem był fakt, że sędzia Griesa pozwolił mi zeznawać zdalnie, nie musiałem więc jechać do Nowego Jorku.

W podróż do Kolorado z Eleną i dziećmi wyruszyliśmy 13 grudnia, do Aspen dotarliśmy późnym popołudniem tego samego dnia, wykończeni. Elena przygotowała szybką kolację, dzieci poszły się pobawić na śniegu. Skończyliśmy jeść o siódmej – drugiej nad ranem według czasu w Londynie – oczy same nam się zamykały. Położyliśmy dzieci spać, od razu doczołgaliśmy się do łóżka i niemal natychmiast usnęliśmy.

Zapewne ze zmęczenia zapomniałem wyłączyć telefon. Odezwał się o pierwszej w nocy. Próbowałem go zignorować: nie przestawał brzęczeć. Zdałem sobie sprawę, że nie zasnę, więc popatrzyłem na wyświetlacz i zobaczyłem nieodebrane połączenia od moskiewskich korespondentów „New York Timesa”, „Wall Street Journal” i Associated Press.

Oparłem się wyżej na poduszkach i otworzyłem skrzynkę mailową. Czekają na mnie wiele e-maili z prośbą o komentarz na temat artykułu, który właśnie się ukazał na łamach „Kommiersanta”, jednej z ważniejszych moskiewskich gazet.

Otworzyłem link. Nie był to tekst dziennikarza ani publicysty. Podpisał się pod nim zwierzchnik putinowskiego wymiaru sprawiedliwości, prokurator generalny Jurij Czajka – ten sam, który w 2011 roku pojechał do Szwajcarii, by przeciwdziałać wszczęciu śledztwa przeciwko Stiepanowom w sprawie prania brudnych pieniędzy.

Przeczytałem raz, potem drugi. Czajka wiernie powtarzał zarzuty stawiane mnie i Siergiejowi w piśmie kancelarii BakerHostetler, tyle że posuwał się znacznie dalej.

Według Czajki do Rosji w latach dziewięćdziesiątych przysłał mnie zachodni wywiad, który powierzył mi misję zniszczenia tego kraju. Moim pierwszym zadaniem było rzekomo inwestowanie w Gazprom, rosyjskiego monopolistę na rynku gazu ziemnego, i zyskanie dostępu do poufnych informacji tej firmy poprzez zdobycie fotela w jej zarządzie. Następnie miałem przekazywać te informacje swoim wywiadowczym mocodawcom

oraz amerykańskim korporacjom, żeby szkodzić interesom narodowym Rosji.

Czajka stwierdzał z dumą, że ten spisek został udaremniiony. Natomiast dopuściłem się też oszustw podatkowych, doprowadziłem do bankructwa kilku korporacji i ukradłem dwieście trzydzieści milionów dolarów Skarbowi Państwa Rosji. Według niego stanąłem później na czele międzynarodowej „kampanii fałszywego PR”, żeby winę za swoje przestępstwa zrzucić na uczciwych funkcjonariuszy państwa rosyjskiego takich jak biedni państwo Kacywowie, oczywiście przy błogosławieństwie zachodnich służb wywiadowczych. Sugerował też, że byłem zamieszany w zamordowanie Walerego Kuroczkina, Oктаia Gasanowa i Siemiona Korobiejnikowa, trzech członków grupy przestępczej Klujewa wspomnianych w ósmym rozdziale tej książki.

Zupełnie przypadkiem w trakcie tej rozległej operacji szpiegowskiej został aresztowany Siergiej, po czym w więzieniu zachorował i zmarł tam „z przyczyn naturalnych”. Czajka twierdził, że ta „tragedia” stała się błogosławieństwem dla mnie i moich wywiadowczych mocodawców, ponieważ mogliśmy wykorzystać śmierć Siergieja do rozpoczęcia „kolejnej operacji specjalnej dyskredytującej Rosję w oczach społeczności światowej”.

Owa kolejna operacja polegała na opłacaniu zachodnich dziennikarzy, którzy publikowali zmanipulowane historie żerujące na „zwykłym ludzkim współczuciu”, to zaś ostatecznie doprowadziło do uchwalenia ustawy Magnitskiego w Stanach Zjednoczonych.

Wisienkę na torcie stanowiło zakończenie. Czajka odniósł się do sprawy Prevezonu, którą uważnie śledził, i zapowiadał, że zostanie zdemaskowany jako „międzynarodowy oszust, fałszerz i przestępca”, który przez lata wodził za nos cały świat.

Przeczytałem artykuł trzeci raz, opuściłem ręce na kółdę i wpatrywałem się w ciemny sufit. W życiu nie widziałem bardziej nedorzecznego tekstu, a widziałem już wiele.

Zaskoczyła mnie nierealność narracji. Rozumiałem, że wyraża ona desperację Czajki i informuje o stawce w tej grze. Zapewne rozumował on tak, że jeśli w oczach świata zdoła zrobić ze mnie oszusta, to także ustawa Magnitskiego stanie się oszustwem i trzeba będzie ją uchylić. Swój artykułem Czajka potwierdził nasze podejrzenia, czym naprawdę jest dla Rosjan sprawa Prevezonu. Olbrzymia inwestycja w honoraria nowojorskich

prawników – według moich szacunków łączna kwota wydana przez nich na obsługę prawną znacznie przekraczała wartość zamrożonych rosyjskich aktywów – nie miała nic wspólnego z obroną firmy Prevezon przed zarzutem prania brudnych pieniędzy. Chodziło o to, żeby mnie zniszczyć, bo w ten sposób rząd rosyjski mógł zakwestionować zasadność ustawy Magnitskiego.

Stawka drugiego przesłuchania mogła się okazać znacznie wyższa.

ROZDZIAŁ 26

Mandamus

Zima 2015–2016

Dzień po opublikowaniu artykułu Czajki dołączyli do nas w Aspen nasi starzy przyjaciele, Lina i Eduardo Wurzmannowie z trójką dzieci. Mieszkali w São Paulo, ale poznaliśmy ich w Moskwie pod koniec lat dziewięćdziesiątych, zanim zaczęły się moje kłopoty. Zawsze uważałem, że Brazylijczycy to jedni z najmiłszych ludzi na świecie, a wśród Brazylijczyków do najcudowniejszych należą z pewnością Wurzmannowie.

Gdy z Eleną zapraszaliśmy ich do Kolorado, nie wiedzieliśmy jeszcze, że sprawa Prevezonu tak bardzo mnie zaabsorbuje. Przed czekającym mnie przesłuchaniem nie mogłem spędzać zbyt wiele czasu na nartach ani w ich towarzystwie. Mimo to obecność dobrych przyjaciół poprawiała mi samopoczucie w tych trudnych chwilach.

Istniała niewielka szansa, że do przesłuchania nie dojdzie. Michael Kim zauważył, że prawnicy z BakerHostetler i ich rosyjscy klienci popełnili poważny błąd taktyczny, oskarżywszy mnie o kradzież tych dwustu trzydziestu milionów dolarów. Podczas posiedzenia po naszym wniosku o dyskwalifikację w 2014 roku Cymrot bronił Johna Moscowa i kancelarii BakerHostetler, zapewniając sędziego Griese, że Prevezon nie jest stroną przeciwną dla Hermitage. Sędzia kupił wtedy tę narrację i na tej podstawie nie zgodził się ich zdyskwalifikować.

Michel wskazał, że niedawne oskarżenia wysuwane przez Prevezon za pośrednictwem wynajętych prawników automatycznie czynią z Prevezonu stroną przeciwną. Sugerował, żebyśmy raz jeszcze spróbowali wykopać Johna Moscowa i jego kancelarię z tej sprawy.

Z przyczyn formalnych wniosek o dyskwalifikację musiała złożyć firma Hermitage, nie zaś ja osobiście, co oznaczało konieczność wynajęcia jeszcze jednego prawnika. Michael zasugerował niejakiego Jacoba Buchdahla z kancelarii Sussman Godfrey. Podpisaliśmy umowę, po czym Buchdahl napisał wniosek i złożył go 15 grudnia.

Ponieważ zbliżała się rozprawa główna zaplanowana na początek nowego roku, wszystko przebiegło bardzo szybko i posiedzenie w sprawie o dyskwalifikację miało się odbyć trzy dni później, tego samego dnia co moje przesłuchanie.

W piątek rano okazało się, że w nocy spadło prawie trzydzieści centymetrów śniegu. Moja rodzina i nasi goście tym bardziej cieszyli się na dzień białego szaleństwa, w którym ja niestety nie mogłem uczestniczyć.

Zjadłem wczesne śniadanie z Wurzmannami, pomogłem dzieciom ubrać się w sieni i wróciłem do gabinetu, gdzie usadowiłem się przed komputerem. Zapowiadał się długi i męczący dzień.

Zadzwoiłem do Michaela, żeby sprawdzić jakość połączenia z jego nowojorską kancelarią, w której miało się odbyć przesłuchanie. Siedział sam w sali konferencyjnej. Kwadrans po dziewiątej dołączyło do niego dwóch prawników reprezentujących stronę rządową. Przywitali się, usiedli obok siebie i wyłożyli na stół kilka teczek z dokumentami oraz notatniki.

Później, około dziewiątej czterdzieści pięć, pojawili się prawnicy BakerHostetler. Jak poprzednio, przyszli silną grupą. Było ich co najmniej dwunastu, niektórzy z wózkami pełnymi wielkich segregatorów wypełnionych dokumentami. Potrzebowali całych pięciu minut, żeby zająć miejsca.

Tym razem przesłuchania nie prowadził Mark Cymrot. Zastąpił go Paul Levine, bo Cymrot nie mógł być w dwóch miejscach naraz, a przebywał właśnie w sali rozpraw sądu federalnego przy Pearl Street, gdzie próbował nie dopuścić do odsunięcia kancelarii BakerHostetler od sprawy. Tamta rozprawa miała się zakończyć przed rozpoczęciem mojego przesłuchania, lecz wciąż trwała.

Zegar wybił kwadrans po dziesiątej. Moje przesłuchanie oficjalnie się zaczęło. Nawet w Aspen czułem napięcie panujące na sali w Nowym Jorku. Levine pochylił się, szykując atak. Michael przerwał mu spokojnym głosem (zawsze mówił spokojnie):

– Ponieważ sędzia rozpatruje właśnie wniosek o dyskwalifikację, byłoby niewłaściwe zacząć i nie czekać na jego werdykt.

Levine wyglądał, jakby chciał walczyć, ale nie miał szans, bo z argumentem Michaela nie dało się dyskutować. Skoro nie mogliśmy prowadzić przesłuchania, dopóki nie poznamy decyzji sędziego, siedzieliśmy, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Czekaliśmy.

Czas mijał. Dziesięć minut, dwadzieścia, trzydzieści... Chwilę po jedenastej telefony wszystkich prawników rozdzwoniły się jednocześnie. Sędzia Griesa nakazał, żeby wstrzymać przesłuchanie, dopóki nie rozpatrzy wniosku.

Zatem przesłuchanie zostało udaremnione przynajmniej tego jednego dnia. Prawnicy z BakerHostetler hałaśliwie pakowali swoje dokumenty z powrotem do wózków. Zadzwoiłem na telefon komórkowy Michaela.

– Czy mogę teraz iść na narty? – zapytałem.

Nadal widziałem go na wyświetlaczu. Uśmiechnął się i powiedział:

– Baw się dobrze!

Pożegnałem się, wyłączyłem komputer i zbiegłem na dół po sprzęt. Załadowałem wszystko do naszego dzipa i wyruszyłem do Snowmass, na duży stok położony najbliżej Aspen, żeby dołączyć do Eduarda i dzieci.

Dojazd samochodem z Aspen do Snowmass trwa około dwudziestu minut. Na małej drodze lokalnej za lotniskiem przypomniałem sobie czasy szkoły z internatem w Steamboat Springs w Kolorado. Ilekroć spadło więcej niż trzydzieści centymetrów śniegu, dyrektor uderzał w olbrzymi dzwon, żeby wezwać uczniów, i ogłaszał „biały dzień”, podczas którego wszyscy jeździli na nartach: uczniowie, nauczyciele i personel szkoły. Dźwięk wydawany przez ten wielki dzwon uważałem za najpiękniejszy na świecie.

Dzisiaj w dzwon uderzył dla mnie Michael.

Koło Owl Creek zadzwoniłem do Eduarda, by przekazać mu dobrą wiadomość. Był zachwycony. Poprosił, żebym się z nimi spotkał na Elk Camp, najlepiej ośnieżonej części Snowmass, w której łatwe trasy wijące się wśród drzew są odpowiednie dla dzieci.

Zaparkowałem, wyjąłem rzeczy z samochodu i poszedłem prosto do wyciągu. Nie dałoby się chyba znaleźć większego kontrastu. Jeszcze przed chwilą siedziałem w gabinecie podczas przesłuchania prowadzonego na zlecenie rosyjskiego rządu, teraz siedziałem na kanapie wyciągu krzeselkowego z widokiem na góry, rozkoszując się chłodnym, rześkim powietrzem i oczekiwaniem, aż lekki biały puch sięgnie mi do kolan.

Eduardo z dziećmi już na mnie czekali. Moje dzieci ucieszyły się szczególnie, bo odkąd przyjechaliśmy, miałem dla nich niewiele czasu.

Zjeżdżaliśmy Szlakiem Szarego Wilka, Eduardo i ja na końcu, żeby mieć dzieci przed sobą. Gdy sunęliśmy na jednym z łagodnych, łukowatych zakrętów, poczułem wibrację telefonu. Zjechałem na bok, żeby sprawdzić, kto dzwoni. Jacob Buchdahl.

Zaskoczyło mnie, że odzywa się tak szybko. Zupełnie jakbym patrzył na członków ławy przysięgłych, którzy wracają zaledwie po trzydziestu minutach, żeby ogłosić werdykt. Bałem się tego, co mi powie.

– Halo?

– Bill? Dobrze się bawisz?

– Tak, co się stało?

– Wygraliśmy!

– Wygraliśmy?

– Tak. Sędzia Griesa właśnie zdyskwalifikował Johna Moscowa i kancelarię BakerHostetler.

Wpatrywałem się w dal. Więc jednak. To wymagało kilku lat i tytanicznego wysiłku, ale w końcu odsunąłem od sprawy tych oślizgłych prawników.

Nieświadome sądowych zawirowań w moim życiu dzieci, które czekały na mnie poniżej, zaczęły krzyczeć:

– Tato! Chodź!

Powiedziałem Jacobowi, że właśnie zostałem moim bohaterem, wsunąłem telefon z powrotem do kieszeni i ruszyłem w dół. To był – i wciąż pozostaje – najpiękniejszy zjazd na nartach w całym moim życiu.

Przez następne dni pławiłem się w chwale tego zwycięstwa i byłem szczęśliwy, że mogę spędzać normalne wakacje jak normalny człowiek. Jeździliśmy na nartach, chodziliśmy na sanki, urządzaliśmy przed domem bitwy na śnieżki i pakowaliśmy prezenty pod choinkę. Wiedziałem, że to tylko krótka przerwa, bo Prevezon niebawem wynajmie nowych prawników, a ci odezwą się zaraz na początku roku, ale nie chciałem na razie o tym myśleć.

Jeszcze przed Bożym Narodzeniem zadzwonił Jacob. Tym razem nie był taki radosny. Poinformował mnie, że na popołudnie sędzia Griesa wyznaczył pilną konsultację ze wszystkimi prawnikami w naszej sprawie.

– Wydaje mi się, że zaczyna mieć pietra z powodu decyzji o dyskwalifikacji.

– Chyba żartujesz!

Później tego dnia odbyła się telefoniczna konsultacja. Dziwnym trafem wzięła w niej udział także Natalia Weselnicka. Specjalnie przyjechała do Nowego Jorku, żeby się zająć tym kryzysem, i sędzia Griesa zgodził się, żeby zabrała głos. To była niezwykła decyzja. Weselnicka nie należała do nowojorskiej palestry i nawet nie mówiła po angielsku. Za pośrednictwem tłumacza wniosła o przywrócenie kancelarii BakerHostetler – wyjaśniła, że firmie Prevezon trudno będzie znaleźć nowego przedstawiciela zaledwie kilka tygodni przed rozpoczęciem rozprawy.

Sędzia okazał zrozumienie. Chyba największe wrażenie zrobił na nim fakt, że rosyjska prawniczka przyjechała z Moskwy, żeby osobiście przedstawić mu swoje stanowisko. Następnego dnia, czyli w Wigilię, sędzia Griesa zawiesił swoją decyzję o dyskwalifikacji. Nie zmieniał jeszcze zdania, ale chciał, żeby prawnicy przedstawili swoje argumenty na piśmie, i dopiero potem miał rozstrzygnąć ostatecznie.

Nadludzkiem wysiłkiem zmusiłem się, żeby o tym nie myśleć. W pierwszy dzień świąt wstaliśmy wcześniej rano i zeszliśmy na dół do salonu. Zebraliśmy się wokół choinki, dzieci po kolei rozpakowywały prezenty. Gdy skończyliśmy, Elena i ja wymieniliśmy podarunki z Liną i Eduardem. Musiałem bardzo się starać, żeby ten kapryśny sędzia z Nowego Jorku nie zrujnował mi świąt, i udało mi się to.

Kilka dni później pożegnaliśmy się z Wurzmannami, a 3 stycznia wróciliśmy do Londynu.

Decyzja sędziego Griesy dotarła do nas 8 stycznia. W zawiłym uzasadnieniu tłumaczył, dlaczego cofnął dyskwalifikację Johna Moscowa i kancelarii adwokackiej BakerHostetler. Po prostu zmienił zdanie. Znowu.

Trzy dni później złożyliśmy apelację, którą sędzia Griesa kategorycznie odrzucił. Oznajmił, że jego decyzja o cofnięciu dyskwalifikacji jest ostateczna. Zależało mu tylko na rozpoczęciu procesu Prevezonu i nie chciał, żebym stawał mu na drodze.

Zadzwoiłem do Michaela Kima.

– Właściwie doszliśmy do ściany, chociaż została nam jeszcze ostatnia możliwość. – Wyjaśnił, że istnieje procedura o wziętej z łaciny nazwie mandamus, czyli nakaz wydany przez sąd wyższej instancji. – Bardzo rzadko się udaje uzyskać taki nakaz, ale innego sposobu nie ma.

– Brzmi ryzykownie – stwierdziłem.

– Bo takie jest. Musimy przekonać sędziów apelacyjnych, że sędzia przekroczył dopuszczalne normy zachowania, i mieć nadzieję, że

zainterweniują. Normalnie bym tego nie polecał... Cóż, skoro sędzia Griesa zachowuje się tak nieodpowiedzialnie, może nam się udać.

Jak powiedział Michael, to była nasza jedyna możliwość. Dałem prawnikom zielone światło i 13 stycznia Jacob złożył wniosek do Drugiego Okręgowego Sądu Apelacyjnego w Nowym Jorku.

Podczas gdy sąd apelacyjny rozpatrywał nasz wniosek, sprawa Prevezonu wróciła na wokandę. Rozprawa miała się rozpocząć 27 stycznia. Dokumenty krążyły tam i z powrotem w tempie przyprawiającym o zawrót głowy. Miałem lecieć do Nowego Jorku, żeby w ostatniej chwili złożyć zeznanie i później uczestniczyć w procesie jako pierwszy przesłuchiwany świadek, zapewne przez wiele dni.

Dwudziestego piątego stycznia, gdy pakowałem rzeczy na wyjazd do Nowego Jorku, odebrałem e-mail od Jacoba. W załączniku znalazłem jednostronicowy dokument, w którym sąd apelacyjny stwierdzał, że „po należytych namyśle sąd postanawia przyjąć wniosek apelanta do dalszego rozpoznania i nakazuje wstrzymanie postępowania Sądu Okręgowego na czas rozpatrywania tego wniosku”.

W języku nieprawniczym znaczyło to, że wszystko zostaje zawieszona. Sąd nakazał, żeby prawnicy odłożyli pióra. Proces nie mógł się rozpocząć, dopóki nie zapadnie decyzja, czy kancelaria adwokacka BakerHostetler powinna zostać zdyskwalifikowana.

To było niezwykle postanowienie. Sąd wyższej instancji wstrzymywał duży proces w sprawie prania brudnych pieniędzy na kilka dni przed jego rozpoczęciem, co pokazywało, jak poważnie potraktowano niewłaściwe zachowanie Johna Moscowa i jego kancelarii.

Nastąpiła długa cisza. Następne pismo otrzymaliśmy trzy miesiące później, 29 kwietnia 2016 roku. Było to powiadomienie z Sądu dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku. Nasza apelacja w sprawie dyskwalifikacji nie została jeszcze rozpatrzona, ale sędzia Griesa, który orzekał w sądownictwie federalnym od 1972 roku, został ostatecznie odsunięty od sprawy Prevezonu.

ROZDZIAŁ 27

Wiolonczelista

Wiosna 2016

Prawie rok wcześniej, w połowie maja 2015 roku, ledwie bladoniebieski świt rozjaśnił niebo nad Saint-Tropez, dwunastu umundurowanych funkcjonariuszy policji francuskiej zebrało się na podjeździe luksusowej willi przy Route Belle Isnarde. Nie wyły syreny, nie pulsowały światła.

Oficer dowodzący akcją zadzwonił do drzwi. Otworzyła blondynka w średnim wieku z oczami opuchniętymi od snu. Była zaskoczona. Po francusku z wyraźnym rosyjskim akcentem zapytała, co się stało. Oficer przedstawił jej nakaz przeszukania. Policjanci weszli do środka i przewrócili cały dom do góry nogami. Pod wieczór kobieta została zatrzymana, zabrana na posterunek w Aix-en-Provence i tam przesłuchana. Następnego dnia przewieziono ją do Paryża, gdzie znów była przesłuchiwana, tym razem przez sędziego Renauda Van Ruymbeke'a, który nadzorował śledztwo w sprawie prania we Francji brudnych pieniędzy powiązanych ze sprawą Magnitskiego.

Po tym przesłuchaniu sędzia Van Ruymbeke oskarżył Rosjanę o pranie brudnych pieniędzy i zamroził dziewięć milionów dolarów na jej rachunkach we Francji, Luksemburgu i Monako. To był piąty nakaz zabezpieczenia w sprawie Magnitskiego⁸.

Przeszukanie, zatrzymanie i zamrożenie aktywów były bezpośrednią konsekwencją zawiadomień, które złożyliśmy, gdy trafiły w nasze ręce akta z Mołdawii. Zawarte w nich dane zaprowadziły nas nie tylko do Stanów Zjednoczonych i Francji, lecz także do innych krajów w Europie i poza nią, bo pomogły nam odkryć skomplikowane powiązania rozległej siatki piorącej brudne pieniądze.

Funkcjonowanie pralni pieniędzy jest zarazem zawile i proste. Zawilość wynika ze struktury. Czterdzieści lat temu wystarczyło pojawić się w banku z walizką pełną pieniędzy i założyć rachunek, dzisiaj obowiązuje ograniczenie depozytu i wypłaty do dziesięciu tysięcy dolarów. W wypadku wyższej kwoty należy wypełnić deklarację i przedstawić ją odpowiednim władzom.

W konsekwencji pranie pieniędzy nie odbywa się już w gotówce. Sprawcy zlecają przelewy. W dziesiątkach banków tworzą setki rachunków niezliczonych firm wydmuszek, by następnie przesyłać między nimi pieniądze tak wiele razy i w tak różnych kwotach, że praktycznie nikt nie ma dość cierpliwości, zasobów ani czujności, żeby prześledzić te transakcje.

Sama operacja jest prosta, bo nie wymaga niczego oprócz zlecenia przelewów. Tyle że każdy z nich zostawia nieusuwalny ślad, jak wskazywał John Moscow jeszcze w 2008 roku. We wszystkich przypadkach prania rosyjskich pieniędzy ślad zaczyna się w Rosji, później prowadzi przez kilka krajów tranzytowych: Mołdawię, Cypr, Litwę, Łotwę i Estonię, a następnie dociera do kraju docelowego, na przykład Francji, Szwajcarii lub Stanów Zjednoczonych, gdzie pieniądze są deponowane w bankach albo inwestowane w nieruchomości, albo służą do finansowania ekstrawaganckich zakupów w rodzaju jachtów, prywatnych odrzutowców, biżuterii i dzieł sztuki.

Rosyjscy przestępcy nie przewidzieli, że trafią na nas i na dziennikarzy OCCRP, a już na pewno nie spodziewali się spotkać na swojej drodze Wadima Kleintera. Po otrzymaniu danych z Mołdawii przygotował on zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, które złożyliśmy w dwunastu krajach. Większość złożonych zawiadomień doprowadziła do wszczęcia śledztw, dzięki czemu Wadim zyskiwał dostęp do nowych danych na temat przelewów bankowych. Każdą taką nową informację wprowadzał do swojej bazy danych i z czasem coraz lepiej poznawał losy wyłudzonych naszym kosztem dwustu trzydziestu milionów dolarów.

To, co zaczęło się od niekompletnej listy przelewów bankowych i nazw przedsiębiorstw oraz zbioru dokumentów rejestrowych, zamieniło się w jedną z najobszerniejszych baz danych na temat prania rosyjskich pieniędzy na całym świecie.

Do 2016 roku Wadim zyskał reputację najlepszego źródła informacji dla dziennikarzy, którzy chcieli się czegoś dowiedzieć o praniu rosyjskich pieniędzy.

Pod koniec marca tamtego roku odebrałem telefon od Luke'a Hardinga, absolwenta Oksfordu, brytyjskiego dziennikarza przed pięćdziesiątką o rudawozłotyach włosach, który pracował dla „Guardiana” i był kiedyś moskiewskim korespondentem tej gazety. Ujawniał on rosyjską korupcję, napisał na ten temat wiele artykułów i książek. Łączyło go ze mną jeszcze jedno: jak ja został zatrzymany na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo, umieszczony w areszcie na całą noc i deportowany do Londynu. Jego wiza została cofnięta bez możliwości wznowienia i od tamtej pory nie odwiedził Moskwy.

Luke powiedział, że chce wpaść do nas do biura, żeby porozmawiać o tekście, nad którym właśnie pracuje. Gdy zapytałem, o co dokładnie chodzi, odpowiedział: „Przepraszam, nie mogę rozmawiać o tym przez telefon”.

Powiedzenie „Z faktu, że jesteś przewrażliwiony, nie wynika, że nikt nie chce cię dopaść” z całą pewnością odnosiło się do Luke'a. Gdy mieszkał w Moskwie ze swoją brytyjską żoną i dwójką małych dzieci, regularnie nękało ich FSB. Agenci wiele razy włamywali się do ich mieszkania na dziesiątym piętrze: czasem zmieniali wygaszacze ekranu w komputerach, czasem nastawiali budzik, żeby zadzwonił w środku nocy, raz nawet zepsuli zamek zainstalowany w oknie obok łóżka najmłodszego dziecka. Te działania nikomu nie wyrządziły krzywdy, ich celem było pokazanie Luke'owi, że wraz z rodziną znajduje się pod ciągłą obserwacją i w każdej chwili kogoś z nich może spotkać coś złego.

Zatem Luke przyszedł do naszej firmy 22 marca. Gdy usiedliśmy w sali konferencyjnej, poprosił mnie i Wadima, żebyśmy odnieśli telefony komórkowe na biurka. Tak też zrobiliśmy, on natomiast wsunął swój smartfon do etui blokującego sygnał telefonu. Dzięki temu nikt nie mógłby nas podsłuchać, nawet gdyby jego komórka została zhakowana.

Wiedziałem, że Luke stosuje różne środki ostrożności, ale to wydało mi się przesadą.

– Co wymaga aż takiej tajemnicy? – zapytałem.

– Wspólnie z kolegami pracujemy nad poufną sprawą. Nie mogę ryzykować.

– Skoro rozmawiamy twarzą w twarz, możesz chyba powiedzieć, o co chodzi.

– Przepraszam. Dałem słowo swojemu informatorowi, że nic nikomu nie powiem, dopóki cała historia nie zostanie ujawniona. Jeśli się zgodzicie,

chciałbym sprawdzić kilka nazwisk w waszej bazie danych, żeby ustalić, czy są jakoś powiązane ze sprawą Magnitskiego.

Chociaż informacja miała przepływać tylko w jedną stronę, zgodziłem się. Wiedziałem z doświadczenia, że tego rodzaju rozmowy często posuwały do przodu nasze poszukiwania.

Padło pierwsze pytanie:

– Spotkaliście się może kiedyś z zarejestrowaną na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych firmą wydmuszką o nazwie Sonnette Overseas?

Wadim wpisał nazwę do swojego laptopa. Po chwili odpowiedział:

– Nie.

– A International Media Overseas albo Sandalwood Continental Limited?

Wadim ponownie sprawdził.

– Niestety, nic nie mam.

– Słyszeliście o Rosjaninie, który się nazywa Siergiej Roldugin?

Wadim zamknął oczy, zastanowił się i przecząco poruszył głową:

– Nie. A powinienem?

– Niekoniecznie. To pomniejszy celebryta, wiolonczelista z Petersburga, ale zastanawiam się, czy jego nazwisko przewinęło się przez waszą bazę danych.

Wadim przeszukał swoje dane.

– Niestety nie. Nic o nim nie mam.

Luke zmarkotniał i zmienił temat. Rozmawialiśmy o otruciu Władimira Kara-Murzy, Prevezonie i jeszcze kilku bieżących sprawach dotyczących Rosji. Na koniec Luke powiedział:

– Zagłądajcie do „Guardiana”. Gdy tekst się ukáže, na pewno bardzo was zainteresuje.

I faktycznie zainteresowałam. W numerze „Guardiana” z 3 kwietnia znaleźliśmy artykuł zatytułowany Revealed: the \$2bn offshore trail that leads to Vladimir Putin (Ujawniamy: ślady 2 miliardów dolarów w rajach podatkowych prowadzą do Władimira Putina). Luke należał do konsorcjum trzystu siedemdziesięciu dziennikarzy z osiemdziesięciu krajów, którzy ujawnili zbiór dokumentów znany szerzej jako kwity z Panamy. Początkiem tej historii był wyciek danych zawierających ponad jedenaście milionów dokumentów przechowywanych przez panamską kancelarię podatkową i prawną Mossack Fonseca. Dokumenty ujawniały szczegóły finansowe setek tysięcy spółek zarejestrowanych w rajach podatkowych oraz rachunków bankowych należących do bogatych ludzi z całego świata.

Jest wiele powodów, dla których ludzie rejestrują spółki w rajach podatkowych. Czasem robią to w trosce o własne bezpieczeństwo albo dla zachowania anonimowości, czasem chcą w ten sposób ułatwić sobie inwestowanie w wielu różnych krajach, bywa też, że zakładają je, by realizować nikczemne cele.

Wyciek ujawnił nawet, że także ja posiadałem kilka przedsiębiorstw w rajach podatkowych. Zakładała je ta sama kancelaria Mossack Fonseca, ale zostały założone w legalnym celu gospodarczym, a następnie zgłoszone organom prawnym i podatkowym na Zachodzie.

Tego rodzaju przedsiębiorstwa nie interesowały dziennikarzy, którzy zajęli się spółkami ukrywanymi przez przedstawicieli władzy i elit politycznych bogacących się dzięki korupcji.

Materiały opublikowane tego dnia przez różne gazety podzielono na kraje, każdy kraj miał swojego głównego bohatera. W przypadku Rosji – Siergieja Roldugina.

Z tekstu Luke'a wynikało, że Roldugin był nie tylko wiolonczelistą, lecz także najlepszym przyjacielem Putina jeszcze z lat siedemdziesiątych. Chociaż Roldugin deklarował, że jeździ używanym samochodem i gra na wiolonczeli kupionej z drugiej ręki, kontrolował spółki, które od 2000 roku zgromadziły aktywa o wartości miliardów dolarów, dzięki czemu stał się najbogatszym muzykiem na świecie.

To był absurd. Wystarczy poszukać w Google, żeby sprawdzić, że najbogatszymi muzykami są Jay-Z, sir Paul McCartney i sir Andrew Lloyd Webber warci po 1,25 miliarda dolarów. Najbogatszym wiolonczelistą jest prawdopodobnie Yo-Yo Ma, którego wartość wycenia się „zaledwie” na dwadzieścia pięć milionów dolarów.

Nie tylko „Guardian” donosił o Rolduginie. OCCRP oraz opozycyjna moskiewska „Nowaja Gazieta” także poświęciły dużo miejsca na ujawnienie i opisanie metod oszustwa stosowanych przez Roldugina. Obraz, który wspólnie przedstawiały, szokował.

W jednym przypadku pewien oligarcha zapłacił spółkom Roldugina w rajach podatkowych dziesiątki milionów dolarów rzekomo za „usługi doradztwa inwestycyjnego”. Trudno wyjaśnić, dlaczego miliarder z dostępem do takich firm jak Goldman Sachs, JPMorgan i Credit Suisse miałby za tyle pieniędzy kupować usługi inwestycyjne od funkcjonującej w rajach podatkowych spółki należącej do nikomu nieznanego rosyjskiego wiolonczelisty. Z innych dokumentów wynikało, że inny oligarcha aktywa

warte dobrze ponad sto milionów dolarów sprzedał innej spółce Roldugina za dwa miliony dolarów.

Trzecie oszustwo polegało na tym, że spółka Roldugina otworzyła linię kredytową na ponad pięćset milionów u funkcjonującego w raju podatkowym współpracownika rosyjskiego banku państwowego. Okazało się, że mimo tak olbrzymiej kwoty spółka nie przedstawiła żadnego zabezpieczenia ani żadnych gwarancji.

W sumie przez spółki Roldugina przepłynęły ponad dwa miliardy dolarów. Dlaczego członkowie rosyjskich elit i ważne rosyjskie instytucje przekazały takie góry pieniędzy spółkom należącym do wiolonczelisty? Roldugin nigdy sensownie tego nie wyjaśnił. Moim zdaniem odpowiedź jest taka, że wiolonczelista posłużył jako nominat swojego wieloletniego przyjaciela, Władimira Putina.

Ten układ finansowy obrazował jeden z podstawowych dylematów Putina. Jak wie każdy, kto się interesuje Rosją, Putin kocha pieniądze, ale ponieważ zasiada w fotelu prezydenta, jego zarobki są ograniczone do oficjalnej pensji (która wynosi około trzystu tysięcy dolarów), nie może więc mieć więcej niż to, co zarobił przed objęciem urzędu. Gdyby zgromadził na swoje nazwisko większy majątek, kopia salda na jego rachunku bankowym mogłaby posłużyć komuś jako narzędzie szantażu wobec niego, o czym Putin dobrze wie, bo sam wielokrotnie sięgał po takie metody wobec swoich wrogów.

Dlatego potrzebował on kogoś, kto przetrzyma jego pieniądze, żeby żaden papierowy ślad nie prowadził do niego. Kogoś zaufanego. W każdej mafijnej organizacji tacy ludzie są rzadkością. Nie ma towaru cenniejszego od zaufania.

Rolduginowi Putin mógł zaufać. Gdy się poznali, obydwaj mieli po dwadzieścia kilka lat i byli jak bracia. Roldugin poznał Putina z jego późniejszą żoną, trzymał do chrztu jego pierworodną córkę. Przez kolejne dziesięciolecia pozostawali najbliższymi przyjaciółmi.

Odkąd Putin objął władzę, dziennikarze i politycy państw zachodnich wiedzieli, że jest niezwykle bogatym człowiekiem, nie potrafili jednak wskazać, gdzie trzyma pieniądze. Dzięki kwitom z Panamy zyskali przynajmniej częściową wiedzę na ten temat.

Dla nas ta wiadomość miała potencjalnie jeszcze większe znaczenie. Gdybyśmy przez Roldugina zdołali jakoś powiązać z Putinem choćby część

wyłudzonych dwustu trzydziestu milionów dolarów, nasza sytuacja zmieniałaby się radykalnie.

Wadim przeszukał swoją bazę danych pod kątem wszystkich spółek Roldugina wymienionych w artykule z 3 kwietnia. Niestety, niczego nie znalazł.

Te pierwsze artykuły ledwie zapoczątkowały śledztwo. Kwitom z Panamy zaczęli się przyglądać inni dziennikarze i dwa dni później mało znany litewski portal informacyjny 15min.lt opublikował kolejny tekst o rosyjskim wiolonczeliście. Dziennikarze ustalili, że w maju 2008 roku, a więc zaledwie pół roku po wyłudzeniu zwrotu podatku zapłaconego przez nas, jedna ze spółek powiązanych z Rolduginem otrzymała przelew na kwotę ośmuset tysięcy dolarów z litewskiego banku. Rachunek należał do fasadowej firmy Delco Networks.

Wadim znów sięgnął do naszej bazy danych i okazało się, że mamy w niej Delco Networks. Odnalazł transakcje dowodzące, że przelana kwota ośmuset tysięcy dolarów jest powiązana z rozpracowywanym przez nas oszustwem podatkowym. Po opuszczeniu Rosji pieniądze przeszły przez kilka banków w Mołdawii i Estonii, by ostatecznie dotrzeć na Litwę.

Udało się nam więc powiązać z Rolduginem przestępstwo, którego ujawnienie przypłacił życiem Siergiej Magnitski. Z kolei poprzez Roldugina powiązaliśmy je z rosyjskim prezydentem Władimirem Putinem.

To wyjaśniało wszystko.

Gdy Siergiej został zabity, Putin mógł ścigać sprawców, lecz tego nie uczynił. Potem społeczność międzynarodowa zaczęła się domagać sprawiedliwości dla Siergieja, a Putin oczyścił z zarzutów wszystkich współwinnych. W 2012 roku przyjęto ustawę Magnitskiego, Putin zaś odpowiedział zakazem adoptowania rosyjskich sierot przez rodziny amerykańskie. Zanim doszło do uchwalenia ustawy, rząd Putina postarał się, żeby karany sądownie bandyta Dmitrij Klujew i jego prawnik Andriej Pawłow – osoby prywatne – pojechali do Monako na Zgromadzenie Parlamentarne OBWE, gdzie lobbowali przeciwko ustawie Magnitskiego jako swego rodzaju posłańcy władzy.

Dlaczego Putin posuwał się tak daleko, żeby chronić grupę złożoną z nieuczciwych urzędników i przestępców?

Ponieważ w ten sposób chronił siebie.

Osiemset tysięcy to niewielka część wyłudzonych dwustu trzydziestu milionów, ale takich kwot było więcej. To jak pobieranie pięciu dolarów

opłaty za korzystanie z autostrady. Od jednego kierowcy kwota żadna, gdy jednak przejedzie milion aut, zbiera się fortuna.

Kancelaria Mossack Fonseca była zaledwie jedną z setek działających w rajach podatkowych. Gdyby wyciekły dokumenty także pozostałych firm powierniczych, z całą pewnością znaleźlibyśmy innych nominatów Władimira Putina, którzy otrzymali kolejne transze wyłudzonego zwrotu podatku. A to było tylko jedno z wielu tysięcy przestępstw, do których doszło, odkąd Putin objął władzę.

Widzieliśmy zaledwie wierzchołek góry lodowej.

Ustawa Magnitskiego zamrażała zgromadzony na Zachodzie majątek wszystkich osób, które pogwałciły prawa człowieka w Rosji. Także na jej mocy wszyscy beneficjenci wyłudzonych dwustu trzydziestu milionów dolarów zostawali objęci sankcjami. Putin gwałcił prawa człowieka – to nie podlegało dyskusji, ale teraz podpadał pod obydwie kategorie.

Ustawa Magnitskiego zagrażała bogactwu i władzy Władimira Putina. To wzbudziło jego wielki gniew.

Za krucjatą prezydenta Rosji przeciwko ustawie Magnitskiego nie stała tylko ideologia, on działał z pobudek osobistych.

Znaleźliśmy piętę achillesową Władimira Putina.

ROZDZIAŁ 28

Dezinformacja

Wiosna 2016

Trzy dni przed ujawnieniem kwitów z Panamy pięcioosobowa delegacja kongresmenów eskortowana przez dwóch wojskowych przybyła do Moskwy wraz z kilkoma członkami personelu Kongresu USA.

Wszyscy przejechali do hotelu Ritz-Carlton przy ulicy Twerskiej, głównej arterii Moskwy. Zostawili bagaże, odświeżyli się po podróży i zeszli na dół. Tam czekał już pracownik ambasady amerykańskiej, który poprowadził ich do trzech czarnych chevroletów suburban. Zmęczeni po długim locie Amerykanie przejechali osiemset metrów do siedziby Rady Federacji, izby wyższej rosyjskiego parlamentu.

Wyjazd do Rosji zorganizował Dana Rohrabacher, republikański kongresmen z Orange County w Kalifornii. Rohrabacher zaczynał karierę w polityce jako autor przemówień w antysowieckiej krucjacie Ronalda Reagana, teraz jednak miał na Kapitolu opinię ulubionego kongresmena Putina. Nikt w Waszyngtonie nie wiedział, co spowodowało tę metamorfozę, ale się dokonała. W 2012 roku Rohrabacher ostatecznie potwierdził swoją wiarę w Putina, dołączywszy do garstki parlamentarzystów, którzy zagłosowali przeciwko wprowadzeniu ustawy Magnitskiego w Stanach Zjednoczonych.

Amerykańska delegacja dotarła na miejsce. Zaprowadzono ją do sali konferencyjnej, gdzie czekał rosyjski senator Konstantin Kosaczew, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Rady Federacji Rosyjskiej, wraz z kilkoma kolegami. Rozmowa miała charakter raczej kurtuazyjny, dotyczyła między innymi relacji Rosji ze Stanami Zjednoczonymi, wojny w Ukrainie i handlu.

Spotkanie trwało mniej więcej godzinę. Kiedy dobiegało końca, Kosaczew dyskretnie przesunął po stole notkę dla Paula Behrendsa, asystenta Rohrabachera.

Kosaczew poprosił, żeby Rohrabacher i Behrends zostali na prywatne spotkanie bez obecności pozostałych członków amerykańskiej delegacji. Rohrabacher wyraził zgodę. Nie zszedł do holu razem z resztą Amerykanów. Po chwili on i Behrends zostali sami z Kosaczewem, a w sali pojawił się jeszcze jeden członek rosyjskiej władzy, Wiktor Grin.

Grin nie był zwyczajnym oficjalem. Pełnił funkcję zastępcy prokuratora generalnego Rosji, należał też do najbliższych współpracowników Jurija Czajki. Co ważne, to on zainicjował pośmiertne oskarżenia przeciwko Siergiejowi, które doprowadziły do pierwszego w całej historii Rosji wyroku na osobę zmarłą. Za to Grina objęły sankcje w ramach ustawy Magnitskiego w grudniu 2014 roku.

Rohrabacher został wcześniej ostrzeżony przez kontrwywiad FBI, że jest celem działań agentów rosyjskich jako potencjalny sprzymierzeniec. Powinien był wyjść z sali natychmiast po pojawieniu się Grina.

Ale nie wyszedł.

Ta rozmowa nie miała kurtuazyjnego charakteru. Grin wręczył Rohrabacherowi dwustronicowy dokument w języku angielskim oznaczony jako poufny. Nie wiemy, co jeszcze się wydarzyło podczas tego spotkania. Panowie rozeszli się po kwadransie.

Rohrabacher i Behrends dołączyli do amerykańskiej delegacji, po czym wszyscy wsiedli z powrotem do samochodów i odjechali do Spaso House, bogato zdobionej, położonej w centrum Moskwy rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych, na oficjalne przyjęcie dla uczczenia ich wizyty.

Następny dzień obfitował w spotkania. Rohrabacher rozmawiał między innymi z Władimirem Jakuninem, byłym szefem kolei państwowych, kolejnym członkiem rosyjskiej elity objętym sankcjami. Znów bez obecności innych Amerykanów. Cała delegacja Kongresu wsiadła potem do samolotu Polskich Linii Lotniczych LOT i udała się do Warszawy. W kolejnym tygodniu parlamentarzyści odwiedzili także Czechy, Węgry i Austrię; do Waszyngtonu wrócili 12 kwietnia.

Trzy dni później – bez związku z ich podróżą – do porządku obrad Komisji Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów włączono dyskusję nad Globalną ustawą Magnitskiego. Dzięki temu nowemu przedłożeniu, które rozszerzało uchwaloną już ustawę, rząd Stanów Zjednoczonych mógłby

wydawać nakazy zabezpieczenia aktywów i ograniczenia w podróżowaniu za łamanie praw człowieka i kleptokrację gdziekolwiek na świecie, nie tylko w Rosji. Wcześniej swoją zgodę wyraził jednogłośnie Senat. Poparcie Komisji Spraw Zagranicznych było ostatnim etapem procedury przed głosowaniem w Izbie Reprezentantów, które niemal na pewno zakończyłoby się uchwaleniem nowego prawa.

Globalna ustawa Magnitskiego znacznie rozszerzyłaby dziedzictwo Siergieja. Każda sankcja nałożona przez Stany Zjednoczone na jakiegoś ciemnego typu niekoniecznie z Rosji przypominałaby i o poświęceniu Siergieja, i o roli Rosji w jego zamordowaniu. Dlatego było to dla nas bardzo ważne, żeby została uchwalona.

Około tygodnia po powrocie Rohrabachera do Waszyngtonu odebrałem wiadomość, że Kyle Parker chce ze mną pilnie rozmawiać. Kyle zaczął pracować jako doradca do spraw Europy i Rosji kongresmena Eliota Engela, znaczącego członka Komisji Spraw Zagranicznych.

– Magnitski został właśnie zdjęty z porządku obrad! – wykrzyknął.

– Co? Jakim cudem? – zapytałem.

– Rohrabacher. Niedawno wrócił z Rosji, przed chwilą spotkał się z Royce'em (przewodniczącym Komisji) i jakoś przekonał go do zmiany planów.

– Dlaczego Royce miałby to robić?

– O ile wiem, Rohrabacher pokazał mu jakiś dokument.

– Cholera. Możesz zdobyć kopię?

– Myślę, że tak. Daj mi jeden dzień. – Ze względów zawodowych wszystko w Kongresie, co się wiązało z Rosją, trafiało na biurko Kyle'a.

Następnego dnia Kyle przesłał dwustronicowy niepodpisany tekst wydrukowany z wąską interlinią bez nagłówka: dokument, który Rohrabacher otrzymał od Wiktora Grina i teraz rozprowadzał po Waszyngtonie. Była to przeróbka tekstu Jurija Czajki w „Kommiersancie” sugerująca nie bez pewnej dozy nacisku, że gdyby nie było ustawy Magnitskiego, relacje między Rosją a Stanami Zjednoczonymi znacząco by się poprawiły; poprawa teoretycznie mogłaby objąć również zniesienie wprowadzonego przez Putina zakazu adopcji.

Zapytany, czy przewodniczący Royce, który nie ukrywał twardego stanowiska wobec Rosji, uwierzył w ten dokument, Kyle odpowiedział:

– Rohrabacher rozpowszechnia też film, który ma to uprawdopodobnić.

Później dostałem od Kyle'a link i hasło do tego filmu, które udało mu się zdobyć. Tytuł brzmiał Ustawa Magnitskiego: za kulisami. Autorem scenariusza i reżyserem był Andriej Niekrasow, ten sam intelektualista z niesforną czupryną, który przeprowadził ze mną wywiad podczas helsińskiego forum w 2010 roku, gdy poznałem Borisa Niemcowa.

Od tamtej pory Niekrasow rozmawiał ze mną jeszcze trzykrotnie. Pierwsze dwa wywiady poszły dobrze, trzeci zoczył z tematu, gdy nagle Niekrasow zaczął robić wrzutki z narracji FSB. Na przykład przytoczył twierdzenie, że major Paweł Karpow jest niewinny, albo tezę, że Siergiej nie zeznawał ani przeciwko niemu, ani przeciwko jego koledze, podpułkownikowi Artemowi Kuzniecowskiemu. Wtedy szybko skończyłem wywiad. Nigdy nie sądziłem, że te rozmowy przed kamerą zostaną wykorzystane, ale najwyraźniej tak się stało. Otworzyłem link i zacząłem oglądać.

Początek wyglądał jak z filmu kategorii B i opowiadał historię Magnitskiego, często pokazując mnie w roli narratora. Mniej więcej w jednej trzeciej długości ton się zmieniał, gdy przed kamerą pojawił się sam Niekrasow, żeby przejąć narrację i w swoim własnym filmie wystąpić w roli bohatera detektywa.

Twierdził, że historia Magnitskiego zaakceptowana przez Zachód była nieprawdziwa. Przez resztę filmu mój portret stopniowo ewoluował: z obrońcy praw człowieka zamieniałem się w nikczemnego finansistę, który sfabrykował całą tę historię, żeby zatuszować własne przestępstwa finansowe popełnione w Rosji. Niekrasow bez wahania wykorzystywał swoją antyputinowską reputację, żeby uwiarygodnić te rzekomo nowe ustalenia, które – co chcę mocno podkreślić – były identyczne z ustaleniami rządu rosyjskiego, tyle że zostały przedstawione w gładszej i lżej strawnej formie.

W filmie roiło się od kłamstw i przeinaczeń. Niekrasow rozwinął znane rosyjskie tezy, że Siergiej nie był sygnalistą, lecz wspólnie ze mną ukradł dwieście trzydzieści milionów dolarów, i że nie został zamordowany. W wersji Niekrasowa ostatniej nocy swojego życia Siergiej nie był bity przez ośmiu funkcjonariuszy z działu ochrony, siniaki na jego ciele oraz obrażenia na nadgarstkach, rękach i kostkach były skutkiem samookaleczenia.

Wcześniej różne wersje tego stwierdzenia w ustach przedstawicieli rosyjskich władz słyszałem tyle razy, że raczej nie mogły mnie one

zaskoczyć. Zaskoczyło mnie coś innego: sposób, w jaki Niekrasow potraktował matkę Siergieja.

Zanim się zorientowaliśmy, że Niekrasow przeszedł na ciemną stronę, zaprosił przed kamerę Natalię Magnitską, a my za niego poręczyliśmy i wywiad odbył się w naszej londyńskiej siedzibie. Dlatego Natalia uwierzyła, że o śmierci swojego syna opowiada przyjacielowi. Gdy rozmawiali o tym, co spowodowało śmierć Siergieja, Natalia wypowiedziała słowa, które na jej miejscu mogłaby wypowiedzieć każda matka: „Trudniej byłoby mi myśleć, że został zabity, niż że zmarł wskutek choroby”.

Niekrasow przyjacielem nie był. Zmanipulował jej słowa tak, żeby wynikało z nich, że jej zdaniem Siergiej nie został zamordowany. Żeby ten przekaz lepiej się utrwalił, domontował na koniec swój głos zza kadru: dodał jedno fałszywe zdanie, na które ona oczywiście nie mogła zareagować: „Według matki Magnitskiego to zaniedbania lekarza, nie morderstwo, były przyczyną śmierci syna”.

Nie mógłby bardziej minąć się z prawdą. Od śmierci Siergieja ta kobieta korzystała z każdej okazji, żeby oskarżyć rosyjskie władze o zamordowanie jej syna.

Byłem pewien, że po obejrzeniu tego filmu trauma Natalii powróci. Gotowała się we mnie wściekłość na Niekrasowa. Czułem też wściekłość do samego siebie za to, że pozwoliłem wmanewrować Natalię w taką sytuację.

Za ważniejsze od swoich uczuć uznałem to, że objęty sankcjami film Niekrasowa skutecznie szerzy propagandę, przez to zaś stawał się niebezpieczny. Widz, który nie znał faktów dotyczących sprawy Magnitskiego, mógł z łatwością odnieść wrażenie, że coś jest nie tak z moją wersją historii o śmierci Siergieja.

Posługiwał się klasyczną rosyjską dezinformacją. Niczego nie udowodnił, zasiał tylko ziarno wątpliwości. Gdyby ten film zdobył popularność, kampania Magnitskiego byłaby zagrożona. Niewątpliwie taki cel przyświecał naszym przeciwnikom, do których Niekrasow najwyraźniej dołączył.

Co gorsza, jego film krążył nie tylko w Waszyngtonie. Tego samego dnia odebrałem telefon od pracownika Parlamentu Europejskiego z ostrzeżeniem, że Heidi Hautala, moja przyjaciółka i sojuszniczka, która zainicjowała europejską kampanię Magnitskiego i dzięki której poznałem

Borisa Niemcowa, zgodziła się pełnić rolę gospodyni pokazu filmu Niekrasowa w Parlamencie Europejskim.

Działania Rohrabachera w Waszyngtonie były przynajmniej spójne z jego poglądami, ale Heidi? Nikt bardziej od niej nie wspierał ustawy Magnitskiego. Potrafiłem znaleźć tylko jedno wytłumaczenie: FSB jakoś dopadło Niekrasowa, jej życiowego partnera, więc ona robiła to dla niego – z miłości albo z poczucia obowiązku.

Bez względu na motywację była to szokująca zdrada.

Skontaktowałem się z nią osobiście, ale nic to nie dało. Nie miała zamiaru odwołać pokazu.

Potem nadeszła jeszcze gorsza wiadomość. Mniej więcej w tym samym czasie Niekrasow ogłosił, że w kolejnych tygodniach jego film zostanie pokazany przez główne stacje telewizyjne we Francji, w Niemczech, Norwegii i Finlandii, co potencjalnie dawało mu wielomilionową widownię.

Moją pierwszą myślą było wyprodukowanie własnego filmu, w którym odrzucilibyśmy kłamstwa Niekrasowa. Na to jednak nie mieliśmy czasu, bo wszystko działo się zbyt szybko. Zdesperowany zatelefonowałem do Alisdaira Peppera, jednego z najskuteczniejszych w Europie prawników specjalizujących się w sprawach o zniesławienie. Nie należałem do zwolenników pozywania za wypowiedź, bo przecież wszystkie sukcesy w kampanii o sprawiedliwość odnieśliśmy dlatego, że mogliśmy w nieskrępowany sposób i bez upiększania mówić prawdę, co tylko zwiększyło moje oddanie dla wolności słowa⁹.

Wiedziałem, że pójdzie do sądu w sprawie o zniesławienie nie wygląda dobrze, zwłaszcza jeśli pozew wnosi bogaty inwestor, ale kłamstwa, które Niekrasow opowiadał o mnie i o Siergieju, oraz sposób, w jaki przedstawił matkę Siergieja, były zbyt skandaliczne. Tak, musiałem bronić siebie, ale przede wszystkim musiałem bronić ich dwojga.

Alisdair obejrzał film, zidentyfikował liczne kłamstwa Niekrasowa, a następnie wyliczył je w ośmiostronicowym piśmie, załączając dowody obalające fałszywe tezy. Pismo trafiło do każdej organizacji i instytucji zaangażowanej w produkcję filmu oraz jego dystrybucję. (Niekrasow skorzystał z grantów i wpłat wielu europejskich organizacji, które nie chciałyby być kojarzone z rosyjską kampanią propagandową). Alisdair zażądał od nich „odcięcia się od filmu i rezygnacji z udziału w jakichkolwiek przedsięwzięciach z nim związanych”. Zapowiedział, że

w przypadku odmowy wytoczmy pozwy z żądaniem wysokich odszkodowań.

List podzielał. Pokaz w Parlamencie Europejskim został odwołany na pół godziny przed planowanym rozpoczęciem. Niekrasow, który przyjechał do Brukseli na europejską premierę swojego filmu, nie mógł w to uwierzyć. Podobnie jak towarzyszący mu Rosjanie – grupa obejmująca między innymi pięcioosobową ekipę rosyjskiej telewizji publicznej oraz Andrieja Pawłowa, majora Pawła Karpowa, rosyjsko-amerykańskiego lobbystę o nazwisku Rinat Akhmetshin oraz Natalię Weselnicką.

Jej obecność była dziwna. Film nie miał nic wspólnego z Prevezonem ani Kacywami. Twierdziła, że przyjechała jako reprezentantka Human Rights Accountability Global Initiative (HRAGI), tajemniczej organizacji pozarządowej, o której nigdy nie słyszeliśmy.

Kyle wygooglował HRAGI i znalazł tylko prościutką stronę internetową z kilkoma stockowymi zdjęciami pospolicie wyglądających, uśmiechniętych rodzin. Organizacja jako cel deklarowała pracę na rzecz zniesienia wprowadzonego przez Putina zakazu adopcji dzieci, co w praktyce oznaczało zapewne uchylene ustawy Magnitskiego w Stanach Zjednoczonych.

Kyle trochę poszperał i odkrył, że rejestracji HRAGI dokonano w Delaware zaledwie dwa miesiące wcześniej. Organizacja powstała przy pomocy kancelarii BakerHostetler i ewidentnie była wydmuszką. Do korespondencji podawała waszyngtoński adres 1050 Connecticut Avenue NW, zaledwie kilka przecznic na północ od Białego Domu. (Później dowiedzieliśmy się, że była częściowo finansowana przez Denisa Kacywa).

Niekrasow, Weselnicka i pozostali Rosjanie wyjechali z Brukseli upokorzeni. Po tej klęsce telewizje niemiecka i francuska usunęły film Niekrasowa z ramówki, niedługo potem na półkę odłożyli go także Norwegowie i Finowie.

Wygraliśmy tę rundę w Europie, lecz w Waszyngtonie sprawa okazała się trudniejsza. Ponieważ nie zorganizowano publicznych pokazów filmu Niekrasowa na terenie Stanów Zjednoczonych, nie mieliśmy do kogo wysłać listu Alisdaira. Ale przewodniczący Royce po obejrzeniu tego filmu zdecydował o usunięciu Globalnej ustawy Magnitskiego z porządku obrad swojej komisji, musiałem więc znaleźć jakiś sposób, żeby przekonać Royce'a do swoich racji.

Chociaż zatelefonowałem do jego biura, nie zdołałem się przebić przez grubą zaporę otaczającego go personelu. Udało mi się jedynie porozmawiać z mało znaczącym pracownikiem. Przekonywałem, że komisja Royce'a padła ofiarą kampanii dezinformacyjnej Rosjan. Mężczyzna mnie wysłuchał, po czym uprzejmie obiecał, że przekaze sprawę przewodniczącemu. Odbyłem w życiu dość tego typu rozmów, żeby wiedzieć, że gdy młody pracownik biura polityka obiecuje przekazać coś swojemu szefowi, nie ma najmniejszego zamiaru wspominać o tym komukolwiek.

Skoro nie mogłem dotrzeć do Royce'a osobiście, musiałem to zrobić pośrednio. Zwróciłem się do redakcji „National Review”, konserwatywnego czasopisma, które przewodniczący Royce z pewnością czytał.

Opowiedziałem im, jak Royce, którego sztandarowym hasłem była walka z rosyjską dezinformacją, sam padł ofiarą tej właśnie dezinformacji. Uznali, że temat jest ciekawy. Tekst ukazał się cztery dni później. Artykuł zatytułowany Rosyjska propaganda w tajemniczy sposób opóźnia przyjęcie przez Kongres ustawy o prawach człowieka przedstawiał całą chronologię zdarzeń od wyjazdu Rohrabachera do Moskwy po udaremnienie prac nad ustawą. Konkluzja brzmiała: „Dopóki Globalna ustawa Magnitskiego jest z niejasnych przyczyn blokowana, rosyjska ofensywa informacyjna święci triumfy”.

Tydzień później ustawa wróciła do porządku obrad. Najwyraźniej Royce przeczytał artykuł.

ROZDZIAŁ 29

Wykreślić Magnitskiego

Wiosna 2016

Posiedzenie komisji Kongresu poświęcone Globalnej ustawie Magnitskiego wyznaczono na 18 maja. Nie mogłem wtedy przyjechać do Waszyngtonu, bo tego samego dnia miałem zeznawać w Radzie Europy podczas wysłuchania w sprawie nadużywania Interpolu przez Rosję. Jako pięciokrotnie poszukiwany czerwonym alertem byłem wręcz sztandarowym przykładem ofiary nadużyć rosyjskiego wymiaru sprawiedliwości.

Ponieważ skutecznie skontrolowaliśmy intrygę Rohrabachera w Kongresie, nie martwiłem się zbyt nieobecnością na posiedzeniu komisji. Oczekiwałem, że wszystko pójdzie gładko.

Do Włoch przyleciałem wieczorem 17 maja. Zatrzymałem się w Hasslerze, legendarnym hotelu tuż przy Schodach Hiszpańskich. Zwykle czas mam tak wypełniony spotkaniami, że już mi go nie wystarcza na zwiedzanie, ale tym razem po kolacji znalazłem chwilę, a Rzymowi nie sposób się oprzeć, wyszedłem więc na spacer po okolicy. Dotarłem do szerokiej elipsy piazza del Popolo i zwiedzanie przerwał mi telefon od Kyle'a z Waszyngtonu.

– Bill, coś się szykuje na komisji. Na Kapitolu pojawiła się grupka ludzi lobbujących za ponownym zdjęciem ustawy z porządku obrad.

– Kto?

– Jeden to były kongresmen z Oakland, niejaki Ron Dellums. Jest też Akhmetshin. Ten, który towarzyszył Weselnickiej w Brukseli. – Zrobił pauzę. – No i Mark Cymrot.

– Kurwa mać! Ci kolesie nigdy nie przestaną.

– Na to wygląda.

Zła wiadomość. Szczególnie zaniepokoił mnie ten nowy, Akhmetshin. Ponieważ pojawił się wtedy w Parlamencie Europejskim, zebraliśmy o nim trochę wiadomości. Chyba celowo unikał rozgłosu, bo z trudem natrafiliśmy na jego zdjęcia w sieci, ale udało nam się ustalić, że wychowywał się w Związku Radzieckim, przez pewien czas pracował dla wywiadu wojskowego Rosji, a potem emigrował do Waszyngtonu, uzyskał obywatelstwo amerykańskie i zaczął lobbować na rzecz różnych zagranicznych interesów.

Z kolei Ron Dellums, jak później się dowiedzieliśmy, otrzymał około pięciu tysięcy dolarów, żeby na dwadzieścia cztery godziny przylecieć z Oakland do Waszyngtonu, gdzie jego nazwisko wciąż mogło otworzyć niejedne drzwi. Dellums – osiemdziesięcioletni były kongresmen, który odszedł z Kapitolu w 1998 roku – prawdopodobnie zgodził się pomóc, żeby wesprzeć rosyjskie sieroty. Zapewne nigdy nie słyszał o ustawie Magnitskiego i nie rozumiał swojej roli w tej rosyjskiej operacji.

Za to Mark Cymrot z całą pewnością wiedział, co robi. Okazało się, że po godzinach aktywnie lobbuje w Kongresie, przekazując pracownikom Komisji Spraw Zagranicznych przerobione wersje wyciągniętych ze sprawy Prevezonu informacji na temat moich rzekomych występków w Rosji.

Wysłuchawszy Kyle'a, straciłem ochotę na spacerowanie po Rzymie i ruszyłem w stronę hotelu. Zaraz po powrocie do pokoju dowiedziałem się, że Dana Rohrabacher wrócił do gry. Tamtego dnia wystosował do członków Komisji Spraw Zagranicznych list, w którym papugował opowieść Cymrota oraz informował, że zamierza przedstawić poprawkę wykreślającą nazwisko „Magnitski” z nazwy ustawy.

Nazwisko „Magnitski” w nazwie ustawy było ważne nie tylko dla nas i rodziny Siergieja, ale też dla Władimira Putina, choć z innych powodów. Jemu zależało na dwóch rzeczach: żeby uchylić zainicjowaną przez nas ustawę i żeby nikt więcej nie wypowiadał nazwiska Siergieja Magnitskiego.

W Waszyngtonie dochodziła piąta po południu, niewiele więc mogłem zrobić w sprawie Rohrabachera, zwłaszcza z Rzymu. Zostało mi mieć nadzieję, że ta najnowsza interwencja nie wpłynie na członków komisji.

Poszedłem spać. Następnego dnia wstałem o szóstej trzydzieści. Odbylem umówione wcześniej spotkanie przy śniadaniu, po czym udałem się do gmachu parlamentu, gdzie trwało wysłuchanie w sprawie Interpolu. Waszyngtońska intryga sprawiała, że z trudem skupiałem się na

wystąpieniach. Wreszcie przyszła moja kolej. Zmusiłem się, żeby nie myśleć o Rohrabacherze, i starałem się wypaść jak najlepiej.

Po wystąpieniu zjadłem lunch przy bufecie z kanapkami i zostałem do końca przerwy, żeby porozmawiać z europarlamentarzystami. Ale po południu miałem lot powrotny, no i bardzo chciałem śledzić wydarzenia w Waszyngtonie.

Wróciłem do hotelu, zabrałem rzeczy i pojechałem prosto na lotnisko Fiumicino, gdzie aż do odlotu zamierzałem oglądać internetową transmisję posiedzenia Komisji Spraw Zagranicznych.

Odprawiłem się, znalazłem spokojne miejsce niedaleko wyjścia i włączyłem transmisję. Posiedzenie właśnie się zaczęło, a nasza ustawa była dopiero w ostatnim punkcie obrad. Siedziałem, niecierpliwie przytupując. Obrady się przeciągały, gdy kongresmeni omawiali inne kwestie. Miałem nadzieję, że dojdą do Globalnej ustawy Magnitskiego, zanim znajdę się w powietrzu.

Wreszcie o szesnastej trzydzieści, gdy pasażerów British Airways zaproszono na pokład samolotu do Londynu, przewodniczący Royce przeszedł do ostatniego punktu porządku dziennego, przedstawił ustawę i zachęcił wszystkich członków komisji, żeby głosowali za jej przyjęciem. Nie zamierzałem tego przepuścić, zostałem więc na miejscu.

Royce zapytał, czy ktoś ma uwagi. Kilku członków komisji wyraziło swoje poparcie, po czym przyszła kolej na Danę Rohrabachera.

Zgłosił poprawkę usuwającą nazwisko Siergieja, po czym przypuścił wściekły atak na mnie osobiście jako oligarchę, który ukradł w Rosji miliardy. Przekreślił główną tezę rosyjskiej kampanii oszczerstw i oskarżył mnie o uchylenie się od zapłacenia w Rosji dwustu trzydziestu milionów dolarów podatku (choć przecież faktycznie my ten podatek zapłaciliśmy, a dopiero później go ukradziono). Zasugerował nawet, że tortury stosowane przez Rosjan wobec Siergieja były jak najbardziej uzasadnione. Zdaniem Rohrabachera Rosjanie musieli uciec się do tego, by wydobyć z więźnia informacje konieczne do odnalezienia ukradzionych przeze mnie, jak się wyraził, i ukrytych miliardów.

Nie miałem pojęcia, czy Rohrabacher faktycznie był rosyjskim agentem, ale jeśli tak, to jego oficer prowadzący musiał rwać włosy z głowy. Rohrabacher nie potrafił się trzymać nawet ogólnych zarysów historii, którą tak starannie opracowali, żeby zatuszować swoją winę.

Mimo tych gaf słuchałem go z przykrością. Zdumiewała mnie różnica między tym, co mówił, a tym, jak wyglądał. Dobiegał siedemdziesiątki, często zamiast marynarki nosił sweter niczym Fred Rogers i przypominał jowialnego wuja z obrazu Normana Rockwella. Nie mógłby chyba sprawiać wrażenia bardziej nieszkodliwego, gdy tymczasem wykorzystywał mandat kongresmena Stanów Zjednoczonych, żeby wspierać rosyjski rząd w tuszowaniu mordy politycznego.

Następnie wypowiadał się Eliot Engel. Powiedział: „Mieliśmy ważny powód, żeby kilka lat temu użyć nazwiska [Magnitskiego], i powinniśmy odrzucić wszelkie próby rewidowania historii albo zamykania jej pod dywan. Nie powinniśmy być apologetami Putina”.

Jego słowa dodały mi otuchy, ale w tym samym momencie ogłoszono, że kończy się odprawa pasażerów do Londynu i za chwilę zamkną bramkę. Transmisja tak mnie pochłonęła, że omal nie przegapiłem odlotu. Skoczyłem na równe nogi, podbiegłem do bramki, pokazałem kartę pokładową i w ostatniej chwili wszedłem do samolotu.

W środku odnalazłem swoje miejsce, schowałem laptop, usiadłem i zapiąłem pas. Próbowałem oglądać transmisję na smartfonie, kiedy samolot kołował, ale stewardesa to zauważyła i zwróciła mi uwagę, musiałem więc zrezygnować. Linie British Airways nie oferują dostępu do wi-fi podczas lotów w Europie, dalszy przebieg posiedzenia mogłem więc poznać dopiero po wylądowaniu.

Koła samolotu dotknęły asfaltu na Heathrow. Natychmiast włączyłem telefon i wybrałem numer Kyle'a. Od razu przekierowało mnie do poczty głosowej. Zadzwoiłem do Wadima, on też nie odebrał. Po wyjściu z samolotu zająłem pierwsze napotkane krzesło, wyjąłem laptop i wróciłem na stronę internetową Komisji Spraw Zagranicznych Senatu USA. Posiedzenie się zakończyło, więc odtworzyłem nagranie. Przewinałem do miejsca, w którym przerwałem, i oglądałem dalej.

Nie tylko Engel skrytykował poprawkę Rohrabachera. Kongresmen Gerald Connolly z Wirginii wyznał: „Słuchając [Rohrabachera], czułem się, jakbym oglądał telewizję RT”, czyli stację, która rozpowszechnia na świecie rosyjską propagandę.

Kongresmen David Cicilline z Rhode Island powiedział: „Zgoda na to, żeby rząd Rosji choćby w najmniejszym stopniu wpłynął na tę ustawę, z jej nazwą włącznie, byłaby karygodna i haniebna dla dorobku pana Magnitskiego”.

Kilku innych członków komisji, republikanów i demokratów, wyrażało podobne odczucia.

Rohrabacher znów zabrał głos i podjął ostatnią próbę, żeby zaciemnić sprawę – na próżno.

W głosowaniu przegrał czterdzieści sześć do jednego. Miażdżąca porażka. Nasze problemy w Waszyngtonie się skończyły.

ROZDZIAŁ 30

O rety! Krety!

Wiosna 2016

Okazało się jednak, że nie.

Dziesięć dni później odebrałem e-mail od Paula Behrendsa, pracownika biura kongresmena Dany Rohrabachera, który towarzyszył mi w Moskwie. Behrends pytał, czy będę mógł przyjechać do Waszyngtonu na początku czerwca, żeby zeznawać jako świadek w podkomisji Kongresu do spraw Europy i Azji, której przewodniczył Rohrabacher.

W normalnych okolicznościach obecność na wysłuchaniu w Kongresie uznałbym za wspaniałą okazję, ale ponieważ zaproszenie wystosował Rohrabacher, obawiałem się pułapki. Kyle szybko potwierdził moje obawy, gdy powiedziałem mu o wszystkim. Rohrabacher postanowił użyć swojej podkomisji jako pretekstu do pokazu filmu Niekrasowa, by następnie pokazać w niej mnie.

Dlaczego Rohrabacher tak się wysługiwał Rosjanom? Najpierw sekretne spotkania w Moskwie, potem machinacje przy ustawie Magnitskiego, teraz coś takiego. To nie było normalne zachowanie.

Na szczęście tym razem nie musiałem robić podchodów wokół przewodniczącego komisji. Royce, dowiedziawszy się o planach Rohrabachera, natychmiast skorzystał ze swoich prerogatyw i odwołał obrady podkomisji. W zamian zwołał specjalne posiedzenie całej Komisji Spraw Zagranicznych poświęcone relacjom między Stanami Zjednoczonymi a Rosją, oczywiście bez projekcji filmu.

Kontrowanie Rosjan oraz ich amerykańskich pomocników przypominało grę O rety! Krety! Ilekroć wbiło się ich w ziemię w jednym miejscu, wyskakiwali w innym.

Jak można się było spodziewać, na początku czerwca Niekrasow ogłosił amerykańską premierę swojego filmu w Newseum, muzeum poświęconym wolności słowa i pierwszej poprawce, położonym zaledwie kilka przecznic od Kapitolu. By nadać swojej produkcji pozory zasadności, zdołał jakoś przekonać Seymoura Hersha, słynnego dziennikarza śledczego, który ujawnił masakrę w Mý Lai, żeby zapowiedział film i poprowadził dyskusję po projekcji.

Skoro film miał być pokazany w miejscu publicznym na terenie Stanów Zjednoczonych, Alisdair Pepper mógł tym razem podjąć interwencję, poinstruowałem go więc, żeby wysłał odpowiednie pismo do Newseum.

Matka Siergieja, która wciąż nie doszła do siebie po tym, jak potraktował ją Niekrasow, także napisała do nich z prośbą, żeby zachowali się przyzwoicie i nie pokazywali „zwodniczego filmu, który jest kpiną z życia i śmierci Siergieja”.

I pismo, i list zostały wysłane 9 czerwca 2016 roku.

Tego samego dnia nasz prawnik, Jacob Buchdahl, miał w końcu szansę przedstawić argumenty za zdyskwalifikowaniem Johna Moscowa i kancelarii BakerHosgtetler podczas rozprawy w Sądzie Apelacyjnym dla Drugiego Dystryktu w Nowym Jorku. Naszych adwersarzy reprezentował Michael Mukasey, były prokurator generalny USA. Natalia Weselnicka tak się interesowała wynikiem, że przyleciała z Rosji i osobiście obserwowała przebieg postępowania.

Tymczasem w Europie razem z Eleną wyjeżdżaliśmy do Belgii, gdzie w rezydencji sir Adriana Bradshawa, zastępcy naczelnego dowódcy Sił Sojuszniczych NATO w Europie, odbywało się przyjęcie z okazji dziewięćdziesiątych urodzin królowej Elżbiety. Sir Adrian obiecał, że spotkam tam wiele ważnych osobistości, które mogą pomóc w promowaniu kampanii Magnitskiego na terenie Europy.

Tamtego popołudnia zadzwoniłem jeszcze do Alisdaira i do Jacoba – żaden nie miał dla mnie nowych wiadomości – po czym razem z żoną wsiedliśmy do pociągu Eurostaru na londyńskiej stacji St. Pancras. Dwie godziny później wysiedliśmy na stacji Midi w Brukseli. W hotelu przebraliśmy się w stroje wieczorowe i zeszliśmy do samochodu, który zabrał nas do Mons, położonego pół godziny jazdy od centrum miasta. Na miejscu się okazało, że chociaż jesteśmy w Belgii, impreza ma całkowicie brytyjski charakter. Grała angielska orkiestra wojskowa, a po obydwu stronach podjazdu ustawili się szkoccy dudziarze w kiltach. Przy wejściu

przywitał nas sir Adrian z małżonką, która następnie zaprowadziła nas na przyjęcie i przedstawiła kilkorgu innym gościom.

W połowie odgrywanego przez orkiestrę hymnu brytyjskiego zawibrował mój telefon.

Dzwonił Alisdair. Wyszedłem, żeby odebrać. Okazało się, że właśnie przyszła odpowiedź Jeffreya Herbsta, dyrektora Newseum.

– Nie zamierzają się cofnąć – relacjonował Alisdair. – Przeciwnie, upierają się przy swoim. Nie odwołają zaplanowanego pokazu.

– Może powinniśmy napisać jeszcze raz, żeby zwiększyć presję? – zaproponowałem.

– Odradzałbym. Chodzi o muzeum poświęcone wolności słowa. Nie wydaje mi się, żeby to była sprawa, za którą warto umrzeć, Bill.

Miał rację. Moimi wrogami byli nie pracownicy muzeum, lecz Rosjanie.

Musiałem przyznać, że Niekrasow wpadł na genialny pomysł, żeby wybrać w Waszyngtonie akurat to miejsce, które będzie broniło jego prawa do wyświetlania rosyjskiego filmu propagandowego, powołując się na wolność słowa. Z perspektywy czasu widzę, że jednak nie powinienem był grozić procesem o zniesławienie muzeum poświęconemu pierwszej poprawce.

Otrząsnąłem się z wrażenia i wróciłem do żony. Poznaliśmy jeszcze parę osób, wymieniliśmy wizytówki z kilkoma europejskimi urzędnikami, po czym około dwudziestej trzeciej wyszliśmy z przyjęcia.

Nie dojechaliśmy jeszcze do hotelu, kiedy zadzwonił Jacob Buchdahl, żeby przekazać mi, co się wydarzyło w sądzie tego dnia. A wieści miał naprawdę dobre. Choć druga strona próbowała oddalić wniosek o dyskwalifikację, stosując kruczki formalne, jej argumenty trafiały w próżnię.

– Sędziowie byli nieprzejeđnani – zakończył Jacob. – Myślę, że wygraliśmy. Na orzeczenie trzeba będzie poczekać kilka miesięcy, ale jestem raczej pewny zwycięstwa.

No to przynajmniej ten długi dzień dobrze się kończył.

Samochód sunął przez ciemne lasy belgijskiej prowincji. Elena zasnęła na moim ramieniu. Zacząłem przeglądać zaległe maile. Wśród nich znalazłem alert Google dotyczący artykułu z „New York Timesa”, który zapowiadał pokaz filmu Niekrasowa. O dziwo, tekst wykladał przedstawione w filmie argumenty przeciwko Magnitskiemu tak, jakby były godne uwagi.

Musiałem chyba mruknąć coś pod nosem, bo Elena się obudziła. Patrząc na mnie zaspanymi oczami, zapytała:

– Co się dzieje?

– „New York Times” promuje film Niekrasowa – odpowiedziałem.

Ożywiła się.

– Co? Jak to możliwe?

– Nie mam pojęcia.

To nie powinno było się wydarzyć. „New York Times” jest najwyżej cenioną gazetą w Stanach Zjednoczonych i wręcz słynie z rygorystycznych procedur, które chronią przed pułapkami dezinformacji. Poza tym w oczach zachodniej prasy Rosjanie dawno stracili resztki wiarygodności w sprawie Magnitskiego. Tyle razy udowodniono im kłamstwa, przesadę i przeinaczanie faktów, że nikt nie traktował poważnie tego, co mówili.

Musiałem się dowiedzieć, jakim sposobem doprowadzili do tej publikacji.

Po powrocie do pokoju Elena zamówiła dla nas coś z restauracji hotelowej i zrobiła herbatę, podczas gdy ja siadłem do telefonu.

Zadzwoiłem do paru dziennikarzy w Waszyngtonie i mocno naciskałem. Wszyscy przyznali, że coś się dzieje w związku ze mną. Natomiast nie chcieli powiedzieć, kto za tym stoi, i powoływali się na tajemnicę dziennikarską.

Mimo późnej pory postanowiłem się skontaktować z kilkoma osobami w Londynie. Większość nie odebrała, ale znalazł się jeden człowiek, którego nie dotknęła ta dziennikarska omerta.

– Przecież to sprawka Glenna Simpsona – powiedział, jakby przekazywał najbardziej oczywistą rzecz na świecie.

Na początku pierwszej dekady XXI wieku Glenn Simpson pracował w brukselskiej redakcji „Wall Street Journal” i pisał teksty na temat rosyjskiej przestępczości zorganizowanej. Spotkałem się z nim kilka razy jako szef funduszu Hermitage, gdy chciałem ujawnić korupcję trawiącą spółki, w które inwestowaliśmy. Był wysoki, zaniedbany i zawsze trochę mi się kojarzył z niedźwiedziem. W 2011 roku rzucił dziennikarstwo i założył w Waszyngtonie prywatną firmę Fusion GPS zajmującą się strategicznym wywiadem biznesowym.

– Myślałem, że Glenn jest po dobrej stronie – odparłem.

– Może był... Teraz przyjmuje zlecenia na szukanie kompromatów od każdego, kto mu zapłaci.

Nie wiedziałem, że firma Glenna zajmowała się wyszukiwaniem brudów na polityków i osoby publiczne.

– Od tygodni się chwali, że dzięki niemu dostałeś wezwanie do sądu, bo namierzył cię w Aspen.

Chwilę potrwało, zanim dotarło do mnie, co usłyszałem.

– Czyli Glenn Simpson naraził na niebezpieczeństwo moją rodzinę, przekazując informacje Rosjanom?

– Tak. Przykro mi, że nie wiedziałeś. To dość kiepsko strzeżony branżowy sekret.

Podziękowałem mu i zakończyłem rozmowę. Simpson pracował dla moich przeciwników, płacili mu więc Kacyw i Weselnicka. Wszystkie ścieżki zdawały się prowadzić do tej niewyraźnej rosyjskiej prawniczki: ona zatrudniła Johna Moscowa i kancelarię BakerHostetler, ona założyła HRAGI wspólnie z Rinatem Akhmetshinem i ona towarzyszyła Niekrasowowi podczas nieudanego pokazu w Brukseli oraz wynajęła grupę waszyngtońskich lobbystów, którzy opowiadali się przeciwko ustawie Magnitskiego. A teraz zapłaciła Glennowi Simpsonowi za oszczerczą kampanię przeciwko mnie.

Zaangażowanie Simpsona zmieniało wszystko. Powszechnie uznawano, że jest dobrze ustosunkowany i skutecznie prowadzi zlecane kampanie, bo dzięki jego działalności reputację straciła całkiem spora liczba polityków oraz ludzi biznesu. Dotychczas Rosjanie podejmowali dziesiątki nieporadnych i nieskutecznych działań, żeby zniszczyć moją wiarygodność, ale ten facet to była inna liga. On wiedział, co robi.

Gra O rety! Krety! przeszła na wyższy poziom. Skoro Simpson zamierzał urabiać media po pokazie filmu Niekrasowa, Wadim i ja musieliśmy być w Waszyngtonie, żeby ograniczać straty.

Wsiedliśmy więc na pokład samolotu Virgin Atlantic lecącego z Heathrow na Dulles 12 czerwca, dzień przed pokazem. Zameldowaliśmy się w hotelu Grand Hyatt i tam kończyliśmy przygotowania do czekających nas nazajutrz spotkań z wieloma członkami Kongresu, urzędnikami rządowymi i dziennikarzami. Mieliśmy nadzieję uodpornić każdego, kto mógłby być podatny na kampanię dezinformacyjną Weselnickiej.

Ona i jej zespół też raczej nie próżnowali. Następnego ranka tuż po przebudzeniu dowiedziałem się, że biuro Rohrabachera pracowało do późnego wieczora, rozsyłając zaproszenia na pokaz filmu do każdego członka Kongresu osobiście.

Zespół Weselnickiej kontaktował się także z mediami. Większość czołowych reporterów w Waszyngtonie otrzymała zaproszenia podpisane przez Chrisa Coopera, kolejnego byłego dziennikarza „Wall Street Journal”, który postanowił poszukać atrakcyjniejszego zajęcia.

Taka lawina zaproszeń dla najbardziej wpływowych waszyngtończyków naprawdę mnie zaniepokoiła. Przez cały dzień razem z Wadimem przemierzaliśmy miasto, starając się uniemożliwić zamiary Weselnickiej.

Naszym ostatnim rozmówcą był Robert Berschinski, zastępca asystenta sekretarza stanu, jeden z najważniejszych urzędników państwowych odpowiedzialnych za sankcje w ramach ustawy Magnitskiego. Gdy wyjąłem naszą prezentację, powiedział mi, że nie jest konieczna. Zdawał sobie sprawę, co Rosjanie próbują osiągnąć. Nie miał wątpliwości, że to jedna z najlepiej przygotowanych i najbardziej wyrafinowanych jawnych operacji obcego wywiadu na amerykańskiej ziemi, jakie widział.

Dodała mi otuchy świadomość, że ktoś tak wysoko postawiony w administracji amerykańskiej jest tak dobrze zorientowany w sytuacji. Szybko się jednak dowiedzieliśmy, że Berschinski nic nie mógł zrobić: „Niestety nie prowadzimy operacji kontrwywiadowczych – wyjaśnił. – To zadanie FBI”. Obiecał posłać na pokaz filmu kogoś ze swojego personelu, kto następnie napisze i przekaże w odpowiednie miejsce notatkę na ten temat. I to było wszystko, co mógł dla nas zrobić, oprócz przekazania wyrazów współczucia.

Wszyscy zakładają, że jeśli wysoki rangą urzędnik Departamentu Stanu wie o tego rodzaju operacji, wywiad amerykański automatycznie podejmie kroki, żeby jej przeciwdziałać. Sam wywiad zresztą też wiedział o rosyjskiej kampanii dezinformacyjnej, bo nawet jeśli Robert Berschinski ich nie uprzedził, uczynił to Kyle – w maju. I chociaż upłynął miesiąc, oni nie zrobili nic.

W rzeczywistości rząd Stanów Zjednoczonych jest tak olbrzymi, odizolowany i zbiurokratyzowany, że jeśli cokolwiek ma się wydarzyć, interwencję musi podjąć ktoś wyjątkowo ważny, kto powie: „To nie do przyjęcia. Powstrzymajcie to natychmiast”.

W tej sprawie jednak nic takiego się nie stało.

Gmach Departamentu Stanu opuszczaliśmy z Wadimem nieco przybici. Wróciliśmy do hotelu, znaleźliśmy wolny stolik w atrium i rozłożyliśmy laptopy, żeby śledzić przebieg wydarzeń w Newseum. Na miejscu miał to robić Kyle, który obiecał przez cały wieczór informować nas na bieżąco

SMS-ami. Nie miałem najmniejszego zamiaru pojawiać się na projekcji. Nie chciałem dawać Weselnickiej ani jej ludziom okazji do odegrania spektaklu, na który tak bardzo czekali.

Newseum zaprosiło obecnych do jednego ze swoich najładniejszych pomieszczeń na piętrze, z balkonem wychodzącym na Kapitol. Przed pokazem odbyło się przyjęcie. Oferowano przystawki i koktajle, a kolejni goście przechodzili na zewnątrz, żeby się cieszyć ciepłym letnim wieczorem.

Rosjanie i ich zachodni sojusznicy przybyli w pełnym składzie. Weselnicka, Akhmetshin i Niekrasow oraz Glenn Simpson i Chris Cooper z grupką pomocników i asystentów. Pojawiła się też falanga reporterów rosyjskiej telewizji państwowej. Po całym pomieszczeniu rozstawiono kamerzystów, żeby rejestrowali każdy ruch.

Rosjan reprezentowali nie tylko przedstawiciele władzy. Na sali znaleźli się też dysydenci. Co prawda przy wejściu sprawdzano zaproszenia, ale ponieważ nie było tłoku i ponieważ Niekrasow podniósł taki wrzask o prawo do wolności słowa, nie dało się ich odprawić.

Moja największa obawa – że masowo przybędą politycy i ich asystenci – okazała się płonna. Nie pojawił się nikt z parlamentarzystów, nawet Rohrabacher. Jeśli nie liczyć Kyle'a i jeszcze jednego zaprzyjaźnionego z nami członka personelu, z Kapitołem miał związek tylko Paul Behrends, któremu towarzyszyła grupka pracowników biura Rohrabachera.

Po zachodzie słońca ktoś z ekipy Niekrasowa przeszedł wśród gości, przekazując informację, że projekcja niebawem się zacznie. Wracając z balkonu do sali, Kyle wziął popcorn i pudełko draż Whoppers, które rozdawano, żeby obecni poczuli się jak w prawdziwym kinie.

Kyle zajął miejsce obok pracownika wydelegowanego przez Roberta Berschinskiego z Departamentu Stanu i wdał się z nim w rozmowę. Po chwili obok Kyle'a usiadła pulchna, kosztownie ubrana kobieta po czterdziestce. Odwrócił głowę, żeby się przywitać, i ze zdumieniem stwierdził, że to Natalia Weselnicka. Rozpoznał ją, ona zaś najwyraźniej nie miała pojęcia, kim jest on. Trudno o bardziej ironiczny przypadek. Obok człowieka, który napisał tekst ustawy Magnitskiego, usiadła osoba, której misją było tę ustawę zniszczyć.

Zasłonięto okna, przygaszono światła i przed widownią stanął Seymour Hersh, który wówczas dobiegał osiemdziesiątki. W szarej marynarce i okularach wyglądał jak typowy zblazowany reporter. Zerkając do notatek,

przedstawił Niekrasowa i zapowiedział film, który „z sukcesem dekonstruuje pewien mit”.

Zacząła się projekcja. Przez następne dwie godziny i pięć minut widownia oglądała w ciszy. Była to mniej więcej ta sama wersja, którą Kyle i ja już widzieliśmy, tylko Niekrasow dodał fragment, w którym dowodził, że zaprzyjaźniony z Putinem wiolonczelista Siergiej Roldugin nie ma żadnych związków ze skradzionymi dwustoma trzydziestoma milionami dolarów. Po napisach końcowych na scenę wszedł Niekrasow.

Zamiast aplauzu w sali dały się słyszeć drwiące okrzyki i buczenie.

Ktoś krzyknął: „Wstyd! Wstyd!”. Ktoś inny dodał: „Powinieneś figurować na Liście Magnitskiego!”. Rozległy się głośne rozmowy po rosyjsku. Niekrasow stał obok Hersha na małej scenie. Ich twarze oświetlały reflektory. Hersh próbował uspokoić widownię, mówiąc: „Obejrzeliśmy kawał dziennikarskiej roboty. To się nazywa dziennikarstwo”.

Mężczyzna i kobieta siedzący w różnych częściach sali jak na komendę krzyknęli z rosyjskim akcentem: „To nie jest dziennikarstwo! To propaganda!”.

Hershowi udało się w końcu uciszyć publiczność i przejść do pytań. Pierwsze zadał Drew Sullivan, współzałożyciel OCCRP, jeden z głównych reporterów pracujących nad danymi z Mołdawii i kwitami z Panamy. Chyba nikt inny na sali nie wiedział więcej o praniu pieniędzy związanych ze sprawą Magnitskiego.

Niekrasow miał pecha. To Drew kierował śledztwem dziennikarskim, które powiązało Roldugina ze skradzionymi dwustoma trzydziestoma milionami dolarów, dlatego nie owijał w bawełnę. Wyjaśnił, że gdyby Niekrasow zadał sobie trud, żeby przyjść do OCCRP, a tak właśnie postąpiłby na jego miejscu każdy kompetentny dziennikarz, to Drew pokazałby mu dokumenty potwierdzające te powiązania.

Niekrasow zdał sobie sprawę, jak słaba jest jego pozycja. De facto pełnił rolę adwokata Putina. Przedstawiał się jako poszukiwacz prawdy, ale w konfrontacji z dziennikarzem, który faktycznie tej prawdy szukał, wypadał blado i niekompetentnie. Z coraz większym poirytowaniem i agresją próbował wyjaśnić, że to skomplikowane sprawy, a wytropienie pieniędzy jest jak odnalezienie kropli wody w basenie pływackim.

Na to Sullivan odrzekł spokojnie: „Taak, to się nazywa pranie brudnych pieniędzy”.

Zdawszy sobie sprawę, że nie wygra w tym sporze, Niekrasow szybko przeszedł do następnego pytania. Przy drugim rozmówcy szczęście też mu nie dopisało. Przy trzecim tak samo. Czwarty do zadania pytania zgłosił się były kolega Niekrasowa, Rosjanin Alex Goldfarb. Jego wypowiedź była miażdżąca.

Goldfarb wstał i spokojnie się przedstawił jako wieloletni przyjaciel Niekrasowa, który produkował dwa z jego antyputinowskich filmów. Nie ukrywając rozczarowania, powiedział:

– To dla mnie sprawa osobista i emocjonalna, bo w tym filmie Andriej o sto osiemdziesiąt stopni zmienia to, co twierdził wcześniej.

Niekrasow stał ze skrzyżowanymi ramionami, gdy Goldfarb przez pełne sześć minut przemawiał, demaskując obejrzany przed chwilą film. Zanim usiadł, zwrócił się bezpośrednio do Niekrasowa:

– Moim zdaniem należałoby wspomnieć, że rząd pana Putina, który niewątpliwie jest beneficjentem tego filmu, to mordercza dyktatura. Chcę, żebyś powiedział to teraz głośno, jak mówiłeś tak wiele razy.

Niekrasow milczał. I to wyjaśniało wszystko.

Opinie recenzentów też nie były przychylne. Następnego dnia „American Interest”, wydawany w Waszyngtonie magazyn polityczny, opublikował recenzję pod tytułem Wielkie kłamstwo Rosji. Później ukazał się „Washington Post” ze wstępniakiem zatytułowanym Rosyjska agitka ląduje w Waszyngtonie. „Daily Beast” zamieścił tekst Jak antyputinowski filmowiec został kremlowskim pacholkiem. Dziennikarze nie mieli litości, wdeptali Niekrasowa w ziemię. Zachodnia prasa nie wydrukowała ani jednego pozytywnego tekstu o jego filmie.

Ostatecznie więc Niekrasow, Weselnicka, Simpson i Rosjanie mieli swój spektakl, tyle że nie taki, na jaki liczyli.

ROZDZIAŁ 31

FARA

Lato 2016

Jeśli Weselnicka czuła się upokorzona komplikacjami czy wręcz niepowodzeniem w sądzie apelacyjnym kilka dni wcześniej, to niczego po sobie nie pokazywała. Dzień po projekcji filmu Niekrasowa usiadła w pierwszym rzędzie galerii dla publiczności podczas przesłuchania na temat relacji amerykańsko-rosyjskich, które przewodniczący Royce prowadził podczas posiedzenia Komisji Spraw Zagranicznych Kongresu. Dwa rzędy za nią siedział Andriej Niekrasow.

Wadim i ja też tam byliśmy. Wybraliśmy nierzucające się w oczy miejsca z boku sali, mając nadzieję uniknąć obydwojga tych ludzi. Pierwszy raz widzieliśmy Weselnicką na żywo. Przesadnie się wystroiła i wyglądała całkiem nieszkodliwie. Ledwie mogliśmy uwierzyć, że to ona jest przyczyną tak wielu naszych kłopotów.

W trakcie posiedzenia Kyle, który siedział na podium za członkami komisji, wysłał nam SMS z informacją, że do sali właśnie wszedł Rinat Akhmetshin. Ponieważ nie mieliśmy jego podobizny, Wadim pochylił się do przodu i jak gdyby nigdy nic zrobił Akhmetshinowi kilka zdjęć telefonem. Później bardzo nam się one przydały.

Wysłuchanie przebiegało tak spokojnie, jak zamierzał Royce. Z pewnością nie na to liczyła Weselnicka i jej mocodawcy. Nie wyświetlono żadnego filmu. Ani Siergiej, ani ja nie zostaliśmy wspomniani nawet raz.

Sala powoli pustoszała. Ktoś z holu ostrzegł nas, że rosyjska ekipa filmowa zastawiła na mnie pułapkę przed drzwiami. Wobec tego wysłałem SMS do Kyle'a z pytaniem, czy jest jakieś drugie wyjście. Odpisał, żebyśmy czekali na niego z przodu przy podium. Gdy tłum powoli szedł do wyjścia

w tylnej części, my ruszyliśmy w przeciwnym kierunku. Doszliśmy do podium i Kyle przeprowadził nas przez poczekalnię przeznaczoną tylko dla pracowników, a stamtąd do pustego korytarza. Obawiał się, że ekipa filmowa może też czekać przed wejściem, dlatego zwiózł nas windą przeznaczoną tylko dla członków Kongresu do podziemnego labiryntu pod Rayburn House Office Building. Wyszliśmy z drugiej strony. (Celowo pomijam nazwę ulicy). Nigdzie nie dostrzegłem żadnych Rosjan.

Pożegnaliśmy się z Kyle'em i złapaliśmy taksówkę. Po drodze wciąż nie mogłem uwierzyć, co się stało. Musiałem uciekać przed Rosjanami w budynku rządowym na Kapitolu! Jeszcze bardziej oburzający był fakt, że ci Rosjanie nie pracowali sami. Pomagał im zespół profesjonalnych pomocników z Zachodu. To irytowało mnie bardziej niż cokolwiek innego.

Że Rosjanie działają w taki sposób, wiedziałem od dawna. Ich społeczeństwo jest okrutne i bezwzględne, dlatego aby przejść przez życie, ludzie albo pozwalają się kantować, albo sami kantują, a często jedno i drugie. Tylko wyjątkowe jednostki jak Siergiej Magnitski, Boris Niemcow czy Władimir Kara-Murza nie popadają odruchowo w nihilizm, nieuczciwość i korupcję.

Życie na Zachodzie, zwłaszcza w Ameryce, jest jednak inne, choć niepozbawione problemów. Amerykanie tacy jak John Moscow, Mark Cymrot, Chris Cooper i Glenn Simpson mieli życie jak z bajki. Uczyli się na najlepszych uniwersytetach, otaczali ich ludzie najwyższego kalibru, mieszkali w komfortowych domach i funkcjonowali w społeczeństwie, które przynajmniej w teorii szanuje dobre uczynki i etyczne zachowanie.

Każdy ma prawo do adwokata, lecz tutaj nie chodziło o obronę. Oni uczestniczyli w rosyjskiej kampanii dezinformacyjnej. Wyłącznie dla pieniędzy ci ludzie wykorzystali swoją wielką wiedzę, kontakty i umiejętności, żeby wspierać kumpli Putina, przez co ich postawa zasługiwała na jeszcze większe potępienie niż działania samych Rosjan. Wielu Rosjan nie ma wyboru, natomiast Amerykanie mogą decydować o swoim życiu, było to więc działanie z premedytacją.

Tego popołudnia spotkałem się na kawie z Juleanną Glover w atrium hotelu Grand Hyatt. Powiedziałem jej, jak bardzo jestem wściekły na tych ludzi.

– Taką działalność reguluje FARA. Jeśli złamali przepisy, masz ich w garści – odrzekła.

Chodziło jej o Foreign Agents Registration Act (Ustawa o rejestracji agentów zagranicznych). Każdy, kto próbuje wpłynąć na politykę Stanów Zjednoczonych w imieniu obcego rządu, musi zgłosić ten fakt, rejestrując się w Departamencie Sprawiedliwości. Ustawę uchwalono w 1938 roku, żeby utrudnić agentom Hitlera szerzenie propagandy nazistowskiej w okresie przed II wojną światową. Teraz mieliśmy do czynienia z agentami Putina, którzy szerzyli propagandę rosyjską, najwyraźniej bez jakichkolwiek przeszkód.

Juleanna, Kyle i ja od pewnego czasu zastanawialiśmy się nad wykorzystaniem tej ustawy, choć wątpiłem w jej przydatność. Podczas II wojny światowej i około dwudziestu lat po niej FARA była stosowana z całą stanowczością, ale po 1967 roku za złamanie jej postanowień skazano tylko pięć osób.

Z kolei Juleanna, która świat waszyngtońskich lobbystów znała lepiej niż ktokolwiek z nas, była innego zdania:

– Nie rozumiesz, Bill. FARA to prawo karne. Ci ludzie są wstrząśnięci, gdy kanapki na przyjęciu nie smakują tak, jak powinny. Nawet odległa perspektywa więzienia wzbudzi w nich paniczny strach.

Skoro mieliśmy zamiar wykorzystać tę ustawę, Kyle zasugerował, żeby zasięgnąć rady znanego nam wszystkim Thomasa Firestone'a, który orientował się w przepisach i znał sprawę Magnitskiego, bo był radcą prawnym ambasady amerykańskiej w Moskwie, gdy ten trafił do aresztu. W depe szach do Waszyngtonu Firestone opisywał, jak torturowano Magnitskiego, łamano jego prawa, a na koniec go zamordowano. Te rzeczowe raporty demaskowały rosyjską dezinformację, dawały więc rządowi Stanów Zjednoczonych twarde dane potrzebne do uchwalenia ustawy i objęcia sankcjami ludzi zamieszanych w to morderstwo. Thomas był jednym z niedocenionych bohaterów historii Magnitskiego.

Zgodnie z radą Kyle'a razem z Wadimem odwiedziłem Thomasa (który zrezygnował z pracy dla rządu) w jego kancelarii adwokackiej. Gdy opisaliśmy kampanię dezinformacyjną Weselnickiej, poprosił o nazwiska. Wadim wymienił je, a Thomas zapisał w notatniku. Potem uruchomił komputer i zalogował się do prowadzonej przez Departament Sprawiedliwości bazy danych FARA, żeby sprawdzić, czy którekolwiek z nich zostało zarejestrowane. Żadnego nie znalazł.

Patrząc znad komputera, powiedział:

– Skieruję was do Heather Hunt, która kieruje wydziałem FARA w kontrwywiadowczej jednostce Departamentu Sprawiedliwości.

Tego samego popołudnia wystosował do niej pismo.

Do Londynu wróciliśmy z Wadimem w sobotę, a już w poniedziałek odbyliśmy telekonferencję z Heather. Szczegółowo zapoznaliśmy ją z naszą historią. Jak każdy dobry prokurator chciała twardych dowodów, które obiecaliśmy przedstawić na piśmie.

Przez następne dwa tygodnie opisywaliśmy wszystko, co się wydarzyło tej wiosny. Odrębnie, bo każde wydarzenie można było postrzegać jako niezależne od pozostałych. Mark Cymrot twierdził, że reprezentował firmę Prevezon, nie rząd Rosji. Glenn Simpson zapewniał, że jego zleceniodawcą jest John Moscow, nie rząd Rosji. Ron Dellums został wynajęty przez HRAGI, nie przez rząd Rosji. Wreszcie Andriej Niekrasow podawał się za niezależnego dziennikarza, nie propagandystę rządu Rosji.

Trudno jednak było nie zauważyć oczywistego powiązania, gdy się te sprawy potraktowało łącznie. Istniały poważne powody, by podejrzewać, że Natalia Weselnicka kierowała tajną operacją wykonywaną rękami wynajętych osób.

Piętnastego lipca 2016 roku przesłaliśmy Heather zawiadomienie wskazujące na złamanie przepisów ustawy o rejestracji agentów zagranicznych przez Cymrota, Simpsona, Coopera, Akhmetshina i troje innych obywateli Stanów Zjednoczonych.

Kilka tygodni później Heather zaprosiła mnie do Waszyngtonu, gdzie miałem osobiście przedstawić sprawę podległemu jej zespołowi. Musiałem się poddać specjalnej kontroli, żeby się dostać do budynku znanego jako „Main Justice” na Pennsylvania Avenue. Procedura rozpoczęła się jeszcze przed dniem wizyty, ponieważ zażądano, żebym przesłał do sprawdzenia kopię swojego paszportu. W samym budynku musiałem najpierw przejść przez kilka bramek z wykrywaczem metalu, a następnie czekać na pracownika, który mnie eskortował.

Skoro odwiedzałem jednostkę kontrwywiadowczą, spodziewałem się trafić do jakiegoś dźwiękoszczelnego pomieszczenia w podziemiu budynku, tymczasem poprowadzono mnie obok recepcji do standardowego pokoju konferencyjnego na parterze z oknami wychodzącymi na chodnik. Każdy przechodzień mógłby zajrzeć do środka, gdyby chciał.

Przywitali mnie dwaj pracownicy Heather i od razu poinformowali, że jej samej nie będzie. Po niecałych dwóch minutach rozmowy nastąpił

niezręczny impas. Ja oczekiwałem, że zasypią mnie szczegółowymi pytaniami, tymczasem oni najwyraźniej nie mieli pojęcia o sprawie i chyba nawet nie czytali naszego zawiadomienia. Musiałem zaczynać od zera, powtórzyć wszystko to, co kilka tygodni wcześniej przekazałem Heather podczas telekonferencji.

Robili notatki. Na koniec zapytałem:

– Jak myślicie? Czy to wystarczy, żeby wasz wydział zajął się sprawą?

Nieco przecząc logice dotychczasowych wydarzeń, jeden z nich udzielił mi standardowej prawniczej odpowiedzi:

– Nie możemy ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, że w tej sprawie toczy się postępowanie.

Z własnego doświadczenia wiedziałem, jak wygląda postępowanie w Departamencie Sprawiedliwości. W sprawie Prevezonu Paul Monteleoni albo ktoś z jego koleżanek i kolegów kontaktował się z nami niemal codziennie przez sześć miesięcy, zanim akt oskarżenia trafił do sądu. Byłem pewien, że ludzie z FARA nie robią nic.

Może potrzebowali odrobiny motywacji. Nie miałem wątpliwości, że ruszyliby tyłek, gdyby rosyjska operacja została odpowiednio nagłośniona, zadbałem więc, żeby zainteresować sprawą redakcje „New York Timesa”, „Washington Post”, „Wall Street Journal”, CNN, „Business Insidera” i kilka innych. Żadna nie podjęła tematu.

Nie rozumiałem dlaczego. Przez całe lato 2016 roku bez przerwy odbierałem od dziennikarzy telefony z pytaniami o rosyjskie wpływy w Waszyngtonie. Kandydatem republikanów w wyborach prezydenckich został Donald Trump, który nie ukrywał swojej sympatii dla Putina. Nie dość, że Trump osobiście prowadził niejasne interesy z Moskwą, to jeszcze w jego sztabie wyborczym pracowało wielu ludzi o niewyjaśnionych powiązaniach z Rosją. Media mówiły tylko o tym.

Nasze zawiadomienie nie miało oczywiście związku z Trumpem, dotyczyło konkretnej historii o rosyjskich działaniach w Waszyngtonie. Pytałem dziennikarzy, dlaczego nie podejmują tematu. Odpowiadali, że to w ogóle nie jest temat, dopóki nie zostanie wszczęte postępowanie, albo że chodzi o mało znane osoby, które nikogo nie interesują.

Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że nie o to chodzi. Czułem, że dzieje się coś innego. Postanowiłem zagadnąć brytyjskiego dziennikarza, który wcześniej powiedział mi o Simpsonie, i sprawdzić, czy czegoś nie wie.

– Znów sprawa rozbija się o Glenna – odpowiedział. – Aż dziwne, że się nie zorientowałeś, Bill.

– Widocznie rozmawiałem z niewłaściwymi ludźmi – stwierdziłem.

– No cóż... Glenn ustawił się w samym centrum wymiany wiadomości na temat Rosji i Trumpa. Jego zespół zebrał mnóstwo informacji o Trumpie i wszystkie redakcje praktycznie leżą przed nim plackiem, mając nadzieję, że rzuci im jakiś ochłap. Nikt go teraz nie tknie. Kropka. A to znaczy, że nikt nie tknie też twojej historii.

Chociaż nie chciałem tego przyznać, znalazłem się w ślepej uliczce. Departament Sprawiedliwości nie podejmował śledztwa, a sprawa złamania przepisów o rejestracji zagranicznych agentów nie ujrzała światła dziennego, jeśli nie liczyć krótkiego i prawie nieczytanego tekstu Politico, w jednym z newsletterów internetowych.

Mimo wszystko tej jesieni odnieśliśmy też wielkie zwycięstwo. W połowie października, gdy odbierałem ze szkoły swojego najmłodszego syna, Noaha, odczytałem e-mail z Nowego Jorku od Jacoba Buchdahla.

Sąd apelacyjny ogłosił wyrok w sprawie dyskwalifikacji.

Wygraliśmy. Prawomocnie.

Otworzyłem załącznik. Sąd w trzyosobowym składzie nie przebiegał w słowach. Sędziowie uznali, że okoliczności naszej sprawy „naprawdę są nadzwyczajne”, i przyznali, że groziło mi realne niebezpieczeństwo ze strony rosyjskiego rządu. Potwierdzili też, że miałem wszelkie prawo oczekiwać od swoich byłych prawników chronienia tajemnic, które im powierzyłem w związku ze sprawą. Z tych wszystkich względów sędziowie polecieli, aby sąd okręgowy „wykonał zarządzenie dyskwalifikujące Johna Moscowa i BakerHostetler”.

Stałem na środku chodnika, chociaż Noah wciąż szedł naprzód w podskokach. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Wreszcie miałem z głowy Johna Moscowa i kancelarię BakerHostetler.

ROZDZIAŁ 32

Dossier

Jesień 2016

Ósmego listopada 2016 roku Wadim i ja siedzieliśmy w pociągu Eurostar do Paryża. Jechaliśmy na spotkanie z Renaudem Van Ruymbeke, francuskim sędzią śledczym, który nadzorował zamrożenie aktywów należących do Rosjanki aresztowanej w Saint-Tropez w 2015 roku.

Od czasu aresztowania Van Ruymbeke znacząco zwiększył zakres śledztwa w tej sprawie, dlatego niecierpliwie czekałem na nasze spotkanie, ale nad wszystkim wisiała ciemna chmura: wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych odbywały się tego samego dnia.

Według badania opinii publicznej przeprowadzonego przez renomowaną firmę Donald Trump miał niewielką szansę na wygraną, gdyby jednak mu się udało, byłaby to dla mnie katastrofa. Przez całą kampanię bezwstydnie chwalił Putina i przewidywał, jak „miło” się ułożą stosunki między nimi. Ponieważ Trump podkreślał, że jest człowiekiem interesu, a Putin od lat próbował mnie dorwać w swoje łapy, bez trudu mogłem sobie wyobrazić jakiś podejrzany zakulisowy układ, na mocy którego zostanę przekazany Rosjanom.

Nikt nie umiał wyjaśnić, dlaczego Trump jest tak przychylny Putinowi. Nie zyskiwał głosów dzięki takiej postawie. Większość Amerykanów negatywnie postrzega Rosję, zwłaszcza Putina. Nie zapewniał też sobie przychylności elit republikanów, które od dziesięcioleci były wobec Rosjan bardziej jastrzębie niż demokraci.

Na pierwszy rzut oka wydawało się więc, że Trump działa irracjonalnie, przez lata w branży inwestycyjnej nauczyłem się jednak, że niemal każde działanie da się wytłumaczyć za pomocą logicznego rozumowania. Jeśli

czyjeś zachowanie wydaje się nam nieracjonalne, zazwyczaj brakuje nam jakiejś informacji na dany temat.

Od początku kampanii wyborczej spekulowano, jaka jest ta brakująca informacja. Nie miałem dostępu do żadnych wieści z pierwszej ręki na temat kontaktów Trumpa z Rosją, w połowie września dotarła do mnie jednak pogłoska, która wówczas nie była powszechnie znana.

Przekazał mi ją niejaki Cody Shearer, działacz polityczny powiązany z Clintonami, który swego czasu dostał mój numer od swojego brata, Dereka, byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Finlandii i mojego znajomego. Nie miałem pojęcia, jak Cody zarabiał na życie, ale podczas każdej z naszych kilku rozmów wspominał o tajemniczych rosyjskich źródłach w FSB, wysoko postawionych agentach amerykańskiego wywiadu i innych potajemnych kontaktach w całej Europie. Był barwną postacią.

– Bill – zaczął chropawym głosem – mam naprawdę niepokojące informacje z Moskwy, dlatego dzwonię po ludziach, żeby sprawdzić, czy mogą być prawdziwe.

– Co to za informacje? – zaciekałem się.

– Źródło w FSB twierdzi, że od osiemdziesiątego siódmego roku Rosjanie zbierają nagrania Trumpa z kobietami. Mają tego całe tony. I to nie są miłe filmiki.

Cody zadzwonił mniej więcej miesiąc przed wybuchem skandalu, który prasa ochrzciła mianem Pussygate10, ale nawet po upublicznieniu tej sprawy byłem pewien, że życie seksualne Trumpa nikogo nie obchodzi. Trzy razy się żenił, miał wiele partnerek i reputację faceta, który goni za wszystkim, co na drzewo nie ucieka. Ludzie doskonale o wszystkim wiedzieli.

– I co z tego? – zapytałem.

– Nie rozumiesz. Nie chodzi o sam seks. Na nagraniach są perwersje. To mocna rzecz.

– Widziałeś te nagrania?

– Nie – przyznał.

– Więc skąd wiesz, że w ogóle istnieją? FSB ciągle szerzy dezinformację.

– Wszystko, co dotychczas miałem z tego źródła, się potwierdzało.

Niewiele wiedziałem o Codym. Jego historia pachniała skandalem, a ponieważ był powiązany z Clintonami, miał interes w rozpowszechnianiu tego rodzaju historii. Nie chciałem w tym uczestniczyć.

– Przykro mi, ale nic takiego do mnie nie dotarło – stwierdziłem.

Dzień wyborów się zbliżał. Mimo sceptycznego nastawienia nie umiałem wymazać z pamięci tego, co powiedział mi Cody. Nie dało się przecież wykluczyć, że w tej pogłosce nie ma ziarnka prawdy, gdyby więc Trump wygrał, Putin mógłby teoretycznie szantażować prezydenta Stanów Zjednoczonych. To robiłoby z Trumpa mandżurskiego kandydata.

Nietrudno się domyślać, co oznaczałoby to dla wrogów Putina na Zachodzie.

O tym wszystkim myślałem w drodze do Paryża 8 listopada. „New York Times” dawał Trumpowi zaledwie piętnaście procent szans na zwycięstwo, co nie powstrzymało mnie przed kompulsywnym sprawdzaniem Twittera w poszukiwaniu wpisów, które pozwoliłyby określić, z której strony wieje wiatr.

Miałem złe przeczucia, zresztą chyba nie ja jeden. Pięć miesięcy wcześniej bardzo się pomyliłem w sprawie referendum na temat brexitu. Każdy, kogo znałem, był przekonany, że ludzie wybiorą pozostanie Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej. Sondażownie też tak twierdziły. Nikt z nas nie miał pojęcia, jak wielką nienawiść część ludzi w głębi Anglii żywiła do Brukseli ani jak wielki był strach przed utratą pracy na rzecz imigrantów.

Czułem, że coś podobnego wydarzy się w Stanach Zjednoczonych. Tam wygrana Trumpa mogłaby się stać odpowiednikiem brexitu.

Na Gare du Nord wysiedliśmy o osiemnastej, przejechaliśmy do hotelu i wyszliśmy na kolację. Byłem tak rozkojarzony, że nie mogłem się skupić na przygotowaniach do czekającej nas rozmowy. Po kolacji wróciłem do pokoju i znów sprawdziłem wiadomości. Nadal nic. Ze względu na różnicę czasu nowe wyniki mogły się pojawić późno w nocy. Zmuszałem się, żeby zasnąć, ale o piątej rano nie wytrzymałem.

Sięgnąłem po telefon i okazało się, że Trump właśnie wygrał na Florydzie. Szlag! Kilka minut później wziął też Karolinę Północną.

Włączyłem telewizor. Z coraz większą obawą patrzyłem, jak Trump wygrywa w kolejnych stanach. O siódmej trzydzieści pięć ogłoszono jego zwycięstwo w Pensylwanii, godzinę później w Wisconsin. I to wystarczyło. Trump został prezydentem elektem Stanów Zjednoczonych.

Wydarzyło się coś nie do pomyślenia.

Chwilę później odebrałem e-mail od swojego brata, Toma. „Nie przyjeżdżaj do Ameryki – ostrzegał. – Nie jesteś tu bezpieczny”. Podobne

wiadomości wpadały do skrzynki co chwila. Musiałem użyć całej siły woli, żeby pójść na spotkanie z francuskim sędzią.

Weszliśmy do biura Renauda Van Ruymbeke niedaleko gmachu opery. Własne myśli zaabsorbowały mnie do tego stopnia, że pozwoliłem Wadimowi przejąć inicjatywę podczas rozmowy. Po jej zakończeniu wsiedliśmy do taksówki i kazaliśmy kierowcy jechać na Gare du Nord. Całą drogę telefonowałem do przyjaciół w Stanach Zjednoczonych. Wszyscy powtarzali mi tę samą wiadomość: „Masz przejebane”.

Obawiałem się, że mają rację, ale może i oni, i ja podchodziliśmy do tego zbyt emocjonalnie. Postanowiłem zasięgnąć informacji u znajomych należących do republikańskiego establishmentu, którzy z pewnością mieli spokojniejsze głowy. Najpierw zadzwoniłem do Kena Hersha, mojego kolegi jeszcze z czasów wspólnych studiów ekonomicznych na Stanfordzie i wieloletniego partnera pokerowego, który obecnie kierował George W. Bush Presidential Center w Dallas.

– Trump to nie jest prawdziwy republikanin. Nigdy nim nie był – powiedział Ken. – Chciałbym dodać ci otuchy, Bill, ale nie mogę. Nie mam pojęcia, co ten facet zrobi, gdy obejmie urząd.

Później zadzwoniłem do Johna Ashcrofta, byłego prokuratora generalnego i dawnego szefa Juleanny, który doradzał Trumpowi podczas kampanii. Miałem nadzieję, że będzie wiedział coś więcej niż Ken. Niestety on też niewiele mógł powiedzieć o zamiarach Trumpa.

W pociągu próbowałem się uspokoić. Ameryka nadal przecież była państwem prawa, w którym ludzi takich jak ja nie da się po prostu zgarnąć na ulicy. Za nowych rządów to się mogło zmienić... Po zastanowieniu zdałem sobie sprawę, że mam tylko jedną możliwość: czekać i na bieżąco sprawdzać, jak zła jest sytuacja. Gdyby się okazało, że amerykańskie instytucje przestają funkcjonować, mógłbym po prostu podjąć radykalną decyzję i nie odwiedzać Stanów Zjednoczonych do końca prezydentury Trumpa.

Z ustawą Magnitskiego sprawa miała się inaczej. Przepisy, o których przyjęcie tak długo walczyłem, zostały zagrożone. Co prawda Trumpowi byłoby trudno uchylić samą ustawę, bo to musiałby uchwalić Kongres, ale jako prezydent mógł z łatwością odmówić dodawania nowych nazwisk do Listy Magnitskiego albo – co gorsza – usuwać już na nią wpisane.

Odchodząca administracja Obamy miała podobne obawy. Po zwycięstwie Trumpa, lecz przed jego inauguracją, na Liście Magnitskiego znalazło się

pięć nowych nazwisk, wśród nich Andriej Pawłow, który od początku był jednym z naszych ważniejszych celów. Odegrał centralną rolę w niemal wszystkim, co się wydarzyło, od aranżowania wyroków sądowych, dzięki którym możliwa była kradzież dwustu trzydziestu milionów dolarów, po wspieranie Dmitrija Klujewa w Monako i straszenie Aleksandra Pierieplicznego. Dotychczas udawało mu się unikać naszego radaru, bo nie pełnił żadnej funkcji we władzach ani nie miał barwnej kryminalnej przeszłości.

Odchodząca administracja doprowadziła też do końca procedurę uchwalenia Globalnej ustawy Magnitskiego i prezydent Obama podpisał ją 23 grudnia. Wysiłki Putina, żeby ją udaremnić albo usunąć z niej nazwisko Siergieja, spełzły więc na niczym.

Rząd Stanów Zjednoczonych wprowadził też nowy pakiet sankcji i wydalili dziesiątki rosyjskich dyplomatów w reakcji na ingerencję Rosji w przebieg wyborów prezydenckich. Ilekroć Waszyngton robi coś takiego, Moskwa podejmuje działania odwetowe. Ogłaszacie sankcje przeciwko naszym ludziom? To my obłożymy sankcjami waszych. Wydalacie rosyjskich dyplomatów? My każemy się pakować takiej samej liczbie waszych ludzi.

Ale nie tym razem. Jakby Rosjanie wiedzieli coś, o czym nie wiedziała reszta z nas. Właśnie wtedy zacząłem się naprawdę martwić, że Cody się nie mylił. Może Putin faktycznie miał coś na Trumpa i od 20 stycznia 2017 roku amerykański prezydent rzeczywiście znajdzie się pod jego kontrolą?

Im bliżej inauguracji, tym mniej przesadzona wydawała mi się ta niewyobrażalna interpretacja. W Waszyngtonie bez przerwy mówiono o kompromitującym dossier dokumentującym powiązania Trumpa z Rosjanami. Na początku stycznia to dossier znalazło się w rękach FBI, kilku członków Kongresu i niemal każdej dużej redakcji w Stanach Zjednoczonych. Prasa donosiła o jego istnieniu, choć żadne medium nie zdecydowało się na publikację, ponieważ nie dało się go zweryfikować. Mimo to ludzie traktowali sprawę poważnie. Co więcej, raport FBI na ten temat otrzymali prezydent Obama i prezydent elekt Trump.

Potem nagle późnym wieczorem 10 stycznia, gdy leżałem już w łóżku, przeglądając doniesienia agencyjne, portal BuzzFeed wyłamał się i opublikował dossier w całości. Kliknąłem link do pliku PDF i zacząłem czytać. Był to opracowany przez eksagenta brytyjskiego wywiadu trzydziestopięciostronicowy dokument, z którego wynikało, że rosyjska

służba bezpieczeństwa dysponuje kompromitującym nagraniem, na którym Trump ogląda prostytutki robiące złoty deszcz w apartamencie prezydenckim moskiewskiego hotelu Ritz-Carlton. Brytyjski agent twierdził też, że w zamian za uchylenie amerykańskich sankcji Trump i jego współpracownicy otrzymaliby dziewiętnaście procent akcji największego rosyjskiego przedsiębiorstwa naftowego Rosneft (udział ten byłby wówczas wart trzynaście miliardów dolarów). Na koniec padało stwierdzenie, że Kreml urabiał Trumpa jako swojego agenta od dziesięcioleci. I to tylko główne tezy. Lektura dokumentu wprawiała w osłupienie.

Ta historia zawierała wszystko: seks, pieniądze, szpiegów i spiski. Najbardziej uderzył mnie fakt, że dossier zdawało się potwierdzać nieprawdopodobną wiadomość Cody'ego.

Powiedzieć, że ujawniony przez BuzzFeed dokument wprawił mnie w doskonały humor, to mało. Nawet jeśli byłby prawdziwy tylko w jednej dziesiątej, i tak powinien powstrzymać zaprzysiężenie Trumpa.

Następnego dnia zawiozłem Jessicę, swoją córkę, do Hampstead na przyjęcie urodzinowe i zaraz potem odebrałem telefon od brytyjskiego dziennikarza, który jako pierwszy powiedział mi o Glennie Simpsonie.

Uśmiechnąłem się.

– Dossier to wspaniała wiadomość, nie uważasz?

– Owszem, jest interesujące, jeśli to prawda.

– Myślisz, że nie?

– Mam wątpliwości. Wiesz, kto stoi za tym dossier?

– Chris Steele – podałem nazwisko byłego agenta MI6, który został wymieniony jako autor opublikowanego dokumentu.

– Nie, chodziło mi o to, kto stoi za nim. Otóż jest to Glenn Simpson.

– Glenn Simpson!?! – Stałem jak wryty. – Jaja sobie robisz?

– Nie, mówię poważnie.

Poczułem się, jakbym dostał obuchem w łeb. Skoro za publikacją dokumentu stał Simpson, musiałem założyć, że dossier nie było wiarygodne. Dla pieniędzy ten człowiek ochoczo rozpowszechniał sfabrykowane przez rosyjski rząd informacje na temat mój i Siergieja w kampanii przeciwko ustawie Magnitskiego. Co powstrzymałoby go przed zrobieniem czegoś podobnego w stosunku do Trumpa za znacznie większe pieniądze?

Nic.

Jeszcze bardziej przerażający był fakt, że Simpson rozpowszechniał kompromitujące Trumpa informacje w czasie, gdy pracował dla Weselnickiej i Rosjan.

To miało wielkie znaczenie. Wiedzieliśmy na pewno, że Putin chciał w Białym Domu Trumpa, a nie Hillary Clinton. Wiedzieliśmy też, że ujawnione informacje, prawdziwe czy nie, mogły nawet kosztować Trumpa prezydenturę. Należało też założyć, że Rosjanie najprawdopodobniej wiedzieli o istnieniu tego dokumentu od początku jego powstawania.

Najłatwiejszym sposobem, w jaki Rosjanie mogliby zmniejszyć siłę oddziaływania kompromitującego dossier, byłoby celowe umieszczenie w nim dezinformacji. Do treści oryginalnego raportu włączono by kilka rzekomych faktów, którym z czasem można zadać kłam. W ten sposób Rosjanie i – nieprzypadkowo – sam Trump mogliby później twierdzić, że skoro one są fałszywe, cała reszta też nie jest prawdą, nawet gdyby znalazły się jakieś dowody. Oni sami i ich rzecznicy wrzeszczeliby „FAKE NEWS!”, wskazując na dodane do dossier elementy. I trzeba by było przyznać im rację.

(Właśnie tak postąpił Trump, gdy 10 stycznia 2017 roku opublikował na Twitterze wpis: „FAKE NEWS – TOTALNE POLITYCZNE POLOWANIE NA CZAROWNICE!”).

To stworzyło niebezpieczną sytuację dla oponentów Trumpa. Jego przeciwnicy bardzo chcieli wierzyć, że informacje zawarte w dossier są prawdziwe (podobnie jak nierozsądnie uwierzyłem w to ja), tyle że jeśli opór wobec Trumpa częściowo opierał się na sfalszowanym dokumencie, to z czasem musiał zmaleć, by ostatecznie zaniknąć.

Tymczasem Trump, tak samo jak w przypadku wszystkich innych oskarżeń wysuwanych przeciwko niemu, przeczekał burzę i dziewięć dni później został zaprzysiężony. Oglądając inauguracyjne wystąpienie na Kapitolu, miałem wrażenie, że słowa większości jego zagorzałych krytyków były prorocze: Putin zainstalował swojego człowieka w Białym Domu.

I wiedziałem, że mam przed sobą długie, potencjalnie niebezpieczne cztery lata.

ROZDZIAŁ 33

Akta Chlebnikowa

Zima–wiosna 2017

Zagrożenie związane z Trumpem miało dwa źródła. Przede wszystkim on sam mógł się dogadać bezpośrednio z Putinem, żeby wydać Rosji mnie albo któregoś z moich kolegów. Poza tym sama jego obecność w Białym Domu ośmielała Putina i jemu podobnych dyktatorów do podejmowania dowolnych działań bez strachu przed konsekwencjami lub potępieniem.

Jednym z pierwszych ludzi w naszej orbicie, którzy na własnej skórze się przekonali, jaką groźbę stwarza ta nowa sytuacja, stał się Nikołaj Gorochow, prawnik rodziny Magnitskich.

Nikołaj pracował dla Magnitskich w Rosji od 2011 roku. Jako dawny prokurator doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, które to na niego sprowadzało, ale był z tej samej gliny co Siergiej. Uważał, że jego obowiązkiem jest pociągnięcie do odpowiedzialności morderców Siergieja.

Żeby w pełni zdać sobie sprawę, jak niebezpieczny stał się świat, musimy wrócić do 2015 roku, gdy Nikołaj został kluczowym świadkiem rządu Stanów Zjednoczonych w procesie przeciwko Prevezonowi.

W tamtym czasie Prokuratura Stanów Zjednoczonych dla Dystryktu Południowego Nowego Jorku napotkała poważną przeszkodę w sprawie. Żeby wygrać, musiała znaleźć twarde dowody, że ukradzione pieniądze wyszły z Rosji i przez sieć banków w różnych krajach trafiły do Nowego Jorku. Z naszej bazy danych dostarczyliśmy im całe ryzy wydruków transakcji w rosyjskich bankach, ale Paul Monteleoni i jego zespół uznali, że mają one walor informacyjny, nie dowodowy, dlatego nie zostaną dopuszczone w sądzie.

Normalnie prokuratorzy Stanów Zjednoczonych sięgają po międzynarodową pomoc prawną, dzięki której uzyskują dowody od swoich odpowiedników w innych krajach. Tak się stało i tym razem. Prokuratura wystosowała formalną prośbę do sześciu krajów, w tym Estonii, Łotwy i Cypru. Współpracę zadeklarowały wszystkie oprócz jednego: Rosji.

Bez rosyjskich dowodów Stany Zjednoczone nie mogłyby odpowiednio udokumentować przepływu gotówki i sprawa by upadła. Na to właśnie liczyli Rosjanie, kiedy odmówili ich udostępnienia.

Ale pojawił się Nikołaj. Zdał sobie sprawę, że rosyjskie władze nadzorujące tuszowanie przestępstwa popełniły poważny błąd, gdy oficjalnie uznały Siergieja za jednego ze sprawców kradzieży dwustu trzydziestu milionów dolarów. Jak pamiętamy, Rosjanie najpierw próbowali rzucić winę na kilku nieboszczyków, potem zaś postanowili dokooptować do oskarżonych żyjącego recydywistę Wiaczesława Chlebnikowa, który przyznał się do popełnienia przestępstwa, żeby uprawdopodobnić postępowanie sądowe. Najwyraźniej jednak zapomnieli, że z chwilą gdy Chlebnikow wskazał Siergieja jako współsprawcę, Nikołaj zyskał prawo wglądu do akt sprawy jako adwokat rodziny Magnitskich.

Nikołaj złożył więc wniosek o udostępnienie mu akt – sąd odmówił. Wystąpił ponownie. Kolejna odmowa. Napisał jeszcze raz. Znowu nic. Nikołaj zdawał sobie sprawę, że w rosyjskim systemie prawnym panuje korupcja, i dobrze wiedział, że nie zawsze działa ona tak samo skutecznie. Próbował więc dalej. Za dwunastym razem trafił na sędziego, który mechanicznie zastosował prawo i przychylił się do wniosku.

Z natury skryty Nikołaj nie okazał ekscytacji. Spokojnie podziękował sędziemu i poszedł do sekretariatu, żeby zamówić akta. Zamówienie zrealizowano i trafiła do niego najobszerniejsza chyba dokumentacja, jaką widział w swojej karierze sądowej: dziewięćdziesiąt cztery tomy, każdy liczący około trzystu stron.

Przeglądając akta, zdał sobie sprawę, że rosyjskie władze popełniły kolejny poważny błąd. By uwiarygodnić swoje matactwo, dołączyły dowody w postaci potwierdzeń autentycznych przelewów bankowych, które zlecano na terytorium Rosji. Gdyby te dowody ujrzały światło dzienne, uniewinniłyby Siergieja i zdemaskowały prawdziwych sprawców zarzucanego mu przestępstwa (nie mówiąc o wewnętrznych mechanizmach rosyjskiego systemu prania brudnych pieniędzy).

Nikołaj musiał zdobyć kopię tych akt.

Zdawał sobie sprawę, jaki ogrom pracy go czeka, sprowadził zatem ze Stanów Zjednoczonych cyfrowy aparat marki Pentax i kupił specjalny statyw, który pozwalał skierować obiektyw pionowo w dół na blat stołu. Aparat nie miał zdalnego wyzwalacza, ale Nikołaj zrobił go sam, bo lubił majsterkować. Sprawdził w domu, czy wszystko działa, wrócił do sądu i dzień w dzień po osiem godzin fotografował w wysokiej rozdzielczości każdą stronę otrzymanych akt. Spodziewał się, że lada moment ktoś wejdzie i każe mu przestać, pracował więc najszybciej, jak potrafił. Po trzech tygodniach sfotografował całość. Jego zdobycz liczyła około dwudziestu siedmiu tysięcy zdjęć na siedmiu kartach SD.

Znajdowały się na nich między innymi informacje, które rosyjski rząd powinien był przesłać Amerykanom, gdy nowojorska prokuratura wystąpiła z wnioskiem o międzynarodową pomoc prawną. Paul Monteleoni, kiedy dowiedział się o sfotografowanych aktach, poprosił o dostęp do nich.

Nikołaj walczył dla Siergieja i jego rodziny od lat, mimo to nie mógł się pochwalić efektami. Zdał sobie sprawę, że postępowanie amerykańskiej prokuratury federalnej może się okazać jedną z niewielu szans na sprawiedliwość dla rodziny Magnitskich, zgodził się więc pomóc.

Nie dało się jednak po prostu wysłać plików mailem i mieć tego z głowy. Żeby sąd uznał łańcuch dowodowy, Nikołaj musiał się poddać rygorystycznej procedurze prawnej. Na zaproszenie Paula przyjechał do Londynu, gdzie w siedzibie ambasady amerykańskiej spotkał się z agentami Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Agenci przesłuchali go, wykonali kopie kart pamięci i odebrali pisemne oświadczenie o pochodzeniu sfotografowanych plików.

Później Paul zaprosił Nikołaja do Nowego Jorku, żeby złożył zeznanie pod przysięgą. To oznaczało, że adwokat Magnitskich będzie musiał odpowiedzieć na pytania obrońców Prevezonu, którymi wówczas jeszcze byli John Moscow i Mark Cymrot z kancelarii BakerHostetler.

Gdyby przeciętnego Rosjanina poproszono, żeby zeznawał jako świadek Stanów Zjednoczonych przeciwko Rosjanom oskarżonym o pranie brudnych pieniędzy, uciekałby gdzie pieprz rośnie. Nikołaj nie był przeciętnym Rosjaninem.

Zgodził się.

Żeby chronić świadka, prokuratura usunęła jego nazwisko ze wszystkich akt sądowych, utajniła każdy dokument, który o nim wspominał, i nazywała go wyłącznie „świadek-1”. Zażądała też, żeby kancelaria

BakerHostetler oraz Denis Kacyw i Natalia Weselnicka podpisali rygorystyczne zobowiązanie do zachowania poufności. Na papierze wszystko wyglądało dobrze, lecz dotychczasowe postępowanie naszych oponentów nasuwało obawy, że nie dotrzymają słowa. Potencjalne konsekwencje takiego zachowania były nie do przewidzenia.

Rozumiejąc to ryzyko, Paul zaproponował, żeby Nikołaj i jego bliscy przyjechali do Nowego Jorku, gdzie pod opieką rządu federalnego mieszkaliby do czasu złożenia przez niego zeznań. Chociaż samo przesłuchanie trwa co najwyżej siedem godzin, przepychanki prawne, które je poprzedzają, mogą się ciągnąć całymi tygodniami albo nawet miesiącami, jak było w moim przypadku. Dlatego Paul nie chciał, żeby w tym czasie Nikołaj oraz jego rodzina przebywali w Moskwie narażeni na niebezpieczeństwo.

Julia, żona Nikołaja, i Diana, jego trzynastoletnia córka, wyruszyły pierwsze. Przyleciały do Nowego Jorku w sierpniu 2015 roku. Na lotnisku czekała na nie mówiąca po rosyjsku funkcjonariuszka Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, która zawiozła je do mieszkania z widokiem na rzekę Hudson w Hoboken w stanie New Jersey. Dwa tygodnie później przyleciał Nikołaj i wówczas cała rodzina przeniosła się do bezpiecznego rządowego mieszkania w Upper West Side na Manhattanie.

W Nowym Jorku rodzina Gorochowów poczuła się bezpiecznie. Nikołaj spędzał całe dnie w prokuraturze, Diana poszła do gimnazjum numer 256, gdzie chłoneła angielski niczym gąbka. Jeden z opiekujących się Gorochowami funkcjonariuszy, Aleksander Schwartzman, miał czarny pas aikido i zapisał Dianę na zajęcia w miejscowym dojo. Tymczasem Julia, która nigdy wcześniej nie była w Stanach Zjednoczonych, uznała ten pobyt za przedłużone wakacje: zwiedzała miasto i robiła zdjęcia.

We wrześniu ich szczęście zakłócił telefon od matki Julii. Podczas rutynowych odwiedzin w pustym moskiewskim mieszkaniu Gorochowów stwierdziła ona, że doszło do włamania. Raczej nic nie zginęło, ale z pewnością ktoś wszedł do środka. Wszystko pokrywała cieniutka warstwa kurzu – oprócz klawiatury komputera Nikołaja, którą ktoś starannie wytarł. Intruzi zrobili też sobie herbatę, bo na stole w salonie zostały dwie niedopite filiżanki. To było jak wizytówka FSB.

Julia i Nikołaj nie mogli się nie martwić po czymś takim, ale Nikołaj postanowił trzymać się planu.

Pierwszego października, dwa miesiące po przyjeździe do Nowego Jorku, Nikołaj złożył zeznanie. Musiał stawić czoła Johnowi Moscowowi. Weselnicka oglądała transmisję internetową z Moskwy. Od razu na początku John Moscow próbował się dowiedzieć, gdzie Nikołaj i jego rodzina zatrzymali się w Nowym Jorku.

Nikołaj odmówił odpowiedzi.

Później John Moscow zapytał, kto przebywa z Nikołajem w Nowym Jorku i czy korzystają z całodobowej ochrony. Nikołaj znów nie odpowiedział.

Wtedy John Moscow zapytał o datę powrotu do Rosji. To pytanie też pozostało bez odpowiedzi.

Ciągnęło się tak kilka godzin. Nikołaj bronił się przed coraz nowymi pytaniami Johna Moscowa. To bandyckie zachowanie mogłoby poskutkować w przypadku kogoś o słabszym charakterze, nie zrobiło natomiast wrażenia na Nikołaju, który na co dzień miał do czynienia ze znacznie bardziej przerażającymi ludźmi.

Pytania Moscowa zajęły większą część tego dnia, dlatego prokuratura zaczęła następnego ranka. Paul zadawał pytania tak, żeby rozwiać ewentualne wątpliwości sądu dotyczące rzetelności dowodów. Po zakończeniu miał wszystko, czego potrzebował, a prawnicy z BakerHostetler nie mogli się powoływać na brak możliwości podważenia przedstawianych przez Nikołaja materiałów.

Gdyby teraz cokolwiek złego przydarzyło się Nikołajowi, sąd i tak uwzględniłby jego zeznania. Nikołaj zdawał sobie sprawę, że mimo to ktoś mógłby chcieć go ukarać za współpracę z amerykańską prokuraturą, ale tym nie zmieniłby już wyniku procesu.

Stany Zjednoczone były dla Gorochowów obcym krajem, dlatego chcieli wracać do domu. Pod koniec października, z wdzięcznością żegnani przez prokuratorów, wsiedli na pokład samolotu do Moskwy.

Po powrocie Nikołaj i Julia podjęli pracę, Diana wróciła do szkoły. Powoli ich życie wracało na normalne tory. O podróży do Nowego Jorku z czasem zaczęli myśleć jak o pięknym śnie.

Ryzyko, które podejmował Nikołaj, stało się jeszcze większe na początku 2017 roku, gdy dokonał kolejnego ważnego odkrycia. Dotarł do kilku e-maili, z których wynikało, że Andriej Pawłow ustalał z funkcjonariuszami

Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jak zatuszować udział przedstawicieli władzy w wyłudzeniu dwustu trzydziestu milionów dolarów. Nikołaj uznał, że ujawnienie tej korespondencji podważy jeden z filarów fałszywej narracji rosyjskiego rządu – jakoby policja nie miała z popełnieniem tego przestępstwa nic wspólnego.

Zdobyte e-maile miał przedstawić rosyjskiemu sędziemu podczas posiedzenia 22 marca 2017 roku. Ale do sądu nie dotarł.

Po południu 21 marca Julia odebrała telefon od spanikowanej córki.

– Mamo, tata spadł z dachu – poinformowała dziewczynka roztrzęsionym głosem.

Gorochowowie mieszkali na ostatnim piętrze pięciokondygnacyjnego budynku w Moskwie, co znaczyło, że Nikołaj spadł z wysokości ponad piętnastu metrów.

Julia wiedziała, że Nikołaj zamierza wejść tego dnia na dach, żeby wciągnąć do mieszkania jacuzzi i materiały budowlane do remontu łazienki. Miał do tego wykorzystać wciągarkę, której regularnie używał, ilekroć chciał dostarczyć do mieszkania coś ciężkiego. Zawsze było bezpiecznie.

Julia próbowała wydobyć od Diany coś więcej, ale dziewczynka była tak zrozpaczona, że ledwie mówiła. Julia rozłączyła się i zadzwoniła pod numer 112 z pytaniem, czy mają informacje o upadku z dachu budynku. Chociaż Moskwa jest wielką metropolią o populacji mniej więcej równej liczbie ludności Nowego Jorku, dyspozytor odpowiedział:

– Tak, mamy mężczyznę, który odpowiada temu opisowi. Został przewieziony śmigłowcem do szpitala Botkina.

Julia dodzwoniła się do szpitala i uzyskała potwierdzenie, że Nikołaj faktycznie tam leży. Nie chcieli jednak powiedzieć jej nic więcej.

Wybiegła zatem z pracy i metrem pojechała prosto do szpitala. Na miejscu znalazła izbę przyjęć i zdyszana zapytała, czy może zobaczyć męża.

Napotkała mur nie do przebiccia, podobnie jak wcześniej Jewgienija Karamura. Dowiedziała się tylko, że Nikołaj trafił na SOR. Kazano jej przejść do poczekalni przy recepcji. Ponieważ stamtąd nie widziałyby korytarza łączącego szpitalny oddział ratunkowy z windami do transportu chorych na wyższe piętra i nie wiedziałyby, kiedy przeniosą jej męża na inny oddział, postanowiła usiąść na podłodze w korytarzu i czekać.

Cztery godziny później skoczyła na równe nogi, bo pielęgniarze wywieźli Nikołaja na noszach. Miał otwarte oczy, a właściwie prawe oko, bo lewe

było opuchnięte i zaklejone gazą. Całą lewą stronę głowy pokrywały siniaki i rany.

Julia wypowiedziała jego imię. W odpowiedzi Nikołaj tylko jęknął. Błagała sanitariuszy, żeby zatrzymali się na chwilę i pozwolili jej porozmawiać z mężem. Zignorowali ją i wepchnęli nosze do windy, gestem uniemożliwiając jej pójście za nimi.

Julia została w szpitalu jeszcze przez dwie godziny. Nie wiedziała, co robić. Błagała pielęgniarki i recepcjonistki o jakieś informacje. Powiedziały jej tylko, że Nikołaja przyjęto na oddział intensywnej opieki medycznej, a godziny odwiedzin się skończyły i żeby go zobaczyć, musi wrócić następnego dnia. Około dwudziestej drugiej przyjaciół rodziny odebrał ją ze szpitala i zawiózł do domu. Przez całą noc nie zmrużyła oka.

O świcie, gdy w końcu udało jej się zasnąć, obudził ją telefon. Dzwonił niejaki Ilja. Prawie go nie znała i potrzebowała chwili, żeby skojarzyć, z kim rozmawia. To był kolega Nikołaja ze studiów, którego przez wszystkie te lata kilka razy widziała gdzieś w przelocie.

Ilja przedstawił się, po czym stwierdził:

– Spodziewałaś się tego, prawda? – Jego głos był szorstki i pozbawiony współczucia.

– To znaczy czego?

– No tego, co się stało z Nikołajem... A właściwie, jak on się czuje? – zainteresował się od niechcienia.

– Niedobrze. Jest na OIOM-ie.

– Zamierzasz złożyć zawiadomienie na policję?

W tamtym momencie to była chyba ostatnia rzecz, o której by pomyślała.

– Yy... Nie wiem.

– Nie radziłbym. Dopóki jest w szpitalu, wszystko może się zdarzyć.

Jego słowa zabrzmiały jak groźba. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc wydusiła z siebie:

– Dziękuję. Muszę kończyć. – Rozłączyła się.

Próbując wymazać Ilję z pamięci, wstała, zrobiła herbatę i pomogła Dianie naszykować się do szkoły. Kilka godzin później wróciła do szpitala.

W recepcji znów usłyszała odmowę.

– Nie może pani odwiedzić pacjenta.

– Dlaczego?

– Jest nieprzytomny.

– I co z tego?

– Przykro mi, ale nie może pani go odwiedzić – powtórzyła kobieta.

Co to za szpital, który nie pozwala żonie zobaczyć jej własnego męża po wypadku? – myślała Julia. Chodziła od ściany do ściany po poczekalni w nadziei, że Nikołaj odzyska przytomność albo lekarze zmienią zdanie. Nie stało się ani jedno, ani drugie. Wyszła ze szpitala zrozpaczona tuż po piętnastej, zaraz po zakończeniu pory odwiedzin.

Tamtego wieczoru zadzwonił do niej przyjaciel męża, Aleksander. Pytał, w jakim stanie jest Nikołaj i czy ona czegoś nie potrzebuje. Po chwili rozmowy powiedziała mu o niepokojącym telefonie od Ilii i jego naleganiach, żeby nie składała zawiadomienia.

– On nie ma racji – oznajmił Aleksander z naciskiem. – Żeby chronić Nikołaja, musimy złożyć to zawiadomienie.

Następnego ranka Aleksander przyjechał i pomógł jej napisać zawiadomienie opisujące wypadek. Zakończyła je stwierdzeniem, że według niej był to zamach na jego życie w zemście za pomoc w sprawie Magnitskiego.

Razem z Aleksandrem dostarczyła zawiadomienie do lokalnej placówki policji. Wręczyła je oficerowi dyżurnemu, który przejrzał pobieżnie tekst i wybuchnął śmiechem.

– Pani tak poważnie? – zapytał. – Przecież mąż nie jest nikim ważnym. Kto chciałby go zabić?

Obydwoje z Aleksandrem przez kwadrans próbowali wyjaśnić, co się dzieje, chociaż funkcjonariusza zupełnie to nie interesowało. Mimo wszystko Julia złożyła zawiadomienie.

Tego popołudnia w szpitalu wreszcie pozwolono jej zobaczyć Nikołaja. Oddział intensywnej opieki medycznej okazał się dużą salą na piętrze pełną pacjentów rozdzielonych tylko cienkimi zasłonami i własnym cierpieniem. Niektórzy krzyczeli. Nikołaj był przytomny, jednak zupełnie nie poznawał Julii. To, co mówił, nie miało sensu. W kółko powtarzał: „Co ja tu robię?” i „Jak pozostali?”. Nie miała pojęcia, o jakich pozostałych mu chodzi.

Była szczęśliwa, że Nikołaj żyje, i przerażona, że uraz głowy mógł spowodować trwałe uszkodzenie mózgu. Nie widziała wyników badań ani dokumentacji, a lekarze powiedzieli jej tyle co nic, ale trudno było przypuszczać, że upadek z wysokości piętnastu metrów nie odbił się na sprawności umysłowej pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Siedziała przy jego łóżku dopóty, dopóki trwały godziny odwiedzin, po czym wróciła do domu dręczona niepewnością.

Ta niepewność jeszcze się pogłębiła, gdy przed blokiem podeszło do niej dwóch umundurowanych policjantów. Jeden z nich włączył kamerę i zaczął ją filmować. Szybko stało się jasne, że nie prowadzili śledztwa w sprawie wypadku Nikołaja. Niemal natychmiast zapytali:

– Kiedy wycofa pani swoje zawiadomienie?

Spuściła wzrok i bez słowa poszła na górę.

Następnego ranka zauważyła radiowóz policyjny zaparkowany przed swoim blokiem. Zadzwoiła do matki i poprosiła ją, żeby odprowadziła Dianę, wówczas piętnastoletnią, do szkoły. Chciała, żeby z córką był ktoś dorosły, gdyby któryś z policjantów próbował ją zaczepić.

Ten sam radiowóz stał przed blokiem, gdy po południu Julia wychodziła do szpitala. Znowu przywitało ją dwóch policjantów. Jeden filmował, a drugi warknął:

– Nadal się pani upiera przy swojej historii?

Na szczęście policji nie było przed szpitalem. Na oddziale intensywnej opieki medycznej okazało się, że przez noc stan Nikołaja znacząco się poprawił. Wiedział, gdzie jest, mimo że nadal nie rozumiał dlaczego. Uszczęśliwiona ujęła jego dłoń. Próbował się uśmiechnąć, lecz z powodu ran okazało się to zbyt bolesne. Zapytał o Dianę. Zastanawiał się, co u nas w Londynie. Julia z radością przekazała mu, że Diana czuje się dobrze, choć jest zrozpaczona, a my po prostu się cieszymy, że przeżył.

Tego dnia Julia w końcu dostała wyniki badań. Nikołaj miał strzaskaną zuchwę i złamanych jedenaście żeber, doznał krwotoku wewnętrznego, pęknięcia czaszki, silnego wstrząsu mózgu oraz poważnego urazu lewej gałki ocznej i oczodołu. Ale ręce i nogi były całe, a serce, płuca i pozostałe narządy wewnętrzne nie zostały naruszone. Powrót do zdrowia wymagał wielu miesięcy bolesnej rekonwalescencji oraz interwencji chirurga szczękowego, natomiast uszkodzenie wzroku okazało się nieodwracalne. W porównaniu z tym, czym mógł się skończyć taki upadek, ten stan można było tylko uznać za cud.

Julia rozmawiała z mężem do końca czasu odwiedzin. Chociaż nie potrafił sobie przypomnieć momentu upadku, pamiętał większość okoliczności, które do niego doprowadziły. Jacuzzi kupione z drugiej ręki w internecie zostało dostarczone przez trzech mężczyzn pracujących dla firmy transportowej, którą zamówił na początku tygodnia. Ci sami mężczyźni mieli przywieźć kilka opakowań płyt gipsowo-kartonowych. Ponieważ Gorochowowie mieszkali na najwyższym piętrze, łatwiej było

wciągnąć wszystko na dach, niż wnosić po schodach. Najpierw wjechały na górę płyty gipsowo-kartonowe, później mężczyźni przypięli do wciągarki jacuzzi. Więcej nie pamiętał.

Trzy dni później odzyskał świadomość w szpitalu.

Z jakiegoś powodu jacuzzi, Nikolaј i wciągarka runęli na ziemię. Nikolaј wylądował w jacuzzi na lewym boku, silnie uderzył głową o chodnik. Z rany wyciekła kałuża krwi.

Mimo tak poważnych obrażeń do zdrowia wracał szybko. Dziesięć dni po upadku opuścił szpital o własnych siłach. Przed blokiem czekali ci sami funkcjonariusze, którzy co dzień nachodzili Julię. Nikolaј się wściekł, ale był zbyt słaby, żeby stanąć z nimi do konfrontacji, zignorował ich więc i razem z Julią weszli do klatki schodowej.

Przez kolejne dni Nikolaј dochodził do siebie w domu. W tym czasie policja nieustannie nękała jego i rodzinę. Wszystkim trojgu dostarczyli wezwania na przesłuchanie. Julii grozili wszczęciem postępowania za fałszywe zawiadomienie o przestępstwie i próbowali wymóc na Nikolaју, żeby podpisał oświadczenie, w którym uznałby całe zajście za wypadek. Codziennie wydzwaniali na telefony komórkowe małżonków – obydwójce mieli zastrzeżone numery, których nigdy nie podawali policji. Namierzyli nawet profil Diany na portalu WKontaktie i w przesłanej wiadomości zażądali, żeby natychmiast stawiała się na policji.

Żadne z tych działań nie przyniosło spodziewanego efektu. Julia nie wycofała zawiadomienia, Nikolaј nie podpisał fałszywego oświadczenia, Diana z nikim obcym rozmawiać nie chciała.

Gorochowowie nie zamierzali ustępować, co nie powstrzymało policji przed oficjalnym ogłoszeniem, że doszło do nieszczęśliwego wypadku: wciągarka nie wytrzymała obciążenia i spadła, bo jacuzzi ważyło zbyt wiele.

Tyle że zdaniem Nikolaја dowody świadczyły o czymś innym. Udźwig wciągarki oznaczony fabrycznie wynosił czterysta pięćdziesiąt kilogramów, podczas gdy jacuzzi ważyło niecałe sto czterdzieści. Chwilę wcześniej urządzenie bez problemu poradziło sobie ze znacznie cięższym ładunkiem płyt gipsowo-kartonowych. Przede wszystkim zaś na zdjęciach było widać, że przeciwwaga wciągarki została przez kogoś celowo naruszona, przez co urządzenie straciło stabilność.

Chyba najbardziej oczywisty dowód stanowił raport sporządzony przez funkcjonariuszy zajmujących się sprawą. Policjanci przesłuchali tylko

dwóch z trzech pracowników firmy transportowej. Zupełnie jakby trzeci pracownik nie istniał (do dziś nikt nie zna jego tożsamości). Obydwaj złożyli fałszywe zeznania. Zapewniali, że nikt nie wszedł na dach z Nikołajem, co było kłamstwem. Obydwaj twierdzili też, że płyty gipsowo-kartonowe wnosili schodami, a wciągarki używano tylko do jacuzzi. Tutaj też mijali się z prawdą.

I jeszcze telefon z pogrózkami od Ilii.

W raporcie nic się nie zgadzało, dlatego 7 kwietnia, zaledwie kilka tygodni po incydencie, Nikołaj złożył szersze zawiadomienie, w którym dokładniej opisał swoje zastrzeżenia. Jak można było przypuszczać, władze odmówiły wszczęcia śledztwa i trzymały się wersji przedstawionej przez policję.

Jeśli więc ktoś faktycznie zepchnął Nikołaja z dachu, jak podejrzewaliśmy, nigdy się nie dowiemy, kto jest za to odpowiedzialny.

Ale przynajmniej Nikołaj – w odróżnieniu od Siergieja – przeżył.

ROZDZIAŁ 34

Senator Grassley

Lato 2017

Miesiąc później, gdy Nikołaj wracał do zdrowia, wybrałem się w niezwykle ważną podróż do Stanów Zjednoczonych.

Sprawa Prevezonu wreszcie trafiła na wokandę. Mimo czterech lat olbrzymich wysiłków i wielkich kosztów Rosjanie musieli się bronić w sądzie.

Zostałem głównym świadkiem oskarżenia. Miałem zeznawać jako pierwszy i podać fakty związane z wyłudzeniem dwustu trzydziestu milionów dolarów oraz powiedzieć sądowi, co się stało z Siergiejem. Prokuratura chciała w ten sposób pokazać kontekst całej sprawy, żeby sędziowie przysięgli lepiej rozumieli główne argumenty dotyczące prania brudnych pieniędzy. Po pytaniach oskarżenia czekało mnie wielodniowe przesłuchanie prowadzone przez nowych amerykańskich prawników Prevezonu. Przewidywano, że całe postępowanie przed sądem potrwa miesiąc. Paul Monteleoni uprzedził mnie, że na miejscu dla świadka spędzę pełny tydzień.

Sześć dni przed rozpoczęciem rozprawy prokuratorzy federalni z Nowego Jorku odnieśli ważne zwycięstwo. Sędzia, który zastąpił sędziego Griese, dopuścił materiał dowodowy przedstawiony przez Nikołaja.

To była kluczowa decyzja. Gdyby te dowody zostały odrzucone, prokuratura nie byłaby w stanie poprowadzić linii ciągłej od wyłudzonych w Rosji dwustu trzydziestu milionów dolarów do nieruchomości na terenie Nowego Jorku i niemal na pewno przegrałaby sprawę.

Prawnicy Prevezonu zrobili wszystko co w ich mocy, żeby doprowadzić do odrzucenia tego materiału. Teraz nie zostało im wiele możliwości,

dlatego najprawdopodobniej strategię obrony swojego klienta zamierzali oprzeć na taktyce spalonej ziemi. Spodziewałem się, że sięgną po zuchwałe oszczerstwa, oskarżą mnie o popełnienie przestępstwa, na którym zyskał Prevezon, i spróbują mnie przedstawić jako samolubnego oszusta, który ukartował całą sprawę. Ponieważ taktyki procesowej obrońców żaden sąd nie uznałby za zniesławienie, mogli to wszystko robić bezkarnie. Gdyby im się udało mnie oczernić, zamąciłiby zapewne w głowach nieorientowanym w tajnikach świata finansów sędziom przysięgłym, którzy rozłożyliby ręce, mówiąc: „Zwyczajnie nie wiemy, kto zrobił co, dlatego nie możemy uznać, że firma Prevezon jest winna”.

Po drodze do Nowego Jorku zatrzymałem się w Waszyngtonie. Miesiąc wcześniej nastąpił nieoczekiwany przełom w sprawie naszego zawiadomienia o łamaniu przepisów ustawy o agentach zagranicznych. Jeden z pracowników biura senatora Charlesa Grassleya przeczytał krótki tekst opublikowany na ten temat przez Politico i powiadomił o nim swojego szefa. Od tamtej pory senator Grassley, przewodniczący Komisji Sprawiedliwości Senatu USA, jednej z najbardziej wpływowych w Waszyngtonie, interesował się naszą sprawą.

Przez wiele lat senator Grassley zwracał uwagę, że lekceważone są FARA, a losy naszego zawiadomienia nie tylko dobrze ilustrowały to lekceważenie, lecz także najwyraźniej złożyliśmy je w odpowiednim czasie. Odbyłem kilka telekonferencji z doradcą prawnym senatora, Patrickiem Davisem, któremu opisałem działania podejmowane przez poszczególne osoby zaangażowane w kampanię dezinformacyjną oraz nasze rozczarowujące doświadczenia w kontaktach z pracownikami wydziału FARA w Departamencie Sprawiedliwości.

Senator Grassley postanowił zająć się sprawą i napisał do Departamentu Sprawiedliwości z prośbą o informację, co planują zrobić w związku z naszym zawiadomieniem. Dał im dwa tygodnie na odpowiedź. Na początku maja, czyli prawie po miesiącu, nadal jej nie otrzymał.

Byłem przyzwyczajony do lekceważenia okazywanego mi przez wymiar sprawiedliwości. Nie sądziłem natomiast, żeby to samo dało się powiedzieć o kimś takim jak senator Grassley. Zgodził się spotkać ze mną w czwartek 11 maja i wspólnie się zastanowić, jak docisnąć pracowników Departamentu Sprawiedliwości, żeby się wzięli do roboty.

W Waszyngtonie wylądowałem wieczorem 10 maja. Powłóczyłem nogami ze zmęczenia. Natłok zdarzeń zaczynał mnie przerastać.

Pomyślałem, że po zakończeniu sprawy Prevezonu będę odsypiał co najmniej przez tydzień, teraz jednak musiałem wziąć się w garść i działać na najwyższych obrotach.

Gdy dotarłem do hotelu Willard InterContinental, zaczęły mi dokuczać pierwsze objawy przeziębienia. Rano po przebudzeniu czułem się gorzej. Tego popołudnia miałem spotkanie z senatorem Grassleyem i nie mogłem zaważyć, połknąłem więc Sudafed, zebrałem siły i zacząłem dzień zgodnie z planem. O piętnastej w biurze senatora powitał mnie Patrick Davis. Grassley dołączył do nas w sali konferencyjnej. Był osiemdziesięcioletnim republikaninem z Iowa zasiadającym w Senacie od trzydziestu sześciu lat. Spotkałem go po raz pierwszy i od razu się przekonałem, że jest sympatycznym, życzliwym człowiekiem.

Rozmawialiśmy o tym, co można zrobić, gdy na swoje pismo otrzyma się nieuniknioną odpowiedź „Nie możemy ani potwierdzić, ani zaprzeczyć”, bo obydwaj wiedzieliśmy, że tak właśnie odpisze Departament Sprawiedliwości. Senator oznajmił, że gdy otrzyma takie pismo, wezwie urzędników przed Komisję Sprawiedliwości Senatu, żeby wymusić na nich wyjaśnienia. Zapytał też, czy w takim scenariuszu zgodzę się zeznawać. Oczywiście, że się zgodziłem.

Po powrocie do hotelu padłem na łóżko, bez kolacji, i przed dziewiętnastą trzydzieści już spałem.

Rano poczułem, że objawy chorobowe się nasiliły. To nie wyglądało na zwykłe przeziębienie. Zadzwoiłem do recepcji, żeby przynieśli mi termometr. Jak przypuszczałem, gorączka była wysoka. Hotel przysłał lekarza, a ten zrobił mi test na grype. Pozytywny. Powiedział, żebym brał tylenol, pił dużo płynów i został w łóżku. Odwołałem wszystkie spotkania. Przespałem cały dzień.

Wieczorem gorączka skoczyła do 39,4. Ledwie miałem siłę, żeby przejść do łazienki. Niby jak miałbym dolecieć do Nowego Jorku? I nawet gdybym tam dotarł, czy wytrzymałbym tygodniowe zeznania w sądzie? Niestety nie mogłem wziąć zwolnienia lekarskiego. To był poważny proces przed sądem federalnym: dziesiątki prawników, wielu świadków, sędziowie przysięgli, sędzia federalny – wszystko przygotowywane z wyprzedzeniem, a mnie wyznaczono jedną z głównych ról.

Myśl, że po czterech latach przygotowań mógłbym teraz zawieść rodzinę Magnitskich, Nikołaja, swój zespół i prokuraturę, była nie do zniesienia.

Tamtego wieczoru wypłem jeszcze NyQuil, zwinąłem się w kłębek na łóżku i modliłem się, żeby gorączka opadła do rana.

Nie opadła.

Obudziłem się wcześniej, jeszcze przed wschodem słońca, w bardzo kiepskim stanie. Miałem rozsadzający ból głowy i przeпоcony T-shirt. Na wpół przytomny pogodziłem się z myślą, że muszę powiadomić Paula, żeby nie liczył na mnie w poniedziałek, bo fizycznie nie będę w stanie pojawić się w sądzie.

Sięgnąłem po telefon, żeby wysłać e-mail, i wtedy zobaczyłem wiadomość właśnie od Paula, którą wysłał o drugiej trzydzieści pięć w nocy.

Zacząłem czytać. Gdy spałem jak zabity, Denis Kacyw zgodził się zapłacić 5,9 miliona dolarów w ramach ugody z prokuraturą. Byłem tak chory, że nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. Poczułem tylko wielką ulgę. Przeważałem telefon w tryb „Nie przeszkadzać” i zasnąłem na kolejne kilka godzin.

Po przebudzeniu wstałem z łóżka, zrobiłem sobie herbatę, a następnie zadzwoniłem do Iwana i Wadima. Wszyscy trzej byliśmy rozczarowani, że firma Prevezon nie zostanie uznana za winną, ale mimo wszystko prokuratura sporo osiągnęła. Śledztwo ujawniło, że oprócz odkrytych przez nas na początku 857 764 dolarów na konto Prevezonu wpłynął jeszcze milion dolarów z ukradzonych w Rosji dwustu trzydziestu milionów, czyli łącznie chodziło o milion dziewięćset tysięcy. Ugoda opiewała na trzy razy tyle.

O ile wiem, niewinni ludzie nie płacą 5,9 miliona dolarów, żeby się pozbyć problemów, a przecież do tej kwoty należało doliczyć około piętnastu milionów dolarów, bo na tyle szacowałem koszty prawników wynajętych przez Prevezon. Kwota naprawdę olbrzymia tylko za to, żeby się nie tłumaczyć z zarzutu uprania 1,9 miliona brudnych dolarów.

We wtorek gorączka w końcu ustąpiła. Poczułem się na tyle silny, żeby choć częściowo wrócić do pracy, skontaktowałem się więc z Patrickiem w biurze senatora Grassleya. Chciałem poinformować go o zawarciu ugody z Prevezonem. Okazało się, że już o tym wiedział. Ich też zaskoczył taki obrót sprawy, ale ugoda nie miała związku z przepisami FARA, nadal więc pracowali pełną parą, bo oczywiście senator Grassley otrzymał dokładnie taką odpowiedź, jakiej się spodziewaliśmy: „Nie możemy ani potwierdzić, ani zaprzeczyć”.

Patrick zapytał, czy będę dostępny 16 lipca, żeby zeznawać podczas posiedzenia Komisji Sprawiedliwości Senatu USA. W tym terminie miałem zaplanowane wakacje z rodziną w Kolorado, powiedziałem mu jednak, że na pewno się pojawię.

Wróciłem do Londynu w znacznie lepszym nastroju i zdrowy. Nie musiałem mieć do czynienia z prawnikami Prevezonu, losy naszego zawiadomienia w sprawie łamania przepisów FARA niespodziewanie się odmieniły. Nabraliśmy też rozpędu na jeszcze jednym froncie: wyglądało na to, że w ciągu kilku miesięcy Kanada uchwali swoją wersję ustawy Magnitskiego.

Wisienką na torcie była wiadomość, że lada chwila NBC wyemituje długi i, miałem nadzieję, bezkompromisowy materiał o wszystkim, co się wiązało ze sprawą Magnitskiego. Nie wiedziałem, na kiedy zaplanowano emisję. Liczyłem, że jeszcze przed posiedzeniem Komisji Sprawiedliwości.

Tak też się stało. Reportaż wyemitowała stacja MSNBC 7 lipca, gdy Elena i ja pakowaliśmy się przed wyjazdem do Kolorado. Jego autor, Richard Engel, zajął się nie tylko śmiercią Siergieja i wyłudzonymi dwustoma trzydziestoma milionami. Pokazał też historię Władimira Kara-Murzy, zabójstwo Borisa Niemcowa i rzekomy wypadek Nikołaja Gorochowa. To był fantastyczny materiał.

Następnego ranka Elena i ja wstaliśmy o świcie, zapakowaliśmy dzieci do auta, pojechaliśmy na Heathrow i w końcu weszliśmy na pokład samolotu linii United z Londynu do Chicago, gdzie mieliśmy przesiadkę do Aspen. Mimo że leciałem z dziećmi, mogłem wypocząć po raz pierwszy od dawna. Elena pozwoliła mi spać niemal przez cały lot.

ROZDZIAŁ 35

Trump Tower

Lato 2017

W Chicago na lotnisku O'Hare wylądowaliśmy wczesnym popołudniem po ośmiogodzinnym locie. Ja byłem wypoczęty, dzieci zmęczone, głodne i marudne. Wiedzieliśmy z Eleną, że jeśli nie kupimy im czegoś do jedzenia, cała czwórka się zbuntuje, a wówczas solidnie dadzą nam popalić przed następnym lotem. Przy końcu pierwszego terminalu znalazłem bar sushi o nazwie Wicker Park Seafood, wróciłem po rodzinę, zaprowadziłem ją tam, zajęliśmy stolik i złożyliśmy zamówienie.

Jedzenie przyniesiono szybko. Dzieci zaczęły wcinać maki sushi i tempurę krewetkową. Od razu poprawiły im się humory. Kryzys został zażegnany.

W połowie posiłku odezwał się mój telefon. Dzwoniła Jo Becker, reporterka „New York Timesa”, dwukrotna laureatka Nagrody Pulitzera, którą poznałem w Londynie.

Od inauguracji skandal wokół związków Trumpa z Rosją jeszcze się nasilił i przykuwał coraz większą uwagę. Poprzedniego wieczoru Trump przelotnie spotkał się z Putinem podczas niemieckiego szczytu G20 w Hamburgu. Zakładałem, że Jo dzwoni w tej sprawie. Myliłem się: od początku poszła w zupełnie innym kierunku.

– Wiesz coś na temat prawniczki o nazwisku Natalia Weselnicka? – zapytała.

Nie wierzyłem, że to słyszę.

– Pytanie! – wykrzyknąłem.

Odszedłem od stolika i znalazłem rząd pustych krzeseł przy oknie wychodzącym na pas startowy. Jo dużo wiedziała o Weselnickiej, miała

więc kilka szczegółowych pytań. Żeby ułatwić rozmowę, przesłałem jej naszą prezentację na temat kampanii dezinformacyjnej kierowanej przez rosyjską prawniczkę – tę samą prezentację, którą poprzedniej jesieni bezskutecznie przedstawiałem kilkunastu dziennikarzom – a następnie omówiłem ją strona po stronie.

Na koniec zapytałem:

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Zobaczysz – odpowiedziała enigmatycznie. – Tekst powinien się ukazać jeszcze dzisiaj.

Ogarnięty ciekawością wróciłem do stolika. Po raz pierwszy ktoś z dziennikarskiego świata zainteresował się Weselnicką, w dodatku od razu jedna z najlepszych reporterek w „New York Timesie”. Dokończyłem posiłek i odświeżyłem aplikację „Timesa” w telefonie – nic nowego się nie pokazało. Gdy weszliśmy na pokład małego samolotu United Express, nadal nie wiedziałem, o czym napisze Jo, a wi-fi dla pasażerów nie działało.

Kilka godzin później samolot wylądował. Włączyłem telefon i sprawdziłem. Tekst już się ukazał: Podczas kampanii wyborczej ludzie Trumpa spotkali się z prawniczką pracującą dla Kremla.

Prawdziwa bomba! Jo ujawniła, że 9 czerwca 2016 roku Natalia Weselnicka spotkała się z synem Trumpa, Donaldem Trumpem juniorem, zięciem Trumpa, Jaredem Kushnerem, i szefem kampanii prezydenckiej, Paulem Manafortem. Rozmawiali u ustawie Magnitskiego. Od wybuchu skandalu Trump – Rosja to był pierwszy potwierdzony kontakt najbliższych współpracowników obecnego prezydenta z Rosjanami podczas kampanii wyborczej.

Szedłem przez lotnisko zaszokowany, nieudolnie pomagając Elenie zagonić dzieci do wyjścia. Myślnami byłem gdzie indziej. Fakt, że jeden z największych skandali politycznych w historii Stanów Zjednoczonych toczył się wokół ustawy Magnitskiego, był jak cios obuchem w głowę. Równie nie do wiary wydała mi się informacja, że syn przyszłego amerykańskiego prezydenta dał posłuch rządowi Rosji, który posłał do niego Weselnicką.

Czekaliśmy na bagaż. W pewnej chwili Hannah, moja najmłodsza córka, pociągnęła mnie za rękę:

– Tato, pójdziemy jutro popływać?

Mruknałem coś niezobowiązującego, wciąż nie mogąc się oderwać od przeczytanego artykułu. Siedziała mi w głowie ta data: 9 czerwca 2016

roku.

Dlaczego wydawała mi się znajoma?

Sprawdziłem kalendarz. Tego dnia odbywało się ostatnie przesłuchanie przed nowojorskim sądem apelacyjnym w sprawie o dyskwalifikację przeciwko kancelarii adwokackiej BakerHostetler! To, w którym uczestniczyła Weselnicka. Glenn Simpson też tam był. Weselnicka musiała przyjść do sądu prosto z Trump Tower. Nie mogłem w to uwierzyć.

Po dotarciu do domu chciałem pomóc Elenie przy dzieciach, ale mój telefon omal nie eksplodował od e-maili, SMS-ów i telefonów z najodleglejszych zakątków świata. Dziesiątki redakcji chciały się ze mną skontaktować: zostałem zacytowany w artykule Jo i byłem jednym z niewielu ludzi na Zachodzie, którzy mieli osobiste doświadczenia z tą tajemniczą rosyjską prawniczką.

Wyglądało na to, że pływanie z Hannah musi poczekać.

Przeszedłem do spokojnej części domu, żeby odpowiedzieć na wiadomości i umówić wywiady telewizyjne na następny dzień. Trochę przez jet lag, trochę z powodu adrenaliny spałem tej nocy tylko kilka godzin. Wczesnie rano pojechałem do Aspen Institute. Na szczęście Aspen jest jednym z niewielu miejsc między Salt Lake City a Denver z działającym studium telewizyjnym. Zazwyczaj studio wykorzystywane jest do nagrywania wywiadów dla instytutu i ma wyłącznie niezbędne wyposażenie oraz tylko jednego kamerzystę o imieniu Jason, pracującego w małym, wyciszonym pianką pomieszczeniu w piwnicy. Prawdopodobnie Jason zatrudnił się tu nie tyle dla pensji, ile dlatego, żeby mieszkać w górach i móc zimą jeździć na nartach. Przez cały ten tydzień studio było zajęte od rana do nocy, a Jason i ja spędzaliśmy razem praktycznie cały czas.

Z tego małego pomieszczenia przedstawiłem światu Natalię Weselnicką, rosyjską prawniczkę i agentkę Kremla, objaśniałem działanie ustawy Magnitskiego oraz tłumaczyłem, dlaczego uchylene jej stało się priorytetem polityki zagranicznej Putina. Wyrażałem też opinię, że uzyskanie przez Trumpa nominacji republikańskiej było w oczach Putina sposobnością do zrealizowania tego celu, dlatego wysłał do Stanów Zjednoczonych Weselnicką, która miała mu w tym pomóc.

Każdy dziennikarz chciał wiedzieć, co moim zdaniem mogło się stać podczas spotkania w Trump Tower. Chociaż nie widziałem tego na własne oczy, byłem na sto procent pewien, że w rozmowie padło moje nazwisko,

a Weselnicka prosiła o uchylene ustawy Magnitskiego, jeśli Trump wygra wybory. Nie miałem pojęcia, co oferowała w zamian, ale z pełnym przekonaniem mogłem powiedzieć, że to spotkanie było częścią wyrafinowanej operacji przeprowadzonej przez rosyjski wywiad. Weselnicka nie przyszła do Trump Tower z pustymi rękami, skoro miała prosić o tak wielką przysługę.

Definitywnej odpowiedzi na to pytanie mogli udzielić tylko ci, którzy uczestniczyli w tej rozmowie. Po publikacji w „New York Timesie” Weselnicka zapadła się pod ziemię, ale Donald Trump junior okazał się mniej strachliwy.

Początkowo próbował bagatelizować całą sprawę. Twierdził, że było to tylko „krótkie spotkanie zapoznawcze” i dotyczyło przede wszystkim adopcji. Nie wdawał się przy tym w szczegóły. My wszyscy wiedzieliśmy, że „adopcja” znaczyła ustawę Magnitskiego, nic więcej.

Ponieważ media nieustannie naciskały, żeby ujawnił więcej informacji, Trump junior pokazał wątek e-maili, które doprowadziły do spotkania, by w ten sposób uciszyć kontrowersje. Uzyskał efekt odwrotny do zamierzonego.

Wiadomość do Trumpa juniora wysłał Rob Goldstone, brytyjski producent muzyczny, który działał w imieniu syna potężnego rosyjskiego oligarchy powiązanego z Kacywami. Goldstone przekazał, że „koronny prokurator Rosji” – co oczywiście nie jest poprawnym określeniem prokuratora generalnego, Jurija Czajki – może przysłać „prawnika rządu rosyjskiego”, żeby „udostępnić sztabowi Trumpa pewne oficjalne dokumenty i informacje, które obciążą Hillary, udokumentują jej kontakty z Rosją i przyniosą pożytek twojemu ojcu”.

Trump junior odpisał: „Jeśli będzie tak, jak twierdzisz, to doskonale”.

A więc tajemnica, co oferowano mu w zamian, stała się publiczna.

Skandal wybuchł z wielką siłą. Pomijając implikacje polityczne, stanowił on idealne tło dla zbliżającego się posiedzenia Komisji Sprawiedliwości, które wyznaczono na 16 lipca. Formalnie dotyczyło ono przepisów FARA, ale ponieważ moje wystąpienie zamierzałem poświęcić działaniom Weselnickiej w Waszyngtonie, nie miałem wątpliwości, że stanie się wielkim hitem.

Niebawem posiedzenie senackiej komisji nabrało jeszcze większego rozgłosu, gdy zaproszenie otrzymali Donald Trump junior, Glenn Simpson

i Paul Manafort, którzy także mieli zeznawać. Dodanie ich do listy świadków oznaczało, że na sali posiedzeń skupią się oczy całego świata.

Zanim spotkanie w Trump Tower wyszło na światło dzienne, planowałem odwiedzić Weronikę, swoją średnią córkę, na obóz do New Jersey i dopiero stamtąd jechać do Waszyngtonu. Po dodaniu Trumpa juniora, Simpsona i Manaforta do listy świadków posiedzenie komisji zostało przesunięte na 26 lipca, co oznaczało, że będę musiał dwukrotnie jechać na wschód Stanów.

Do Newark leciałem z Weroniką 14 lipca. Tego dnia obudziłem się wcześnie, wciąż nie mogąc dojść do siebie po zmianie czasu i nieregularnych godzinach snu w poprzednim tygodniu. Po cichu, żeby nie obudzić Eleny, sięgnąłem po smartfon, aby przejrzeć e-maile i portale informacyjne. Przez noc nie wydarzyło się nic wybuchowego.

Potem, tuż po siódmej, portal NBC opublikował tekst pod tytułem Były oficer sowieckiego kontrwywiadu na spotkaniu z Donaldem Trumpem juniorem i rosyjską prawniczką.

Okazało się, że Weselnicka nie przysłała tam sama.

Z jakiegoś powodu autor materiału, Ken Dilanian, unikał podania nazwiska tego „byłego oficera sowieckiego kontrwywiadu”, ale ja nie miałem wątpliwości, o kim mowa¹¹.

Podlinkowałem artykuł i wysłałem tweet: „Dziwne, że NBC nie podaje nazwiska »byłego oficera wywiadu«. Wśród znanych współpracowników Weselnickiej tylko Akhmetshin pasuje do tego opisu”.

Godzinę później agencja Associated Press potwierdziła, że Rinat Akhmetshin faktycznie uczestniczył w spotkaniu. Mój telefon znów oszalał. Gdy razem z Weroniką sprawdzaliśmy, czy spakowała na wyjazd wszystkie rzeczy z przygotowanej listy, co chwila dzwonił jakiś dziennikarz, który chciał się dowiedzieć czegoś więcej na temat Akhmetshina.

Tego popołudnia mieliśmy samolot do Newark przez Denver. Odprawiliśmy bagaż Weroniki i przeszliśmy przez kontrolę bezpieczeństwa. Wtedy zadzwonił kolejny dziennikarz pracujący nad tym tematem:

– Czy kiedykolwiek widziałeś Akhmetshina? Ten facet to prawdziwa zagadka. Nigdzie nie mogę znaleźć jego zdjęcia.

– Nie znam go – odpowiedziałem. – Ale w zeszłym roku siedział kilka miejsc ode mnie podczas wysłuchania w Kongresie. Jeden z moich kolegów zrobił mu kilka zdjęć.

– Wspaniale! Byłbym wdzięczny, gdybyś mógł mi je podesłać.

Zadzwoiłem do Wadima. Wysłał zdjęcia bezpośrednio do dziennikarza, który zaraz potem opublikował je w swoim tekście. Pod zdjęciami drobnym drukiem zamieszczono źródło: Hermitage Capital.

Czterdzieści pięć minut później wylądowaliśmy w Denver. Odczytałem wiadomości od kilkunastu fotoedytorów błagających o pozwolenie na publikację tych samych zdjęć. Zgodziłem się i niecierpliwie czekałem na wiadomości następnego dnia.

W Nowym Jorku pojechaliśmy z Weroniką do hotelu, zjedliśmy kolację w chińskiej restauracji i poszliśmy spać wcześniej. Następnego ranka zeszliśmy na śniadanie do kawiarni hotelowej. Przy wejściu stał mały stolik z porannymi gazetami. Najpierw zauważyłem tabloid „New York Post”. Na górze pierwszej strony wydrukowali zrobione przez Wadima zdjęcie Akhmetshina i tytuł: Trump szpiegowany: były rosyjski szpieg uczestniczył w spotkaniu z juniorem.

To samo zdjęcie trafiło do ponad dwunastu innych tytułów wydrukowanych tego dnia w całych Stanach Zjednoczonych.

Po południu byłem umówiony w CNN na wywiad z Fareedem Zakarią, po którym razem z Weroniką wyruszyliśmy w drogę. Po drodze przejeżdżaliśmy samochodem przez obszar o słabym zasięgu, dzięki czemu mogłem porozmawiać z córką bez żadnych przerw prawie do samej bramy wjazdowej na teren obozu w pobliżu rzeki Delaware. Dotarliśmy tuż przed zakończeniem rejestracji uczestników.

W trakcie naszej podróży amerykańscy dziennikarze w końcu dostrzegli sprawę naszego zawiadomienia o złamaniu przepisów FARA. Jeszcze zanim następnego dnia wróciłem do Aspen, wielu z nich zdążyło się zająć Chrisem Cooperem, Andriejem Niekrasowem oraz Daną Rohrabacherem i nawet Paulem Behrendsem, jego prawą ręką. Na temat tego ostatniego dogrzebali się do tak kompromitujących historii, że zaraz potem został zwolniony ze stanowiska w biurze Komisji Spraw Zagranicznych Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Później, 19 lipca, zaledwie tydzień przed posiedzeniem komisji senackiej, sam prezydent Trump odniósł się do sprawy w wywiadzie dla „New York Timesa”. Jak to Trump, mówił chaotycznie, ale pod koniec wywiadu powiedział coś naprawdę istotnego.

Podczas uroczystej kolacji na zakończenie szczytu G20 w Niemczech Trump wstał z przydzielonego mu miejsca, żeby dołączyć do swojej żony, Melanii, która siedziała akurat obok Władimira Putina. I bez tłumacza czy

kogokolwiek ze swojego personelu rozmawiał z Putinem przez mniej więcej godzinę. Na pytanie „New York Timesa”, czego dotyczyła rozmowa, Trump odpowiedział: „Była bardzo interesująca. Rozmawialiśmy o adopcji”.

Następnego dnia Trump junior dokładnie tak samo opisał swoją rozmowę z Weselnicką. To nie był przypadek. Pod koniec lipca ujawniono, że prezydent Trump podyktował oświadczenie swojego syna dla mediów na pokładzie Air Force One w drodze powrotnej z Niemiec.

Większość ludzi nie zwróciła uwagi na te słowa, w rzeczywistości naprawdę niezwykle. Zarówno prezydent Trump, jak i jego syn wiedzieli, że hasło „adopcja” jest niewinnie brzmiącym określeniem ustawy Magnitskiego. Teraz obydwaj próbowali sprawiać wrażenie, że spotkanie w Trump Tower było mniej groźne niż w rzeczywistości.

Zeznanie podczas posiedzenia Komisji Sprawiedliwości Senatu dawało mi okazję, żeby to wszystko powiązać. Zamierzałem wykazać, że ustawa Magnitskiego była nie tylko główną siłą napędową oficjalnej polityki Putina wobec Zachodu, ale także kryła się za jego zuchwałą interwencją w politykę wewnętrzną Stanów Zjednoczonych.

Zdawałem sobie sprawę, że nadchodzi moja życiowa szansa.

ROZDZIAŁ 36

Komisja Sprawiedliwości

Lato 2017

Tydzień poprzedzający senackie posiedzenie spędziłem, pisząc i poprawiając swoje wystąpienie. To był najważniejszy dokument, jaki dotychczas przygotowywałem, i musiał brzmieć idealnie.

Zwykle świadek odczytuje z kartki swoje początkowe wystąpienie przed komisją. Nie zamierzałem tego robić. Postanowiłem patrzeć senatorom w oczy i mówić prosto z serca.

Na swobodną wypowiedź poprzedzającą pytania członków komisji miałem najwyżej siedem minut. Najpierw kilka razy odczytałem tekst z kartki, później chodziłem od ściany do ściany w swoim gabinecie i recytowałem go z pamięci, mierząc czas telefonem. Wracałem do komputera, wycinałem niektóre fragmenty, wprowadzałem poprawki i recytowałem znowu. Potem jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz. Przez cały tydzień nie zajmowałem się niczym innym.

Wieczorem przed wyjazdem z Kolorado przekazałem gotowy tekst Patrickowi Davisowi z Komisji Sprawiedliwości Senatu. Dopracowany najlepiej, jak się dało.

Następnego popołudnia przyleciałem do Waszyngtonu i ponownie zatrzymałem się w hotelu Willard. Rozpakowałem rzeczy, po czym przepowiedziałem wystąpienie ostatni raz. Prawie dokładnie siedem minut. Zamówiłem lekką kolację do pokoju, zadzwoniłem do Eleny i zacząłem się zbierać do snu. Pod kołdrę wskoczyłem dość wcześnie. Następnego dnia miałem zeznawać obok Donalda Trumpa juniora, Glenna Simpsona i Paula Manaforta. Musiałem być wypoczęty i zachować trzeźwość umysłu.

Zanim zgasilem światło, sprawdziłem jeszcze pocztę. Dostałem e-mail od Patricka. „Bill, ze względu na olbrzymie zainteresowanie mediów posiedzenie zostało przeniesione do sali 216 w budynku Harta, bo jest znacznie większa”.

Zapowiadało się prawdziwe trzęsienie ziemi.

Następnego ranka o siódmej byłem już w garniturze. Jadąc windą na dół, sprawdziłem wiadomości. Trump przed chwilą wysłał tweet z zapowiedzią poważnej zmiany w polityce wewnętrznej: zamierzał zakazać służby wojskowej osobom transpłciowym. Był początek kadencji i dopiero się uczyliśmy, że ilekroć Trumpowi nie odpowiadały tematy najważniejszych wiadomości dnia, publikował na Twitterze coś szokującego, wiedząc, że media zostawią wszystko inne i rzuca się na nową błyskotkę. Miałem nadzieję, że tego dnia dziennikarze tak nie postąpią.

W hotelowej restauracji spotkałem się z Juleanną, która miała mi towarzyszyć w Senacie. Gdyby zrobiło się niebezpiecznie, zwłaszcza w związku z Glennem Simpsonem, mogłaby szeptem podrzucić mi jakąś przydatną sugestię.

Po szybkim śniadaniu przeszliśmy do lobby, gdzie czekali moi ochroniarze. Normalnie nie korzystam z ochrony w Waszyngtonie, ale skoro zamierzałem w ogólnokrajowej telewizji wyciągnąć na światło dzienne całą masę rosyjskich brudów, wszystko mogło się zdarzyć. Mężczyźni, których mi przydzielono, niedawno wrócili z kontraktu w Iraku. Wyglądali jak hollywoodzkie karykatury ochroniarzy: obydwaj mieli po metr dziewięćdziesiąt wzrostu i dobrze ponad sto kilogramów wagi, obydwaj łysi i brodaci, obydwaj ubrani w niedopasowane garnitury i w wygodnych butach, w których mogliby biegać – albo skopać komuś tyłek. Ponieważ szliśmy do budynku rządowego, nie zabrali broni – sama ich obecność działała odstraszająco.

We czworo wyszliśmy z hotelu, by wsiąść do czekającego SUV-a z zaciemnionymi szybami, którym przejechaliśmy niewielką odległość między hotelem a Hart Senate Office Building.

Po wyjściu z windy na drugim piętrze znaleźliśmy się wśród kilkuset ludzi zmierzających korytarzem w stronę sali 216. Nie miałem pojęcia, jak duża jest ta sala, ale przypuszczałem, że co najmniej połowa z tych ludzi w niej się nie zmieści.

Jeśli wrzutką o zakazie służby wojskowej dla osób transpłciowych Trump zamierzał odwrócić uwagę od tego posiedzenia, to raczej mu nie wyszło.

Ponieważ byłem świadkiem, nie musieliśmy czekać w długiej kolejce i od razu przeszliśmy do wejścia. Gdy minęliśmy podwójne drzwi do sali posiedzeń, rzucił się na nas tabun dziennikarzy z kamerami telewizyjnymi i aparatami fotograficznymi. W tym samym momencie pojawił się Patrick Davis, chwycił mnie za ramię, przeprowadził nas przez tłum do małej poczekalni za stołem prezydyjnym, gdzie usiedliśmy na dwóch wolnych krzesłach w kącie. Po chwili Patrick nas zostawił i podszedł porozmawiać z senatorem Grassleyem.

W poczekalni wrzało. Asystenci parlamentarzystów wykonywali ostatnie telefony i wysyłali e-maile. Ciągłe ktoś wchodził albo wychodził. Wyglądało na to, że dzieje się coś niespodziewanego.

Patrick wrócił kilka minut później.

– Trump junior, Simpson i Manafort nie przyjdą – powiedziała. – Dwaj pierwsi wynegocjowali przesłuchanie za zamkniętymi drzwiami, Manaforta będziemy chyba musieli wezwać drogą oficjalną. Zoznajesz sam zaraz po prawnikach z Departamentu Sprawiedliwości.

Przyjąłem to z ulgą. Trump junior i Manafort zwrócili uwagę świata na to posiedzenie, ale gdyby w nim uczestniczyli, wszystkie oczy zwróciłyby się na nich. A tak senatorowie będą mogli się skupić na mojej historii, bo żadne sensacje nie zaprzątną ich myśli. (Nie musiałem też się martwić, że Glenn Simpson zacznie szerzyć rosyjską dezinformację).

Kilka minut przed dziesiątą przeszliśmy do sali posiedzeń. Oślepiło mnie światło lamp błyskowych, w uszach miałem tylko serie kliknięć migawek aparatów fotograficznych. Nagle zacząłem się przejmować swoim wyglądem. Bałem się, że zrobię jakąś dziwną minę, którą fotoreporterzy uwiecznią dla potomności. Wszystkie krzesła w sali były zajęte. Przy stole dla prasy tłoczyli się dziennikarze z gotowymi laptopami. Na podłodze między stołem dla świadków i stołem senatorów siedziało kilkunastu fotoreporterów.

Urzednicy Departamentu Sprawiedliwości siedzieli na miejscach dla świadków. Moim ochroniarzom kazano stanąć pod ścianą, mnie i Juleanne posadzono na dwóch zarezerwowanych krzesłach w drugim rzędzie. Wszędzie klikały migawki. Z przyzwyczajenia sięgnąłem po smartfon i od razu go schowałem. Nie chciałem, żeby któryś z fotoreporterów sfotografował treść jakiejś wiadomości.

Senator Grassley uderzył młotkiem. Rozpoczęło się posiedzenie. Senator wyjaśnił, że Trump junior, Simpson i Manafort nie staną przed komisją

tego dnia. Rozczarowanie obecnych było wręcz namacalne.

Po dwudziestu minutach wstępnych formalności pracownicy Departamentu Sprawiedliwości zostali zaprzysiężeni. Po kolei odczytali swoje oświadczenia, prawie nie odrywając wzroku od przygotowanego tekstu. Żaden z nich nie chciał dyskutować o niepowodzeniach w egzekwowaniu przepisów FARA, posługiwali się więc nużącym żargonem zawodowym w nadziei, że dzięki temu nikt nie zapamięta, co powiedzieli. Podczas ich wystąpień senatorowie przeglądali swoje smartfony albo szeptem rozmawiali ze swoimi asystentami.

Piętnaście minut później zaczęły się pytania. Odpowiedzi urzędników nie były ciekawsze od oświadczeń, które chwilę wcześniej odczytali. Publiczność przyszła oglądać fajerwerki, tymczasem przesłuchanie okazało się kompletnym niewypałem.

Monotonne wystąpienia właśnie zaczynały przybierać jeszcze bardziej katastrofalną formę, gdy senator Grassley przerwał przesłuchanie. Oznajmił, że demokraci postanowili zastosować tak zwaną regułę dwóch godzin. Juleanna pochyliła się w moją stronę i po cichu wyjaśniła, że chodzi o procedurę ograniczenia posiedzenia do dwóch godzin i ani minuty dłużej.

– Dlaczego oni to robią? – zapytałem szeptem.

Wzruszyła ramionami.

– Raczej bez związku z tobą. Prawdopodobnie chodzi o jakieś polityczne porachunki między nimi.

Bez względu na powody tej decyzji każda minuta gładzenia ministerialnych urzędników skracała moje wystąpienie.

Z upływem czasu stawało się coraz bardziej oczywiste, że przesłuchanie mnie przez komisję nie będzie możliwe.

Spojrzałem na Juleannę.

– Czy to naprawdę się dzieje?

– Nie martw się. Grassley coś wymyśli.

Miała rację. Kilka minut później senator Grassley ogłosił, że posiedzenie zostanie wznowione nazajutrz o dziewiątej rano, a jedynym punktem porządku dziennego będzie moje zeznanie.

Normalnie potrzebowałem wielu miesięcy, żeby umówić się na dziesięciminutowe spotkanie z jednym senatorem. Teraz miałem dostać pełne dwie godziny z całą grupą znaczących członków Senatu.

Następnego ranka wstałem wcześniej, gotowy do działania.

Poprzedniego wieczoru zostałem zaproszony na wywiad do CNN. Do studia za Union Station przyjechałem o szóstej trzydzieści. Przedemną wypowiadał się Anthony Scaramucci, znany jako Mooch, najnowszy rzecznik Trumpa, który w wywiadzie udzielonym „New Yorkerowi” nazwał Reince’a Priebusa, ówczesnego szefa personelu Białego Domu, „jebanym schizofrenikiem paranoicznym”. Dziennikarz zasugerował, że nie powinien on szukać rozgłosu w mediach, używając takich określeń. Anthony odpowiedział: „Ja to nie Steve Bannon. Nie zamierzam obciążać samemu sobie”.

Anthony Scaramucci, wygadany i pełen swady nowojorczyk, był moim znajomym od dawna. Nawet go lubiłem. Po ukazaniu się Czerwonego alertu, ilekroć na niego wpadałem, przysłaniał swoje krocze złączonymi dłońmi, jakby trzymał coś ciężkiego, i mówił: „Kurwa mać, ty to masz żelazne jaja, żeby tak zaatakować Putina!”. Używanie wulgaryzmów decydowało w pewnym sensie o jego uroku osobistym, jednak w rozmowie z „New Yorkerem” chyba posunął się za daleko, nawet w czasach prezydentury Trumpa.

Tamtego ranka, gdy siedziałem w poczekalni, do studia zadzwonił Anthony. Próbował się bronić, ale prowadzący program Chris Cuomo nie przyjmował jego argumentów. Dyskusja buzowała od emocji i trwała prawie trzydzieści minut. Poranne programy są zaplanowane co do sekundy i nigdy się nie zdarza, żeby jakąś rozmowę tak bardzo przeciągnąć.

Anthony wreszcie skończył, więc szykowałem się do wyjścia na plan. Wciąż miałem mnóstwo czasu do rozpoczęcia przesłuchania w Senacie. Ale podczas przerwy reklamowej do poczekalni wpadła zdenerwowana producentka.

– Przykro mi, panie Browder, nie mamy już czasu na rozmowę z panem. Poprzednia rozmowa się przeciągnęła.

– Czyli co, ze studia wykopał mnie Mooch? – zapytałem, uśmiechając się do niej.

Przytaknęła skinieniem głowy.

– Bardzo przepraszam.

Zostały mi dwie godziny. Żeby zabić czas, poszedłem do restauracji w pobliżu Kapitolu i postawiłem śniadanie swoim ochroniarzom. Przy jajecznicy i tostach opowiadali mi historie o improwizowanych ładunkach

wybuchowych i walkach z powstańcami w Iraku. Dobrze mi zrobiło oderwanie się od spraw bieżących.

Po śniadaniu poszliśmy do budynku imienia Harta. Chociaż się spodziewałem, że bez Trumpa juniora i Manaforta tłum zrzędzie, zaskoczyło mnie to, co zobaczyłem, czyli całkiem pusty korytarz. Żadnej kolejki, żadnych dziennikarzy, żadnego personelu. W sali posiedzeń na podłodze przed stołem dla świadka siedział po turecku jeden fotoreporter, rozstawiono kamery tylko jednej telewizji, C-SPAN, która filmuje wszystkie posiedzenia komisji parlamentarnych, nawet najnudniejsze. Jedyne dziennikarz przy stanowisku dla mediów miał na sobie czerwono-niebieską hawajską koszulę, na którą nałożył granatową sportową marynarkę. Nigdy wcześniej go nie widziałem.

Byłem rozczarowany, ale co mogłem poradzić? Postanowiłem się skupić na senatorach i działać tak, jakby sala była pełna.

Chwilę przed dziewiątą senator Grassley zszedł z podium, żeby się przywitać i podziękować mi za to, że się zgodziłem zostać w Waszyngtonie dzień dłużej. Wskazałem ręką na prawie pustą salę.

– Skoro nikt inny nie zeznaje, czy muszę się trzymać limitu siedmiu minut? – zapytałem.

Grassley położył mi rękę na ramieniu i dobronudszym tonem odpowiedział:

– Nie, możesz mówić tak długo, jak chcesz, Bill.

Zostałem zaprzysiężony. Nie miałem ze sobą żadnych dokumentów, żadnego notatnika ani nikogo, kto mógłby mnie wesprzeć (Juleanna siedziała w samolocie do Kalifornii, gdzie miała wcześniej umówione spotkanie). Mimo to nie denerwowałem się. Skoro nie ograniczał mnie czas, mówiłem jedenaście minut i przedstawiłem całą historię tak, jak na to zasługiwała.

Zazwyczaj senackie przesłuchania przebiegają pod publiczność. Senatorowie najpierw wygłaszają tyrady, później zadają pytania w taki sposób, żeby osiągać cele swojej partii. Nie inaczej działo się tym razem. Republikanom zależało, żebym zdyskredytował Glenna Simpsona i stwierdził, że dossier Trumpa to kompletna fikcja. Z kolei demokraci chcieli ode mnie usłyszeć, że spotkanie w Trump Tower było elementem spisku zawiązanego przez Rosjan i członków sztabu wyborczego Trumpa.

Nie zrobiłem ani tego, ani tego. Skupiłem się przede wszystkim na staraniach, żeby pozostać idealnie pośrodku. Nie mogłem sobie pozwolić

na upartyjnienie swojego zeznania. Chciałem współpracować i z demokratami, i z republikanami, żeby zwalczyć Putina, który nie ustawał w próbach podminowania ustawy Magnitskiego.

Na szczęście w dalszej części przesłuchania interesy partyjne zeszły na drugi plan. Wszyscy senatorowie autentycznie próbowali zrozumieć, jak działa Rosja i dlaczego Putin zachowuje się w taki, a nie inny sposób.

Przez godzinę i czterdzieści pięć minut odzierałem z pozorów motywacje rosyjskiego prezydenta. Nakreśliłem linię łączącą skradzione dwieście trzydzieści milionów dolarów z pełnomocnikiem Putina, wiolonczelistą Siergiejem Rolduginem. Wyjaśniłem, że to nie jednorazowa akcja, lecz kolejne z tysięcy przestępstw, na których korzystał Putin, gromadząc majątek szacowany na dwieście miliardów dolarów. Wskazałem, że niemal całe to bogactwo jest przechowywane w instytucjach finansowych Zachodu, więc potencjalnie może zostać zamrożone na mocy ustawy Magnitskiego. Właśnie dlatego Putin i jego wyżsi rangą funkcjonariusze postrzegają jej przepisy jako zagrożenie egzystencjalne.

Czterech z dziewięciorga członków komisji wcześniej było prokuratorami, wykorzystali więc wszystkie swoje umiejętności śledcze podczas zadawania pytań. Gdy skończyłem odpowiadać, obecni na sali politycy doznali olśnienia. Po raz pierwszy dostrzegli sens ostatnich wydarzeń: jednym z głównych powodów, dla których Putin ingerował w wybór prezydenta Stanów Zjednoczonych, była ustawa Magnitskiego.

Po zakończeniu posiedzenia stałem przed stołem dla świadka, rozmawiając z Patrickiem Davisem. Podszedł do nas pracownik biura kalifornijskiej senator Dianne Feinstein, jednej z ważniejszych postaci w senackiej Komisji Sprawiedliwości, i zapytał, czy zgodzę się zamienić kilka słów z panią senator w poczekalni. Poszedłem za nim. Senator Feinstein podziękowała mi, że zgodziłem się zostać dzień dłużej, i dodała, że to było jedno z najbardziej poruszających zeznań, jakie słyszała w swojej dwudziestopięcioletniej karierze senatorskiej.

Później się okazało, że chociaż podczas posiedzenia sala była prawie pusta, dziesiątki tysięcy ludzi oglądały transmisję, a dzięki obecności w Senacie wiele zyskałem. Na Twitterze zaczęło mnie obserwować całe mnóstwo nowych ludzi, fragment nagrania sieci C-SPAN zyskał status wiralu (naprawdę!), prasa szeroko pisała o sprawie, Czerwony alert wrócił na listę bestsellerów „New York Timesa”. Przede wszystkim jednak zapewniłem silne wsparcie polityczne dla ustawy Magnitskiego.

Przy okazji zadawania pytań senator Cornyn, republikanin z Teksasu, i senator Feinstein wprost stwierdzili, że nie może być mowy o uchyleniu ustawy Magnitskiego. Senator Whitehouse, demokrat z Rhode Island, poszedł jeszcze dalej, sugerując uchwalenie poprawki uniemożliwiającej któremukolwiek prezydentowi wykreślanie nazwisk z Listy Magnitskiego bez wyraźnej zgody Kongresu (w dniu publikacji tej książki poprawki jeszcze nie uchwalono, ale gorąco popieram jej wprowadzenie).

Chyba najważniejszy okazał się zasięg. Przed posiedzeniem Komisji Sprawiedliwości o Siergieju i ustawie Magnitskiego słyszał zaledwie promil Amerykanów. Dopóki utrzymywało się zainteresowanie mediów, ta liczba rosła w postępie geometrycznym. Do znacznej części amerykańskiej opinii publicznej – i z całą pewnością także do samego Władimira Putina – dotarła wiadomość: ustawa Magnitskiego jest i będzie.

ROZDZIAŁ 37

Globalne zastrzeżenie

Jesień 2017

Na moje wystąpienie Rosjanie zareagowali w typowy dla siebie sposób. Kilka dni po posiedzeniu komisji senackiej Wiktor Grin, zastępca prokuratora generalnego – ten sam objęty sankcjami funkcjonariusz, który się spotkał z Daną Rohrabacherem w Moskwie wiosną 2016 roku – podał do wiadomości, że prokuratura znów wytacza mi proces zaoczny. Akt oskarżenia obejmował oszustwo, fałszywe bankructwo oraz unikanie płacenia podatków, można powiedzieć: dyżurny zarzut stawiany przez reżim Putina jego wrogom. Tym razem współoskarżonym był mój kolega Iwan. Żaden z nas nie zamierzał wysłać adwokata, który by nas reprezentował, bo to uwiarygodniłoby proces. Rosjanie chcieli jednak za wszelką cenę puścić w świat swój przekaz.

Jeśli te działania miały mnie zastraszyć, to się nie udało. Nadal pracowałem nad kampanią upamiętniającą Siergieja i kilka miesięcy później, 4 października, kanadyjska Izba Gmin uchwaliła własną wersję ustawy Magnitskiego stosunkiem głosów dwieście dwadzieścia siedem do zera. Siedemnastego października, także jednogłośnie, przyjął ją Senat i następnego dnia weszła w życie.

Ustawa Magnitskiego w Kanadzie była krokiem milowym na naszej drodze. Chodziło nie o to, że Rosjanie kupowali wille w Toronto albo trzymali swoje pieniądze w kanadyjskich bankach, lecz raczej o przykład dla innych. Wiele krajów jest zbyt dumnych albo nastawionych zbyt antyamerykańsko, żeby iść za przykładem Stanów Zjednoczonych, natomiast nie ma czegoś takiego jak antykanadyjskość. Wiedziałem, że to

wydarzenie wywoła lawinę i własne wersje ustawy Magnitskiego przyjmą inne kraje.

Zdaje się, że Putin też to wiedział.

Po południu 19 października planowałem wyjazd do Ottawy dla siebie i rodziny Magnitskich, żeby wspólnie z nimi to uczcić. Zaskoczyła mnie automatyczna wiadomość od US Customs and Border Protection (Urząd Celny i Ochrony Granic Stanów Zjednoczonych, CBP) z następującym tekstem: „Niedawno nastąpiła zmiana statusu twojego wniosku. Prosimy zalogować się na stronie programu Trusted Traveller po dalsze informacje”. Zdziwiłem się. Nie leciałem do Kanady przez Stany Zjednoczone ani nie składałem żadnego wniosku do CBP. Pomyślałem, że to spam albo próba phishingu. Co prawda adres „no-reply@cbp.dhs.gov” wyglądał na autentyczny, ale to nic nie znaczyło. Kilka lat wcześniej na prima aprilis dostałem wiadomość od „events@whitehouse.gov” z zaproszeniem na wyjazd z prezydentem Obamą. Byłem szalenie podekscytowany i poczułem się wyróżniony, potem jednak zauważyłem kilka literówek i zdałem sobie sprawę, że to pierwszokwietniowy kawał. Pokazałem e-mail Davidowi, swojemu wówczas piętnastoletniemu synowi. Uśmiechnął się psotnie i wyjaśnił, że nie trzeba bardzo się wysilać, żeby e-mail wyglądał, jakby przyszedł z Białego Domu. Z dowolnego innego miejsca też, jeśli o to chodzi.

Chociaż chciałem zignorować wiadomość od CBP, nie dawała mi spokoju. Po półgodzinie wiedziałem, że muszę sprawdzić, o co chodzi.

Nigdy nie otwieram linków w e-mailach, których się nie spodziewam, wpisałem więc adres do przeglądarki i otworzyła się prawdziwa strona rządu amerykańskiego. Otrzymałem zaskakującą wiadomość: „Twój status Global Entry został cofnięty”. Global Entry jest programem rządu Stanów Zjednoczonych, który pozwala zatwierdzonym uczestnikom ominąć kolejki imigracyjne na większości amerykańskich lotnisk.

Oczywiście, wolę nie stać w kolejce, nie to jednak było głównym problemem. Niewykluczone, że działo się coś groźniejszego. Wydało mi się to nieprawdopodobne, ale tyle się ostatnio mówiło o Trumpie, Putinie i możliwej tajnej współpracy między nimi, że nie mogłem się nie zastanawiać, czy ci dwaj panowie nie dobili jakiegoś zakulisowego targu, którego przedmiotem byłem między innymi ja.

Jak miałem to sprawdzić? Nie mogłem po prostu zadzwonić do ambasady amerykańskiej w Londynie i zapytać, czy Trump z Putinem

wpisali mnie na listę osób objętych zakazem lotów. Najprawdopodobniej nie mieliby takiej informacji, a nawet jeśli, to przecież by mi nie powiedzieli.

Pierwszym logicznym posunięciem było sprawdzenie, czy cofnięto mi także amerykańską wizę. Obywatele między innymi Wielkiej Brytanii oraz niektórych krajów europejskich wjeżdżają do Stanów Zjednoczonych na podstawie programu ESTA, który jest czymś w rodzaju uproszczonej wizy. Wniosek składa się online, trzeba zapłacić dwanaście dolarów i praktycznie wszyscy oprócz terrorystów albo innego rodzaju ciemnych typów od ręki otrzymują zgodę ważną przez dwa lata. Zalogowałem się na stronę programu, żeby sprawdzić swój status, ale niczego się nie dowiedziałem.

Za najłatwiejszy sposób poznania stanu faktycznego uznałem kupienie biletu z możliwością zwrotu i sprawdzenie w sieci. Otrzymanie karty pokładowej było równoznaczne z potwierdzeniem, że moja ESTA działa jak dotychczas. Spróbowałem więc, ale dostałem automatyczną odpowiedź od linii United Airlines, że system nie może wystawić mi karty pokładowej i muszę w tym celu stawić się osobiście na lotnisku.

Dojechałem metrem do Paddington Station, tam przesiadłem się na Heathrow Express. Podróż trwała niecałą godzinę. Podszedłem do najbliższego stanowiska odprawy i odczekałem w krótkiej kolejce. Kiedy przyszła moja kolej, przywitałem się z pracownikiem i podałem mu paszport. Wpisał dane do swojego komputera. Nic. Wpisał ponownie. Znowu nic. Zapytałem, czy coś jest nie tak. Nie umiał odpowiedzieć. Po chwili sprowadził swoją przełożoną. Jej także system nie przyjął moich danych.

Wtedy kobieta zadzwoniła w mojej sprawie, jak przypuszczam do przedstawiciela CBP na lotnisku Heathrow, i poprosiła, żebym poczekał przy jej stanowisku. Obiecała, że da mi znać, jak tylko problem zostanie rozwiązany.

Po pewnym czasie spojrzała w moim kierunku. Jej skwaszona mina powiedziała mi wszystko.

– Przykro mi, panie Browder, pańskie pozwolenie ESTA jest nieważne – oznajmiła.

– Dlaczego? Co się stało?

– Nie chcieli mi powiedzieć.

– Co więc mam zrobić?

– Przypuszczam, że powinien pan się skontaktować z ambasadą amerykańską. My tutaj niestety nie możemy dla pana nic zrobić. Przykro mi.

Odszedłem od jej stanowiska przekonany, że to sprawka Rosjan. W jaki sposób nakłonili oni Stany Zjednoczone do wykonania swojej woli? Jeśli faktycznie Trump po cichu dogadał się z Putinem, znalazłem się w niezłych tarapatach.

W drodze powrotnej do Londynu szukałem jakiegokolwiek rozsądnego wyjaśnienia, które nie wiązałoby się z Trumpem ani Putinem. Tylko jedno przychodziło mi do głowy, że może, ale tylko może, to miało coś wspólnego z Interpolem, a nie jakimś niewyobrażalnym spiskiem.

W biurze wszedłem na stronę Interpolu, żeby sprawdzić, czy jestem na liście poszukiwanych. Nie byłem, co niezbyt mnie pocieszyło, bo listy publikowane przez Interpol to tylko niewielka część ich bazy danych. Zazwyczaj ludzie, którzy w niej figurują, nie mają o tym pojęcia, dopóki nie spróbują przekroczyć granicy, bo wówczas zostaną zatrzymani i odprowadzeni w kajdankach.

Mógłbym rozwiązać tę zagadkę w sekundę, wystarczyłby rzut oka na pełną listę Interpolu, tylko że dla cywila była ona nieosiągalna. Dostęp do niej mieli jedynie funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości.

Znałem wielu wysoko postawionych policjantów i prokuratorów. Odezwałem się do niektórych, zawsze jednak słyszałem w odpowiedzi jakąś wersję zdania „Bill, przecież wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć”. Kilka osób było wręcz zawiedzionych, że w ogóle o to pytam.

Niezrażony przeglądałem dalej listę kontaktów, mając nadzieję, że nie palę za sobą zbyt wielu mostów, ale naprawdę musiałem wiedzieć. Dotarłem do kogoś, z kim rozmawiałem tylko raz. Spodziewałem się, że potraktuje mnie tak samo jak pozostali. Na szczęście on powiedział radośnie:

- Oczywiście, już sprawdzam – jakby to było coś oczywistego.
- Usłyszałem klikanie klawiatury i pół minuty później potwierdzenie:
- Tak. Wygląda na to, że jest coś w systemie.
- Skąd? – Znałem odpowiedź.
- Z Rosji.
- Kiedy się pojawiło?
- W zeszły wtorek.

To był 17 października. Tego dnia izba wyższa kanadyjskiego parlamentu przegłosowała ustawę Magnitskiego. Najnowszy nakaz Interpolu był więc natychmiastowym odwetem.

Z tą nową informacją zadzwoniłem do Patricka Davisa z biura senatora Grassleya i poprosiłem o sprawdzenie, czy mój status w programie ESTA jakoś się wiąże z notą Interpolu. Patrick skontaktował się z DHS i oddzwonił. Faktycznie, system ESTA jest zsynchronizowany z Interpolem. Osoby poszukiwane przez Interpol są automatycznie skreślane z programu.

Czyli za moim problemem nie stał żaden konkretny człowiek. Nikt w Stanach Zjednoczonych mnie nie namierzył. Czułem się głupio, że pomyślałem o jakimś spisku. Przecież prezydent Stanów Zjednoczonych, ktokolwiek nim był, nie mógł uzgadniać swoich działań z Putinem.

Zadumałem się nad ironią losu. Od zamordowania Siergieja jednym z moich życiowych celów stało się uniemożliwienie skorumpowanym rosyjskim oficjelom podróży do krajów takich jak Stany Zjednoczone, tymczasem teraz Putin skutecznie wykorzystał Interpol, żeby podróż do Ameryki uniemożliwić mnie.

Na szczęście ten zakaz podróży okazał się krótki. Opinia publiczna dowiedziała się o nim w niedzielę wieczorem z bloga mojego przyjaciela Jaya Nordlingera na portalu National Review. Tekst nosił tytuł Dlaczego Bill Browder ma zakaz wjazdu do Ameryki? i odbił się głośnym echem. Ludzie odruchowo reagowali tak samo jak ja i dochodzili do tego samego mrocznego wniosku. Czy teraz żyjemy w świecie, w którym wrogowie Putina otrzymują zakaz wjazdu do Stanów Zjednoczonych, bo prezydentem jest Trump?

Następnego ranka senatorowie McCain i Cardin opublikowali wspólne oświadczenie dla prasy, w którym wezwali do przywrócenia mojej wizy. „Wysiłki pana Browdera pomogły usunąć skorumpowane postaci z naszego systemu finansowego. [...] Byłoby wyjątkowo niefortunne, gdyby Stany Zjednoczone postanowiły zakazać mu wjazdu na podstawie decyzji tych samych rosyjskich oficjeli, w których wymierzona jest [ustawa Magnitskiego]”.

W ciągu dwóch godzin Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego przywrócił mój poprzedni status w programie ESTA.

Dwa dni później Interpol usunął nakaz aresztowania ze swojego systemu i polecił wszystkim stu dziewięćdziesięciu dwóm krajom członkowskim usunięcie wszelkich wzmianek na mój temat z ich baz danych.

Ta porażka była poniżająca dla Putina, ale nad sądami w swoim kraju miał nieograniczoną władzę. Dwudziestego dziewiątego grudnia 2017 roku sąd rejonowy dla moskiewskiej dzielnicy Twerskiej uznał mnie i Iwana za winnych naszych rzekomych przestępstw. Iwan został skazany na osiem lat, ja dostałem kolejne dziewięć. Obydwaj zaocznie.

Teraz groziło mi osiemnaście lat w rosyjskim obozie pracy, gdybym kiedykolwiek został wydany Moskwie.

ROZDZIAŁ 38

Danske Bank

Zima–lato 2018

W połowie lutego zabrałem swoją rodzinę na narty do szwajcarskiego kurortu Crans-Montana położonego dwie godziny jazdy od Genewy. Spędziliśmy razem cudowny tydzień, na koniec jednak się rozdzieliliśmy. W niedzielę wieczorem Elena musiała być z dziećmi w domu, bo w poniedziałek rano szły do szkoły. Ja służbowo jechałem do Genewy.

W niedzielę po południu zabrałem rodzinę na lotnisko, uściskałem wszystkich na pożegnanie i zapowiedziałem, że jutro wieczorem znów się zobaczymy.

Następnego dnia miałem wystąpienie na temat ustawy Magnitskiego podczas sesji Rady Praw Człowieka organizowanej przez ONZ.

Kampania promująca ustawę Magnitskiego nabrała wiatru w żagle. Zaledwie miesiąc po decyzji parlamentu Kanady, w ósmą rocznicę zamordowania Siergieja, własną ustawę Magnitskiego uchwaliła Litwa. Niewiele później, w lutym 2018 roku, to samo zrobili Łotysze. Byłem pewien, że niedługo dołączą do nich także inne kraje.

Po wystąpieniu zostałem na miejscu jeszcze przez pewien czas, żeby porozmawiać z politykami i obrońcami praw człowieka, po czym około siedemnastej pojechałem na lotnisko złapać wieczorny lot do Londynu.

Odprawiłem bagaż, kupiłem szwajcarskie czekoladki dla rodziny i podszedłem do punktu odprawy paszportowej. Problem z Interpolem został rozwiązany, nie spodziewałem się więc żadnych utrudnień.

Podaliśmy paszport, funkcjonariusz wprowadził dane do komputera, pochylił się nad monitorem i zmrużył powieki. Potem, zamiast oddać mi

paszport, sięgnął po słuchawkę telefonu. Ponieważ dzieliła nas szyba, nie słyszałem, co mówi.

Stałem zdezorientowany. Ludzie za mną zaczęli przechodzić do drugiej kolejki. Po chwili mężczyzna włączył swój mikrofon i po angielsku zaczął zadawać mi pytania.

- Jak długo przebywał pan w Szwajcarii?
- Siedem dni.
- Co pan tu robił?
- Jeździłem na nartach i miałem sprawę w ONZ.

Spojrzał na mnie.

- Gdzie jest pańska rodzina?
- Wróciła do domu wczoraj.
- Czyli do Wielkiej Brytanii?
- Tak.

Pod szybą przesunął na moją stronę kartkę i długopis.

- Proszę napisać swój adres zamieszkania w Wielkiej Brytanii.
- Po co panu ten adres?
- Ja tu zadaję pytania, panie Browder.

Odwiedzałem Szwajcarię dziesiątki razy i nigdy o nic mnie nie pytano przy wyjeździe. Nie podobało mi się to. Nic Szwajcarom do tego, gdzie mieszkam.

Funkcjonariusz nalegał. Napisałem więc swój adres domowy i oddałem mu kartkę.

- Jaki ma pan dalszy plan podróży?

To było kompletnie oderwane od rzeczywistości. Odpowiedziałem niejednoznacznie, że na razie niczego nie planuję, co było prawdą o tyle, że nie zarezerwowałem żadnego biletu, ale w najbliższych tygodniach miałem umówionych kilka spotkań w różnych krajach Europy.

Wyłączył mikrofon i sięgnął po telefon. I znów nic nie słyszałem. Miałem przed sobą funkcjonariusza prawa, który po drugiej stronie szyby poruszał ustami, rozmawiając z kimś na mój temat.

Wysłałem SMS do Eleny: „Chyba mam kłopoty. Nie chcą mnie wypuścić na granicy szwajcarskiej”.

„Interpol?”

„Nie wiem”.

„Pisz mi na bieżąco”.

Potem czekałem.

Stałem, przyglądając się, jak inni pasażerowie przechodzą przez kontrolę graniczną bez żadnego problemu: paszport, skanowanie i następny.

Dziesięć minut później napisała Elena.

„I jak?”

„Dalej nic”.

Wreszcie po dwudziestu minutach funkcjonariusz oddał mi mój paszport bez słowa wyjaśnienia. Nie życzył mi nawet miłego lotu.

Zadzwoiłem do Eleny i powiedziałem, że mnie przepuścili. Poczucie bezpieczeństwa odzyskałem jednak dopiero, gdy samolot znalazł się w powietrzu. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak się stało, choć byłem pewien, że maczali w tym palce Rosjanie¹².

Od tamtego dnia trochę się bałem podróżować po Europie.

Ten lęk miał podstawy. Jak już pisałem, nieco ponad trzy miesiące później, rankiem 30 maja 2018 roku, zostałem aresztowany w madryckim hotelu Ingles – hiszpańska policja wykonywała nakaz rosyjskiego Interpolu.

Nigdy nie udało mi się ustalić, dlaczego do tego doszło, ale tuż po madryckim aresztowaniu Interpol twierdził, że działano na podstawie starego nakazu (tego, który Rosja wydała po przyjęciu ustawy Magnitskiego przez Kanadę). Hiszpania zignorowała dyrektywę Interpolu, żeby usunąć moje nazwisko ze swojej bazy danych.

Hiszpanie temu zaprzeczali, według nich działano na podstawie nowego nakazu. Ponieważ madryckie aresztowanie nastąpiło niedługo po mojej wizycie w Genewie, byłem skłonny wierzyć im, nie Interpolowi. To moje przekonanie dodatkowo się umocniło, gdy zobaczyłem wpis opublikowany na twitterowym koncie @Interpol_HQ niedługo po moim zwolnieniu: „Nie ma i nigdy nie było czerwonego alertu dla Billa Browdera. Pan Browder nie jest poszukiwany przez system Interpolu”. Mijali się z prawdą. Do dnia publikacji tego wpisu Rosja umieściła w systemie Interpolu kilka takich alertów.

Rosjanie dotkliwie odczuli to madryckie poniżenie. Niedługo po zwolnieniu mnie przez Hiszpanów prokurator generalny Czajka wydał oświadczenie: „Zdwoimy wysiłki, żeby dopaść Billa Browdera. [...] Nie powinien spać spokojnie”.

Chociaż było to niepokojące, nie zamierzałem zmieniać planów pod wpływem gróźb Czajki. Tydzień po aresztowaniu w Madrycie razem z Wadimem pojechałem do Kopenhagi na spotkanie z dwojgiem

dziennikarzy śledczych, Evą Jung i Michaeliem Lundem, w jednej z wiodących duńskich gazet „Berlingske”.

Eva i Michael, analizując dane ujawnione w potężnym wycieku znanym jako Russian Laundromat, odkryli, że Danske Bank, największy bank w Danii, jest zamieszany w pranie brudnych pieniędzy od co najmniej dziesięciu lat (tak jak w pozostałych przypadkach opisywanych w tej książce dane zostały ujawnione przez OCCRP, organizację pozarządową, która dostarczyła nam mołdawskie akta). Przez cały poprzedni rok tych dwoje dziennikarzy napisało ponad siedemdziesiąt artykułów o Danske Bank. Ujawniali w nich cały szereg podejrzanych płatności dokonywanych według różnych schematów między tak odmiennymi podmiotami jak na przykład najwyżsi przywódcy Azerbejdżanu, skorumpowani politycy europejscy, rosyjski handlarz bronią, objęte sankcjami irańskie przedsiębiorstwa, a nawet kuzyn Putina.

Ich doniesienia zmusiły Danske Bank do działania. Jesienią 2017 roku Thomas Borgen, prezes banku, zarządził audyt przeprowadzany przez zewnętrznych prawników i księgowych. Wyników tego audytu jeszcze nie przedstawiono, gdy jechaliśmy na rozmowę z Evą i Michaeliem.

Chcieliśmy się z nimi spotkać, ponieważ dokonaliśmy kilku spektakularnych odkryć dotyczących Danske Bank. Wykorzystawszy dane z francuskiego śledztwa, mołdawskie dane oraz inne źródła, Wadim zidentyfikował 43 112 transakcji, które udowadniały, że aż dwieście milionów z tych dwustu trzydziestu milionów dolarów, których kradzież ujawnił Siergiej, wyprało dwadzieścia fasadowych firm prowadzących rachunki w jedynym estońskim oddziale Danske Bank w Tallinie.

W kontaktach z duńskim wymiarem sprawiedliwości nie dopisywało nam szczęście, dlatego mieliśmy nadzieję, że dzięki rozmowie z dwojgiem znanych dziennikarzy zmobilizujemy władze do działania.

Wadim i ja przylecieliśmy do Kopenhagi 5 czerwca. Na spotkanie z Evą i Michaeliem pojechaliśmy do gwarnej redakcji mieszczącej się w nowoczesnym budynku w centrum miasta. („Berlingske” należy do najstarszych gazet w Skandynawii, pierwszy numer ukazał się 3 stycznia 1749 roku; jest też jedną z gazet wydawanych nieprzerwanie najdłużej na całym świecie).

Eva, blondynka po trzydziestce, zeszła po nas do holu, po czym przeszliśmy do spartańskiej sali konferencyjnej z meblami w stylu Ikea.

Przedstawiła nas Michaelowi – wysokiemu, z brązowymi włosami i szerokim uśmiechem – który podsunął jej krzesło.

Rozmowę poprowadził Wadim. Wyjął wielką płachtę papieru i rozłożył ją na stole. Przedstawiała skomplikowaną sieć spółek wydmuszek ilustrującą, jak pieniądze przepłynęły z rosyjskiego urzędu skarbowego przez serię innych krajów do estońskiego oddziału Danske Bank. Wadim wprawnie przesunął palcem po rysunku, przez czterdzieści pięć minut wyjaśniając szczegóły i odpowiadając na wszystkie pytania. Pod koniec spotkania zwinął wykres.

– Czy bylibyście skłonni przekazać nam wszystkie te dane? – zapytała Eva.

– Chcielibyśmy porównać je z tym, co już mamy – dodał Michael.

– Oczywiście, że tak. Będziemy wdzięczni, jeśli się tym zajmiecie – odrzekłem.

Po powrocie do Londynu Wadim zebrał wszystkie 43 112 potwierdzeń przelewów dokonanych przez dwadzieścia spółek – o nazwach takich jak na przykład Diamonds Forever International, Everfront Sales czy Castlefront (niektóre bardzo wyrafinowane jak na pralnie brudnych pieniędzy) – spakował w zaszyfrowanym pliku i przesłał do „Berlingske”.

Nie wiedzieliśmy, kiedy i czy w ogóle duńscy dziennikarze się do nas odezwą, ale pięć dni później Michael przysłał Wadimowi wiadomość, że ich analiza nie tylko potwierdziła znalezione przez nas dwieście milionów dolarów, lecz także ujawniła jeszcze 8,3 miliarda podejrzanych pieniędzy przepływających z Rosji i byłych republik Związku Radzieckiego przez te dwadzieścia spółek między 2007 a 2015 rokiem. To było dużo, dużo więcej, niż ktokolwiek z nas się spodziewał. Tak wysoka kwota oznaczała trzeci co do wielkości skandal związany z praniem brudnych pieniędzy w Europie.

Artykuł w „Berlingske” ukazał się 3 lipca 2018 roku. Był prawdziwą bombą w Danii, ale największy wpływ wywarł w skali międzynarodowej. Do tamtego momentu zainteresowanie aferą Danske Bank ograniczało się przede wszystkim do Skandynawii. Teraz stało się globalne.

Zwiększyła się presja na Danske Bank w związku z przeprowadzonym audytem. Nie był to teraz wewnętrzny problem firmy, ale sprawa narodowa o daleko sięgających implikacjach. Dania ma reputację nieskazitelnie uczciwego kraju – niezmiennie zajmuje drugie (po Nowej Zelandii) miejsce w Indeksie Percepcji Korupcji sporządzanym przez

Transparency International. Jeśli chciała zachować tę reputację, Danske Bank musiał ujawnić wyniki kontroli.

Martwili się nie tylko Duńczycy. Raport Ewy i Michaela ujawnił architekturę jednego z głównych kanałów ułatwiających wypompowywanie brudnych pieniędzy z Rosji. Byłem pewien, że te rewelacje doprowadzą z czasem do ujawnienia kolejnych przestępstw popełnionych przez reżim Putina.

Nie miałem też wątpliwości, że nastąpi zemsta. Nie wiedziałem tylko, jak szybko i w jakiej formie.

ROZDZIAŁ 39

Niesamowita oferta

Lato 2018

Trzy dni po artykule w „Berlinske” otrzymałem pisany łamaną angielszczyzną e-mail. „Chciałbym ostrzec, że służba bezpieczeństwa Rosji planuje, żeby doszło do zamachu na Pana w najbliższej przyszłości. Naprawdę otrzymałem świeżą informację bezpośrednio wskazującą na Pana jako na cel uderzenia”.

Nie umiałem ocenić wiarygodności tej informacji. Człowiek, który ją napisał – dawny agent rosyjskiego wywiadu mieszkający obecnie w Wielkiej Brytanii – był znany z dramatycznych oświadczeń o planowanych zamachach i innych rosyjskich spiskach. Jego słowa brzmiały poważnie. „To moja profesjonalna ocena sytuacji – napisał – którą oczywiście może Pan ignorować i zlekceważyć, ale proszę być ostrożnym i zwiększyć swoje środki bezpieczeństwa”.

Zazwyczaj nie traktowałem takich rzeczy poważnie. Podobnych wiadomości otrzymywałem dużo, zwłaszcza ta nie wydawała mi się szczególnie wiarygodna, ale niedawne wydarzenia trochę mnie rozstroiły. Czwartego marca 2018 roku Kreml wysłał dwóch zabójców do Salisbury w Anglii, żeby zlikwidować Siergieja Skripala, innego byłego oficera wywiadu Rosji (który faktycznie był podwójnym agentem pracującym dla Brytyjczyków). Zabójcy użyli zakazanego bojowego środka paralizującego o nazwie nowiczok i chociaż nie zdołali zabić Skripala, zatruli jego i Julię, jego córkę, która także przeżyła. Niestety zatruciu ulegli też policjant z Salisbury i dwoje tamtejszych mieszkańców, którzy przypadkowo zostali wystawieni na działanie nowiczoka. Później jedna z tych osób, Dawn Sturgess, zmarła. Miała zaledwie czterdzieści cztery lata.

Ten kolejny na brytyjskiej ziemi wyreżyserowany przez Kreml zamach na ludzkie życie pokazywał, jak bezczelny i nieustraszony jest Putin w swoich działaniach na Zachodzie.

Właśnie ze względu na Skripala nie wyśmiałem tego ostrzeżenia. Przekazałem wiadomość do SO15, jednostki antyterrorystycznej londyńskiej policji, która wszczęła postępowanie i procedurę oceny ryzyka. W przeszłości policjanci z tej jednostki nie byli specjalnie pomocni, ale otrucie Skripala i jego skutki zwróciły powszechną uwagę na brutalne realia rosyjskiego zagrożenia. Nie miałem wątpliwości, że tym razem SO15 potraktuje sprawę poważnie.

Dzień po odebraniu ostrzeżenia Elena, dzieci i ja wyruszyliśmy do Aspen na wyczekiwane letnie wakacje. Nawet jeśli faktycznie coś mi groziło, wydarzenia w światowej polityce działały na moją korzyść. W Stanach Zjednoczonych pojawiliśmy się tydzień przed pierwszym szczytem Trump – Putin, który miał się odbyć 16 lipca w Helsinkach. Było niewyobrażalne, żeby w tygodniu poprzedzającym spotkanie głów obydwu państw Rosjanie zdecydowali się przeprowadzić na terenie Ameryki zamach na osobę szeroko znaną.

Wszyscy mówili tylko o tym szczycie. I chociaż nawet mnie samemu wydawało się to trochę zwariowane, nie mogłem odpędzić myśli, że będę jednym z tematów rozmowy Trumpa z Putinem.

Wiedziałem, że to zakrawa na zarozumiałość, ale w nocy po przyjeździe do Kolorado przed zaśnięciem doszedłem do wniosku, że może jednak nie jest to zbyt wysokie mniemanie o sobie. Przecież Trump i Putin rozmawiali o ustawie Magnitskiego podczas szczytu G20 w Hamburgu rok wcześniej, a notatki przejęte ostatnio przez FBI od Paula Manaforta potwierdzały, że stanowiłem główny temat niesławnego spotkania w Trump Tower. (Pierwszym, co Manafort zapisał, były słowa „Bill Browder”. W innych punktach znalazły się takie tematy jak „Offshoring – Cypr” oraz „Browder wynajął Joannę Glover”, co było oczywistym przekręceniem imienia Juleanny. Ostatni punkt brzmiał: „Adopcja rosyjskich dzieci przez amerykańskie rodziny”).

Leżałem przy zgaszonym świetle, walcząc z natłokiem myśli. Sięgnąłem po telefon i napisałem następujący tweet: „Zastanawiam się właśnie, czy w Helsinkach Putin będzie chciał rozmawiać o mnie”.

Mój kciuk zawisł nad przyciskiem „Tweetnij”. Twitter stał się jednym z głównych kanałów informowania o przebiegu mojego konfliktu

z Rosjanami, ale czy powinienem publikować emocjonalne wpisy pod wpływem chwili? Elena smacznie spała obok mnie, wcześniej jednak nieraz karciała mnie za to, że najpierw tweetowałem, a dopiero później zadawałem pytania. Postanowiłem, że poczekam do rana. Obudziłem się chwilę przed siódmą i usunąłem szkic tweeta. Oczywiście, że nie zamierzali mówić o mnie. Mieli ważniejsze tematy: rozbrojenie nuklearne, wojna w Syrii, walka z terroryzmem. No i gdybym opublikował ten wpis, trolle nie zostawiłyby na mnie suchej nitki.

Szybko się okazało, że postąpiłem słusznie. Tego przedpołudnia Robert Mueller, prokurator specjalny, który odpowiadał za zbadanie rosyjskiej ingerencji w wybory prezydenckie 2016 roku oraz możliwe powiązania z Rosją w sztabie wyborczym Trumpa, wydał nieoczekiwane oświadczenie. Jego biuro postawiło w stan oskarżenia dwunastu rosyjskich funkcjonariuszy GRU (czyli wywiadu wojskowego Rosji), zarzuciło im zhakowanie Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej oraz ingerowanie w przebieg wyborów z zamiarem udzielenia pomocy Trumpowi.

Oskarżenie było miażdżące. Mueller zyskał dostęp do tajnych e-maili pisanych przez oficerów rosyjskiego wywiadu. Znalazł też płatności w bitcoinach, które z założenia mają być niewykrywalne, zlecane przez Rosjan w ramach finansowania operacji na terenie Stanów Zjednoczonych. Wyglądało na to, że prokuratura ma stuprocentowo pewne skazanie, gdyby tych dwunastu Rosjan kiedykolwiek stanęło przed amerykańskim sądem.

Bez względu na dotychczasowe ustalenia dotyczące przebiegu rozmowy Trumpa z Putinem oskarżenie Muellera wręcz musiało się stać jej głównym tematem, chociaż z całą pewnością bardzo niewygodnym dla obydwu stron.

Nie mogłem się doczekać, kiedy obejrzę fajerwerki w Helsinkach, teraz jednak zyskałem pewność, że szczyt w żaden sposób nie będzie dotyczył mnie osobiście. Tak czy owak, miałem do zrobienia coś znacznie ważniejszego: zabrać się do pisania tej książki. Odkładałem to miesiącami, także dlatego, że tak wiele się wydarzyło od wiosny – incydent na lotnisku w Genewie, zatrzymanie w Madrycie, afera Danske Bank i tak dalej – ale nie zamierzałem dłużej zwlekać.

O ósmej rano w poniedziałek 16 lipca, gdy Trump i Putin w ustronnym miejscu rozpoczęli prywatne spotkanie, postawiłem laptop na stole w jadalni, usiadłem tak, żeby móc zerkać na góry widoczne od zachodu, i zabrałem się do pracy.

Zwykle moje dzieci ganiają jak szalone po całym domu, ale tego dnia zapowiedziałem im, że do jadalni wchodzić nie wolno. Ograniczenia narzuciłem także sobie, odkładając wyciszony smartfon ekranem do dołu i postanawiając, że go nie tknę, żeby sprawdzić pocztę czy Twitter.

Po dwóch godzinach zmudnej pracy miałem zaledwie jedną stronę – zdążyłem zapomnieć, jaki to ciężki kawałek chleba – i moja silna wola się wyczerpała. Sięgnąłem po smartfon. Powiadomienia nie mieściły się na wyświetlaczu. Dostałem dziesiątki wiadomości: SMS-y, e-maile, deemki, poczta głosowa – dosłownie wszystkimi możliwymi kanałami.

Otworzyłem pierwszy e-mail: „Bill, oglądasz Helsinki??”.

Przewinąłem skrzynkę odbiorczą. „W życiu nie widziałem czegoś tak pojebanego. Przerazające!” – oburzał się jeden z przyjaciół. Ktoś inny napisał: „Gdybyś chciał się ukrywać, zawsze możesz skorzystać z naszego domu w górach”.

Co się działo, do diabła? Znalazłem najświeższy mail o Helsinkach, od korespondenta MSNBC Alego Velshiego. Temat wiadomości był zwięzły, ale wyjaśniał wszystko: „Putin właśnie mówi o Tobie”.

Kurwa mać!

Odłożyłem smartfon i wszedłem do sieci. Nie potrzebowałem wiele czasu, żeby znaleźć konferencję prasową po szczycie w Helsinkach. Prezydenci stali przy identycznych pulpitych, ale mowa ciała nie mogłaby chyba różnić ich bardziej. Putin wyglądał, jakby był u siebie, Trump patrzył spode łba i lekko się przygarbił. Nie był to prezydencki wygląd.

Obejrzałem całość. Szokujący moment nastąpił, gdy pytanie zadał dziennikarz Reutersa: „Panie prezydencie Putin, czy rozważy pan ekstradycję dwunastu rosyjskich funkcjonariuszy, którzy w zeszłym tygodniu zostali postawieni w stan oskarżenia przez wielką ławę przysięgłych?”.

Putin uśmiechnął się i z dużą pewnością siebie skinął głową. Wyglądał, jakby przez cały weekend czekał na ten właśnie moment. „Możemy się spotkać w połowie drogi. [...] Możemy dopuścić przedstawicieli Stanów Zjednoczonych, również komisji kierowanej przez pana Muellera. Wpuścimy ich do naszego kraju. Będą obecni podczas przesłuchania. Oczekiwalibyśmy jednak wzajemności od Amerykanów. [...] Na przykład możemy w tym konkretnym przypadku przywołać pana Browdera”.

Musiałem odtwarzać ten fragment kilka razy, żeby się upewnić, że dobrze usłyszałem. Wyglądało na to, że Putin, stojąc obok prezydenta

Stanów Zjednoczonych, sugerował, żeby dwunastu oficerów rosyjskiego GRU wymienić na mnie!

Czekałem na reakcję Trumpa. Musiał chyba odrzucić taką możliwość?

Nie odrzucił. Powiedział „Myślę, że to niesamowita oferta” – powiedział, sugerując, że jest gotów mnie przehandlować.

Rozumiałem powagę sytuacji, ale targały mną zbyt wielkie emocje, żebym mógł się kierować rozumem. To było jak groźny wypadek samochodowy. Wiedziałem, że odniosłem obrażenia, tylko nie miałem pojęcia, jak są poważne.

Próbowałem ocenić szkody i przede wszystkim wracało pytanie, czy jestem bezpieczny w Ameryce, czy mogę tam zostać. Początkową ulotną obawę, że jakiś rosyjski zamachowiec mógłby spróbować mnie zabić, zastąpił całkiem realny strach, że prezydent Stanów Zjednoczonych przekaze mnie Rosjanom.

Wybiegłem przed dom, żeby znaleźć Elenę, która patrzyła na nasze dzieci skaczące na trampolinie. Dotknąłem jej ramienia i dałem znak, żeby poszła ze mną do środka. Powiedziała naszej najstarszej córce, Jessice, że teraz ona odpowiada za bezpieczeństwo. Odeszliśmy na tyle daleko, że dzieci nas nie słyszały, i wtedy wykrzyknąłem: „Putin właśnie poprosił Trumpa, żeby mnie przekazał, a Trump mu przytaknął!”.

Elena położyła rękę na moim ramieniu, żeby mnie uspokoić, i poszliśmy do salonu, gdzie razem obejrzelśmy konferencję prasową. Nerwowo przytupywałem, czekając na opinię Eleny. Po wszystkim oznajmiłem:

– Myślę, że powinienem wyjechać ze Stanów. I to natychmiast.

– A ja nie – stwierdziła po chwili namysłu. – Trump mógłby się do tego posunąć, ale nawet jeśli tak zrobi, nic się nie wydarzy z dnia na dzień. W tej chwili cały świat zadaje sobie pytanie, kim jest Bill Browder. Myślę, że powinieneś im odpowiedzieć.

Miała rację. Trzy czwarte dzisiejszych wiadomości pochodziło od różnych redakcji, które zapraszały mnie na swoją antenę. Zainteresowanie mediów było nawet większe niż po rewelacjach dotyczących spotkania w Trump Tower. Zacząłem oddzwaniać i w ciągu godziny umówiłem się na kilkanaście wywiadów w telewizyjnych programach informacyjnych.

Złapałem marynarkę i krawat, po czym wsiadłem do auta, żeby znów pojechać do małego studia telewizyjnego w Aspen Institute. Wiedziałem, że z wytłumionego czarną pianką pomieszczenia w piwnicy Doerr-Hosier Center wyjdę dopiero późno w nocy.

Gdy byłem w drodze, odezwał się mój telefon. Dzwonił przyjaciel dobrze ustosunkowany w Waszyngtonie. Odebrałem.

– Halo?

Przyjaciel przeszedł od razu do rzeczy.

– Nie wiem, gdzie jesteś, Bill, ale musisz się trzymać z dala od Ameryki. Przed chwilą rozmawiałem ze znajomym z Departamentu Sprawiedliwości. Mówi, że sytuacja ich zaskoczyła i ni cholery nikt nie ma pojęcia, co się tam wyprawia. Jego zdaniem Trump cię wyda.

Nie powiedziałem mu, że jestem w Ameryce. Podziękowałem tylko za wiadomości.

Dojechałem do instytutu i wszedłem do budynku Doerr-Hosier Center. W studiu przywitał mnie kamerzysta Jason.

Gdy przypinał mi mikrofon, zauważyłem, że na ekranie za moimi plecami wyświetla się film, na którym kolejka linowa powoli wjeżdża na szczyt Aspen Mountain. Podczas transmisji takie tło zdradzałoby widzom moją lokalizację. Zapytałem Jasona, czy może je zmienić. Znalazł zdjęcie niczym niewyróżniającego się newsroomu, który mógłby funkcjonować gdziekolwiek na świecie.

Pierwsze wejście było dla CNN-u. Poprosiłem Jasona, żeby trzy razy potwierdził z ich wydawcą, że nie podadzą, skąd jest transmisja. Uzyskał zapewnienie, że usuną wszelkie wzmianki o lokalizacji, i podpis głosił tylko „Bill Browder”. We wszystkich kolejnych wywiadach także.

Siadałem na taborecie przed kamerą i schodziłem z niego przez resztę dnia, żeby wystąpić na antenach CNN, Fox, MSNBC, BBC, Al-Dżaziry, CBC, France-24, Australian Broadcasting Corporation, Sky News, Deutsche Welle i wielu innych telewizji.

Za każdym razem tłumaczyłem, że Putin tak bardzo chce mnie dopaść, bo ustawa Magnitskiego niesie zagrożenie dla jego władzy i majątku. Wyjaśniałem też, że jeśli mnie dopadnie, wtrąci mnie do rosyjskiego więzienia, w którym będę torturowany i w końcu zostanę zabity tak samo jak Siergiej. Tyle wiedziałem na pewno. Nie wiedziałem natomiast, czy Trump skorzysta z tej, jak się wyraził, niesamowitej oferty ani czy amerykańskie instytucje prawne są na tyle silne, żeby mu się przeciwstawić, gdyby jednak chciał z niej skorzystać.

Mogłem tylko robić dobrą minę do złej gry i powtarzać, że w Ameryce panują rządy prawa, dlatego nie uważam, żeby Trumpowi udało się przekazać mnie Rosjanom. Ale nie dałbym sobie za to obciąć głowy.

Tamtego dnia – tak jak wszyscy inni – musiałem jakoś poradzić sobie ze świadomością, że sytuacja nagle się zmieniła i niczego się nie da wykluczyć. W czasach Trumpa coraz trudniej było stwierdzić, w co można wierzyć.

ROZDZIAŁ 40

Dziewięćdziesiąt osiem do zera

Lato 2018

Późnym wieczorem wróciłem do domu. Czułem ogromne zmęczenie. Spędziłem dwanaście godzin, opowiadając swoją historię milionom widzów na całym świecie, i musiałem przy tym zachować spokój, by nie pokazać, jak bardzo mnie przeraża, że prezydent Trump mógłby uzgodnić z Putinem odesłanie mnie do Rosji.

Elena zostawiła dla mnie kolację na blacie kuchennym. Usunąłem folię, usiadłem na stołku i zjadłem wszystko do ostatniego kęsa. Potem poszedłem do łóżka i spałem jak kamień.

Następnego dnia o szóstej trzydzieści Elena obudziła mnie, machając kawałkiem papieru przed moją twarzą.

– Musisz to zobaczyć, kochanie.

Wstała przed świtem, żeby przeczytać rosyjskie wiadomości. Tamtego ranka biuro prokuratora generalnego Rosji opublikowało listę jedenastu osób, których przekazania razem ze mną żądało od Stanów Zjednoczonych w zamian za dwunastu funkcjonariuszy GRU. Kreml kocha symetrię w takich sprawach. Amerykanie chcieli dwunastu, więc Rosja też chciała dwunastu.

Podparłem głowę poduszką i przeczytałem tekst. Rosjanie chcieli Mike'a McFaula, byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Rosji, Kyle'a Parkera, mojego przyjaciela, który napisał tekst ustawy Magnitskiego, Todda Hymana, agenta specjalnego z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który prowadził dochodzenie w sprawie Prevezonu, Swietłany Angert i Aleksandra Schwartzmana, agentów specjalnych, którzy odpowiadali za ochronę Gorochowów w Nowym Jorku¹³, Jonathana

Winera, waszyngtońskiego prawnika i byłego urzędnika Departamentu Stanu, który wymyślił ideę ustawy Magnitskiego, oraz Davida Kramera, również byłego pracownika Departamentu Stanu i prezesa organizacji pozarządowej Freedom House działającej na rzecz praw człowieka, który popierał ustawę Magnitskiego razem z Borisem Niemcowem i ze mną. Na liście znalazły się jeszcze cztery inne nazwiska, ale ewidentnie chodziło przede wszystkim o ludzi zaangażowanych albo w ustawę Magnitskiego, albo w sprawę Prevezonu.

O co Rosjanie nas oskarżali? Dzień wcześniej Putin sugerował, że moi współpracownicy biznesowi i ja zarobiliśmy w Rosji ponad półtora miliarda dolarów, ale nigdy nie płaciliśmy żadnych podatków, później zaś, żeby zyskać uwagę Trumpa, dodał, że przekazaliśmy czterysta milionów dolarów na kampanię Hillary Clinton¹⁴.

Dalej Putin powiedział: „Mamy poważne powody, żeby przypuszczać, że tymi transakcjami zarządzali funkcjonariusze wywiadu”. McFaula, Parkera, Hymana i wszystkich pozostałych z tej listy oskarżył o udział w moim przestępczym procederze.

Oto klasyczna rosyjska projekcja. Nie my byliśmy ofiarami, lecz oni. Nie oni byli przestępcami, lecz my. Zamiast o zorganizowanej grupie przestępczej Klujewa, która we współpracy ze skorumpowanymi rosyjskimi oficjelami wyprała olbrzymie sumy pieniędzy, mówili o zorganizowanej grupie przestępczej Browdera współpracującego ze skorumpowanymi urzędnikami Stanów Zjednoczonych, żeby wyprać olbrzymie sumy pieniędzy.

Elena i ja popatrzyliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem. Putin znowu przeszarżował.

Ściganie osoby prywatnej takiej jak ja, zwłaszcza że nie miałem nawet amerykańskiego obywatelstwa, to jedno. Owszem, to obrzydliwe postępowanie, bo w ostatecznym rozrachunku ilu ludzi się mną przejmuje? Zupełnie czym innym było żądać wydania byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych, członka personelu Kongresu czy nawet szeregowych agentów służb państwa. Gdyby Trump spełnił żądanie Putina, stworzyłby katastrofalny precedens. Nie tylko oznaczałoby to całkowitą kapitulację wobec Rosjan, ale też Stany Zjednoczone straciłyby chętnych do pracy w służbie publicznej. Kto chciałby się zatrudnić w instytucjach rządowych, gdyby wiedział, że w każdej chwili może zostać przekazany wrogiemu mocarstwu tylko za to, że wykonuje swoją pracę?

Trump powinien natychmiast odrzucić propozycję Putina. Nawet jeśli przyjąć, że prezydent Stanów Zjednoczonych nie rozumiał w pełni istoty tej propozycji (co trzeba uznać za niemożliwe, skoro rok wcześniej osobiście napisał oświadczenie swojego syna, w którym adopcje wymienione są jako powód spotkania w Trump Tower), jego doradcy powinni wyjaśnić mu sytuację natychmiast potem. Tymczasem upłynęły prawie dwadzieścia cztery godziny, a Biały Dom milczał.

Wstałem z łóżka, poszedłem do kuchni i nalałem sobie owsianki. Po śniadaniu zadzwoniłem do Mike'a McFaula. Znałem go właściwie od dnia, w którym przyjechałem do Rosji w 1992 roku, i uznawałem go za swojego przyjaciela. Przed objęciem stanowiska w Moskwie pracował dla Obamy jako doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego w sprawach Rosji. Był też ważnym sojusznikiem w administracji amerykańskiej podczas kampanii na rzecz uchwalenia ustawy Magnitskiego.

Mike właśnie wylądował w San Francisco po powrocie z Helsinek, gdzie pracował dla NBC jako komentator szczytu. Podobnie jak wcześniej ja z opóźnieniem się dowiedział, że jest na liście Putina, gdy po włączeniu telefonu zobaczył dziesiątki nowych wiadomości.

– Twoim zdaniem istnieje ryzyko, że to naprawdę mogłoby się stać? – zapytałem.

– Nie, ale mój prawnik uważa, że nie powinniśmy pozostawiać tego losowi. Jestem w trakcie rozmów z ludźmi w administracji, żeby mieć pewność.

– Tak mi przykro, że zostałeś wciągnięty w ten bałagan, Mike.

– To nie twoja wina, zawinił Putin. – Zawiesił głos. – Zawsze wiedziałem, że on cię nienawidzi, Bill, tylko nie miałem pojęcia, jak bardzo.

Po rozmowie z Mikiem chwyciłem torbę z rzeczami i wyruszyłem do Doerr-Hosier Center na kolejną serię wywiadów.

Mój najstarszy syn, David, pojechał ze mną. Przyjechał do nas z Kalifornii i bardzo się martwił ostatnimi wydarzeniami. Niewiele mógłby zrobić, gdybym został zatrzymany przez służby państwowe, ale przynajmniej by dopilnował, żeby dowiedzieli się o tym odpowiedni ludzie. Gdy poprzednim razem spotkały nas w Aspen kłopoty, był jeszcze nastolatkiem, teraz wyrósł na dwudziestodwuletniego mężczyznę. Mając go ze sobą, czułem się trochę lepiej.

Pocieszałem się też, że tego dnia w instytucie zaczynało się Aspen Security Forum, międzynarodowa konferencja gromadząca najwybitniejsze

postaci związane z bezpieczeństwem narodowym oraz niezliczonych dziennikarzy. Gdyby cokolwiek się wydarzyło, naocznymi świadkami zostaliby najważniejsi ludzie w rządzie i mediach, a relację na żywo pokazałyby telewizje.

W instytucie praca wrzała. Przez noc na trawniku przed głównym budynkiem rozbito olbrzymi biały namiot. Wewnątrz rozstawiono stoliki i kanapy oraz mały bar i stanowiska, przy których uczestnicy mogli odebrać swoje identyfikatory. Na ruszcie skwierczało nawet prosię.

Razem z Davidem zeszliśmy do małego studia. Przedstawiłem go Jasonowi. Zająłem miejsce przed kamerą, David czekał na kanapie tuż przed wejściem, oglądając moje wypowiedzi na smartfonie.

Po zakończeniu wywiadu dla MSNBC David wsunął głowę przez drzwi. Ze zmartwioną miną zapytał:

– Czy mogę wejść?

– Pewnie – odpowiedziałem. – Co się stało?

Pokazał mnie i Jasonowi zrobiony podczas emisji zrzut ekranu ze swojego iPhone'a. Siedziałem na neutralnym tle newsroomu z ustami otwartymi w pół słowa. Na pasku u dołu ekranu widniał napis: „Bill Browder, Aspen, Kolorado”.

W zamieszaniu przed rozpoczęciem drugiego dnia wywiadów całkiem zapomniałem poprosić wydawcę programu, żeby nie ujawniał mojej lokalizacji.

Ponieważ na stałe mieszkałem w Wielkiej Brytanii, widzowie zakładali, że udzielam wywiadów z Londynu. Wówczas ewentualna umowa Trumpa z Putinem pozostałaby w teorii, bo rząd amerykański nie ma jurysdykcji na terenie Wielkiej Brytanii.

Teraz wszyscy wiedzieli, że jestem w Ameryce. Co oczywiste, tutaj rząd amerykański jurysdykcję miał.

Moją pierwszą myślą było zerwać mikrofon, jechać na lotnisko i uciekać, byle dalej od tych cholernych Stanów. Ale potem się zastanowiłem i po kilku minutach odzyskałem spokój. Żeby mnie aresztować, Trump wydałby polecenie prokuratorowi generalnemu Jeffowi Sessionsowi, który z kolei przekazałby je prokuratorowi federalnemu w Kolorado, ten zaś musiałby wysmażyć jakieś prawdopodobnie brzmiące uzasadnienie prawne, bo Stany Zjednoczone nie mają umowy ekstradycyjnej z Rosją. To wszystko wymagałoby czasu. Postanowiłem zostać i dalej robić swoje.

Po kolejnym wywiadzie zrobiliśmy przerwę na lunch. David i ja wyszliśmy na zewnątrz, wzięliśmy po kanapce z grillowaną wieprzowiną i usiedliśmy w cieniu pod namiotem. Podczas posiłku podeszła do nas cała procesja uczestników konferencji. Ci, którzy mnie znali, wyrażali obawę o moje bezpieczeństwo, nieznajomi gapili się na mnie tak, jakbym siedział na samym spodzie sterty płonących aut, które najechały na siebie w karambolu.

Po południu udzieliłem kolejnych wywiadów. Do boju ruszył też Mike McFaul, który kilka razy wystąpił w różnych telewizjach. Swoje oburzenie wyrażał bardziej zdecydowanie niż ja. Gdy przebywał w Moskwie jako ambasador, jego samego oraz rodzinę nachodzono, nękano i inwigilowano, nigdy jednak rosyjski rząd nie stawiał mu zmyślonych zarzutów o popełnienie przestępstw, których nie było. Teraz, gdy te zarzuty mu postawiono, oczekiwał głośnej i zdecydowanej reakcji Waszyngtonu. Milczenie w tej sprawie było dla niego szokujące.

Przed wyjazdem do Aspen Institute następnego ranka znów zadzwoniłem do Mike'a, żeby się dowiedzieć, co nowego w Waszyngtonie.

– Rozmawiałem z kilkoma osobami z Rady Bezpieczeństwa Narodowego, Departamentu Stanu i Departamentu Sprawiedliwości. Wszyscy wyrażali wsparcie i oburzenie, choć nikt kategorycznie nie stwierdził, że to się nie stanie. Nikt tego głośno nie powiedział, ale wujek w Białym Domu jest szalony i stać go na wszystko.

Wróciłem do instytutu na kolejny dzień wywiadów. Zainteresowanie mediów nie spadło. „Niesamowita oferta” Putina rozpoczynała wszystkie serwisy informacyjne. Biały Dom ciągle milczał.

Wczesnym popołudniem szykowałem się do wejścia na antenę Fox News, piąty raz w ciągu trzech dni. Fox notorycznie wspierał Trumpa, ale w tej sprawie ich dziennikarze byli tak samo zdezorientowani i oburzeni jak wszyscy inni. Nie było widocznej różnicy między Fox News, CNN ani nawet MSNBC.

Tuż przed rozpoczęciem transmisji w mojej słuchawce odezwał się wydawca:

– Bill, mamy relację na żywo z konferencji prasowej w Białym Domu. Jeśli możesz poczekać, rozmowę z tobą nadamy po niej.

– Oczywiście, że poczekam.

Zaraz potem Fox przeniósł się na konferencję, która już trwała. Nie miałem wizji, tylko fonię. Sarah Huckabee Sanders, rzeczniczka prasowa

Trumpa, właśnie zaczęła odpowiadać na pytania dziennikarzy.

Po kilku minutach zabrała głos Maggie Haberman z „New York Timesa”:

– Rosyjskie władze wskazały wczoraj kilkoro obywateli amerykańskich, których chcą przesłuchać, ponieważ ich zdaniem są powiązani z przestępstwami, jak to określają, Billa Browdera. Chodzi między innymi o byłego ambasadora w Rosji Mike’a McFaula. Czy prezydent Trump popiera ten pomysł? Czy zgodzi się na przesłuchanie amerykańskich urzędników państwowych przez Rosję?

To był moment, na który wszyscy czekaliśmy.

Huckabee Sanders odpowiedziała bez chwili wahania:

– Prezydent spotka się ze swoim zespołem i powiadomimy państwa, gdy będziemy mieli oświadczenie w tej sprawie.

Dodała, że zdaniem Trumpa to „interesujący pomysł. Prezydent chce przeprowadzić konsultacje ze swoim zespołem i ustalić, czy istnieją podstawy, żeby wspomóc ten proces”.

Kurwa mać! Jeszcze się nie zdecydował?

Znów poczułem, że tracę grunt pod nogami. Od każdego rozsądnego człowieka w swoim otoczeniu Trump musiał już chyba usłyszeć, że ta propozycja to szaleństwo, a on nadal ją rozważa?

Po konferencji prasowej telewizja Fox nadała wywiad ze mną. Pytali, co sądzę o najnowszych informacjach. Starłem się nie obrażać Trumpa – nie chciałem dawać mu dodatkowych powodów, żeby odesłał mnie do Rosji – ale trudno mi było pohamować irytację i w takim tonie się wypowiedziałem.

Na szczęście praktycznie wszyscy w Waszyngtonie się ze mną zgadzali. W ciągu kilku minut Departament Stanu zwołał swoją konferencję prasową. Zapytano Heather Nauert, ich rzeczniczkę prasową, dlaczego ta propozycja w ogóle jest rozważana. Odpowiedziała:

– Nie mam mandatu, żeby się wypowiadać za Biały Dom – zabrzmiało to dziwnie w ustach przedstawicielki instytucji będącej częścią prezydenckiej administracji – ale mogę stwierdzić, że żądania wysuwane przez rząd Rosji są całkowicie niedorzeczne.

Tego samego popołudnia kongresmen Adam Schiff, znaczący członek Komisji Wywiadu Kongresu Stanów Zjednoczonych, napisał na Twitterze: „Żadne »konsultacje« nie są potrzebne, żeby jasno stwierdzić, że USA nigdy nie będą uczestniczyć w krucjacie Putina przeciwko Billowi Browderowi czy byłym funkcjonariuszom państwowym jak ambasador McFaul”.

Później senator Roger Wicker, republikanin z Missisipi i jeden z pierwszych promotorów ustawy Magnitskiego, wydał oświadczenie, w którym napisał: „Biały Dom musi jasno stwierdzić, że pod żadnym pozorem władze Stanów Zjednoczonych nie wydadzą byłego ambasadora w Rosji Michaela McFaula, szefa personelu Komisji Helsińskiej Kyle’a Parkera¹⁵ ani żadnego innego funkcjonariusza państwowego wrogiemu mocarstwu, które miałyby ich przesłuchiwać. Prezydent Trump musi też ostro przeciwstawić się działaniom Putina zmierzającym do przesłuchania Billa Browdera, obywatela Wielkiej Brytanii, który odważnie ujawnił mord na Siergieju Magnitskim i zwrócił uwagę społeczności międzynarodowej na tę sprawę. Stany Zjednoczone nie zdradzą tych, którzy walczą z agresją i przestępstwami reżimu Putina”.

Wyrazy potępienia płynęły z różnych zakątków Waszyngtonu. Fala oburzenia narastała i Senat szybko zorganizował głosowanie nad rezolucją zobowiązującą Trumpa do odrzucenia „niesamowitej oferty” Putina.

Administracja musiała się obawiać, że ta fala ją zmiecie. Godzinę przed senackim głosowaniem Biały Dom wreszcie się wycofał. Huckabee Sanders oznajmiła: „Prezydent Putin złożył tę propozycję w dobrych intencjach, ale prezydent Trump się z nią nie zgadza”.

Raczej nie była to zdecydowana odmowa, jakiej oczekiwał Waszyngton. Można było odnieść wrażenie, że Trump przeprosza Putina, wzruszając ramionami: „Chciałem dobrze, kolego, ale mi nie pozwalają”.

O czternastej czterdzieści dwie Senat głosował nad rezolucją. Przeszła stosunkiem głosów dziewięćdziesiąt osiem do zera.

O przekazywaniu kogokolwiek Rosjanom nie było już mowy.

ROZDZIAŁ 41

Dwieście trzydzieści cztery miliardy dolarów

Dwanaście lat wcześniej, późnym wieczorem 13 września 2006 roku, czterdziestojednoletni mężczyzna o nazwisku Andriej Kozłow, wiceprezes Centralnego Banku Federacji Rosyjskiej i jeden z garstki uczciwych rosyjskich urzędników, wychodził ze stadionu moskiewskiego Spartaka po meczu towarzyskim, który tam rozegrał.

Zanim doszedł do swojego auta na parkingu, dwóch uzbrojonych mężczyzn otworzyło ogień. Kozłowa i jego kierowcę dosięgło kilka kul. Kierowca zginął na miejscu. Kozłow z ranami głowy, klatki piersiowej i brzucha został przewieziony do moskiewskiego szpitala numer 33, gdzie zmarł na stole operacyjnym. Zostawił żonę i trójkę małych dzieci.

Trzy miesiące wcześniej Kozłow pojechał do stolicy Estonii na spotkanie z szefem tamtejszego organu nadzoru finansowego. Kozłow natrafił na proceder prania brudnych pieniędzy, które z Rosji wędrowały do Sampo Bank w Tallinie. Poprosił o pomoc w ukróceniu tego procederu. Estończycy go wysłuchali, ale nie zrobili nic. Pranie pieniędzy trwało bez przeszkód.

Pięć miesięcy po zamordowaniu Kozłowa Sampo Bank został przejęty przez większą instytucję. Był nią Danske Bank.

To był ten sam oddział tego samego banku, w którym później wyprano dwieście milionów dolarów powiązanych ze sprawą Magnitskiego oraz 8,3 miliarda, które Eva i Michael ujawnili w swoim artykule.

Niedługo po szczycie w Helsinkach, we wrześniu 2018 roku, Danske Bank wreszcie opublikował wyniki audytu. Kontrolerzy ujawnili faktyczną kwotę brudnych pieniędzy z Rosji oraz dawnych republik Związku Radzieckiego, które przez dziesięć lat przepłynęły przez estoński oddział banku.

Kwota wynosiła dwieście trzydzieści cztery miliardy dolarów!

Tak, dwieście trzydzieści cztery miliardy dolarów. Dwadzieścia osiem razy więcej niż kwota ujawniona przez „Berlingske” i ponad tysiąc razy więcej niż ta, którą zidentyfikowaliśmy my.

Afera wstrząsnęła duńskim bankiem. Między 2017 rokiem, gdy Eva i Michael zaczęli pisać o sprawie, a 2019 rokiem, dwanaście miesięcy po publikacji wyników audytu, Danske Bank stracił sześćdziesiąt pięć procent wartości rynkowej, a prezes zarządu Thomas Borgen i większość kadry kierowniczej zostali zmuszeni do dymisji¹⁶.

Wszczęto też w końcu śledztwo w tej sprawie.

Niestety podczas tego śledztwa Aivar Rehe, były prezes estońskiego oddziału Danske Bank, popełnił samobójstwo w swoim domu w Tallinie.

Przez kolejne miesiące dziennikarze śledczy ustalili, że w pranie rosyjskich pieniędzy zamieszane były też dwa inne skandynawskie banki, obydwa ze Szwecji: SEB miał wyprać dwadzieścia osiem miliardów dolarów, a Swedbank obsłużył podejrzane transakcje na kwotę czterdziestu dwóch miliardów dolarów. Na podstawie tych publikacji Wadim potwierdził, że osiemnaście milionów ze sprawy Magnitskiego przewinęło się przez Swedbank. Prezes zarządu tego banku również został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska.

Dwieście trzydzieści cztery miliardy dolarów to olbrzymia kwota, ale były to pieniądze, które przewinęły się tylko przez jeden oddział średniej wielkości banku europejskiego tylko w jednym kraju.

Gdybyśmy mogli usunąć zasłonę skrywającą wszystkie zachodnie banki, moglibyśmy znaleźć znacznie więcej brudnych pieniędzy, które wyprowadzono z Rosji, odkąd władzę przejął Putin. Szacuję, że kwota ta mogłaby wynieść bilion dolarów albo nawet więcej.

O praniu rosyjskich pieniędzy informuję od lat z różnym skutkiem. Ale informacja o wysokości tej kwoty podana przez niezależną firmę audytorską pracującą na zlecenie Danske Bank miała wielki wpływ na organy nadzoru finansowego na całym świecie.

Co najważniejsze, został przełamany impas w Europie. W ciągu dwóch miesięcy od publikacji wyników kontroli w Danske Bank rząd Holandii zaprosił do Hagi przedstawicieli wszystkich państw członkowskich Unii Europejskiej na dyskusję o europejskiej ustawie Magnitskiego. Wcześniej miałem żal do holenderskiego premiera – bo w 2011 roku Mark Rutte

zablokował ustawę Magnitskiego w Holandii – teraz najwyraźniej przejrzał na oczy.

Ustawa Magnitskiego w Europie była dla Putina koszmarnym scenariuszem. Ze wszystkich rzeczy, nad którymi pracowałem, tej chciał uniknąć najbardziej. Byłem pewien, że rząd Rosji intensywnie lobbował przeciwko niej, ale tego, co zrobili, żeby podeprzeć swoje stanowisko, nie przewidziałem nawet ja.

Dzień przed haskim szczytem przedstawiciele rządów państw unijnych, 19 listopada, prokuratura w Moskwie zwołała konferencję prasową. Zastępca Jurija Czajki stanął przed dużą grupą dziennikarzy z różnych krajów. Na ekranie za jego plecami wyświetlały się nieczytelne dokumenty.

Prokuratura generalna ogłosiła, że stawia mi nowe zarzuty. Jej zdaniem utworzyłem „ponadnarodową grupę przestępczą” i ta grupa zabiła Siergieja Magnitskiego przy użyciu „dywersyjnej substancji chemicznej zawierającej związku aluminium, która doprowadziła do ostrej niewydolności serca o znamionach śmierci z przyczyn naturalnych”. Oznajmił, że moja grupa przestępcza wykorzystwała tę samą technikę do zamordowania trzech innych osób, w tym Aleksandra Pierieplicznego. Dodał, że prokuratura zebrała „wystarczające dowody”, żeby postawić mnie w stan oskarżenia za „najpoważniejsze przestępstwa”, za które grozi nawet dwadzieścia lat pozbawienia wolności. Oczywiście oprócz tych osiemnastu lat, na które in absentia skazano mnie wcześniej. Zastępca Czajki zapowiedział kolejny nakaz aresztowania oraz zajęcie wszelkich aktywów, które posiadam na terenie Rosji.

Zatoczyliśmy koło. Przez dziewięć lat funkcjonariusze państwowi i Władimir Putin osobiście upierali się, że Siergiej zmarł z przyczyn naturalnych, a żadnych śladów przestępstwa nie znaleziono. Putin i jego ministrowie powtarzali to wiele razy każdemu sądowi, każdemu dziennikarzowi i każdemu rządowi na Zachodzie. Teraz, w przeddzień spotkania na temat ustawy Magnitskiego w Europie i po ujawnieniu głównych kanałów, przez które pompowano brudne pieniądze w rosyjskich pralniach, Kreml oznajmił, że Siergiej został zamordowany – a jego mordercą byłem ja!

Kiedy zaczynaliśmy wyjaśniać, kto i w jaki sposób wyłudził dwieście trzydzieści milionów dolarów zwrotu podatkowego, nie mieliśmy pojęcia, że nasze śledztwo doprowadzi do wydarzeń, które zmienią sytuację na świecie i sprowokują niewyobrażalne zachowania Rosji. Dlaczego Putin po

prostu nie poświęcił kilku niższych rangą oficjeli po zamordowaniu Siergieja? Dlaczego po raz pierwszy w historii Rosji postawił przed sądem nieboszczyka? Dlaczego rujnował swoje relacje z Zachodem z powodu ustawy Magnitskiego? Dlaczego ingerował w wybory na Zachodzie? Dlaczego z taką zaciętością wzniecał chaos?

Teraz wiedzieliśmy. Nie chodziło o te dwieście trzydzieści milionów. Ani nawet o miliardy. Stawką był najprawdopodobniej jeden bilion dolarów. Putin zrobi wszystko, żeby chronić takie pieniądze.

Ta wysoka kwota wyjaśniała też, dlaczego straciło życie tak wielu ludzi. Zamordowano Siergieja Magnitskiego, Borisa Niemcowa, Aleksandra Pierieplicznego i Andrieja Kozłowa, a próbowano zabić Władimira Kara-Murzę i Nikołaja Gorochowa.

Mimo wielkiej nikczemności samego Putina i jego reżimu to wszystko nie wydarzyłoby się bez jego popleczników na Zachodzie. Prawnicy tacy jak John Moscow czy Mark Cymrot, spin doktorzy w rodzaju Glenna Simpsona, politycy formatu Dany Rohrabachera i menedżerowie postępujący jak prezesi Danske Bank – ci ludzie oraz wielu im podobnych oliwią maszynę, która pozwala Putinowi i jego koleśiom unikać kary za popełnione przestępstwa.

Do tych przestępstw nie doszłoby też bez przyzwolenia lękliwych i nieskutecznych rządów, które nie stosują własnego prawa i nie postępują zgodnie z głoszonymi wartościami. Weźmy na przykład Wielką Brytanię. Lwia część tych dwustu trzydziestu milionów dolarów trafiła nie do Stanów Zjednoczonych, Hiszpanii, Francji i Szwajcarii, lecz do miasta, w którym z wyboru mieszkam. To w Londynie za te pieniądze kupowano nieruchomości i dobra luksusowe, a mimo dowodów, które przedstawiłem brytyjskim organom wymiaru sprawiedliwości, parlamentarzystom oraz dziennikarzom, do dziś w Wielkiej Brytanii nie zostało wszczęte ani jedno śledztwo w związku ze sprawą Magnitskiego.

Być może, śledząc tę historię, Czytelnicy zadadzą sobie pytanie: „Dlaczego on to wszystko robi, skoro szanse są tak bardzo nierówne, a ryzyko tak wielkie?”.

Od początku uważałem, że jestem to winien Siergiejowi. Został zamordowany, bo pracował dla mnie, dlatego nie mogłem pozwolić, żeby jego zabójcy uniknęli kary. Tak samo jak po kradzieży fletu w dzieciństwie chciałem walczyć o sprawiedliwość, tylko teraz znaczenie i skala sprawy były nieskończenie większe. Od małego ta potrzeba sprawiedliwości jest po

prostu częścią mnie. Taki jestem. Rezygnując z walki o sprawiedliwość, zatruwałbym się od środka.

Później, gdy nastąpiła eskalacja, stała się to także walka o przetrwanie. Nie tylko moje i mojej rodziny, ale też przyjaciół i kolegów oraz wszystkich tych, którzy działali dla Siergieja wewnątrz Rosji.

W ostatecznym rozrachunku jednak podejmowałem wszystkie te działania, bo uważałem, że tak trzeba. Z chwilą śmierci Siergieja walka o sprawiedliwość dla niego stała się dla mnie obsesją, która wpłynęła na wszystkie aspekty mojego życia i wszystkie moje relacje z ludźmi, w tym także własnymi dziećmi. Nie zawsze wychodziło mi to na dobre.

Ta obsesja pozwoliła mi też poznać wielu wyjątkowych ludzi, którzy odmienili nie tylko moje życie, ale też bieg historii. Kiloro z nich trafiło na karty tej książki: Boris Niemcow, Władimir Kara-Murza, Nikołaj Gorochow, Kyle Parker, Paul Monteleoni, Juleanna Glover. Wśród tych, o których tylko napomknąłem, znaleźli się senator John McCain, senator Ben Cardin, senator Roger Wicker, senator Joe Lieberman i kongresmeni Jim McGovern. O jeszcze innych nie wspomniałem wcale, a są wśród nich Irwin Cotler, kanadyjski parlamentarzysta, Chrystia Freeland, kanadyjska wicepremier, Dominic Raab, brytyjski minister spraw zagranicznych, Sjoerd Sjoerdsma i Pieter Omtzigt, holenderscy posłowie, Petras Auštrevičius, członek litewskiego parlamentu, oraz Kimberley Kitching, australijska senator.

To nie są podziękowania. Chciałem tylko pokazać, że ruch sprawiedliwości dla Siergieja wykracza daleko poza moją obsesję. Stał się niezależnym zjawiskiem – i to dobrze.

Przede wszystkim jednak moja obsesja stworzyła dziedzictwo Siergieja. Dzięki niej jego śmierć nie była bezsensowna, w odróżnieniu od tak wielu innych.

Gdy piszę te słowa, ustawę Magnitskiego przyjęły trzydzieści cztery państwa: Stany Zjednoczone, Kanada, Wielka Brytania, Australia, dwadzieścia siedem krajów Unii Europejskiej, Norwegia, Czarnogóra i Kosowo. Do tej listy trzeba jeszcze dodać terytoria zamorskie Wielkiej Brytanii oraz protektoraty Korony: Gibraltar, Jersey, Guernsey, Brytyjskie Wyspy Dziewicze i Kajmany. Nowa Zelandia i Japonia są już gotowe do działania.

Ponad pięćset osób fizycznych i prawnych objęto sankcjami w ramach tych ustaw. W Rosji są to: Dmitrij Klujew, Andriej Pawłow, Paweł Karpow,

Artem Kuzniecowa, Olga Stiepanowa z mężem oraz trzydzieści pięć innych osób zamieszanych w fałszywe aresztowanie, torturowanie i zamordowanie Siergieja oraz wyłudzenie zwrotu podatku na kwotę dwustu trzydziestu milionów dolarów¹⁷.

Są to nie tylko Rosjanie. Sankcje Magnitskiego zastosowano już wobec morderców dziennikarza Dżamala Chaszukdziego, chińskich funkcjonariuszy odpowiedzialnych za powstanie obozu koncentracyjnego dla Ujgurów w Sinciangu, mjanmańskich generałów winnych ludobójstwa na mniejszości Rohingjów, braci Guptów, którzy dopuścili się gigantycznego oszustwa na szkodę rządu Afryki Południowej, oraz setek innych za podobne przestępstwa.

Po każdej kolejnej decyzji o objęciu sankcjami osób i instytucji łamiących prawa człowieka tysiące kleptokratów i tyranów czekają z przerażeniem, czy oni będą następni. Nie ma wątpliwości, że ustawa Magnitskiego zmieniła zachowanie wielu takich ludzi i nadal będzie zniechęcać potencjalnych złodziei i morderców.

Nie mogę przywrócić życia Siergiejowi. Od dnia jego śmierci dźwigam wielki ciężar, którego nigdy nie zdołam się pozbyć. Ale jego poświęcenie nie poszło na marne. Ocaliło wiele istnień ludzkich i jeszcze wiele ocali.

Jeśli w Rosji nastąpi kiedykolwiek prawdziwie demokratyczne rozliczenie, przyszli Rosjanie uzupełnią te pomniki prawne o budowle, które w swoich miastach postawią na cześć prawdziwego bohatera, Siergieja Magnitskiego.

Na razie walka trwa.

Epilog

Co się stało z ludźmi opisanymi w tej książce?

Na podstawie ustawy Magnitskiego nałożono sankcje na wiele czarnych charakterów z Rosji, choć nie objęły one jednej z kluczowych postaci tej historii, Natalii Weselnickiej. Ale rosyjska prawniczka z pewnością nie wybierze się do Stanów Zjednoczonych w najbliższym czasie.

Ósmego stycznia 2019 roku prokuratura federalna postawiła ją w stan oskarżenia za utrudnianie postępowania karnego. Wyciekła korespondencja elektroniczna między nią i jednym z wyższych urzędników rządu Rosji, która potwierdzała, że Weselnicka okłamywała władze amerykańskie w sprawie Prevezonu. Przedstawiała się jako prawniczka reprezentująca obywatela rosyjskiego, podczas gdy faktycznie przez cały czas pracowała dla rosyjskiego rządu. Z ujawnionych e-maili wynikało, że to Weselnicka pisała oficjalne stanowisko rządu Federacji Rosyjskiej przekazane Prokuraturze Federalnej dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku w sprawie Prevezonu. To w tym dokumencie oskarżyli mnie i Siergieja o kradzież dwustu trzydziestu milionów dolarów oraz odmówili udzielenia rządowi amerykańskiemu informacji o transakcjach przeprowadzonych przez banki na terenie Rosji.

Po ogłoszeniu aktu oskarżenia Departament Sprawiedliwości wydał nakaz aresztowania oraz nakaz zabezpieczenia jej aktywów, które na terenie Stanów Zjednoczonych wiązały się z pracą dla Prevezonu.

Muszę też wspomnieć o kilkorgu innych.

Andriej Pawłow zmienił ścieżkę kariery w Rosji. Pod koniec 2019 roku rzucił prywatną praktykę dla pracy w rządzie i zatrudnił się jako dyrektor departamentu prawnego Agencji Ubezpieczeń Depozytów. W Rosji – w odróżnieniu od krajów Zachodu – tego rodzaju stanowisko rządowe może być niewyobrażalnie lukratywne.

Firma BakerHostetler także została zdemaskowana przez e-maile Weselnickiej, wynikało z nich bowiem, że mimo ostatecznego odsunięcia

od sprawy Prevezonu Cymrot i jego kancelaria udzielali rosyjskiej spółce porad prawnych aż do dnia podpisania ugody na kwotę 5,9 miliona dolarów, która uwolniła Rosjan od procesu sądowego. Ani Cymrot, ani kancelaria BakerHostetler nie ponieśli żadnych konsekwencji za lekceważenie wyroku sądu. Dziś Mark Cymrot – w tej samej kancelarii – udziela porad klientom z Rosji, między innymi Sberbankowi, największemu bankowi w Europie Wschodniej.

John Moscow odszedł z BakerHostetler i rozpoczął pracę w kancelarii adwokackiej Lewis Baach Kaufmann Middlemiss. Jak na ironię, jednym z partnerów, którzy udzielają tej firmie nazwiska, jest Adam Kaufmann, były prokurator z Nowego Jorku, do którego złożyłem pierwsze zawiadomienie w sprawie Prevezonu. Moscow nadal prowadzi wykłady o walce z praniem brudnych pieniędzy i przestępczością zorganizowaną podczas Międzynarodowego Sympozjum w Cambridge na temat Przestępczości Gospodarczej.

W 2018 roku, po piętnastu kadencjach w Izbie Reprezentantów, Dana Rohrabacher został pokonany przez Harleya Roudę, demokratę. Po tej porażce przeniósł się do Yorku w stanie Maine, gdzie razem z Paulem Behrendsem, byłym pracownikiem swojego biura poselskiego, założył firmę lobbystyczną o nazwie R&B Strategies. Behrends zmarł 13 grudnia 2020 roku, dożywszy sześćdziesięciu dwóch lat. Przyczyną śmierci był poważny uraz głowy, którego doznał po upadku niedaleko swojego domu w Wirginii. Rzecznik Rohrabachera wydał potem oświadczenie, w którym podkreślił, że śmierć Behrendsa nie nastąpiła w podejrzanych okolicznościach ani w żaden sposób nie wiązała się z jego rosyjskimi koneksjami.

Jeśli chodzi o mnie i moich przyjaciół, większość z nas ma się dobrze. Większość.

Nikołaj Gorochow nadal mieszka w Moskwie z Julią. Diana jest już dorosła. Nikołaj cieszy się w miarę dobrym zdrowiem, ale zapłacił wysoką cenę za obrażenia głowy powstałe podczas upadku: powoli traci wzrok.

Władimir Kara-Murza wciąż jeździ po świecie, propagując ideę ustawy Magnitskiego i domagając się sprawiedliwości dla Borisa Niemcowa. Mimo otrucia i moich prób przekonania go, żeby nie jeździł do Rosji, mieszka w tym kraju i spędza tam większość czasu, walcząc o wolność i demokrację. Na początku 2017 roku został otruty po raz drugi. Także tym razem uratował go doktor Denis Procenko. Raport opublikowany przez

Bellingcat, finansowaną przez crowdsourcing organizację śledczą z siedzibą w Londynie, wskazał nazwiska czterech funkcjonariuszy FSB stojących za dwukrotnym otruciem Władimira, w tym dwóch, którzy śledzili go w Kazaniu w maju 2015 roku. Ci sami agenci byli zamieszani w otrucie innych rosyjskich dysydentów i polityków opozycyjnych, w tym Aleksieja Nawalnego.

Niewiele pisałem w tej książce o dwojgu ludziach, którzy zajmują stałe miejsce w moich myślach. Są to wdowa po Siergieju Magnitskim, Natasza, i jego syn, Nikita.

W dniu, w którym Siergiej został zamordowany, obiecałem sobie, że doprowadzę do wymierzenia sprawiedliwości tym, którzy odpowiadają za jego śmierć, ale oprócz tego postanowiłem, że zaopiekuję się jego rodziną.

Przede wszystkim chciałem wywieźć Nataszę i Nikitę, wówczas ośmioletniego, z Rosji. Uważałem, że nie będą tam bezpieczni, i wydawało mi się, że lepiej się nimi zaopiekuję, jeśli zamieszkamy blisko siebie.

Ale Natasza postanowiła zostać. Dla Nikity. Bezpośrednio po zamordowaniu Siergieja zasięgała rady ponad dwunastu lekarzy i psychologów, jak postępować z synem po tak traumatycznym doświadczeniu. Wszyscy zgodnie twierdzili, że chłopiec potrzebuje stabilnego otoczenia. Natasza uważała, że przeprowadzka do Londynu – gdzie nie mieli rodziny, gdzie nie mogli się swobodnie porozumiewać z powodu bariery językowej i kulturowej, gdzie nie mieli domu ani szkoły – byłaby przeciwieństwem stabilności.

Z czasem ta decyzja stawała się coraz bardziej nie do obrony. Im skuteczniej demaskowaliśmy ludzi odpowiedzialnych za śmierć Siergieja i oszustwo podatkowe będące jej powodem, tym intensywniej władze rosyjskie szukały osób, na których mogą się mścić za nasze działania. I wybrali Nataszę.

Siedemnastego sierpnia 2011 roku ktoś zadzwonił do drzwi jej mieszkania. Akurat była w kuchni, bo sprzątała po śniadaniu. Nikita wyszedł już do szkoły. Otworzyła. Przed drzwiami stał listonosz z listem poleconym. Pokwitowała odbiór i rozerwała kopertę. Zobaczyła pismo, w którym Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wzywało ją na przesłuchanie. Na końcu tego specyficznego zaproszenia przeczytała: „Niestawienie się spowoduje przymusowe doprowadzenie”.

Natasza opadła na krzesło roztrzęsiona. Władze postanowiły przesłuchać ją jako świadka w śledztwie, które właśnie pośmiertnie wszczęli przeciwko

Siergiejowi.

Usłyszawszy o tym, znów spróbowałem ją przekonać do wyjazdu z Rosji. Nie chciała o tym słyszeć. Trauma nie pozwalała jej trzeźwo ocenić sytuacji, ale musiałem uszanować jej wolę. Nie mogłem zmuszać jej do wyjazdu.

Mimo moich obaw 26 sierpnia 2011 roku Natasza udała się do gmachu ministerstwa na rogu ulic Bolszaja Nikitska i Gazietnyj Pierieułok w centrum Moskwy. Przed drzwiami wejściowymi zdała sobie sprawę, że razem z Siergiejem przechodziła tędy niezliczoną liczbę razy po drodze na koncerty w sali moskiewskiego konserwatorium położonego kilka przecznic dalej. Elegancki dziewiętnastowieczny gmach ministerstwa nie miał wyraźnego oznakowania. Fasadę pokrywała miła dla oka bladożółta farba.

Czekał na nią jej prawnik i razem weszli do środka. Wyznaczony funkcjonariusz poprowadził ich płataniną korytarzy, przez wąskie klatki schodowe, obok ciemnych gabinetów i pomieszczeń magazynowych. W pokoju, gdzie miało się odbyć przesłuchanie, zastali dwa niewielkie stoliki ustawione naprzeciwko siebie. W ciasnej klitce ledwie wystarczało miejsca dla dwóch osób, a co dopiero dla Nataszy, jej prawnika, osoby prowadzącej przesłuchanie i technika obsługującego kamerę wideo. Ścianę naprzeciwko brudnego okna zasłaniały szafki, wszędzie leżały teczki z aktami. Na drugiej ścianie wisiał nieaktualny kalendarz, nad nim oprawiona w ramki podobizna Władimira Putina.

Okazało się, że przesłuchanie poprowadzi kobieta w średnim wieku o figurze przypominającej gruszkę i farbowanych na rudo włosach. Pouczyła Nataszę o jej prawach, po czym wręczyła jej osobliwy dokument, z którego wynikało, że Natasza otrzymuje status „prawnego przedstawiciela zmarłej osoby oskarżonej”. Taki status nie istnieje w rosyjskim prawie. Osoby zmarłe nie mogą być sądzone, dlatego nie potrzebują przedstawicieli prawnych. Ministerstwo po prostu zmyślało i stworzyło taki dokument specjalnie dla Nataszy.

Natasza usiadła na niewygodnym metalowym krześle i zanim funkcjonariuszka zdążyła zadać pierwsze pytanie, wyjęła przygotowane wcześniej oświadczenie potępiające pośmiertne śledztwo przeciwko jej mężowi. Zakończyła słowami: „Dalsze prowadzenie postępowania przeciwko zmarłemu jest niezgodne z prawem, nieludzkie i niemoralne, ponieważ on nie może się bronić. Dlatego nie będę składała zeznań ani odpowiadała na żadne pytania”.

Rudowłosa funkcjonariuszka zignorowała oświadczenie i rozpoczęła przesłuchanie. Najpierw wypytywała o nazwiska, adresy, numery telefonów i miejsca pracy osób jakkolwiek powiązanych z Siergiejem albo z Nataszą.

Natasza wpatrywała się w nią z kamienną twarzą, nie mówiąc ani słowa.

Później funkcjonariuszka pytała, czy Natasza uznaje zasadność postępowania przeciwko jej nieżyjącemu mężowi.

Znów nie usłyszała żadnej odpowiedzi.

Padło to samo pytanie, tylko inaczej sformułowane.

Znowu nic.

Przekonawszy się, że niczego nie wskóra, funkcjonariuszka zamachała marchewką. Obiecała, że jeśli Natasza podejmie współpracę, będzie mogła wystąpić do państwa o odszkodowanie. Natasza dobrze wiedziała, że władze za nic nie przyznają się do winy w sprawie śmierci Siergieja ani nie wypłacą jej choćby rubla kompensaty.

W końcu funkcjonariuszka powiedziała wprost, żeby Natasza przyznała się do winy w imieniu Siergieja.

Więc tego chcieli! Gdyby udało im się przymusić Nataszę, żeby zadenuncjowała męża, mogliby oficjalnie uznać go za przestępcę. Wówczas sprawa zostałaby gładko zamknięta i nikt w Rosji nie miałby powodu ścigać faktycznych sprawców oszustwa na dwieście trzydzieści milionów dolarów.

Natasza nie zareagowała.

Wytrzymała dwie godziny i trzydzieści dziewięć minut tego przesłuchania, zanim funkcjonariuszka w końcu dała za wygraną.

Na koniec funkcjonariuszka pochyliła się, otworzyła szafkę, wyjęła z niej kawałek papieru i posunęła go po blacie stołu. Prawnik Nataszy sięgnął po kartkę. Było to wezwanie na kolejny termin przesłuchania 29 sierpnia. Także tym razem na końcu widniało ostrzeżenie: „Niestawienie się spowoduje przymusowe doprowadzenie”.

Natasza wyszła z budynku, ledwie panując nad emocjami. Przysięgła sobie, że żadne groźby nie pomogą i nigdy z własnej woli nie wróci do budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Gdy usłyszałem, co się stało, znów próbowałem ją przekonać, żeby wyjechała z Rosji. Nie rozumiałem dlaczego, ale odmówiła.

Dwudziestego dziewiątego sierpnia Natasza siedziała w swoim mieszkaniu, nerwowo czekając na przedstawicieli ministerstwa, którzy

przyjdą przeprowadzić przymusowe doprowadzenie. Nie przyszli.

Przez kolejny rok rosyjskie władze nadal ją wzywały, a ona nadal to ignorowała. W sumie otrzymała jeszcze sześć wezwań, z których ostatnie wyznaczało osiem terminów na osiem dni z rzędu.

Odmawiając udziału w przesłuchaniach, za każdym razem ryzykowała, że zostanie wyprowadzona z domu siłą i może nigdy nie zobaczy Nikity. W końcu miała dość. Przeprowadzka do Londynu wiązała się ze wstrząsem dla chłopca, ale aresztowanie matki wstrząsnęłoby dzieckiem jeszcze bardziej.

Dwudziestego września 2012 roku Natasza i Nikita wsiedli do samolotu i przylecieli na Heathrow. Po wylądowaniu byli bezpieczni. Mogłem ich ochronić i należycie się nimi zająć.

Przede wszystkim musieliśmy znaleźć dobrą szkołę dla Nikity. Został przyjęty do Hampton Court House School w Surrey na przedmieściach Londynu. Później wynajęliśmy im mieszkanie w pobliskim Teddington. Gdy zaczęły się zajęcia, Natasza zatrudniła się w naszym biurze na cały etat. Zajmowała się kampanią Magnitskiego.

Zaczął się powolny i długi proces gojenia ran, które nieustannie rozdrapywano im w Rosji.

Przez kolejne lata Nikita z chłopca zmieniał się w imponującego młodego mężczyznę. Świetnie opanował angielski i nawet tłumaczył swoją matkę oraz babkę, gdy spotykały się z politykami w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie. Był doskonałym uczniem, zbierał same najlepsze oceny, ale przede wszystkim wyrósł na empatycznego, czarującego człowieka. Wszystkich nas rozpieęła duma z jego powodu.

Obserwując, jak dorasta, wyobrażałem sobie, że powinien kontynuować naukę w którymś z uniwersytetów Ivy League. Z jego wyjątkowym życiorysem i dobrymi ocenami naprawdę miał na to szansę. Myślałem, jak dumny byłby Siergiej, gdyby jego syn skończył Harvard albo Princeton, i postawiłem sobie za cel, żeby chłopak tam trafił.

Znalazłem najlepszy kurs przygotowujący do studiów na amerykańskich uniwersytetach. Nikita, Natasza i ja regularnie spotykaliśmy się z konsultantem, żeby Nikita poznał procedurę przyjęcia, wybrał odpowiednie zajęcia dodatkowe, nauczył się pisać świetne eseje, odpowiednio się przygotował do egzaminu SAT i wiele, wiele więcej.

Chociaż nie byłem jego ojcem, jak wielu rodziców uzdolnionych siedemnastolatków bardzo się w ten proces zaangażowałem. Zbliżał się

termin składania papierów, zaprosiłem go więc na spotkanie w naszym biurze, żeby omówił swoje eseje z Wadimem i Iwanem. Cały potencjał intelektualny naszej firmy był do dyspozycji.

Gdy przyszedł Nikita, miał zmieszaną minę. Zanim usiedliśmy do pracy, poprosił mnie o chwilę rozmowy na osobności.

Przeszliśmy do sali konferencyjnej.

– Jestem bardzo wdzięczny za wszystko, Bill, ale... czy ja naprawdę muszę to robić?

– Nie rozumiem.

Zawahał się.

– Bo ja nie chcę studiować na Harvardzie ani w Princeton.

Zaskoczył mnie tą deklaracją. Nigdy nie myślałem, że on chciałby czegoś innego.

– No dobrze – powiedziałem powoli. – A co chciałbyś robić?

– Chcę studiować sztukę.

– Możesz studiować sztukę na Harvardzie, jestem tego pewien.

– Nie. Sprawdzalem. Chciałbym iść na uczelnię, która specjalizuje się w ilustratorstwie, animacji i designie. Właśnie to mnie interesuje.

Zdałem sobie sprawę, że cała ta akcja Harvard–Princeton to było moje pragnienie, nie jego. Nie miałem wątpliwości, że powinien iść za głosem swojego serca, nie czyjegokolwiek innego.

Zrozumiałem też, że Siergiej byłby dumny, gdyby mógł patrzeć, jak Nikita jasno wyraża swoje zdanie i mówi mi o swoich prawdziwych uczuciach.

Ja też byłem dumny z tego chłopaka.

Zarzuciłem mój wielce ambitny plan i pozwoliłem Nikicie przejąć inicjatywę. Sam wybrał uczelnię, jedną z najlepszych w Ameryce akademie sztuk pięknych i designu, i tak realizuje swoje marzenia.

Jestem pewien, że tego właśnie chciałby Siergiej.

Linki i dokumenty

Russian Untouchables (Rosyjscy nietykalni), odcinek 1, Artem Kuzniecowa, czerwiec 2010 tinyurl.com/2p8pv6kk

Russian Untouchables, odcinek 2, Paweł Karpow, lipiec 2010
tinyurl.com/46m49j39

Russian Untouchables, odcinek 3, Olga Stiepanowa, kwiecień 2011
tinyurl.com/2wsuxysy

Russian Untouchables, odcinek 4, The Magnitsky Files. Organized Crime Inside the Russian Government (Akta Magnitskiego. Przestępczość zorganizowana we władzach Rosji), czerwiec 2012
tinyurl.com/55jxab9b

Zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Olę Stiepanową i Władlena Stiepanowa złożone przez Hermitage w Szwajcarii, styczeń 2011
tinyurl.com/3768vdeh

Dmitrij Klujew podczas sesji Zgromadzenia Parlamentarnego OBWE w Monako, lipiec 2012 tinyurl.com/2wkba6jf

Following the Magnitsky Money (Śladem pieniędzy w sprawie Magnitskiego), OCCRP, sierpień 2012
tinyurl.com/7uh25mt3

Wniosek o wszczęcie postępowania w sprawie aktywów firmy Prevezon i Denisa Kacywa złożony przez Hermitage w Prokuraturze Stanów Zjednoczonych dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku, grudzień 2012
tinyurl.com/5dwb434t

Akt oskarżenia wniesiony przez Prokuratora Stanów Zjednoczonych dla Południowego Dystryktu Nowego Jorku przeciwko firmie Prevezon, wrzesień 2013
tinyurl.com/49tn3kt7

Memorandum w sprawie odsunięcia Johna Moscowa i kancelarii adwokackiej Baker Hostetler od sprawy Prevezonu, wrzesień 2014
tinyurl.com/mv968tfn

Wpis Natalii Weselnickiej na Facebooku (przełożony na język angielski), październik 2014

tinyurl.com/4xmdbac4

Poufny list zastępcy prokuratora generalnego Rosji do kongresmena Dany Rohrabachera, kwiecień 2016

tinyurl.com/2njpas6b

Akt oskarżenia dwunastu funkcjonariuszy GRU wniesiony przez Roberta Muellera, prokuratora specjalnego do nadzorowania federalnego śledztwa w sprawie zarzutów o ingerencję Rosji w wybory prezydenckie w 2016 roku, lipiec 2018

tinyurl.com/yzbz5a98

Notatka Paula Manaforta ze spotkania w Trump Tower, lipiec 2016

tinyurl.com/4pz84bd7

Akt oskarżenia wniesiony przez Prokuraturę Stanów Zjednoczonych przeciwko Natalii Weselnickiej, styczeń 2019

tinyurl.com/sdd94u8s

Lista Rosjan objętych sankcjami Stanów Zjednoczonych w związku ze sprawą Magnitskiego tinyurl.com/2juae2c2

Podziękowania

Ta książka opisuje tylko niewielką część wysiłków niezbędnych do uchwalenia ustawy Magnitskiego w trzydziestu czterech krajach oraz przekonania szesnastu jurysdykcji, żeby wszczęły śledztwa w sprawie prania pieniędzy pozyskanych w Rosji z przestępstwa, za którego ujawnienie Siergiej został uwięziony i zamordowany. (Gdybym chciał opowiedzieć o wszystkim, tekst byłby dobre dziesięć razy dłuższy i prawdopodobnie nie dawałby się czytać).

Dokonanie tego wszystkiego wymagało udziału armii parlamentarzystów, dziennikarzy, aktywistów, prawników, organizacji pozarządowych, śledczych, prokuratorów, redaktorów i przyjaciół, że wymienię tylko niektórych. Dołożyłem wszelkich starań, żeby wyliczyć ich wszystkich, lecz pewne grupy celowo pominę.

Z oczywistych powodów nie wspomnę o tych, którzy udzielili nam poufnego wsparcia – sygnalistów, świadków i niektórych przyjaciół. Oni wiedzą, kim są, i mam nadzieję, że będą też wiedzieli, jak wielka jest wdzięczność, którą chciałbym im wyrazić.

Nie wymienię też dziennikarzy ani pracowników wymiaru sprawiedliwości. Jestem dozgonnie wdzięczny za pracę, którą wykonali, ale ważne jest, by jasno stwierdzić, że zrobili to, bo taki jest ich obowiązek, nie zaś dlatego, że odczuwali jakąkolwiek lojalność wobec mnie czy kogokolwiek innego.

Niektórzy z wymienionych to osoby łatwo rozpoznawalne, ale o większości tych, którzy przez lata pracowali za kulisami, nikt zapewne nie słyszał.

Zacznę od kraju swoich narodzin, Stanów Zjednoczonych, po czym przejdę do kraju, który obecnie nazywam swoim domem, czyli Wielkiej Brytanii. Przyjąłem kolejność alfabetyczną według nazwisk.

W Stanach Zjednoczonych moje podziękowania zechcą przyjąć: Michael Abramowitz, Karl Altai, prokurator generalny John Ashcroft, Anders

Åslund, Robert Berschinski, Ellen Bork, Cindy Buhl, dr Robert Bux, Ted Bromund, Chris Brose, senator Benjamin Cardin, David Crane, Charles Davidson, Patrick Davis, Lars de Gier, Sophie de Selliers, Sarah Drake, Grant Felgenhauer, Thomas Firestone, Enes Kanter Freedom, Jeffrey Gedmin, Juleanna Glover, James Goldston, Maggie Goodlander, Michael Gottlieb, Thor Halvorssen, Hans Hogrefe, Gulchehra Hoja, Nathaniel Hurd, Uri Itkin, Nils Johnson-Shelton, Robert Kagan, Robert Karem, Jonathan Karp, Garri Kasparow, Orly Keiner, Michael Kim, David Kramer, Katrina Lantos Swett, Carolyn Leddy, Duncan Levin, senator Joe Lieberman, Nikita Magnitski, kongresmeni Tom Malinowski, Christopher Mangum, Paul Massaro, Randy Mastro, senator John McCain, Meghan McCain, ambasador Michael McFaul, kongresmeni Jim McGovern, Juan Mendez, Katia Migaczewa, Mark Milosch, Tanya Nyberg, Spencer Oliver, Priscilla Painton, Hana Park, Kyle Parker, Julia Pettengill, Lisa Rubin, Randy Scheunemann, Stefan Schmitt, Nate Sibley, Neil Simon, Mason Simpson, Susannah Sirkin, kongresmeni Chris Smith, Kimberly Stanton, Bernie Sucher, Jordan Tama, Piero Tozzi, Fred Turner, Ed Verona, Lindsey Weiss Harris, senator Roger Wicker, Jonathan Winer, John Wood oraz Natasza Żarikowa.

W Wielkiej Brytanii moje podziękowania zechcą przyjąć: baronessa Rosalind Altmann, lord David Alton, Lisa Amos, lord Donald Anderson, Anne Applebaum, lord Ian Austin, Courtenay Barklem, Robert Barrington, lord Richard Benyon, Olga Bischof, poseł Ian Blackford, poseł Peter Bottomley, generał sir Adrian Bradshaw, poseł Tom Brake, Sabrina Brasey, Daniel Bruce, poseł Malcolm Bruce, poseł Chris Bryant, poseł Robert Buckland, Barbora Bukovska, Iwan Czerkasow, Anna Chernova, Michał Chodorkowski, poseł Christopher Chope, lord Timothy Clement-Jones, lord Ray Collins, posłanka Claire Coutinho, Peter Dahlin, Luke de Pulford, poseł Jonathan Djanogly, Anand Doobay, Anton Drel, Mark Ellis, Ben Emmerson QC, Catrin Evans QC, Carla Ferstman, Maya Foa, Andrew Foxall, poseł Nusrat Ghani, Jamison Firestone, Jonathan Fisher QC, Edward Fitzgerald QC, Roger Gherson, posłanka Helen Goodman, Margaret Halton, Stephen Hayes, Henrietta Hill QC, Jonathan Hill, Eliot Higgins, posłanka Margaret Hodge MP, George Ireland, Bianca Jagger, Natalia Kaliada, Steven Kay QC, posłanka Alicia Kearns, Hugo Keith QC, baronessa Helena Kennedy QC, Eduard Khayretdinov, poseł Stephen Kinnock, Wadim Kleiner, Maya Lester QC, Davis Lewin, Maria Logan, Edward Lucas, Imogen MacLean, poseł Denis MacShane, Arthur Marriott QC, Ian Marshall, poseł Stewart

McDonald, Edward McMillan-Scott MEP, Andy McSmith, Alan Mendoza, Neil Micklethwaite, poseł Andrew Mitchell, Jasvinder Nakhwal, Jessica Ní Mhainín, James O'Brien, Tim Otty QC, Władimir Pastuchow, Alexandre Prezanti, Watson Pringle, poseł Dominic Raab, Daniel Rathwell, Geoffrey Robertson QC, Benedict Rogers, lord Jeffrey Rooker, Jago Russell, Mark Sabah, Jürgen Schurr, poseł Bob Seely, Anisha Shakya, Jason Sharman, Laura Simmonds, Rupert Skilbeck, poseł Iain Duncan Smith, Clive Stafford Smith, Joe Smouha QC, Mark Stephens, dr Charles Tannock MEP, Peter Tatchell, Sue Thackeray, Flavia Trevisani, poseł Tom Tugendhat, Rebecca Vincent, Monique Villa, Patrick Walsh, Antony White QC, Andrea Wong oraz Martin Woods.

Pozostałe kraje wymieniam w kolejności alfabetycznej.

W Afryce Południowej moje podziękowania zechce przyjąć premier Helen Zille.

W Australii moje podziękowania zechcą przyjąć: poseł Kevin Andrews, poseł Michael Danby, poseł Andrew Hastie, poseł Chris Hayes, Jordan Heng-Contaxis, senator Kimberley Kitching, Francis Leach, senator Nick McKim, senator Christine Milne, senator James Paterson, senator Marise Payne, senator Janet Rice, Tonya Stevens oraz senator Peter Wish-Wilson.

W Austrii moje podziękowania zechce przyjąć dr Friedrich Schwank.

W Belgii moje podziękowania zechcą przyjąć: Piet Blonde, Karel de Meester, Eva Palatova, Andrew Rettman, Alice Stollmeyer, Joris van Cauter oraz Guy Verhofstadt MEP.

W Brazylii moje podziękowania zechcą przyjąć Ricardo Miotto oraz Jorge Oakim.

Na Cyprze moje podziękowania zechce przyjąć poseł Christos Pourgourides.

W Czarnogórze moje podziękowania zechce przyjąć prezydent Milo Đukanović.

W Czechach moje podziękowania zechcą przyjąć Jakub Janda, poseł Jan Lipavský oraz Jaromir Štětina MEP.

W Danii moje podziękowania zechce przyjąć poseł Michael Aastrup-Jensen.

W Estonii moje podziękowania zechcą przyjąć: Marie Edala, prezydent Toomas Ilves Hendrik, poseł Andres Herkel, Riina Kionka, premier Mart Laar, poseł Silver Meikar, poseł Eerik Niiles-Kross, posłanka Mart Nutt MP, Kristiina Ojuland MEP, poseł Mailis Reps oraz Jaanus Tehver.

Na Filipinach moje podziękowania zechce przyjąć Maeia Ressa.

W Finlandii moje podziękowania zechcą przyjąć: Jessikka Aro, posłanka Pia Kauma MP, Joel Kontro, Leena Majander oraz Henrikki Timgren.

We Francji moje podziękowania zechcą przyjąć: Safya Akorri, Pauline Benay, William Bourdan, Agnes Callamard, posłanka Mireille Clapot, Daniel Cohn-Bendit MEP, Francois Croquette, Emmanuel Daoud, senator Andre Gattolin, Raphael Glucksmann MEP, Eva Joly MEP, Axelle Lemaire, Noel Mamere, Laurent Muschel, posłanka Delphine O, Philippe Robinet, posłanka Laetitia Saint-Paul, Günter Schirmer oraz senator Andre Vallini.

W Hiszpanii moje podziękowania zechcą przyjąć: Ruperto Guerra, Juan Carlos Gutierrez, Juan Fernando López Aguilar MEP, poseł Fernando Maura Barandiaran, Javier Nart MEP, Jose Ignacio Sanchez Amor MEP oraz senator Jordi Xucla.

W Holandii moje podziękowania zechcą przyjąć: Leonoor Broeder, poseł Coşkun Çorüz, posłanka Ingrid de Caluwe, Esther de Lange MEP, posłanka Kathleen Ferrier, poseł Pieter Omtzigt, Kati Piri MEP, Marietje Schaake MEP, poseł Sjoerd Sjoerdsma, Goran Sluiter, Sophie in 't Veld MEP, Barend van der Have oraz Barbara van Straaten.

W Irlandii moje podziękowania zechcą przyjąć: Ivana Bacik TD, senator Pádraig Ó Ceidigh, Jason Corcoran, Remy Farrell, Brendan Howlin TD, Mary Lou McDonald TD, Catherine Murphy TD, Ann Phelan TD, senator Jim Walsh oraz senator Barry Ward.

W Islandii moje podziękowania zechce przyjąć Jonas Sigurgeirsson.

W Japonii moje podziękowania zechcą przyjąć profesor Akira Igata oraz posłanka Shiori Yamao.

Na Jersey moje podziękowania zechce przyjąć senator Philip Ozouf.

W Kanadzie moje podziękowania zechcą przyjąć: poseł Dean Allison MP, senator Raynell Andreychuk, poseł James Bezan, Lincoln Caylor, Jonathan Cooperman, poseł Irwin Cotler, Charlie Feldman, posłanka Chrystia Freeland, senator Linda Frum, posłanka Hedy Fry, poseł Garnett Genuis, poseł Peter Kent, poseł Tom Kmiec, Marcus Kolga, Aleksiej Kowalew, posłanka Helene Lavergniere, poseł Michael Levitt, Howard Liebman, poseł John McKay, poseł Rob Nicholson, poseł Rob Oliphant, senator Ratna Omidvar, poseł Bob Rae, poseł Murray Rankin, poseł Andrew Scheer, Brandon Silver, poseł Arif Virani oraz poseł Borys Wrzesnewskyj.

W Kosowie moje podziękowania zechce przyjąć Muhamet Brajshori.

W Litwie moje podziękowania zechcą przyjąć: posłanka Vilija Aleknaitė-Abramikienė, posłanka Laima Andrikiene, Petras Auštrevičius MEP, Leonidas Donskis MEP, Andrius Kubilius MEP, poseł Gabrielius Landsbergis, Vytautas Landsbergis MEP, Žygimantas Pavilionis MP, Dovilė Šukytė oraz poseł Emanuelis Zingeris.

W Luksemburgu moje podziękowania zechce przyjąć posłanka Anne Brasseur.

W Łotwie moje podziękowania zechcą przyjąć minister Jānis Bordāns, Lolita Čigāne MP, Sandra Kalniete MEP i Valdis Liepiņš.

W Mołdawii moje podziękowania zechce przyjąć poseł Igor Munteanu.

W Niemczech moje podziękowania zechcą przyjąć: Henry Alt-Haaker, posłanka Marieluise Beck, Jaka Bizilj, poseł Bernd Fabritius, Rebecca Harms MEP, ambasador Christoph Israng, posłanka Gyde Jensen, Sergey Lagodinsky MEP, posłanka Sabine Leutheusser-Schnarrenberger, posłanka Barbara Lochbihler, Markus Loning, poseł Andreas Nick, poseł Norbert Rottgen, poseł Manuel Sarrazin, posłanka Marina Schuster, poseł Christoph Strasser oraz Oliver Wallasch.

W Norwegii moje podziękowania zechcą przyjąć: Ivar Amundsen, Aage Borchgrevink, Carl Bore, Gunnar Ekelove-Slydal, poseł Ola Elvestuen, Bjorn Engesland, poseł Peter Skovholt Gitmark, poseł Knut Arild Hareide, poseł Morten Høglund MP, posłanka Trine Skei Grande oraz posłanka Ingjerd Schou.

W Nowej Zelandii moje podziękowania zechcą przyjąć poseł Simon O'Connor oraz posłanka Louisa Wall.

W Polsce moje podziękowania zechcą przyjąć: Adam Bodnar, Sonia Draga, europosłanka Anna Fotyga, poseł Ryszard Kalisz, Paweł Osik oraz europoseł Radosław Sikorski.

W Portugalii moje podziękowania zechcą przyjąć Ana Gomes MEP oraz João Soares MEP.

W Rosji moje podziękowania zechcą przyjąć: Jewgienija Albac, Maria Alechina, Roman Anin, Aleksander Antipow, Walerij Borszczew, Wiera Czeliszewa, Jewgienija Czirikowa, Masza Gessen, Nikołaj Gorochow, Siergiej Guriew, Andriej Iłłarionow, Irina Jasina, Władimir Kara-Murza, Michaił Kasjanow, Jewgienij Kisielew, Julia Latynina, Dmitrij Lipkin, Natalia Magnitska, Tamara Morszakowa, Dmitrij Muratow, Aleksiej Nawalny, Boris Niemcow, Maria Poliakowa, Olga Romanowa, Oleg Ruszka, Lilia Szewcowa, Olesia Szmagun, Siergiej Sokołow, Zoja Swietowa, Nadia

Tołokonnikowa, Aleksiej Wieniediktow, Pietia Wierziłow oraz Liubow Wołkowa.

W Rumunii moje podziękowania zechcą przyjąć Cristian Ghinea MEP, poseł Adrian Prisnel oraz Stefan Voinea.

W Serbii moje podziękowania zechcą przyjąć Ivan Cvejic oraz Orhan Dragaš.

W Szwajcarii moje podziękowania zechcą przyjąć: poseł Andreas Gross, Florian Irminger, Hikmat Maleh, Markus Mohler, Hillel Neuer, Mark Pieth, Elena Servettaz, poseł Carlo Sommaruga oraz Daniel Tunik.

W Szwecji moje podziękowania zechcą przyjąć: posłanka Sofia Arkelsten, posłanka Walburga Habsburg Douglas, Gunnar Hokmark MEP, poseł Mats Johansson, poseł Oscar Jonsson, posłanka Kerstin Lundgren, Christer Sturmark, Martina Stenstrom, posłanka Caroline Szyber, Katarina Tracz oraz poseł Hans Wallmark.

W Tajwanie moje podziękowania zechce przyjąć poseł Wang Ting-Yu.

W Ukrainie moje podziękowania zechcą przyjąć poseł Serhij Kiral oraz Maria Liliczenko.

We Włoszech moje podziękowania zechcą przyjąć: Laura Harth, poseł Matteo Mecacci, senator Roberto Rampi, David Sassoli MEP oraz Antonio Stango.

Możliwe, że o kilku nazwiskach zapomniałem (a kilka błędnie zapisałem!). Jeśli tak, proszę o wybaczenie.

Jak pisałem w Epilogu, jest to już nie akcja organizowana tylko przeze mnie i nasz niewielki zespół, lecz ruch, który żyje własnym życiem. To dla mnie zaszczyt, że mogłem współpracować ze wszystkimi wymienionymi wyżej osobami, a niektóre z nich nawet nazywać swoimi przyjaciółmi.

Niestety, naruszanie praw człowieka oraz kleptokracja stają się coraz bardziej uciążliwe na całym świecie i coraz trudniej się z nimi uporać. Jestem pewien, że z wieloma spośród wymienionych osób będę jeszcze współpracował w nadchodzących latach, gdy razem staniemy do walki o sprawiedliwość i rządy prawa.

Teraz jednak chciałbym raz jeszcze podziękować za dotychczasową współpracę.



Bill Browder
@Billbrowder

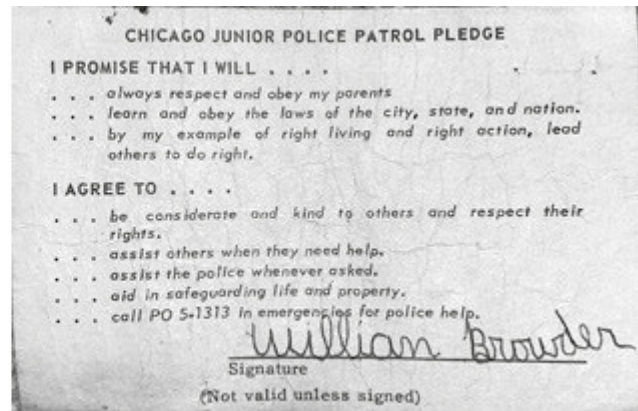
...

In the back of the Spanish police car going to the station on the Russian arrest warrant. They won't tell me which station



8:36 am · 30 May 2018 · Twitter for iPhone

„Siedzę na tyle hiszpańskiego radiowozu w drodze na komisariat z powodu rosyjskiego nakazu. Nie chcą powiedzieć, na który komisariat” Bill Browder via Twitter (© BILL BROWDER)



Legitymacja Młodzieżowego Patrolu Policji Chicago (© BILL BROWDER)



Iwan Czerkasow (© HERMITAGE)



Wadim Kleiner (© HERMITAGE)



Aleksandr Piereplicznyj



John Moscow (© BLOOMBERG/GETTY IMAGES)



Dmitrij Klujew (russian-untouchables.com)



Paweł Karpow (z lewej) z przyjaciółmi podczas zabawy (©
TOCHKA.NET)



Boris Niemcow, lider opozycji rosyjskiej (© EVGENIY FELDMAN/NOWAJA GAZIETA)



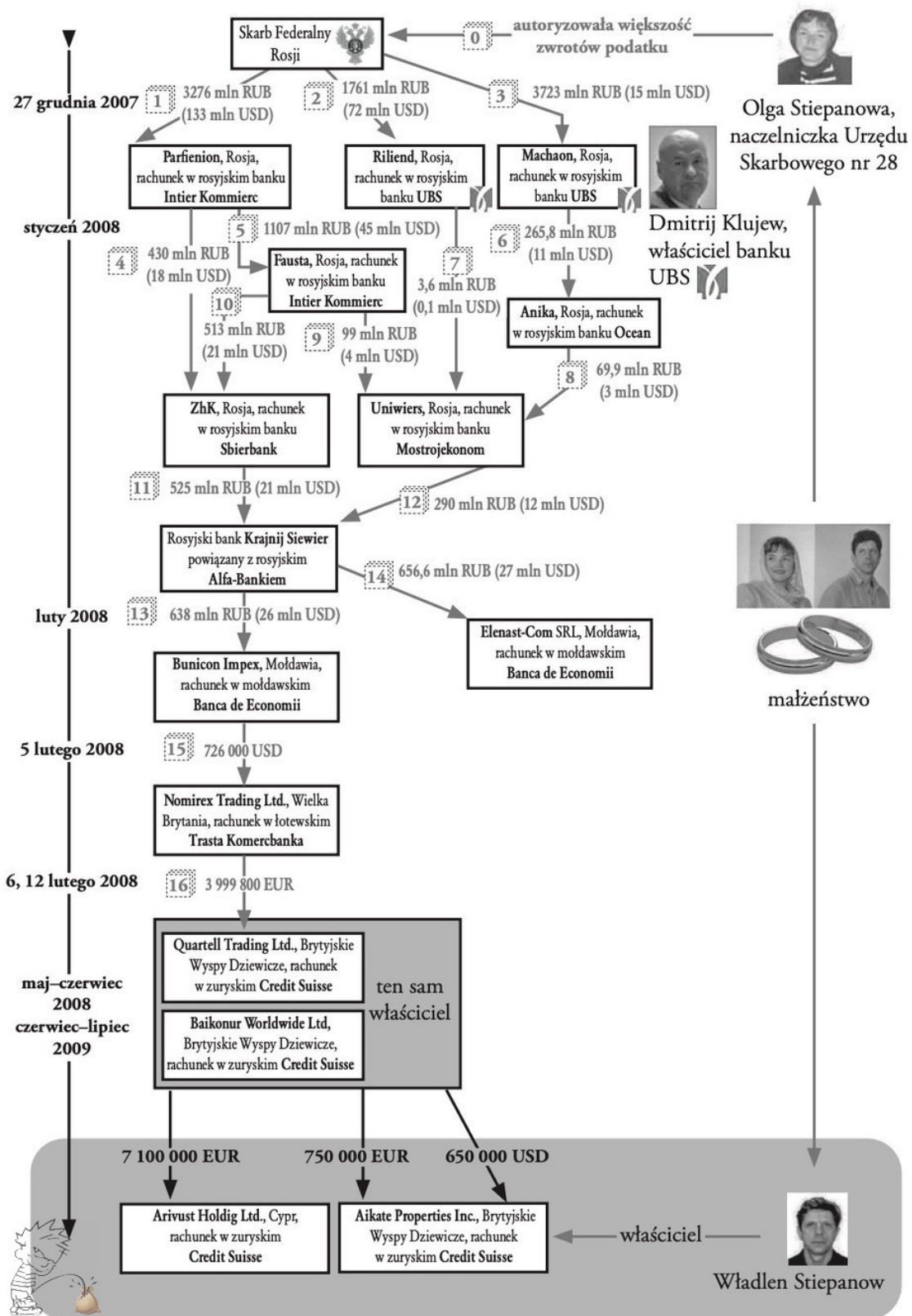
Bazar Gorbuszka w Moskwie (© HERMITAGE)



Ja podczas oglądania filmu o majorze Karpowie i jego kolegach z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rosji (© HERMITAGE)



Podmoskiewska rezydencja Stiepanowów (© ANDREI MAKHONIN)



Przeptyw pieniędzy z rosyjskiej skarbówki do Stepanowów (© HERMITAGE)



Bill Alpert, reporter tygodnika „Barron’s” (© BILL ALPERT)



Książę Albert (pośrodku, w kapeluszu) i Władimir Putin na Syberii, 2007 (© DMITRY ASTAKHOV/AFP/GETTY IMAGES)



Dmitrij Klujew (z lewej) i Andriej Pawłow w gabinecie Spencera Olivera w Monako, lipiec 2012 (© HERMITAGE)



Dmitrij Klujew w towarzystwie członka delegacji rosyjskiej na Zgromadzenie Parlamentarne Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, Monako, lipiec 2012 (© KETEVAN KARDAVA/Telewizja Gruzkańska)



Elmira Medynska (ELMIRA MEDYNSKAYA/INSTAGRAM/VIA
INSTAGRAM: @ELMIRAMEDINS



Próba dostarczenia nakazu sądowego. Sophie (druga z lewej),
doreczyciel (pośrodku), Juleanna (druga z prawej) i ja (z prawej) oraz
nieznana kobieta w białej kurtce, luty 2015 (U.S. COURT DOCKET
NYSD)



Z premierem Holandii Markiem Ruttem w poczekalni przed programem Jinek, 27 lutego 2015 (© BILL BROWDER)



Ciało Borisa Niemcowa na Wielkim Kamiennym Moście, 27 lutego 2015 (© EVGENIY FELDMAN/NOWAJA GAZIETA)



Pogrzeb Borisa Niemcowa (© OLGA MALCEWA/AFP/GETTY IMAGES)



**Prowizoryczne upamiętnienie Borisa Niemcowa na Wielkim
Kamiennym Moście (© ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES)**



Michael Kim (© MICHAEL KIM)



Władimir Kara-Murza podczas upamiętnienia Borisa Niemcowa w Waszyngtonie, kwiecień 2015 (© NATIONAL ENDOWMENT FOR DEMOCRACY)



Kongresmen Dana Rohrabacher (© TOM WILLIAMS/ CQ-ROLL CALL, INC./ GETTY IMAGES)



Kyle Parker (© HERMITAGE)



Andriy Niekrasov i Heidi Hautala (© ITAR-TASS NEWS AGENCY/ALAMY STOCK PHOTO)



Siergiej Roldugin (© ALEXANDER DEMIANCHUK/ TASS/GETTY IMAGES)



**Prezydent Władimir Putin dekoruje Siergieja Roldugina na Kremlu,
Moskwa, wrzesień 2016 (© MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES
NEWS/GETTY IMAGES)**



Natalia Weselnicka (w drugim rzędzie) tuż za Mikiem McFaullem, byłym ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Rosji. Andriej Niekrasow siedzi w czwartym rzędzie (widoczny tuż nad ramieniem Weselnickiej), Waszyngton, czerwiec 2016 (© KYLE PARKER)



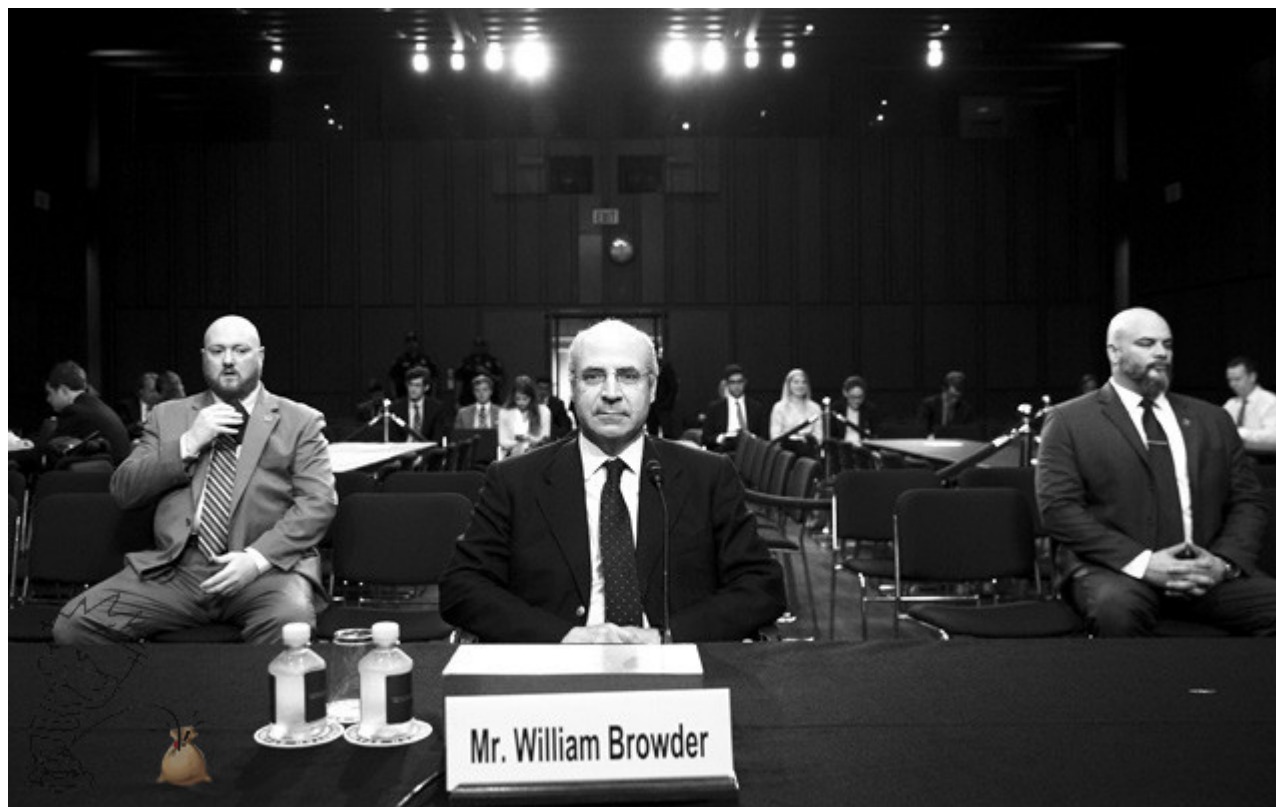
Rinat Akhmetshin, Waszyngton, czerwiec 2016 (© HERMITAGE)



Julia i Nikołaaj Gorochowowie, Nowy Jork, 2015 (© NIKOLAI GOROKHOV)



Przesłuchanie podczas posiedzenia Komisji Sprawiedliwości Senatu Stanów Zjednoczonych, 26 lipca 2017 (© C-SPAN)



Przesłuchanie podczas posiedzenia Komisji Sprawiedliwości Senatu Stanów Zjednoczonych, 27 lipca 2017 (© DREW ANGERER/GETTY IMAGES NEWS /GETTY IMAGES)



Prezydenci Trump i Putin w Helsinkach, czerwiec 2018 (© CHRIS MCGRATH/GETTY IMAGES NEWS/GETTY IMAGES)



Jewgienija Kara-Murza, Władimir Kara-Murza i Wadim Prochorow (©
VADIM PROKHOROV)



Z Nikitą Magnitskim i kanadyjskim premierem Justinem Trudeau tuż
po przyjęciu przez Kanadę ustawy Magnitskiego, listopad 2017 (©
HERMITAGE)

1 Była to druga wizyta Siergieja w Komitecie Śledczym Federacji Rosyjskiej. W czerwcu 2008 roku zeznawał tam przeciwko Karpowowi i Kuzniecowskiemu; ujawnił ich rolę w kradzieży spółek inwestycyjnych Hermitage Fund. Nazwiska obydwu funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych padły w jego zeznaniu dwadzieścia siedem razy.

2 Nakaz zabezpieczenia to procedura prawna, która uniemożliwia oskarżonemu przeniesienie aktywów poza granice jurysdykcji (przyp. tłum.).

3 Wniosek o międzynarodową pomoc prawną wynika z umów międzynarodowych. Na jego podstawie prokuratorzy lub śledczy uzyskują dostęp do dowodów oraz informacji w sprawach karnych i cywilnych. Takie wnioski są niemal zawsze honorowane.

4 Zasada 1.9 w zbiorze zasad etyki zawodowej nowojorskiej palestry głosi: „Adwokat, który uprzednio reprezentował klienta, nie będzie reprezentował innej osoby w tej samej ani powiązanej sprawie, jeśli interesy tej osoby są sprzeczne z interesami byłego klienta, chyba że były klient wyrazi na to świadomą zgodę, którą potwierdzi pisemnie”.

5 Zostało to potwierdzone w 2018 roku, gdy prowadzone przez Holandię dochodzenie dowiodło, że MH17 został zestrzelony przez pojedynczy pocisk kierowany Buk z wyrzutni należącej do 53. Rakietowej Brygady Przeciwlotniczej z Kurska w Rosji. Wyrzutnia została przeniesiona do Doniecka w Ukrainie, tam wykorzystana do zestrzelenia cywilnego samolotu pasażerskiego, a następnie przetransportowana z powrotem do Rosji. Władimir Putin do dziś twierdzi, że Rosja nie miała nic wspólnego z tym zamachem terrorystycznym.

6 W raporcie Zgromadzenia Parlamentarnego OBWE z lutego 2020 roku stwierdzono, że bardziej niż prawdopodobne jest, że Putin zlecił zabójstwo Borisa.

7 Pierogi z nadzieniem mięsnym.

8 Z przyczyn natury prawnej tożsamość tej kobiety nie może zostać ujawniona.

9 Bywałem też po drugiej stronie wielu procesów o zniesławienie i tak się złożyło, że najdotkliwszy z nich wytoczył mi major Paweł Karpow. W sierpniu 2012 roku, po naszym filmie na YouTube ujawniającym jego

nieuczciwie osiągnięte zyski, Karpow pozwał mnie za zniesławienie. Sprawę wytoczył w Londynie. Mimo że nie mieszkał w Wielkiej Brytanii i oficjalnie zarabiał równowartość piętnastu tysięcy dolarów rocznie, jakoś był w stanie wynająć renomowanych prawników z honorariumi rzędu półtora tysiąca dolarów za godzinę. Sprawa trwała ponad rok. Ostatecznie sędzia odrzucił pozew jako nadużycie prawa procesowego i nakazał Karpowowi pokryć nasze koszty obsługi prawnej, które wyniosły równowartość niemal dziewięciuset tysięcy dolarów. Karpow nigdy tego nie zrobił, dlatego w Wielkiej Brytanii jest poszukiwany za obrazę sądu.

10 Siódmego października 2016 roku upubliczniono nagranie, na którym Donald Trump powiedział między innymi: „A jak jesteś gwiazdą, to ci na to pozwalają. Możesz zrobić wszystko. Łapać je za cipkę. Możesz robić wszystko”. Powszechnie myślano, że to będzie koniec jego kampanii prezydenckiej. Nie był.

11 Rok wcześniej, w szczytowym okresie kampanii dezinformacyjnej koordynowanej przez Weselnicką, Dilanian próbował zamieścić w NBC materiał najprawdopodobniej podrzucony mu przez Weselnicką i Akhmetshina, który powtarzał fałszywą narrację Rosji o mnie i Siergieju. Na szczęście zdążyliśmy przekazać szefom Dilaniana w NBC fakty na ten temat i nie zgodzili się na publikację tego tekstu.

12 Nie myliłem się. W końcu dotarła do nas informacja, że mniej więcej w tym czasie najwyższy rangą funkcjonariusz szwajcarskiej policji federalnej w zespole badającym pranie brudnych pieniędzy powiązanych ze sprawą Magnitskiego, niejaki Vinzenz Schnell, został przyłapany podczas sekretnej, nieautoryzowanej podróży do Moskwy na spotkanie z samą Natalią Weselnicką. Później wyszło na jaw, że próbował sabotować szwajcarskie śledztwo w sprawie Magnitskiego, a także pojechał do Rosji na luksusową wyprawę łowiecką opłaconą przez rosyjskiego oligarchę. Ostatecznie Schnell został zwolniony ze służby i skazany przez szwajcarski sąd.

13 Zapewne po to, żeby ci dwoje wyglądali na szpiegów, Rosjanie błędnie podali w swoim oświadczeniu, że agenci Angert, Schwartzman i Hyman pracowali dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, a nie Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

14 To był absurd i chyba nawet Kreml zdawał sobie z tego sprawę, ponieważ następnego dnia Rosjanie po cichu zeszli z czterystu milionów do

czterystu tysięcy dolarów, co zresztą też było kłamstwem. W rzeczywistości kwota wynosiła zero.

15 Po szopce Rohrabachera w Komisji Spraw Zagranicznych Kongresu Stanów Zjednoczonych Kyle przeszedł do pracy w Komisji Helsińskiej USA.

16 Twierdzenia, że kierownictwo banku o niczym nie wiedziało, można włożyć między bajki. Reporterzy ujawnili, że wskaźnik rentowności kapitału własnego Danske Bank Estonia wyniósł 402 procent. Dla całego banku wskaźnik ten wynosił 6,9 procent.

17 Pełną listę Rosjan objętych sankcjami Stanów Zjednoczonych za udział w sprawie Magnitskiego podaję w rozdziale Linki i dokumenty.

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

Epilog

Linki i dokumenty

Podziękowania

Zdjęcia

Przypisy